



WAR BOOK

VLADIMIR
WOLFF

U55 Brandt

CZAS
ODKUPIENIA

Vladimir Wolff

Czas odkupienia

Apokalipsa (tom: 1)

[Warbook, 2016]

Torres

The logo for Torres, featuring the word "Torres" in a bold, black, serif font. A red, wavy underline is positioned beneath the letters, starting under the 'T' and ending under the 's'.

Rozdział I

Siła wyższa

U stóp Matthiasa leżał bóg. I nie była to jakaś abstrakcyjna istota, o której nieraz słyszał. Ten bóg był konkretny. Mdłe światło latarki wydobywało z półmroku zarys trefionej brody, ciało bestii, skrzydła i pazury. W sumie nic nadzwyczajnego.

Matthias spotykał groźniejsze stwory. W zeszłym tygodniu nad kikutem wieży na Alexanderplatz krążył prawdziwy smok. Matthias widział go tylko przez chwilę, gdy przemykał w stronę dawnego ratusza, próbując ujść sforze zdziczałych psów. Wystrzelał cały magazynek w trzy pręgowane bydlaki, a one wciąż kłapały zębami i darły beton pazurami, zanim w końcu zdechły. Jeszcze jeden taki pojedynek i zostałyby bez amunicji. Właśnie wtedy dojrzał smoka, jak go nazywali pomiędzy sobą. Gadzina była wyjątkowo wyrośnięta. Mierzyła dobrze ponad pięć metrów od łba do pokrytego łuskami i zwieńczonego grotem ogona. Błoniaste skrzydła rozpiniała na co najmniej cztery metry. Istny koszmar. Słyszał o takich w dzieciństwie, ale na pewno nigdy nie spodziewał się zobaczyć go na własne oczy. Tym razem miał szczęście, że dostrzegł potwora, zanim ten zauważył jego, a może smok wolał wypatrywać zdobyczy na otwartej przestrzeni, nie wśród ruin, gdzie jego rozmiary raczej przeszkadzały w polowaniu.

Niemniej zasadnicza różnica między obu stworami sprowadzała się do jednego: tamten był żywy, a ten tutaj martwy, no i z kamienia.

Matthias kopnął pokruszoną rzeźbę, zupełnie irracjonalnie, ot tak, dla własnej satysfakcji. Wiedział, że to kompletnie bez sensu, ale nie potrafił odmówić sobie przyjemności, nawet takiej niewielkiej i nic nieznaczącej.

Zrobił to bez szczególnej złości, lecz i tak głucho echo rozeszło się po sali i dudniąc, wróciło z korytarza. Zaniepokojony rozejrzał się dookoła. Wszędzie panowała taka sama cisza jak wcześniej, lecz poczuł wyraźnie, że w salach pełnych pokruszonych antycznych dzieł sztuki obudził jakieś zło, które będzie go prześladować. Pożałował niefortunnego kopniaka. W ogóle niepotrzebnie tu przyszedł. Musi ruszać dalej. Czas uciekał, a on nie mógł sobie pozwolić na zbyt długie przebywanie w jednym miejscu.

Ruszył przed siebie, ostrożnie stawiając kroki, napięty – i omal nie strzelił, gdy na wprost niego z ciemności wyskoczyło koszmarnie wykrzywione oblicze. Opanował się olbrzymim wysiłkiem woli. To nie bestia czająca się, by go pożreć, tylko następna rzeźba, na której czas zatarł już niektóre szczegóły i trudno było dojść, jakiego to czworonoga przedstawiała. Matthias nie miał pojęcia, kogo lub co czcili starożytni. Może oni sami też nie wiedzieli, a te fantasmagorie miały im jedynie ubarwić nudne życie. Ciekawe, czy zadowoliliby ich ta menażeria, która obecnie pustoszy jego miasto.

Niepotrzebnie zapuszczał się tak daleko. Od bezpiecznego schronienia na dworcu Friedrichstraße dzielił Matthiasa ładny kawałek drogi. Powinien się pospieszyć, bo inaczej zostanie w Pergamon Museum na zawsze. Czas działania filtrów już się kończył.

Kombinezon przeciwchemiczny krępował ruchy. Nie cierpiał się w nim poruszać. Po paru minutach ubranie robiło się wilgotne, a wielkie plamy potu na plecach, w kroku i pod pachami drażniły skórę. To jeszcze nie było najgorsze. Dopiero kiedy strużki potu zaczęły spływać po twarzy, a on nie mógł się podrapać z powodu maski przeciwgazowej – dostawał szału. Nawet zmiana filtra na nowy niewiele pomagała. Zresztą filtrów i pochłaniaczy było niewiele. Dawne zapasy rozchodziły się natychmiast wśród doświadczonych stalkerów, a on był w stanie zdobyć tylko nędzne resztki, najczęściej filtry regenerowane w podziemnych warsztatach. Wystarczały najwyżej na połowę tego czasu co nowe, a jakość ich działania pozostawiała wiele do życzenia. Z pochłaniaczy musiał zrezygnować i po prostu nie

zapuszczał się w zbyt niebezpieczne miejsca.

Trzeba to powiedzieć otwarcie – nie chciał tu być. Wychodzenie na zewnątrz, do tego świata, którego wciąż nie znał i nie rozumiał, przyprawiało Matthiasa o trwogę. Nie chciał nawet myśleć, co go może tu czekać. Wiedział, że któregoś dnia pewnie nie wróci, a mimo to...

Ocknął się z zamyślenia i ruszył przed siebie, nie zdejmując palca ze spustu automatu.

Obchód sal nie przyniósł niczego oprócz bólu nóg i grzbietu. W końcu dobrnął do wielkiej sali, gdzie kamienne schody prowadziły do nieba. Po obu stronach płaskorzeźby, na których czas zatarł precyzyjny ryt artysty. Pod stopami chrzęściło szkło. Szklany sufit rozpadł się na tysiące kawałków. Przez dziury widział ołowiane niebo i przetaczające się burzowe chmury.

Najchętniej splunąłby na to wszystko, lecz maska uniemożliwiała nawet taki odruch.

Sprawdził czas. Pozostało mu czterdzieści minut i co najmniej trzy przecznice do przejścia. Zdąży, o ile nie natknie się na żadną przeszkodę. W niektórych miejscach, gdzie gruz uniemożliwiał przejście, należało nadrobić drogi. To akurat nie problem. Gorzej, jak przyplącze się jakiś potwór.

Został mu w zapasie ostatni magazynek, trzydzieści nabojów, i to, co miał na sobie. To cały jego majątek, nie miał nic więcej.

Ruszył zdecydowanym krokiem w stronę wyjścia. Powinien zarabiać, a nie marnować czas na sentymentalne wycieczki. Ta tkliwość była przekleństwem Matthiasa. Potrafił rozczulić się w najmniej odpowiedniej chwili, wystarczyło, by ktoś zaczął opowiadać historię z dawnych lat, a jemu łzy ciekły po policzkach. Nie tak zachowuje się stalker.

Uważnie rozejrzał się po wielkim holu. W głębokich cieniach i zakamarkach lubiły się kryć fenidy – stwory niewielkie, lecz o ostrych kłach, którymi rozrywały padlinę. Ludzi raczej nie atakowały, choć głodne, w stadzie i przyparte do muru na pewno będą kasać. Ich miauczenie podobne do płaczu dziecka łatwo mogło zwieść, a wtedy marny los wędrowcy, który zszedł z wyznaczonego szlaku i zagłębił się w nieznanne.

Wielu utrzymywało, że fenidy pochodzą od domowych kotów, ulubieńców dawnych berlińczyków. Matthiasowi nie chciało się w to wierzyć. Z ewentualnymi przodkami łączyła je tylko miękka płowa sierść i długi ogon. Pysk natomiast miały wydłużony, zupełnie psi. Lata przyspieszonej ewolucji w opustoszałym świecie po zagładzie wyostrzyły im jeszcze wzrok i węch. Na szczęście pozostały na tyle małe, że nie zagrażały ludziom. Co innego większe od nich canidy, których sfory włóczyły się po opustoszałych ulicach.

Tym razem nie dostrzegł niczego podejrzanego. Już śmielej podążył przed siebie. Ostrożnie przekroczył resztki wywalonych do środka drzwi, uważając przy tym, aby ostre kawałki szkła nie przebiły kombinezonu. Teraz naokoło, tuż przy murze, byle nie wychodzić bez konieczności na otwartą przestrzeń, gdzie wiele par oczu przygląda się wszystkiemu, co żywe, i zawsze, bez wyjątku, są to wrogie spojrzenia.

Odetchnął głębiej. Posuwał się powoli, rozglądając się uważnie w prawo i w lewo, aż dokładnie przyjrzał się najbliższemu otoczeniu. W dalszym ciągu nic podejrzanego. Już śmielej podążył zaplanowaną trasą. Nie chciał biec – takie zachowanie ściąga kłopoty. Każdy drapieżnik dostrzeże w nim potencjalną ofiarę, a Matthias niezależnie od wszystkiego chciał żyć. Co prawda, nędzna to była egzystencja, jednak innej nie znał.

Przeszedł skrajem niewielkiego skweru, teraz bardziej przypominającego dżunglę, i znalazł się w betonowo-kamiennym kanionie ulicy. Jej nazwy nie pamiętał. Wiodła prosto, a na jej końcu znajdowało się bezpieczne schronienie, i to było najważniejsze. Tym razem wielkie kawały gruzu tarasowały przejście i nie pozwalały iść przy ścianie, zostawiwszy jedynie środek jezdni. Kalkulował ryzyko. Minuty upływały, a on wciąż nie wiedział, co ma zrobić. W końcu się zdecydował, zaklął i już

nie namyślając się dłużej, zaczął skradać.

W uszach wyraźnie słyszał własny oddech, świst filtrowanego powietrza nie przypominał niczego ludzkiego.

Załował dnia, w którym dał się namówić na pierwsze wyjście na powierzchnię, chociaż obecnie było to już bez większego znaczenia. Świat był taki, jaki był, także bez jego udziału, a pewnych decyzji się nie cofnie.

Pod twardymi podeszwami wojskowych kamaszy zachręściła trawa. Srebrno połyskujące źdźbła rozsadzały przestrzeń pomiędzy płytami chodnikowymi i w niektórych miejscach wybijały już na pół metra wzwyż, a nawet wyżej. Cała lewa strona ulicy wydawała się porośnięta żywym kobiercem. Nie przypominał sobie, by rosły tu wcześniej. Może pojedyncze pędy, ale nie całe kępy, łączące się w zadziwiające, szemrzące łany. Gdy stanął, dobiegł go szum trącanych metalowych blaszek. Srebrzysty kobierzec poruszał się, przyzywał i wołał o pieczętę. Na wszelki wypadek Matthias obszedł go łukiem. Cokolwiek to było, stanowiło zagrożenie.

Poprawił taśmy plecaka, wrzynające mu się w ramiona, i zerknął za siebie. Niejeden z mniej doświadczonych zwiadowców skupiał się na tym, co przed nim, zapominając o osłonie własnych pleców – i zginął w tak idiotyczny sposób.

W porządku, na razie wszystko grało. Przyśpieszył. Został kwadrans, najwyżej dwadzieścia minut.

Dotarł do pierwszej przecznicy. Rozejrzał się w prawo i w lewo. Lufa G36 wodziła za jego wzrokiem. Nagle zauważył jakiś ruch w podcieniach budynku u zbiegu ulic przecznicę dalej. Złożył się do strzału i poszukał tego miejsca przez celownik kolimatorowy. Na szczęście to tylko jakiś kawałek płachty łopotał na wietrze.

Na wizjerze maski osiadł szary płatek śniegu, potem drugi, trzeci i następne. Start je niecierpliwym ruchem. Pozostały drażniące smugi. Może to nie śnieg, tylko pył albo jakieś inne paskudztwo? Klimat i pory roku nie miały z tym nic wspólnego. Podobno był lipiec, wszelako na zewnątrz przez większość roku panowała jedna aura – paskudna, pochmurna, wietrzna i burzowa. Mówiono o tym nuklearna zima i nic nie wskazywało na to, że kiedykolwiek minie.

On się nad tym nie zastanawiał. Wychodził, bo musiał. W innym przypadku resztę życia spędziłby w tunelach pod miastem.

Właśnie odwracał głowę od odległego celu, gdy kątem oka dojrzał niewyraźny błysk. Przez jedno uderzenie serca stał nieruchomo jak słup soli. Dopiero wyćwiczone nawyki sprawiły, że ponownie przybrał pozycje strzelecką: lewa noga z przodu, kolba mocno przy ramieniu i maksymalna koncentracja.

Światełko jak na złość znikło.

Przesunął lufę bardziej w lewo, oblizując językiem spierzchnięte usta. Nic. Teraz na prawo. Góra, dół. Dostał zwidów? W mroku nie dostrzegł niczego.

Ostrożne zrobił krok do przodu, jak dobrze nie sprawdzi, a odwróci się plecami, może być po nim.

Gdzie się chowasz, bydlaku? Już ja cię znajdę, a wtedy...

Właśnie, co?

Nie powinien zapuszczać się tu sam. W towarzystwie zawsze raźniej żyć i umierać. Właściwie nic nie stało na przeszkodzie, by powolutku się wycofać. Już był gotów to zrobić, gdy...

Zamknął oczy i otworzył je ponownie. Zupełnie niedaleko pokruszony beton i asfalt jaśniały niezwykłym blaskiem. Może należało powiedzieć, że podłoże fosforyzowało zielonkawą poświatą. Obraz zupełnie magiczny. Czegoś podobnego w życiu nie widział.

Przestał celować i już zupełnie śmiało poszedł do przodu. Najpierw magiczna trawa, a teraz to.

Gdy był już całkiem blisko, przykucnął. To nic innego jak mech i trochę porostów, a może i pleśń. Nic niezwykłego – oprócz tej fosforyzującej zieleni.

Nie był tak głupi, żeby w to wchodzić. Cholera wie, co to jest. Słyszał już niejedną historię o dziwacznej przyrodzie na powierzchni i nazbyt pewnych siebie ludziach. Wolał przyjrzeć się z bezpiecznej odległości, więc stanął kilka centymetrów od roślin.

W końcu zwyciężył w nim rozsądek przynaglający do dalszego marszu. Wstał i przesunął do tyłu przerzuconą przez szyję taśmę automatu. Jak oceniał, zielsko porastało co najmniej kilkadziesiąt metrów kwadratowych terenu i prawdopodobnie nie było to wszystko, bowiem schody i odsłonięte części piwnic zrujnowanej kamienicy zdawały się pulsować tym samym niezdrowym kolorem. Cały ten kwartał był jakiś dziwny. Budził fascynację, a zarazem przerażał.

Odgłos z prawej sprawił, że Matthias zamarł z przerażenia. Dłoń zacisnęła się na rękojeści broni. Wraki samochodów zasłaniały widok, niemniej wiedział, czego się spodziewać.

Hienopodobny canid szczyrzył kły nie dalej jak dwadzieścia metrów od niego. Matthias był pewien, że to przewodnik stada. Szpiczaste uszy i nastroszona sierść na grzbiecie, sterczące żebra, długi ogon bijący niespokojnie na obie strony. To bydlę było wielkie, od pyska do końca ogona jakieś dwa metry. Canidy przemieszczały się błyskawicznie, a do tego polowały w stadzie. Ten właśnie zwoływał sforę.

Teraz albo nigdy.

Matthias nabrał powietrza do płuc i powoli je wypuścił, ledwo panując nad nerwami. Podniósł karabinek powoli i omal się nie spóźnił. Potwór wyczuł niebezpieczeństwo i już szykował się do skoku. Tylne łapy napięły się, a cielsko wygięło w iście cyrkowym łuku.

Spust był ledwo wyczuwalny pod palcem, choć Matthias już dawno odpiłował kabłąk, bowiem nieraz przeszkadzała strzelać w rękawicach, co mogło kosztować życie.

Trzy strzały przeszły powietrze. Trafił raz, choć nie śmiertelnie. Pocisk strzaskał prawą przednią łapę. Gdyby nie to, przy kolejnym susie canid znalazłby się tuż przy nim. Przy poprawce prawie spanikował. Dał krok do tyłu i wlaźł w to przeklęte świnstwo, ale już nic na to nie mógł poradzić. Może go nie zeżre.

Tym razem seria doszła celu. Pierwszy pocisk ugodził w klatkę piersiową, drugi w gardło, a trzeci roztrzaskał łeb. Nim mutant skonał, czołgał się jeszcze chwilę, pazurami drąc beton, aż zaległ dwa metry od człowieka.

Matthias ze strachu ponownie się cofnął. Pod stopami coś zachrząściło. Spojrzał w dół. Stał w świecącym zielsku, z którego pył pokrywał co najmniej do kostek tkaninę opinającą buty. Przestraszył się tak samo jak wtedy, gdy canid wpatrywał się w niego wściekłym wzrokiem.

Niepotrzebnie w ogóle się zatrzymał, zmarnował cenne minuty, a na dodatek wystawił się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Jedyne, co mu pozostało, to dynamiczny odwrót.

Zaczął biec, co chwila oglądając się do tyłu. Od stacji Friedrichstraße dzieliło go jakieś czterysta metrów. Wystarczy, by zginąć.

Pot szybko zaczął zalewać mu oczy i znowu nie mógł go zetrzeć. Rosła w nim bezsilna wściekłość.

Stop.

Zwrot i przejrzenie sytuacji. Dwa kolejne canidy wyłoniły się z mroku. Nie tak wielkie jak przywódca sfory, ale też duże. Najpierw ten bliżej. Suchy dźwięk wystrzału wsiąkł w ciszę okolicy. Zwierz przeleciał przez grzbiet i znieruchomiał. Teraz drugi. Już widział szare cielsko w celowniku. Palec musnął spust, gdy bestia wiedzona szóstym zmysłem nagle zmieniła kierunek biegu. Poruszała się tak szybko, że Matthias nie był w stanie dokładnie wycelować. Niech to szlag! Dystans zmniejszył się błyskawicznie.

Wystrzelił trzy razy z rzędu, za każdym razem chybiając. Zaczął się cofać. Canid gnał z lewej strony, przeskoczył przez jakąś stertę gruzu i ponownie znalazł się na

otwartej przestrzeni.

Tym razem strzelcowi się udało. Kula odbiła się od czaszki, urywając ucho z kosmatego łba.

Szczęka kłapnęła w powietrzu, a całym cielskiem zachwiało.

Wycelował i tym razem trafił w kręgosłup. Jeszcze nie zabił, choć rana pewnie była śmiertelna. Przenikliwy skowyt niemal odebrał mu zmysły. Wyteżył wszystkie siły, zmienił magazynek i rzucił się do ucieczki. Nie dobijał canida, musiał oszczędzać amunicję.

Podobno kiedyś ludzie biegali dla przyjemności. Nie widział w tym większego sensu. Po co tak się męczyć? Każdą, nawet najmniejszą porcję energii należy przeznaczać na przetrwanie, a nie marnować na jakieś fanaberie.

Po około pięćdziesięciu metrach zatrzymał się i obrócił, ciężko dysząc. Prawo czysto, lewo czysto. Zwrot i kolejne kilkadziesiąt metrów walki z własną słabością. Wiedział, że potwory już go osaczają. Mógł ich nie widzieć, ale one tu były, podkradały się coraz bliżej. Czaiły na granicy światła i mroku w oczekiwaniu okazji do ataku. Szumiąca w uszach krew oraz kaptur na głowie sprawiały, że niewiele słyszał. Musiał zdać się całkowicie na instynkt i doświadczenie.

Przez moment w głowie zaświtał mu pomysł, by gdzieś w pobliżu poszukać bezpiecznego schronienia. Zaszyć się w jakiś kąt i przeczekać najgorsze.

Już ledwie dyszał, zaraz upadnie, a wtedy... Spokojnie, tylko spokojnie. Jak zaczniesz panikować, to po nim.

Ciemność wokół zaczęła gęstnieć. Przyśpieszył, sadził teraz ogromnymi susami. Musiał uważać nie tylko na mutanty, ale i żeby nie rozedrzeć kombinezonu o wystające gdzieniegdzie kawałki pordzewiałych prętów.

Gdy minął rozsypany narożny gmach przy dawnej Dorotheenstraße, wyrósł przed nim budynek dworca Friedrichstraße. Samotna postać zdawała się pełnić wartę tuż przy wejściu.

Strzelanie w biegu to kiepski pomysł, właściwie jedynie sposób na marnowanie amunicji, choć nieraz nie ma innego wyjścia. Szary stwór stał nieruchomo. Takiego zachowania Matthias nie potrafił wyjaśnić, dopiero po sekundzie zorientował się, że to nie potwór, tylko drugi stalker.

Tamten w końcu drgnął, wydawało się, że automat mierzy wprost w Matthiasa. Echo karabinowych strzałów odbiło się od ruin. Matthias nie zwolnił nawet na moment. Teraz, gdy wiedział, że jest osłaniany, poczuł się rażniej, pozwolił sobie nawet na odrobinę nadziei.

Chyba się pośpieszył. Niespodziewanie na jego głowę padł cień. Matthiasa skulił się mimowolnie i to go uratowało. Szpony zacisnęły się w powietrzu, chybiając o włos.

Upadł. Już nie zważał na to, czy kombinezon jest cały. Przeturlał się, starając nie nadziać na własny karabinek. Szybki obrót i tuż nad sobą zobaczył rozpostarte błoniaste skrzydła, a między nimi potężny dziób z rzędem ostrych jak sztylety zębów. Stwór właśnie zamierzał zacisnąć paszczkę na jego głowie. Gdy paszcza się rozwarła, skorzystał z okazji, by wywalić w jej środek od razu połowę magazynka. Mutanta rzuciło do tyłu, ale i tak zdążył jeszcze zahaczyć ofiarę jednym ze skrzydeł.

Uderzenie w ciemność było tak silne, że Matthias zobaczył gwiazdy, zachwiało się i upadł na kolano. Zachował jednak przytomność i zdążył podeprzeć się dłonią. Terkot karabinu nie cichł teraz nawet na chwilę. Na dodatek stwór nad nim wydał z siebie przyprawiający o dreszcz ryk bólu. Matthias najchętniej zatkałby sobie uszy.

Dosyć tego opierdalania się, albo się zmobilizuje, albo zostanie pożarty. Nieznacznie obrócił głowę, próbując zorientować się, gdzie podziało się monstrum, i najszybciej, jak był w stanie, ruszył przed siebie osłaniany przez samotnego strzelca.

Jakiś inteligentniejszy od pozostałych, a może bardziej głodny canid począł zachodzić go z prawej. Jeszcze chwila i odetnie Matthiasa od bezpiecznego schronienia. Stalker wypalił w jego kierunku, lecz bez widocznego efektu.

Tak to my się bawić nie będziemy. Matthias zatrzymał się niemal w miejscu. Tym razem bez składania się i celowania strzelił z biodra. Może i trafił, bo zwierzę znikło z pola widzenia. Całe szczęście, gdyż wystrzelał resztę magazynku. Był teraz zupełnie bezbronny.

Zaczął pędzić tak, jakby goniło go całe piekło. Poniekąd tak było.

Człowiek, który osłaniał Matthiasa, przestał strzelać, widać jemu również zabrakło amunicji.

Trzydzieści metrów finiszu stalker pokonał kompletnie bez sił. Nie oglądał się za siebie, tylko z rozpędu wpadł w ciemny tunel wiodący w dół. Po jednej i drugiej stronie piętrzyły się arkusze blachy i kawały betonowych płyt. Część z nich walała się tu od dawna, pozostałe zostały ułożone w ten sposób, by przejście zwężyło się, wiodąc do pierwszej ze śluz. Pełniący tam wartę człowiek już otwierał stalowe drzwi. Matthias wpadł w uchylone skrzydło i omal nie wywalił się jak długi. Odbił się od ściany i w końcu wytracił prędkość. Drugi ze stalkerów deptał Matthiasowi po piętach. Głuchy łomot obwieścił, że zostali odcięci od świata zewnętrznego, choć wciąż jeszcze nie byli całkiem bezpieczni.

Był tak wyczerpany, że potrzebował pomocy towarzysza, by zejść schodami na poziom peronów.

Drugie drzwi wydawały się solidniejsze, wręcz pancerne. Załomotali w nie ustalonym kodem: jeden długi, dwa szybkie i jeszcze raz na koniec – dopiero teraz zostali wpuszczeni.

Cały problem z berlińskim metrem był taki, że dawało schronienie podczas zwykłego lotniczego bombardowania, ale co zrobić, gdy na miasto spadnie nuklearna pożoga?

Wybudowanie odpowiednich zabezpieczeń wymagało ogromnego wysiłku. Większości materiałów dostarczyło samo metro – przydała się blacha i kształtowniki z wagonów, które już nie jeździły, kamienne i betonowe płyty, którymi wyłożone były stacje. Doprowadzenie wszystkiego do jakiegoś takiego stanu zajęło lata.

Wysiłek opłacił się. Od dawna żadne bydło nie zeszło w dół na darmową przekąskę. Matthias nawet nie chciał myśleć, ile to ludzi wcześniej przypłaciło życiem niefrasobliwość inżynierów, którzy projektując ten podziemny świat, nie pomyśleli o wojnie atomowej, mutantach i tak dalej. Zamiast schronów zostawili potomności ziemianki. Nie było potężnych wrót odcinających metro od powierzchni, nie było magazynów żywności, leków i paliwa, była tylko prowizorka.

Dobrze, że tamten okres mają już za sobą.

Rozdział II

Jorge

Matthias odrzucił kaptur do tyłu i odetchnął pełną piersią. Gdyby nie to, że włosy miał ścięte na delikatnego języka, na głowie stroszyłby się jeden wielki kołtun.

Sweter i koszulę mógłby wyzymać. Upłynęła minuta, nim zdołał wychrypieć pierwsze słowo.

– Dzięki.

– Nie ma za co. – Jorge był tylko kilka lat od niego starszy, lecz posiadał wszystkie te cechy, których brak Matthias boleśnie odczuwał.

Wysoki i barczysty, przyciągał wzrok zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Regularne rysy twarzy psuła blizna zaczynająca się przy lewym uchu i idąca łukiem w stronę nosa. A może wręcz przeciwnie – dodawała niepowtarzalnego uroku, jakiejś zawziętości, której on na pewno nie posiadał?

Przy nim Matthias czuł się jak niezbyt udana kopia – niższy, lżejszy, o nijakiej twarzy, i, co tu dużo mówić, w przeciwieństwie do Jorgego nigdy nie był duszą towarzystwa. Jorge potrafił znaleźć się w każdej sytuacji, natomiast Matthias unikał ludzi, czując się w ich towarzystwie obco i niepewnie.

To, że żył i funkcjonował, zawdzięczał właśnie Jorgemu, który go wyszkolił i wziął na współnika. Do tej pory Matthias nie potrafił zrozumieć, jak do tego doszło – zabrakło kandydatów czy też Jorgego zdjęła litość na widok przybłądy, jakim Matthias do niedawna był? A może kierowały nim jakieś inne względy? Tego nie wiedział, wszelako po którejś z kolei bezowocnej rozmowie przestał drążyć.

Mimo swoich starań nie zawsze potrafił sprostać wymaganiom mentora. Czuł się wtedy jak piąte koło u wozu. W ogóle najczęściej nurtowało go pytanie, jak długo Jorge z nim wytrzyma, zanim nie kopnie go w tyłek i nie pośle do diabła.

W skład ich zespołu wchodził jeszcze jeden członek – Nerd, nerwowy dwunastolatek o nastroszonych włosach koloru popiołu i wiecznie wytrzeszczonych oczach. Młody nie wychodził na powierzchnię, pełnił za to funkcje pomagiera, nosił za nimi sprzęt, przygotowywał legowisko i pilnował dobytku, kiedy oni wychodzili na górę.

Przygarnęli go parę miesięcy temu na jednej ze stacji znajdujących się pod rządami brunatnych. Robił u nich za niewolnika. Służył tam już tak długo, że zapomniał, jak się nazywa i jak to się stało, że został niewolnikiem. Jorge odkupił go za wszystko, co zdobyli podczas tamtej wyprawy. Ta dobroć, podobnie jak i w jego przypadku, wciąż zdumiewała Matthiasa, uświadamiając mu, że Jorge nie jest taki jak reszta. Jorge był po prostu inny.

Nerd już na nich czekał, odebrał broń i pozostały ekwipunek.

– Jak było?

Matthias łyknął z podanej manierki i przepłukał usta.

– Nic ciekawego. Canidy o mało nie odgryzły mi tyłka – mruknął.

– Naprawdę?

– A jak myślałeś? – warknął.

Nie powinien tak się zachowywać, ale nie był w humorze. Prawdę mówiąc, nigdy nie był.

Wartownicy nie spuszczaali z nich wzroku. W rękę karabinki, za pasem noże i kindzały, łyse łby i długie brody. Witajcie w miejscu, gdzie pełną i jedyną władzę sprawuje Liga Muzułmańska.

Z głębi stacji dobiegł ich śpiew muezina zwołującego na modlitwę. Minaret nie był potrzebny, dźwięk po korytarzach rozchodził się doskonale. Nie przeszkadzały liczne dywany, makaty i kilimy.

Do Ligi należała część linii U6 od Stadtmitte aż po Naturkundemuseum i zdaniem Matthiasa stacje te były najbarwniejsze w całej sieci. Kupcy wędrowali w obu

kierunkach i dalej, handel odchodził na całego. Przychodzili tu ludzie z najbardziej odległych rejonów, by podziwiać cuda lub posłuchać opowieści. Za Naturkundemuseum było nieco gorzej, dworce od Schwartzkopffstraße po Seestraße znajdowały się we władaniu islamskich radykałów. Obowiązywało tam prawo szariatu, a każdy obcy natychmiast trafiał do brygad roboczych fedrujących tunel na wschód, w stronę mitycznej Nowej Mekki. Tak Matthias słyszał, bowiem sami nigdy tam się nie zapuszczali. Pracy było pod dostatkiem na bardziej przyjaznych stacjach.

Czyściciel, odpowiedzialny za dekontaminację namydlonych kombinezonów w kabynie prysznicowej, zamknął natrysk i skinął ogoloną głową na znak, że mogą już iść.

– Pośpieszcie się.

Jorge pozbył się kombinezonu i teraz stał w samej koszuli. Nikt nie lubi, jak się go popędza, a już stalker wracający z powierzchni na takie zaczepki był wyjątkowo czuły, niemniej klient płacił i wymagał. Nie należało się ociągać. Matthias również pozbył się kombinezonu najszybciej, jak potrafił, i podążył za oddalającym się Jorgem, przerzuciwszy torbę z łupami przez ramię. Nerd został, by wysuszyć i spakować kombinezony.

Zagłębili się w bazar. Trafili akurat na porę modlitwy, więc nie musieli się przepychać między targującymi. Straganiarze klęczeli przy swoich stoiskach, przy okazji pewnie ich pilnując, a reszta mężczyzn skupiła się na pustej przestrzeni w przeciwnym końcu peronu i tam biła rytualne pokłony.

Każdą ze stacji pozostającą we władaniu Ligi zarządzał osobny emir. Ten z Friedrichstraße dobiegał sześćdziesiątki i nazywał się Ashan. Niegdyś potężne chłopisko, obecnie wyglądał jak dętka, z której wypuszczono powietrze. Nadrabiał miną i sumiastymi wąsami. Tak długich Matthias nie widział jeszcze u nikogo. Rezydował w osobnym brezentowym namiocie, wyłożonym dywanem i poduszkami. Wskazał im miejsce i usiedli po turecku, częstując się słabą herbatą. Matthiasowi natychmiast zrobiło się wstyd dziurawych skarpet.

– Opowiadajcie.

Jorge westchnął. Zdawanie relacji z wyprawy nie było niczym niezwykłym, ale zawsze go nużyło. Spośród wszystkich zainteresowanych najbardziej spragnieni wieści byli ci, którzy pamiętali czas sprzed zagłady.

– Było... – zaczął ostrożnie Jorge.

– No...

– Jak zawsze – dokończył zwięźle.

Tak lakoniczna odpowiedź poruszyła emira. Już otwierał usta, by udzielić reprimendy, lecz się powstrzymał. Był panem życia i śmierci muzułmanów, a nie wolnych ludzi. W stosunku do nich musiał się hamować.

– Przy uniwersytecie wzrosło promieniowanie, nie mam pojęcia dlaczego.

Należałoby to jeszcze sprawdzić – dodał Jorge.

– Jakież podejrzenia?

– Może naniósł cholerstwa ściekiem. – O Szprewie nikt nie mówił inaczej jak „ściek”. Nie po tym, co nią teraz płynęło. – Pomiar powtórzymy... może za miesiąc? – zasugerował.

Ashan wolno kiwnął głową.

– W pobliżu widziałem ślady mutantów.

– Mało ich tu... – prychnął naczelnik stacji.

– Znam wszystko, co znajduje się nad nami. – Palec Jorgego wskazał na brezentowy sufit, choć oczywiście miał na myśli betonowy strop. – Łażę tam od lat i jak mówię, że pojawiło się coś nowego, to tak jest – kontynuował stalker powoli i dobitnie.

Ashan zasępił się i to nie dlatego, że nie wierzył Jorgemu, wprost przeciwnie – miał do niego pełne zaufanie. Jeżeli stalker twierdził, że znalazł nowe ślady, to mogło

wróżyć kłopoty.

- Pójdiesz?
- Powiedziałem: nie teraz.
- Dobrze zapłacę – kusił Ashan.
- Spotkajmy się za... trzy tygodnie.

Przemyślenie propozycji zajęło emirowi krótką chwilę. Podrapał się przy tym po brodzie i przygładził wąsy.

- Jak chcesz – przystał w końcu Ashan. – A teraz pokaż, co tam znalazłeś.

Łupów nie było wiele. Po pierwsze, tereny w centrum były już mocno przetrząśnięte i znalezienie wartościowych przedmiotów graniczyło z cudem. Po drugie, tym razem nie wychodzili jedynie na poszukiwania, przy okazji wykonali parę innych robótek.

Ostatnio w cenie było złoto. Żaden ze stalkerów nie potrafił tego zrozumieć, bo po co komu złoto w metrze? Niemniej ich też pytano o nie przy każdej okazji, częściej nawet niż o wieści z bardziej odległych stron, więc usiłowali sprostać zapotrzebowaniu. W poszukiwaniu kruszcu Matthias wybrał się aż do Pergamonu, lecz nie dość, że niczego nie znalazł, to na dodatek o mało nie przypłacił wyprawy życiem.

Jorgemu bardziej się poszczęściło. Kilka srebrnych widelców i łyżeczek po przetopieniu znajdzie nowe zastosowanie. Kalkulator z baterią słoneczną był tylko ciekawostką, tak samo jak poobtłukiwany talerz z malunkiem tancerki pośrodku.

Emir przyjrzał się wszystkiemu, nie ukrywając rozczarowania. Niewiele pomogło, gdy Matthias dorzucił wielofunkcyjny scyzoryk.

- To wszystko?

Jorge wzruszył ramionami.

- Nie chcesz, to nie bierz.

Ashan wybrał srebra, nóż, a po namyśle dołożył kalkulator. Talerz odłożył na bok.

- Dam trzydzieści nabożów – powiedział po zastanowieniu.

- Sześćdziesiąt.

- Żartujesz.

- Idź sam albo wyślij któregoś ze swoich. – Wszyscy wiedzieli, że to był żart.

Muzułmanie nie chodzili na powierzchnię, przeszkadzały im w tym brody. Dla żarliwego wyznawcy Proroka broda liczyła się bardziej od życia. Nie utnie jej tylko po to, żeby wciągnąć na twarz maskę przeciwgazową.

- Trzydzieści pięć.

Jorge wstał, zgarniając wszystko.

- Jak nie chcesz, opchniemy wszystko na Spittelmarkt, mają tam niezły kantor, prawda, Matthias?

- Pewnie, że tak.

- Dajcie spokój.

- Umowa to umowa i, o ile mnie pamięć nie myli, dawałeś minimum sześćdziesiąt za zwiad, a nie trzydzieści. Nie wiedziałem, że jesteś takim sknerą.

- Dobra, niech będzie moja strata. Czterdzieści.

- Wiesz co... a zresztą... – Jorge machnął ręką. – Matthias, mam prośbę: jeżeli jeszcze raz wpadnę na pomysł, by przytargać tu swój tyłek, to wcześniej mnie zastrzel, bo z tym szcurem więcej interesów robić nie będę.

- Masz rację, będziemy ich omijać szerokim łukiem.

- Poczekajcie.

- Na co?

- Dogadamy się.

- Pięćdziesiąt pięć. I ani naboju mniej.

- Pięćdziesiąt.

- Niech ci będzie.

Już bez dalszych ceregieli naboje wylądowały na dywanie. Matthias wolał je

przeliczyć. W takich sprawach nie należało ufać Ashanowi.

– Jest czterdzieści siedem – oznajmił po chwili.

– Naprawdę? – Stary kanciarz robił wrażenie zaskoczonego, wszelako westchnął i dorzucił brakujące trzy pociski kalibru 5,56 mm w mosiężnych łuskach. – Musiałem się pomylić. Oczy już nie te co dawniej. Złota przypadkiem nie macie?

– Ashan, po co ci złoto? – zapytał Jorge. – Chcesz się tym obwiesić?

– Nie ja. – Emir splótł dłonie na brzuchu i odchylił się do tyłu. – Kalif ma nową kobietę.

No tak, teraz wszystko się wyjaśniło. Kalif, zwierzchnik całej muzułmańskiej społeczności, planował kolejny ślub. Każdy z naczelników szykował prezent, a cóż bardziej ucieszy kobietę od świecidełek?

– To ci nowina. – Jorge rozbawiony klepnął się w uda.

– Nie żartujcie. Same przez to kłopoty. Skąd ja wezmę dodatkowe trzy kozy?

– Podobno twoja stacja jest jedną z najbogatszych.

– Chciałbym, żeby tak było.

Na problemy Ashana niewiele mogli poradzić. On miał swoją robotę, a oni swoją. Muzułmanie w metrze nie gardzili wieprzowiną, coś w końcu trzeba jeść. W paru miejscach metra uczyniono z tego całkiem dochodowy proceder, niemniej z kozami był problem. Ich hodowlą zajmowali się jedynie ortodoksyjni wyznawcy Allaha na dwóch czy trzech stacjach. Podobnie jak prosię takie bydlę zeżre wszystko, a jego odchody mogą użyźnić plantacje grzybów – drugi z podstawowych produktów spożywczych mieszkańców podziemi. Jedyny kłopot ze świniami to smród. Dla muzułmanina był on nie do wytrzymania. Nieczyste zwierzę kałało prawowiernego. Prawdę mówiąc i Matthiasowi w pobliżu ferm robiło się niedobrze. Z mięsem na talerzu nikt nie miał takich problemów.

– Pora na nas – zdecydował Jorge.

– Już idziecie? Zostańcie jeszcze trochę – zachęcił emir kurtuazyjnie, bynajmniej nie nalegając. Zrobili swoje i jazda. Zobaczą się za miesiąc, jak Allah pozwoli.

Dopili napar i zebrali się do wyjścia.

– Wezyr o was pytał – oznajmił naczelnik na odchodnym.

– Ma robotę?

– Pewnie tak.

– Dobrze.

Jorge nie wnikał w szczegóły. Nie musiał. Ktoś o nich pytał, widać potrzebował skorzystać z usług.

Czekała ich zatem mała wyprawa. Wezyr rządził na Stadtmitte. Niby niedaleko, ale tak naprawdę trudno powiedzieć, ile czasu spędzą w tunelach pomiędzy dworcami.

– Macie glejt. – Ashan nabazgrał coś na karteczce. Następnie wydobył z kieszeni kurty osobistą pieczęć i pudełko z tuszem i opatrzył dokument swoim znakiem. Misterny grawerunek stempla, wykonany jeszcze na górze, poświadczał oryginalność dokumentu.

Jorge rzucił okiem, odczekał moment, aż tusz wyschnie, i schował glejt do swojej kurtki. Niby mieli poruszać się wciąż po terytorium Ligi, ale mieli do przejścia dwie stacje, z których każda miała swojego emira z ambicjami i własną polityką, nie zawadzi więc pismo, że okaziciel spieszy na wezwanie samego wezyra. Im to może pomóc, Ashan przysłuży się wezyrowi, wszyscy będą zadowoleni.

Nerd jak wierny pies czekał na zewnątrz. Cały ich dobytek został porządnie spakowany, wraz z czystymi już kombinezonami. Plecaki opatrzone zostały specjalnymi zawieszkami, gwarantującymi, że nie stanowią źródła promieniowania. Nieważne, jak długo przebywali na powierzchni, pewne procedury obowiązywały zawsze i wszystkich stalkerów.

Po prawdzie, radiacja była już o wiele niższa niż kiedyś, na początku. Wtedy, tuż po zagładzie, w ciągu paru minut łąpało się taką dawkę promieniowania, że po paru

dniach konało się, wyrzygując własne płuca. Właśnie wówczas na niezabezpieczonych stacjach zmarło najwięcej berlińczyków. Jak mówiono, federalne władze przetrwały w schronach pod Reichstagem, podczas gdy zwykli obywatele padali jak muchy. Metro okazało się zwykłym systemem komunikacyjnym, a nie cudownym miejscem, azylem gwarantującym ocalenie. Ludzie kotłowali się jak w tyglu z wrzątkiem. Każdy poszukiwał swojego miejsca.

Mimo rozbudowanej sieci tuneli głównych i technicznych, przejść i dojeżdżówek, nie było tu tak wiele miejsca, jakby się mogło wydawać. A wszystko przez układ, w jakim zaprojektowano metro. Część tras idących pod ziemią niespodziewanie wychodziła na powierzchnię, by po kilkuset metrach ponownie zejść do tuneli. Do tego metro w rozmaity sposób przecinało się i łączyło z kolejką naziemną. Ponadto wiele dworców obsługujących tylko metro było bardzo płytko położonych, a każdy z masą otwartych na oścież wejść, wind i innych ułatwień, które nagle stały się przekleństwem. Część z nich zawalono, inne pozatykano tak jak na Friedrichstraße. Każdy inżynier, technik czy majster budowlany był na wagę złota. Bez tych cichych bohaterów metro w ogóle by nie przetrwało.

Matthias mało co pamiętał. Zdaje się, że umysł wyparł tamte potworne zdarzenia. Ojca w ogóle sobie nie przypominał, wędrował z matką i siostrą. Któregoś dnia Lizzy zniknęła, matka poszła jej szukać i już nie wróciła. Próbował je znaleźć. Nadaremnie. Miał wówczas pięć lat, może siedem...

Odebrał automat od młodego i zarzucił ciężar na ramiona. Nerdowi przyszło w udziale dźwiganie kombinezonów. Ruszyli. Oni z przodu, chłopak za nimi.

Dworzec nie należał do szczególnie wielkich, peron i torowiska były zajęte przez rzędy namiotów, pomiędzy którymi suszyło się pranie. Środki bezpieczeństwa ograniczono do niezbędnego minimum.

Mało kto próbował zadzierać z Ligą Muzułmańską. W konfliktach toczonych w metrze stanowiła pokaźną siłę, a że jej ludzie nie wychodzili na powierzchnię, obchodziło niewielu. Do takich spraw zatrudniała najemników. Całą resztę załatwiała we własnym zakresie.

Zresztą z nią przynajmniej można było się dogadać. Od enklaw opanowanych przez RAF, brunatnych czy anarchistów lepiej było trzymać się z daleka.

Klucząc po peronie, zeszli w końcu na dawne torowisko. Przed nimi otwierała się ciemność. Ilekroć Matthias wchodził do tunelu, odnosił wrażenie, że zagłębia się w trzewia olbrzymiego potwora chcącego ich zeżreć i przeżuć tak dokładnie, że nie pozostanie po nich najmniejszy ślad.

Namiastka cywilizacji pozostała za nimi. Przed nimi ponad kilometr drogi, podzielony stacjami mniej więcej równo na trzy części. Już nie oglądał się za siebie, mrok przyzywał.

Rozdział III

Mrok

Takie przejście ze stacji na stację to niby nic trudnego, wystarczyło przestawić nogi i wypatrywać zagrożenia od przodu – dla wytrwałych wędrowców to rutyna. Najważniejsze to nie zamyślać się, wciąż być czujnym.

A przecież bywało, że ludzie ginęli pomiędzy poszczególnymi dworcami, na prostej drodze. Nikt nie potrafił wytłumaczyć, co się stało. Co prawda takiego jednego, co już myśleli, że przepadł na zawsze, znaleźli dużo później na drugim końcu linii. Jak się okazało, zwiął od żony, jej gderania i wiecznego czarnowidztwa. Chłop odetchnął w końcu pełną piersią, odżył, znalazł nową kobietę, założył rodzinę, taa... metro zna takie przypadki.

Z drugiej strony jednak innym razem ekipa ślusarzy próbowała pokonać pięćsetmetrowy odcinek, bodaj przed Oranienburger Tor, na którym nie znajdowały się żadne boczne przejścia. I przepadli. Szukano ich później całymi tygodniami, dokładnie sprawdzając każdy centymetr tunelu. I nic. Kamień w wodę. Trzech ludzi to nie jeden. I co?

Zdarzali się i tacy, którzy słyszeli dobiegający zza ścian odgłos przejeżdżających pociągów, zupełnie jakby tuż obok istniała lepsza wersja tej rzeczywistości, która stała się ich udziałem.

Matthias nieraz zastanawiał się, czy jest to możliwe – składy, które nadal przewożą ludzi, czysta woda kapiąca z kranów, światło i zapasy żywności tak ogromne, że wystarczą dla wszystkich na kolejne sto lat.

On sam, nie raz i nie dwa, odczuwał delikatne drżenie, którego w żaden sposób nie potrafił wytłumaczyć. Wibracje rozchodziły się po korytarzach niczym muśnięcia skrzydeł motyla. Nie potrafił powiedzieć, skąd się wzięły, wszelako nikogo o to nie pytał. Z takimi, co za dużo mówią, zawsze są kłopoty. Mielą ozorem i nigdy nie wiadomo, czym to się skończy.

Jorge również o niczym nie wiedział. Gotów pomyśleć, że Matthias postradał zmysły, nerwy ma w strzępach, a takiego współnika nie potrzebował. W końcu prowadził solidną spółkę. Jak zacznie bredzić, stracą do siebie zaufanie. Jorge pójdzie po rozum do głowy i Matthias zostanie sam ze swoimi problemami.

Zatem milczał, co nie znaczyło, że nie słuchał innych. A ludzie gadali – o złotym pociągu, o potworach wychodzących ze ścian, o umarłych, którzy nawiedzali przekłete miejsca, i o mieście, którego mieszkańcy nie doświadczyli tego co oni.

Ta ostatnia opowieść podobała się Matthiasowi najbardziej ze wszystkich. Nie tylko zresztą jemu. Tak to już jest, że lubimy słuchać nie tylko o nieszczęściach innych, ale i o cudach znajdujących się na wyciągnięcie ręki.

Latarka dawała tyle światła co nic. Zamiast białej lub żółtej smugi mrok rozpraszała słaba żarówka zasilana jeszcze słabszą baterią. Dobrze, że w ogóle działała. Przy następnej wyprawie na powierzchnię należało rozejrzeć się za nowym zasilaniem. Bez tego ani rusz.

– Ashan był jakiś niespokojny. – Kroki Jorgego wydawały się bardziej sprężyste od szurania Matthiasa i Nerda.

– Zdaje ci się.

– Wiem, co mówię.

– To pewnie przez ten ślub – ziewnął Matthias. – Słyszałeś, co powiedział, kalif się żeni.

– A bo to pierwszy raz.

– Pfff...

– Mówię ci, że za tym coś się kryje. – Jorge niechętnie zmieniał zdanie.

– Niby co?

– Pożyjemy, zobaczymy.

Uwaga towarzysza ponownie przypomniała zdarzenia dzisiejszego dnia. Aż dreszcz przeszedł Matthiasowi po plecach.

- Byłem w Pergamonie – przyznał niespodziewanie.

- Co? Po cholere tam łąziłeś?!

- Ashan wspominał o złocie – próbował wytłumaczyć się Matthias, zmieszany tym niespodziewanym wybuchem.

- A tobie wydawało się, że tam w gablotach znajdziesz odpowiedni towar?

Niektórym kompletnie odbija. Złoto! Nażrą się nim czy jak?

- Niepotrzebnie się wściekasz.

Zapało niezręczne milczenie. Może faktycznie Jorge miał rację, a on łąził nie tam, gdzie trzeba, i szukał całkowicie zbędnych rzeczy.

- Byłbym zapomniiał. – Poszperał w torbie i z jej dna wyłowił żarówkę. Odkręcił ją z lampy biurowej ustawionej w pomieszczeniu magazynowym.

- Co to?

- Sześćdziesięciowatowa. U wezyra wkupne jak znalazł.

Jorge ledwo powstrzymał uśmiech.

- Będą z ciebie ludzie.

Znaleźli się w miejscu, gdzie nie dochodziło światło z Friedrichstraße, a lamp Unter den Linden jeszcze nie dało się dostrzec. Nerd posapywał z wysiłku za ich plecami. Gdyby nie to, spowijałaby ich idealna cisza, no może niezupełnie idealna – gdzieś po ścianach ciurkała woda. Przystanęli. Wątle światło latarki wydobyło z ciemności długą kałużę wzdłuż torów. Niemal niedostrzegalny strumyczek brał swój początek ze szczeliny na łączeniu dwóch betonowych bloków obudowy tunelu. System odprowadzania nie działał już tak sprawnie jak kiedyś. Wielu krakało, że z czasem wszystko się zawali, grzebiąc mieszkańców pod ruinami. Te pęknięcia to pierwszy zwiastun nadchodzącego nieszczęścia. Matthias w zasadzie się z nimi zgadzał – metro bez gruntownych napraw w końcu zacznie się sypać. Natura upomni się o swoje. Kolejne pokolenia nie dostaną nawet tej szansy, jaką oni mieli.

Podetknął licznik Geigera do taflki wody. Praktycznie czysto.

Wyprostował się i zaczął poprawiać plecak, żeby równomiernie rozłożyć ciężar na plecach... i wtedy usłyszał szum. Nie jakiś tam szum, lecz odgłos tarcia, jakby mokre szuranie.

Rozejrzał się zdezorientowany. Coś podobnego zdarzyło się Matthiasowi po raz pierwszy. Dźwięk dolatywał gdzieś z przodu, z miejsca, w którym rozplynęła się sylwetka Jorgego.

Wytrzeszczył oczy, próbując przebić nieprzeniknioną zasłonę mroku. Zrobił krok i przystanął. Miał nadzieję, że się przesłyszał, ale nie... Znowu usłyszał to samo.

Racjonalna część jego umysłu natychmiast podsunęła rozwiązanie – nastąpił kolejny przeciek lub powiększył się dotychczasowy. Woda zaczyna wypłukiwać piasek, ot i cała tajemnica. Za bardzo się przejmuje. Umysł płata mu figle i tyle.

Właściwie już w to uwierzył, gdy ujrzał grube, węzowate cielsko. Widok był tak niespodziewany, że omal nie przewrócił się z wrażenia. Około dwudziestu metrów przed nim ze ściany wysuwały się jakieś mięsiste sploty, przesuwały w poprzek korytarza i nikły po przeciwległej stronie.

Matthias zamknął oczy. Nie chciał tego oglądać. Nikt normalny by nie chciał.

Raz, dwa, trzy... Przełknął ślinę, odetchnął. Dobra, nie ma co się mazgać.

Spodziewał się, że wszystko powróciło do normy.

Mylił się, i to bardzo. Ogromny wąż wciąż tam był, jego cielsko przesuwało się w tym samym rytmie.

Oszalałem, pomyślał Matthias.

Zbyt długo przebywał na powierzchni i oto skutki radiacji. Promieniowanie przepaliło jakiś obwód czy bezpiecznik w mózgu i masz. Albo jakiś guz mu na coś uciska. A może wcale nie oszalał i ten potwór był tak samo realny jak on, Nerd czy Jorge?

Właśnie, gdzie się podziewa Jorge? Chciał krzyknąć, lecz nie potrafił się zdobyć na tak desperacki wysiłek. Koszmar trwał i trwał. Nigdy by nie przypuszczał, że coś podobnego stanie się jego udziałem.

W końcu wizja zaczęła blednąć, a przed nim stanął Jorge.

– Co z tobą? – zapytał starszy stalker podejrzliwie i ułożył automat z przodu na skrzyżowanych ramionach.

Matthias szybko zamrugał oczami.

– Widziałeś?

Jorge czujnie rozejrzał się na boki.

– Niby co?

– Nie, nic... – Serce w piersi biło nierównym rytmem. Był tak przestraszony jak rankiem podczas potyczki z mutantami.

Kolejne pytanie nie padło, towarzysz po prostu odwrócił się na pięcie i pomaszerował przed siebie. Matthias zbierał się w sobie jeszcze przez chwilę, tak że nawet Nerd wyminął go bokiem i poczłapał za Jorgem.

Omamu nie dawało się zrzucić na karb stresu. W niebezpieczeństwie znajdował się nie raz i nie dwa, a później i sen miał dobry, i apetyt znakomity. Myśl o Ashanie dorzucającym kwasu do herbaty odrzucił jako niedorzeczną. Naczelnik nie posunąłby się do czegoś podobnego. Co więc zaszło?

Pełen obaw podszedł do ściany i dotknął szorstkiej powierzchni. Jak okiem sięgnąć, całość to jeden wielki monolit, bez najmniejszych pęknięć, tak samo z jednej, jak i z drugiej strony torowiska. Nie dałoby się tu wetknąć ostrza noża, nie mówiąc o gadzie wypełzającym z bocznego otworu.

Być może na powierzchni panowało wyższe promieniowanie, sam słyszał, jak Jorge wspominał o tym Ashanowi, przenikało do metra i oddziaływało na psychikę. Inaczej nie potrafił sobie tego wytłumaczyć. Jemu przywidział się wąż, ciekawe, co dostrzegą inni.

– Idziesz w końcu? – z oddali dobiegł go ponagląjący głos Jorgego.

Pobiegł truchtem. Chciał jak najszybciej opuścić to miejsce.

Co i rusz oglądał się za siebie. Paraliż, jaki go wcześniej opanował, miał też swoje dobre strony, przynajmniej nie zaczął strzelać na oślep. Rykoszety mogły poranić ludzi.

Wizja, jaką przeżył, należała do najmniej przyjemnych. Niby nic takiego się nie stało, ale jeśli zacznie powątpiewać w swoje zmysły, straci pracę. A nic innego nie potrafił robić.

Tu nikt nie odchodził na emeryturę, jak ponoć było kiedyś, co najwyżej dostawał lżejsze zajęcie.

Co prawda na wielu stacjach poszukiwano takich jak on, a wśród stalkerów byli lepsi i gorsi, lecz zawsze trzymali jakiś poziom.

Trudno, nie każdy sprawdzał się w tej robocie. On najwyraźniej dochodził do końca. Gdyby poćwiczył czytanie, mógłby przekładać papierki na biurku, i to pod warunkiem że zatrudni się u brunatnych, a tak wraz z wieloma innymi niedołęgami będzie pilnował świń albo plantacji grzybów w którejś z niezależnych stacji.

Obojętnie, co wybierze, będzie nieszczęśliwy.

Ze złości walnął pięścią w betonową ścianę. Czuł, że pech będzie go prześladował do końca życia.

Rozdział IV

Elementy

Przez Unter den Linden przeszli, nie zatrzymując się. Jorge skorzystał z glejtu od Ashana. Dwóch znudzonych strażników na peronie kiwnęło tylko głowami i stalkerzy poszli dalej. Matthias nawet trochę żałował, bowiem ani razu jeszcze nie udało mu się zatrzymać na tej stacji, choć przechodził tędy dziesiątki razy, za to sporo słyszał o jej dolnym poziomie. Może kiedyś.

Podobnie było na Französische Straße, z tym że tu już zwolnili, widząc przed sobą ciżbę ludzi w tunelu za stacją. Mieli zatem czas przyjrzeć się tutejszemu bazarowi, dość podobnemu do tego na Friedrichstraße, aczkolwiek tutaj bardziej rzucała się w oczy broń, zarówno palna, jak i biała. Pięknej roboty szabla kosztowała pełen magazynek do G36 – przynajmniej tak informował spory napis nad stoiskiem, do tego toporki i ostrza do rzucania, noże i bagnety, wybór taki, że każdy znajdzie coś na własną kieszeń.

Warty przepuściły ich bez ceregieli, wymienili tylko zwyczajowe pozdrowienia i odpowiedzi. Gdy weszli w kolejny tunel, musieli zwolnić. Tym razem nie szli sami, przyszło im wlec się w ogonie większej karawany. Mogli co prawda próbować się przepchnąć, skoro jednak Jorgemu takie tempo nie przeszkadzało, to jemu tym bardziej.

Tuż przed nimi zrobił się zator, a to z powodu rdzewiejącego składu, który zagłada dopadła w tym właśnie miejscu. Ludzie nim jadący już dawno rozeszli się na wszystkie strony, część pewnie nie żyła, a wagony nadal stały, przeszkadzając w swobodnej komunikacji. Dlaczego nikt ich nie rozebrał, stanowiło dla Matthiasa zagadkę.

Chcąc przejść dalej, należało wspiąć się po schodkach, przejść przez cały pociąg i wysiąść po drugiej stronie. Niby niewiele, lecz gdy się ma co najmniej dwie pełne torby towaru, nie jest to już takie łatwe. Do uszu Matthiasa dobiegały przekleństwa, posapywania i złośliwe docinki. Handlarze zdecydowanie nie pochodzili ze stacji Ligi Muzułmańskiej.

– To jak?

– Na raz... Na dwa...

– Gdzie mnie łapiesz, gnoju! – Starsza handlarka o całkiem sporej tuszy najwyraźniej nie potrafiła unieść nogi tak wysoko, by oprzeć but o pierwszy stopień.
– Łapy poprzetrącam!

Pomagierzy pokładali się ze śmiechu. Ten, który próbował ją podsadzić, dostał w pysk. Nie przejął się tym wcale. Dopingowany przez kolegów zabrał się do pomocy.

– Droga Ilse, noga wyżej...

– Już ja cię oduczę obmacywać przyzwoitą kobietę. – Jej oburzenie nie miało granic.

– ...a rękę tutaj.

– Nie dotykaj mnie, zboczeńcu.

Słowa słowami, lecz na górę jakoś trzeba się było wdrapać. Kierując się radami, zrobiła w końcu, co jej kazano.

– A teraz w górę... jazda.

Kumple pomogli, nie obyło się bez pisków i złorzeczeń.

– Łajdacy.

– Z nami pani nie zginie.

Wesoła trójka kupców wyglądała na starych wyjadaczy. Ich bagażem dałoby się obdzielić co najmniej pięćdziesiąt osób.

– Ilse, bez kielicha się nie obejdzie. – Powiązane sznurkiem pakunki, a nawet jedna całkiem jeszcze porządna walizka, zniknęły w gardzieli pociągu.

– Panowie z nami? – zapytał ten, który podsadzał kobietę.

– Tak wypadło. – Jorge sprawnie wdrapał się na schodki. Matthias przepuścił przodem Nerda i spojrzął za siebie. Nie żeby czegoś się obawiał, ale tak na wszelki wypadek, z nawyku.

W środku pociąg był kompletnie wybebeszony. Zabrano siedzenia, poręcze i ścianki działowe. Kto chciał, mógł odpocząć na podłodze. Lepsze to niż siedzenie na zimnym betonie.

– A dokąd to idziecie?

– Na Stadtmitte, potem się zobaczy. – Wrodzona niechęć do udzielania informacji nieraz się przydawała. A bo to wiadomo, kto pyta? Facet niby wiekowy, pięćdziesiątka na karku, zapadnięte oczy i strąki niemytych włosów okalające twarz, na oko sterany życiem dziadek. A jak okaże się szpiegiem wroga? Brunatni, jak i RAF, w zasadzie nie lubili nikogo. Jednym marzyła się Nowa Rzesza, drugim społeczna równość i w imię tych ideałów potrafili toczyć wojny nie mniej krwawe od tych, które kiedyś wyniszczały ludzkość.

– W interesach?

– Nie wasza sprawa, dziadku.

– Może i nie. – Handlarz nie wydawał się urażony. – Zapytać tylko chciałem.

– O co?

– Na Bayerischer Platz bezpiecznie dojdziemy? Może ochronę wynająć?

– Stać was?

– W kilku idziemy, to się złożymy – odpowiedział tamten. – Dwadzieścia nabojów na głowę. To jak?

Propozycji, choć była kusząca, nie przyjęli, wykręcając się pilniejszą robotą, za to podłej jakości skręta Matthias nie odmówił. Co prawda w kopciuchu handlarza więcej było siana niż zielska, ale dym gryzł w gardle aż miło. Jorge nie palił.

– W zeszłą niedzielę na Wittenbergplatz to dopiero zrobił się cyrk. – Jak zwykle przy tego typu okazjach zaczęły się pogaduszki. – Poszliśmy tam z Helmutem. – Rzeczony kiwnął głową. Z postury i wyglądu wydawał się klonem kolegi.

– Podobno mają tam małpę w klatce? – zapytał Nerd.

– A mają, mają. Kto chce, może obejrzeć.

– Prawdziwa?

– A jakże! – Mężczyzna wydawał się zadowolony z zainteresowania, jakie wzbudził. – Jak dasz jej banana, to tańczy i skacze. – Handlarze zaśmiali się z własnego dowcipu.

– Nerd, nie słuchaj go. – Matthiasowi zrobiło się żal chłopaka, który owoce widział jedynie na zdjęciach, jak on sam zresztą.

– Mówię do Helmuta, żebyśmy poszli do baru, mają tam taki, nazywa się Pod Czerwonym Klonem, szefem jest tam Steffi, świetny kucharz, jak poprosisz, to zrobi ci taką golonkę, że palce lizać. – Facet trajkotał jak nakręcony. – I piwo mają tam całkiem niezłe, bo te szczynty, co podają gdzie indziej, zupełnie nie nadają się do picia. Idziemy więc, a tu jak nie...

– Granat?

– Jaki tam granat – zachnął się handlarz. – Przyjechała banda tych dziwaków z RAF-u.

– Daleko ich zaniosło.

– A daleko, daleko – przytaknął mężczyzna. – Ale tym razem nie wszczynali burd. Za to opowiadali niestworzone historie.

Matthiasa po skręcie ogarnęła błogość, powieki zaczęły ciążyć, ziewnął, wpychając pięść do ust. Dym przynajmniej zagłuszył lekkie ssanie w żołądku.

– Jak mówili, na Pankow pojawiły się dziwne mutanty, a co najgorsze, nie dawało się ich zabić.

– Jak to? – zapytał ktoś ciekawie.

Cała senność uleciała z Matthiasa momentalnie. Każda nowa informacja o stworach zamieszkujących powierzchnię była niezwykle cenna. Obok Jorge poruszył

się zaciekawiony.

– Co mówili dokładnie?

– Że dostali cynk o pełnych magazynach, a jak zjawili się na miejscu, wpadli w zasadzkę. Ledwie wyszli na górę i już... – Dłoń opowiadającego przecięła powietrze na wysokości gardła. – Przewodnik wysadził się, jak tylko zobaczył, z czym mają do czynienia. Kilku próbowało strzelać, ale to nic nie pomogło. Kule ich nie sięgały. Reszta uciekła.

– Mutanty zombi.

Atmosfera w wagonie zgęstniała. Każdy czuł, że to może być ich koniec. Walka z potworem, którego nie da się zabić, jest bezcelowa.

– Gadanie. – Pierwsza z przygnębienia otrząsnęła się Ilse.

– Przysięgali, że to prawda.

– A na co oni mogą przysięgać? – Kobieta poprawiła płaszcz i sięgnęła po pakunek owinięty sznurkiem. – A tobie, Andreas, radzę nie opowiadać więcej takich bzdur. Dzieci tylko straszysz... – Pogłaskała Nerda po głowie w odruchu troski i ruszyła w drogę. – Zombi, też coś... Szkoda, że nie słyszycie, co wygadujecie.

Andreas, Helmut i reszta towarzystwa nie ociągała się dłużej. Przed nimi szmat drogi. Dziś już pewnie nie dojdą, przenocują na którejś z niezależnych stacji, a rankiem powędrują dalej.

– Jorge...

– Proszę, Mati, nie teraz.

– Jedno pytanie.

– Jeżeli musisz. – Stalker poczekał, aż Matthias doń dojdzie.

– Pamiętasz, co mówił ten facet?

– Każde słowo.

– I?

– Co „i”, człowieku, co „i”?

– Sam wspominałeś o nowych mutantach – ciągnął Matthias niezrażony, choć poirytowanie Jorgego zaczęło go niepokoić. Wcześniej taki nie był. – Widziałeś je czy nie? Bo jeżeli to taka bajka, by wyciągnąć dodatkową zapłatę od Ashana, to nie mam zastrzeżeń. Stary dał się nabrać. Następnym razem zażądamy więcej.

– Ja nie żartowałem. – Jorge wytarł dłonie o drelichowe spodnie. – No, nie wytrzeszczaj tak oczu. To jeszcze niczego nie przesądza.

– Tak myślisz?

– Na razie mamy opowieść tego faceta. Zresztą on sam nic nie wie, tylko słyszał z drugiej ręki. Jak dla mnie to żaden dowód. Sam wiesz. Czerwony coś od kogoś usłyszał, podał dalej, ale połowę przekręcił. Potem ten handlarz to samo. To ile prawdy zostało? Trzeba być frajerem, żeby wierzyć we wszystko, co mówią. – To chyba było wszystko, co Jorge chciał powiedzieć, bo odwrócił się i ruszył w stronę nieodległej stacji.

Matthiasowi nie pozostało nic innego, jak podążyć jego śladem. Może faktycznie za bardzo się przejmował, a poranna przygoda wytrąciła go z równowagi bardziej, niż do tej pory przypuszczał. Wszędzie wypatrywał zagrożeń, których nie było. Zacznie popadać w paranoję.

Potał czoło. Poczłł nieprzyjemny skurcz gdzieś w trzewiach. Zacisnął zęby i opanował mdłości. Od rana niewiele jadł. Miska wodnistej zupy, herbata i skręt to wszystko, co miał dziś w gębie. Nic dziwnego, że dostaje omamów.

Kaszlnął raz i drugi. Na nic to się zdało.

Istniała jeszcze druga możliwość: zachorował. Liczył się z taką ewentualnością od początku, to ryzyko wkalkulowane w zajęcie stalkera, ale tak naprawdę nie brał tego poważnie pod uwagę.

I tak wiodło mu się lepiej od pozostałych. Już choćby to, że widział przestrzenie niedostępne dla tych, którzy gnieździł się na dole, czyniło z Matthiasa kogoś wyjątkowego. Ci urodzeni przed zagładą wiedzieli, o czym mówi. Ci, którzy przyszli na świat już w metrze, nie potrafili sobie tego nawet wyobrazić.

Podobno człowiek jest w stanie wytrzymać w każdych warunkach. Przeżyje nawet tam, gdzie szczury wyzdychają. Poniekąd tak właśnie się działo. Berlińczycy zostali takimi szczurami tunelowymi. Dwadzieścia lat w nędzy i ciasnocie, gdzie największe idee znajdowały swoją pożywkę. Ilu z nich jest w stanie pozostać przy zdrowych zmysłach, niemal codziennie ocierając się o śmierć? Nawet w tak skrajnych warunkach ludzie nie potrafili działać jak wspólnota i wypracować wspólnego systemu obronnego. Każdy pilnował swojego, przy okazji próbując uszczknąć coś pozostałym.

Przed wojną berlińskie metro liczyło ponad sto trzydzieści kilometrów długości na dziesięciu liniach i sto siedemdziesiąt trzy stacje. Odliczając odcinki, gdzie torowisko wiodło po powierzchni, a więc obecnie nie nadawało się do użytku, oraz odseparowane wskutek przypadkowych i celowych zawałów, zostało jakieś dziewięćdziesiąt kilometrów tuneli, w których żyło trochę ponad trzydzieści tysięcy ludzi. Tyle pozostało z trzypółmilionowej aglomeracji. Szanse, że na powierzchni nadal ktoś żyje, to znaczy ktoś, kogo można nazwać człowiekiem, były żadne. Matthias nigdy nie słyszał, by jakikolwiek stalker spotkał kogoś na górze. Możliwe, że ocaleli też jacyś ludzie w innych miastach Niemiec, gdzie istniało metro, lecz nie było jak się o tym przekonać. Nie ocalał żaden sprzęt do komunikacji, nikt też nie próbował tam się wybrać, zresztą po co? Żeby na miejscu przekonać się o ludzkiej bezsilności? Najwytrwalszy stalker nie przetrzyma na powierzchni kilkunastu godzin. Jeśli nie umrze na skutek choroby popromiennej, to tylko dlatego, że wcześniej mutanty rozerwą go na strzępy.

Nabrał do płuc wilgotnego powietrza. Automat ciążył, lecz przecież nie odda broni młodemu stojącemu tuż obok.

– Ja im wierzę. – Słowa Nerda zabrzmiały jak dźwięk pilnika na szkłe.

– Co mówiłeś?

– Wierzę we wszystko, co mówili.

– Nie powinieneś się tak przejmować.

– A co, jeżeli oni mają rację?

Na tak zadane pytanie Matthias nie znalazł odpowiedzi.

– Nie wiem – powiedział po prostu. – Są mądrzejsi ode mnie.

– Jorge?

– Owszem, Jorge też, lecz nie jego miałem na myśli. Tu niedaleko mieszkają prawdziwi mędracy. Kiedyś wykładali na uniwersytetach.

– A co to takiego?

– Szkoła dla wybitnie zdolnych. – Przypomniał sobie dawno zasłyszane określenie.

Nerd wyglądał na rozczarowanego, trudno powiedzieć czym, jego opinią o Jorgem czy też informacją o uniwersytecie, a może wiadomością o szkole, do której on nigdy nie pójdzie.

– Muszą być bardzo starzy.

– Kto?

– Mędracy.

– O, tak – przytaknął Matthias. – Sami nie wiedzą, ile mają lat – dodał sarkastycznie.

Wypytywanie młodego było męczące. Zadawał pytania, na które nie było odpowiedzi. Potrafił wprawić w zakłopotanie nawet Jorgego. Jak już Nerd zaczął drążyć temat, to do upadłego. Na szczęście nie zdarzało się to zbyt często.

Matthias wcale mu się nie dziwił. Gdzie chłopak zdobędzie choć trochę ogłady i wiedzy jak nie przy nich? Na razie próby nauczania młodego liter skończyły się

fiaskiem. Dla Nerda pismo stanowiło całkowitą abstrakcję. Z całej ich trójki jedynie Jorge płynnie czytał i pisał. Matthiasowi wychodziło to nieszczęśliwie. Czasami miewał trudności z przypomnieniem sobie poszczególnych liter. Liczenie szło mu jeszcze gorzej. W granicach stu poruszał się swobodnie, ale też więcej nie było mu potrzebne. Dodawanie i odejmowanie ujdzie, mnożenie to już wyliczanie drogi w przestrzeni kosmicznej.

Zresztą, pocieszał się, jak tu czytać, skoro stacje były oświetlone tylko nielicznymi ledami dającymi tylko tyle światła, by na siebie nie powpadać. Reflektorów i mocniejszych lamp używano w ostateczności, w przypadku zagrożenia całej społeczności, jak atak z zewnątrz, czy doniosłego wydarzenia – a takim z pewnością będzie ślub kalifa.

Dobrze będzie zobaczyć cały dworzec rzęście oświetlony. Takie chwile przechodzą do historii.

Rozdział V

Wybór celów

Sądząc po liczbie rupieci zalegających w siedzibie wezyra, był on co najmniej dwa razy bogatszy od Ashana. Ten niewysoki, ruchliwy mężczyzna o ascetycznych rysach twarzy wypełniał sobą całą przestrzeń. Na widok Jorgego i Matthiasa wyraźnie się ucieszył, czego najlepszym dowodem było, że podjął ich całkiem przyzwoitą potrawką.

Matthias nie wnikał, co jest w środku, najważniejsze, że było ciepłe i nikt nie krzywił się, gdy poprosił o dokładkę. Jorge zachowywał się bardziej powściągliwie.

Na jednej ze ścian wisiał spory obrazek przedstawiający słońce zachodzące nad wielką połącią piasku i jakieś garbate zwierzę. Wezyr nieustannie gapił się na tę fotografię, jakby czerpiąc z niej natchnienie.

– Powiedz mi, Jorge, kiedy ostatni raz się widzieliśmy?

– Niech pomyślę... – Stalker podparł głowę dłonią. – Zaraz... tak: po waszym ostatnim ramadanie, jeżeli mnie pamięć nie myli. Mieliście problem z tą dojsciówką i ghulem.

– A tak...

Wspomnienie nie należało do najprzyjemniejszych. Przez parę tygodni nikt nie potrafił zrozumieć, jak to się dzieje, że pomiędzy Stadtmitte a Mohrenstraße zaczynają znikać ludzie. Zaczęło się od dzieci, a skończyło na dorosłych, i to takich, którzy swobodnie obchodzili się z bronią.

Znalezienie obgryzionych kości w bocznym odgałęzieniu uzmysłowiło wszystkim, że to nie żarty. Posłano po nich, bieglących w takiej robocie. Może nie byli tani, za to skuteczni. Szybko okazało się, z kim, a właściwie z czym muszą się zmierzyć. Ten młody ghul był nietypowy. Nie tylko żywił się trupami, lecz również polował, a to czyniło z niego osobny podgatunek, lepiej przystosowany do obecnych warunków. Nie grasował po cmentarzach, by wykopać zmarłych, tylko zaciągał ofiarę w odosobnione miejsce, zostawiał na parę dni, aż mięso dostatecznie skruszało, i dopiero wtedy wracał najeść się do syta.

Trudno powiedzieć, skąd się tu wziął. Jorge nie wdawał się w przypuszczenia, dziwił się tylko, że stwór nie poszedł do nieodległego dworca Potsdamer Platz. Tam, w całym podziemnym labiryncie, nikt by go nigdy nie wyśledził, choć i Stadtmitte to właściwie dwie stacje połączone długim Mysim Tunelem, więc i w jej okolicy nie brakowało zakamarków, w których mógł się ukrywać.

Zamiast uganiać się za potworem, zastawili pułapkę, wystawiając zwłoki ostatniego zmarłego. Nikt nie wiedział, skąd przyniosło tego dziadygę. Przylazł i zmarł w jakimś kącie. Przynajmniej nie był kłopotliwy. Na ostatek zostanie poświęcony dla wspólnego dobra. Ghul zwabiony odpowiednim zapachem powinien nadejść szybko. Jorge spodziewał się, że nastąpi to w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Czekali tydzień. Używali masek filtracyjnych, inaczej także z nich mutant zrobiłby sobie posiłek. Gdy w końcu się pojawił, okazał się większy od znanych im pobratymców. Pergaminowa skóra okrywała szkielet z nieproporcjonalnie długimi kończynami. Matthiasowi wydawało się nawet, że świeci w ciemnościach.

Pierwszy strzał przeszedł przez potwora bez wyraźnego efektu, dopiero kolejne na tyle poszatkowały organy wewnętrzne, że padł, wijąc się w konwulsjach, a mimo to życie nie chciało z niego ujść. Długo trwało, zanim znieruchomiał. Na ostatek, tak na wszelki wypadek, ucięli bestii łeb, a truchło spalili na zewnątrz. Nad szczątkami Jorge wyrecytował odpowiedni fragment Koranu, tak jak obiecał wezyrowi. Bestia została unicestwiona pod każdym względem.

Za wzorowe załatwienie sprawy wezyr dorzucił jeszcze dwa magazynki ponad umówioną cenę. Od tamtej pory się nie widzieli.

- Kolejny ghul?
- Nie... - Naczelnik nieznacznie pochylił się do przodu. - Nic tak banalnego.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Jorge, przecież wiesz, są różne potwory.
- Powiesz w końcu, o co chodzi?
- Kalif ma syna - wycedził wreszcie wezyr.
- Samira, jedyne następcę - odparł Jorge. - Chłopak ma już ze trzynaście lat.
- Piętnaście - sprostował naczelnik. - A teraz, gdy dowiedział się o kolejnym ślubie ojca, kompletnie mu odbiło.
- Nie bardzo rozumiem.
- Przepadł, poszedł sobie, nikt nie wie gdzie. - Dostojnik rozłożył ręce. - Kalif się wściekł.
- Wcale się nie dziwię.
- Zaufani szukali u naszych i na niezależnych stacjach.
- Kiedy to było?
- Cztery dni temu.

Jorge potarł zarośnięty policzek. Cztery dni to szmat czasu, wiele może się wydarzyć, a dla kogoś takiego jak Samir metro to niebezpieczne miejsce. Kiedy nieodpowiedni ludzie zorientują się, kim jest, zajmą się nim tak dokładnie, że nie pozostanie z gówniarza najmniejsza kosteczka. Krótko mówiąc, jako władca obu tuneli północ-południe kalif miał wielu wrogów i niewielu przyjaciół. Na pewno zacznie się mścić, a wtedy tunele i stacje spłyną krwią. Gromady młodych, zdrowych mężczyzn zaczną wyrzynać się w walce o korytarze. Pewnie brunatni i RAF-owcy nie omieszkają skorzystać z zamieszania - wybuchnie wojna na całego. Szanse na przeżycie jego grupki stopnieją niemal do zera, nie mieli za sobą nikogo.

Może peryferyjnych dworców nikt nie ruszy, były zbyt odległe i mało znaczące, ale one i tak bez pomocy większych ośrodków na skrzyżowaniach linii padną same. Może za rok, a może za pięć, ale padną.

Cywilizacja to pewnie zbyt wielkie słowo. Chociaż może nie, jeśli tylko tutaj, w Berlinie, przetrwali ludzie. Właśnie. Co, jeżeli są ostatnią ludzką gromadą w Europie? Ba - na świecie? Ano nic. Inni już wyginęli, a w Berlinie, co prawda, ludzie przeżyli, lecz zamiast ciągnąć to dalej, powyrzynają się sami.

Życie zawsze jest lepsze od śmierci, nawet takie życie. Przecież nie wiesz, co się wydarzy za dzień, za dwa, może spotkasz swoje przeznaczenie, a może wszystko odmieni się na dobre, promieniowanie ustąpi, wypuszczając więźniów podziemi na powierzchnię. Podobno nic nie trwa wiecznie. Podobno.

- Mamy go odnaleźć, tak?
- Po starej znajomości.
- Proszę cię, nie bierz mnie na sentymenty, za stary jestem.
- Kalif was wynagrodzi.
- Wolę, żeby mi wisiał przysługę. - Jorge strzelił palcami. - Żadnych tam magazynków, karabinów, lekarstw czy nałożnic, rozumiesz? Jak znajdziemy się w potrzebie, to się zgłosimy, a on nie będzie mógł odmówić. Jasne?
- Masz wygórowane oczekiwania. - Wezyr świdrował stalkera wzrokiem. - Inni są tańsi.
- Być może, ale nie tak skuteczni jak my.
- Bądź poważny, mam iść do kalifa z twoimi żądaniami? Wyśmieje mnie.
- To nie mój problem.
- Matthias, powiedz coś.
- Jorge jest szefem.
- A bodaj was. - Wezyr się skrzywił. Jego małe oczka miotają błyskawice. - Niczego nie obiecuję - zastrzegł.
- Wystarczy mi twoje słowo.
Napięcie wyraźnie zelżało.

- Dobrze.

- Mów, co wiesz – odezwał się tym razem Matthias, z trudem panując nad emocjami. Odpoczął. Był gotów stawić czoła nowym wyzwaniom.

- Samira ostatni raz widziano w okolicach Hallesches Tor. Kręcił się tam z jakimiś podejrzanymi typami. W każdym bądź razie nie był to nikt od nas.

Matthiasa wcale nie nęciła perspektywa odbicia syna kalifa z rąk brunatnych czy RAF-u. Ale ci jeszcze nie byli tacy najgorsi. Trafiali się zupełni zwyrodnialcy, niewiele różniący się od mutantów. To zadziwiające, jak szybko bestie w ludzkiej skórze adaptują się do panujących w metrze warunków. Wcześniej karmili się własną nienawiścią i wyobraźnią, nie mając szans na spełnienie swoich rojeń, a tu nagle wszystkie drzwi stanęły przed nimi otworem. Rób, co chcesz, nie ma ograniczeń czy nadzoru. W takich okolicznościach łatwo stracić resztki człowieczeństwa.

- Co dalej?

- Dalej nic, przecież mówiłem. Znikł. Naczelnik Hallesches Tor o mało nie dostał zawału, tak się przejął.

- Wyobrażam sobie – uśmiechnął się Jorge. – To jak, Mati, bierzemy zlecenie?

Zabrzmiało to o wiele lepiej od „bierzemy robotę” czy „idziemy rozejrzeć się za główniarzem”. Skąd on znał takie słowa?

- Jasne.

- Mam jeszcze jedną prośbę – dodał wezyr, nim zdążyli wstać. – Weźmiecie kogoś ze sobą.

- Mowy nie ma. Pracujemy sami.

- Nie chrzań, przyda wam się dodatkowy człowiek.

- Od kiedy zrobiłeś się taki troskliwy? – zakpił Jorge. – Nie lubię, gdy ktoś obcy pęta się na linii ognia.

- Z tym nie będzie problemu. Wiem, co mówię.

- A co się stanie, jak się nie zgodzę?

- Uznam naszą umowę za nieważną. I kończmy tę dyskusję. Jak się nie podoba, zatrzymywać nie będę.

Jorge zacisnął zęby. Widać było, że w tej kwestii wezyr nie ustąpi.

- Świetnie, czeka na was pod zegarem – zakończył wezyr pośpiesznie, jakby był wyjątkowo zajęty człowiekiem. – Do zobaczenia. I bez Samira się nie pokazujecie. – Ostatnie słowa zabrzmiały jak groźba.

- Nie wiem, czy dobrze robimy – odezwał się Jorge po chwili milczenia.

- Chcesz się wycofać?

- Przez te cztery dni wszystko mogło się zdarzyć. – Niespodziewanie wątpliwości poruszyły stalkera. – O cholera...

Od zegara dzieliło ich najwyżej kilka metrów. To jedno miejsce na całym dworcu było doskonale oświetlone. Dopóki na tarczy przesuwaly się wskazówki, życie toczyło się ustalonym torem.

Na jednym „cholera” się nie skończyło. Jorge zaklął ponownie, dając upust targającym nim emocjom.

Jasmin.

Jeszcze jej tu brakowało.

W przeciwieństwie do towarzysza Matthias jedynie westchnął. Rozumiał niechęć Jorgego. Dziewczyna potrafiła być wkurzająca, uważając się za Bóg wie kogo. Ale była też skuteczna, brała każdą robotę, jaką jej zaproponowano. Odstrzelić potwora czy człowieka? Co za różnica? W przeciwieństwie do reszty stalkerów nie wyróżniała się z tłumu wzrostem czy muskulaturą, acz drobna też nie była. Po prostu przeciętna. Włosy obcięte tuż przy skórze. Inaczej się nie dało. Przy dłuższej fryzurze paski maski przeciwgazowej potrafiły się splątać i co wtedy? Rwać kudły z głowy czy ciąć

nożycami? Głupia sprawa.

Matthias nie słyszał, by kiedykolwiek Liga Muzułmańska wynajmowała kobietę stalkerkę. Widać wezyr był zdesperowany.

Jasmin stała odwrócona do nich plecami. Jej sylwetkę skrywała wojskowa panterka, workowate spodnie i obszerna kurtka. Odwróciła się, gdy podeszli bliżej. Wydawało się, że chce splunąć na ich widok.

– Ja też się cieszę, że cię widzę – powiedział Jorge z kwaśną miną.

Jasmin zmełała w ustach jakieś słowo. Dla Matthiasa zabrzmiało to jak „łajzy”. Jak tu jej nie lubić?

– A to sobie wezyr znalazł szpicla – szepnął Jorge, tak aby dziewczyna ich nie usłyszała.

– Będzie kablować?

– A jak... larwa.

Matthias do Jasmin nic nie miał, co najwyżej drażniła go jej złośliwość i – jak twierdzono – dosyć niefrasobliwy stosunek do zasad bezpieczeństwa.

Głosy, że jej odbija, chyba nie mijały się zbyt z prawdą. Szybko wpadała w furie, a wtedy biedny sukinsyn, który stanął jej na drodze. Jak mówiła stugębna plotka, kiedyś pobiła na śmierć jakiegoś naczelnika stacji tylko dlatego, że ten zwlekał z zapłatą. Oczywiście nikt nie wiedział, kim był naczelnik i jaka to stacja.

Najważniejsze, że fama ją wyprzedzała.

Matthiasa nagle rozbolały nogi. Najchętniej przysiadłby na krawędzi peronu i odpoczął. Wszystko przez to, że za dużo zjadł. Potrawka nagle podeszła mu do gardła. Z trudem utrzymał ją w przełyku.

Odetchnął głębiej. Przeszło.

– Co się gapisz, jełopie?

– Przepraszam – bąknął niewyraźnie. Nie będzie tłumaczył się z chwilowej niedyspozycji.

Plecak nosiła wielki, ze stelażem, cały czerwony z czarnymi aplikacjami. Z boku czerniała pochwa przytroczonego samurajskiego miecza. Dobrami ukrytymi w środku zapewne dałoby się obdzielić co najmniej kilka osób.

Tak też pewnie myślała czereda dzieciaków podchodząca z boku. Przewietrzyć kieszenie i chodu, a kto gwizdnie miecz, ten mistrz nad mistrze. Kto takiemu podskoczy? Byli blisko, wystarczyło sięgnąć drobnymi łapkami i już, marzenia stają się rzeczywistością.

Szczęku przeładowywanego automatu nie da się z niczym pomylić. Nabój znalazł się w komorze, wystarczyło lekko nacisnąć na spust. Dzieciarnia rozbiegła się z krzykiem. Pozostał jakiś malec, który wyłożył się jak długi, rozdzierając przy okazji spodnie w kroku. Wrzeszczał przy tym wniebogłosy, trudno powiedzieć, czy z bólu, czy ze strachu przed ojcowskim paskiem.

– Co jest, Jasmin, nie lubisz dzieci?

– Lepiej pilnuj swoich spraw.

– Właśnie to robię. – Matthias zrobił parę kroków w stronę chłopca, złapał za kołnierz i ustawił do pionu. – Zmiataj.

Dzieciak wyrwał przed siebie, nie oglądając się na nic.

– Uważaj, żeby miłosierdzie przypadkiem cię nie zabiło.

Nie zdobył się na ripostę, popatrzył tylko na Jorgego, u niego szukając ratunku.

Stalker smarknął w palce. Jemu było wszystko jedno.

– Spotkałeś kiedyś tego całego Samira?

– Raz. Nie wiedziałem, że to on, o tym dowiedziałem się dopiero później – wycedził Jorge. – Plątał się po stacjach z jakimś wąsatym typem.

– Kalifem?

– Gdzie tam, raczej ochroniarzem. Kalif nie wyłazi z Hauptbahnhof już od dawna. Uwił tam sobie gniazdko, całkiem zresztą sympatyczne.

Na Hauptbahnhof trafiało niewielu, a i to tylko na poziom U-Bahnu. O tym, co znajduje się wyżej, opowiadano niestworzone historie. Miały tam być koszary dla janczarów, skarbiec, biblioteka, ale to harem rozpałał wyobraźnię. I choć do dworca nie było daleko, to równie dobrze mógł znajdować się na Księżycu. Iluż to chętnych pragnęło dostać się do tego sezamu. Nigdy nie brakowało tych, którzy chcieli sprawdzić, czy sprzyja im fortuna. I jak do tej pory nie udało się nikomu. Złapanych delikwentów odsyłało do północnych stacji jako przykład dla pozostałych.

Matthias nie potrafił zrozumieć tego fenomenu – próbowali, choć wiedzieli, że raczej zginą. Może to i lepsze od kurczowego trzymania się pazurami życia? Tego nie wiedział. A jak i na niego spadnie podobna desperacja? Oby tylko nie zachował się jak idiota, tylko wykazał choćby minimalnym sprytem. Tfu... co go opętało?

Wszystko przez Jasmin. Zaczynał myśleć nie tą częścią ciała, którą powinien.

Ilekroć wpatrywał się w samotną postać idącą przed nimi, doznawał nieprzyjemnego poczucia straty. Większość stalkerów żyła samotnie. Po co zakładać rodzinę, skoro nie wiadomo, czy następny wypadek nie będzie tym ostatnim? Matthiasowi do głowy przychodził jedynie Celt, facet z żoną i trójką synów – wysokich i jasnowłosych jak ich ojciec. No i Swen. Akurat w tym przypadku natura okazała się złośliwą suką. Dziecko, jakie przyszło na świat ze związku stalkera z kobietą stojącą na czele Unii Stacji Południowych (od Breitenbachplatz do Heidelberger Platz), zmarło sine parę godzin po urodzeniu. Pewnie nie mogło żyć dłużej z wielką naroślą w miejscu nosa i chyba nie całkiem zdrowymi płucami. Swen należał do twardzieli, lecz wtedy pękł, wyszedł na powierzchnię i od tamtej pory nikt go więcej nie widział.

Matthias pamiętał Swena doskonale – wielkie, poczciwe chłopisko, dobroduszne i wesołe. Z dzieckiem wiązał tyle nadziei. Poznali się przez Jorgego, który wcześniej pracował ze Swenem. Widać nie każdemu pisane rodzinne szczęście.

A Jasmin? No cóż, jej chamskie zachowanie to, zdaje się, nic innego jak forma obrony. I nie chodziło tu jedynie o niego czy pozostałych facetów. Ona w ten sposób chroniła się przed światem, który ją otaczał – bezsensem, nudą i wygórowanymi oczekiwaniami. Rola towarzyszkii życia jakiegoś bohatera zupełnie jej nie interesowała.

Gdy uświadomił sobie, w czym tkwi problem, uspokoił się. Nie należało przejmować się Jasmin, tylko Samirem. Co też strzeliło dzieciakowi do głowy? Żle miał? Życie stało przed nim otworem.

Potknął się o wystający fragment podkładu kolejowego, czy też raczej betonową płytę. Zupełnie niespodziewanie fragment większej układanki wskoczył na swoje miejsce. Pojęcia nie miał, o czym myślą takie podrostki, chodziło oczywiście o dzieci naczelników stacji albo tych, których rodziny prowadziły rozległy biznes, jak na przykład sieć sklepików McSchmidt – Kebab, Piwo i Chipsy. Nie było chyba dworca bez budy wymalowanej w krzykliwe kolory tej sieci z logo – stylizowanym łbem prosiaka – i mottem: „Marzenia są na wyciągnięcie ręki”. Jakie czasy, takie marzenia.

Bez odpowiedniej licencji nikt nie pohandluje. Stojący na czele rodziny Schmidtów Klaus, nie tak tajemniczy jak kalif, lecz równie potężny, centralę firmy umieścił na Alexanderplatz, zaś w całej sieci metra dysponował siecią szpicli, donosicieli i kontrahentów. Jak biznes, to na całego. Można powiedzieć, że było to pierwsze korporacyjne imperium metra. Sami z Jorgem nieraz zaglądali do McSchmidta na małą przekąskę. Ceny nie były wygórowane. Wielu próbowało przebić się na tym rynku, lecz Schmidt konkurencję niszczył bez litości.

Złośliwi twierdzili, że przed wojną nestor rodziny był parkingowym cieciem. Kto teraz dojdzie prawdy, a ważniejsze – po co? Dorobił się, niech żyje. Przynajmniej dawał pracę, a jak wiadomo, człowiek bez zajęcia głupieje.

A wracając do Samira, to Matthias bardzo nie chciał, by ten pognał za jakimś

mirażem. Wtedy go już nie odnajdą.

Wymacał językiem bolącą gulę tuż za zębami trzonowymi. Nie była duża, lecz drażniła. Jeszcze wczoraj wszystko było w porządku, a dziś znienacka pojawił się kolejny problem. Im mocniej naciskał, tym bardziej bolało. Jedyna terapia, jaka przychodziła Matthiasowi do głowy, to natychmiastowa dezynfekcja, najlepiej trzydziestoosmioprocentowym bimbrem.

– Fuck.

– Co mówisz?

– Nic.

Rozdrażnienie potęgował bolący grzbiet i szyja. Może to kwestia tych uprzykrzeń, bo przecież nie racjonalnych przesłanek, lecz coraz wyraźniej czuł, że sprawa Samira nie znajdzie szczęśliwego zakończenia.

Przed nimi pojawiły się pierwsze posterunki Kochstraße.

Rozdział VI

Przeszkody

– ...i mówię do niej: Obywatelko, chcesz tu zostać? A ona... – Strażnik z czerwonym nosem i z automatem przewieszonym przez ramię ćmił papierosa. Jego kolega w zielonej koszuli drewnianą łyżką mieszał zawartość kociołka zawieszzonego nad małym ogniskiem. – Czego tu?

– My na Hallesches Tor. – Zdawało się, że Jorge zgrzytnął zębami.

– Nie wolno.

– Jak to nie wolno?

– Przeciek mamy. Posłano po ekipę remontową... – Ten z drewnianą łyżką kaszlnął przed siebie. – Na razie... jest, jak jest.

Matthias wyciągnął szyję, żeby dojrzeć cokolwiek ponad częścią mieszkalną Kochstraße.

Dworzec, jak większość berlińskich stacji metra, nie imponował ani wielkością, ani wystrojem. Sufit, gęsto pokratkowany stalowymi nitowanymi podciągami, opierał się na również stalowych filarach, kiedyś chyba żółtych, a dziś jasnoburych. Taka jednolita barwa dominowała zresztą w całym metrze: aż do wysokości człowieka jaśniejsza, wyżej ciemniejsza od najrozmaitszych dymów wypełniających wszystkie stacje.

Przez niemal całą długość peronu ciągnął się dwupiętrowy, solidny segment mieszkalny. Klitki dwa na trzy, sąsiedzi tuż obok... Nie szkodzi, wspólnota się zżyła, zahartowała. Jeden za wszystkich...

Spora gromada tubylców stała mniej więcej w połowie długości peronu, wpatrując się w coś, czego on nie potrafił dostrzec.

– Bądź człowiekiem.

– Coś ty powiedział? – „Drewniana Łyżka” poderwał się zupełnie jak mechaniczna zabawka. – Coś ty powiedział? Ja nie jestem człowiekiem?

Matthias nie cofnął się nawet o milimetr. Ten szczerbaty strażnik przewróci się, nim weźmie zamach.

– Patrzcie, jaki ważny. – W jego chuchu dało się wyczuć smród alkoholu. – Podskoczysz mi?

„Czerwony Nos” przystanął za kolegą, nie całkiem pewny, jakiego wsparcia ma udzielić.

– Gdzie oficer bezpieczeństwa? – Jorgemu znudziły się te przepychanki. – No, głuchy jesteś?

„Drewniana Łyżka” nasrożył się, mrużąc oczy.

– Kolejna świnka, której się wydaje, że wszystko może.

– Tak rozmawiać nie będziemy.

Ich troje, bo Nerd się nie liczył, tamtych dwóch. Pat.

Na Kochstraße władza Ligi Muzułmańskiej już nie sięgała. Co prawda istniała tu całkiem liczna kolonia wyznawców Proroka, ale nie dysponowali oni decydującym głosem, podporządkowani zarządzeniom aktualnej administracji. Oprócz nich egzystowali tu Cyganie, Chińczycy oraz Hindusi, tworząc konglomerat przedziwny nawet jak na warunki metra. Dziwnym trafem te dwa przaśne głąby nie należały do żadnej z egzotycznych nacji.

Tutejsi parali się głównie rzemiosłem. Ich fabryczka amunicji, ulokowana w bocznych korytarzach przekopanych aż do okolicznych piwnic, działała pełną parą. Handlowali ze wszystkimi, którzy byli w stanie zapłacić. Poglądy i zapatrywania nie miały żadnego znaczenia. W całkowitej neutralności upatrywali pewnie rękami bezpieczeństwa.

Matthias, zamiast wyklócać się z wartownikiem, skupił się na poruszającym się niespokojnie tłumie. Ci pozostający na jego obrzeżach odstępowali dalej do tyłu.

Niektórzy wręcz przeciwnie parli w drugim kierunku.

W pewnym momencie spory kawał sufitu zwał się z głośnym hukiem. Z dziury siknęły strumienie wody. To już nie był jakiś tam przeciek, to była prawdziwa katastrofa.

– Zachować spokój! Zachowa... – darł się jakiś mężczyzna, którego krzyk szybko utonął w ogłuszającym jazgocie ludzkiej masy.

– Ludzie, ratuj się kto może! – Falset desperata dał sygnał do armagedonu.

W ostatniej chwili Matthias uskoczył na bok, ratując się przed stratowaniem przez dostojną matronę, która szarżowała z impetem rannego nosorożca.

„Czerwonemu Nosowi” kiep wypadł z ust. Na taką okoliczność strażnicy nie byli przygotowani. Coraz więcej mieszkańców Kochstraße mijają ich w pędzie.

– Pilnuj Nerda – polecił Jorge. – Jasmin!

– Jestem.

– Teraz albo nigdy.

Odepchnęli „Drewnianą Łyżkę” i zaczęli przebijać się do przodu.

– A wy dokąd? – Warta nie chciała ustąpić. – Stój, stój, bo strzelam.

Ten debil chciał faktycznie wygarnąć z automatu. Matthias podciął mężczyźnie nogi i przyładował kolbą automatu w twarz.

Jeden z głowy.

„Czerwony Nos” w kompletnym osłupieniu kręcił głową w obie strony. Raczej nie będzie się stawiał, zresztą tłum, który rzucił się w kierunku tunelu, rozdzielił ich momentalnie. Matthias ruszył biegiem za oddalającym się Jorgem i Jasmin.

Nie było to takie proste. Co rusz ktoś wyrastał na jego drodze – tu robił unik, tam zwód, gdzie indziej walił na odlew pięścią w twarz. Hałas wzniósł się do nieznośnego poziomu.

Po kilkunastu metrach zrobiło się luźniej. Nim na dobre padło zasilanie, zdołał dostrzec młodą dziewczynę, która potknęła się i wywróciła. Głośno piszczała. Otyły mężczyzna zwał się na nią, aż chrupnęły kości. O ich wystające ręce i nogi zahaczali następni. Wkrótce co najmniej dwadzieścia osób kotłowało się, próbując uwolnić się z pułapki. Gdy już komuś niemal udawało się wyrwać z opresji, kolejny desperat wpadał na niego i wszystko zaczynało się od początku.

Rozległy się strzały. Trudno było się zorientować, czy to wezwanie do opamiętania, czy też próba utorowania sobie drogi ucieczki.

– Nerd! – Matthias złapał chłopaka za kark i skierował w stronę prawego toru. – Uważaj.

Oberwał łokciem w głowę tak mocno, że aż przysiadł. Musiał się zatrzymać, by nabrać oddechu. Nic nie widział. Jeden mocny snop światła daleko z przodu to trochę za mało.

– O, ty... – Odepchnął kolejną zjawę wyłaniającą się z ciemności.

Cienie skakały po ścianach. Następne tąpnięcie. Pył wypełniał płuca. Matthias zaczął się krztusić. Niedobrze. Mocne szarpnięcie postawiło go na nogi.

– Mati, dawaj! – wydierał się Jorge do naderwanego ucha.

– Daj mi...

– Jazda!

Zaczęli deptać po ciałach. Najgorsze, że niektóre się wiły, inne pozostawały nieruchome. Umazał dłonie czymś wilgotnym. Krew czy woda?

Dalej. Jasmin mocnym, ręcznym reflektorem oświetlała im drogę. Tu było nieco luźniej.

– To już drugi raz dzisiaj – wysapał z trudem.

– Odwdzięczysz się później.

W powietrzu unosiła się zawiesina z wody i pyłu. Matthias obrócił się, żeby się zorientować, co dzieje się na stacji. O ile mógł dojrzeć, Kochstraße rozsypywała się na kawałki. Spory fragment segmentu leżał w gruzach. Nie dziwiło go to. Oparta o filary stacji konstrukcja składała się z blachy, drewna i folii. Peron zmienił się w

rumowisko, na skraju którego czołgała się postać ze zmiażdżonymi nogami.

– Poczekaj. – Zatrzymał Jasmin, która ruszyła przed siebie jak buldożer.

– Nie zawracaj. – Tu każdy martwił się o siebie. Jej wystarczyło, że z tamtej strony nic im nie zagrażało.

– Poświęć do góry.

– Gdzie?

– Nad nami – wskazał palcem.

Zrozumiała. W niewysokim stropie ziała spora wyrwa, co najmniej kilka metrów kwadratowych. Zamiast strug wody, których się spodziewali, zobaczyli tylko niewielki strumyczek. Z otworu sterczały przerdzewiałe pręty zbrojeniowe, zupełnie jak żebra prehistorycznego stworzenia. Obok zwisał kabel gruby jak męskie ramię.

– To wszystko? – Nerd wydawał się mocno zdziwiony.

– Bywa.

Mniejsze i większe katastrofy dotykały metro co parę miesięcy. Tu wywaliło elektrykę, tam kanalizację. Nikt tym za bardzo się nie przejmował. Niedługo wszystko wróci do normy. Mieszkańcy powrócą na stare śmieci, bo niby gdzie mieliby się podziąć? Pochowają zabitych, uprzątną gruz i zaczną wszystko od początku.

Prawdziwa katastrofa nastąpiłaby, gdyby tunel spoczął pod setkami ton ziemi i żelbetu, odcinając tym samym przejście na Hallesches Tor i całą dalszą część linii U6. Wtedy należałoby nadłożyć drogi o kilkanaście kilometrów, idąc aż przez Hermannplatz. Perspektywa mało nęcąca, na szczęście wyglądało na to, że to jeszcze nie tym razem.

Nic tu po nich.

– Idziemy.

Na peronie i torach uspokajało się. Panikarze i ci mający wyobraźnię dawno zwiali. Pozostali ranni i zabici. Ze wszystkich stron dochodziły jęki i rżenia.

Ręce zaczęły o spodnie przechodzących zwiadowców jak kolczaste pnącza.

– Pomóż.

– Niech was...

– Gdzie Marie?

Starał się patrzeć pod nogi, nie chcąc wdepnąć w kałużę krwi lub rozdeptany mózg. To dziwne, ale do tej pory nie widział nikogo stratowanego. Zastrzelonych, zadźganych, rozerwanych granatem, pogryzionych przez mutanty to owszem, dziesiątki razy, na takich napatrył się do woli. Zdeptanie to zupełna nowość. Na pozór nie odbiegali wyglądem od zwykłych zmarłych, dopiero gdy im się przyglądał, dostrzegał wytrzeszczone oczy i zgniecione korpusy. Większość po prostu się zadusiła.

Nawet nie chciał wiedzieć, jak to jest, gdy nagle spada na ciebie cielsko bliźniego twego. Ty prosisz, błagasz, wyjesz – kochany człowieku, daj żyć, zleż ze mnie, nie duś, litości, ale nie – ciężar stopniowo narasta, jest bezlitosny, nieludzki. Walczysz o każdy oddech, który i tak staje się płytki i urywany. Boli, jak boli. Pękają kości, żebra przebijają płuca, krwawa piana wypływa z ust. Ten nad tobą też nie ma jak się ruszyć, bo i na nim kładą się kolejni. I tak bez końca, jeden na drugim, aż wszystko staje się jednym ciałem. Miazgą.

Można ich rozplątać, ale co to da? Ratunek jest dla jednego, stu zginie na pewno. Pięć stacji dalej opowiadać będą o tysiącu zgniecionych, a na drugim krańcu linii o szaleństwie, jakie ogarnęło mieszkańców Kochstraße.

Powinni już iść, ale on jak zahipnotyzowany stał i patrzył na opustoszałą stację.

Wiedział, że zanim wróci tu życie, przyjdą hieny. W metrze mało kto posiadał większy majątek. Koszula, portki, jakiś waciak, kalosze i plastikowy worek do dźwigania dobytku. Jak się nie było kupcem czy kimś w rodzaju Klausa Schmidta, wystarczały najpotrzebniejsze przedmioty. I nawet jeśli większość dóbr szlag trafił pod zawałami, hieny wygrzebią najdrobniejsze resztki – tu łyżeczkę, tam pasek od

spodni. W końcu wszystko znajdzie właściciela, bo trupy, gołe i wzdęte, nie potrzebują niczego.

Jeśli nawet dawni mieszkańcy nie wrócą, to ci ze Stadtmitte i ci z Hallesches Tor skrzykną się w końcu i zrobią porządek. Dworzec musi być drożny. Wyższa konieczność – to rozumiało samo przez się. Teraz brakowało czasu, ale jakby się dobrze rozejrzeć...

Na końcu peronu stała najwyżej pięcioletnia dziewczynka i wyciągała rączki do każdego, kto przechodził. Łzy spływały po jej twarzy, a zaciśnięta kreska ust wyginała się w lekką podkówkę.

Obok leżała kobieta w postrzępionych spodniach i w chuście, z głową roztrzaskaną przez kawał betonowej bryły. Nikt nie zwracał uwagi na małą. Kogo zresztą mogła obchodzić?

Matthias, zdumiony, zobaczył nagle Jorgego, który, nie wiedzieć skąd, znalazł się dopiero na końcu uciekającej gromady. Właśnie mijał dziewczynkę. Szedł jak najdalej od niej, tuż przy ścianie, pochylony pod wielkim brzemieniem, ze wzrokiem wbitym w torowisko. Nerd kłusował za nim, byle szybciej wydostać się z koszmaru.

Okrągłe, zdziwione oczy skrzywdzonego dziecka spoczęły na Matthiasie. Zaciśnął zęby. To spojrzenie bolało.

A idź w cholerę... Gdzie ojciec, babka, reszta rodziny? Tam, gdzie się wybierał, nie było miejsca dla takich jak ona.

Uciekał jak zbity pies. Miał wrażenie, że drobne paluszki dziewczynki dotknęły także jego szorstkiej ręki zwiadowcy i poczuł ból, jakby trafił na rozpalone żelazo. Zaczął trzeć dłońią o spodnie, a potem coraz gwałtowniej o zimny beton, do bólu, do krwi.

Za dużo wrażeń jak na jeden dzień. Wystarczy. Paść gdzieś i spać. To wszystko, o czym marzył.

Zwarty, zbity tłum tych, którzy uciekli tuż przed katastrofą, warował w dalszej części korytarza. Do Matthiasa dobiegały strzepy przekrzykiwań:

– Widzieliście Günthera, tego małego?

– Nie.

– ...a Ursulę?

– Puść mnie! – Matthias wyrwał się z czyjegoś uścisku.

Kobiety i mężczyźni osaczali go ze wszystkich stron. W oczach większości widział obłąd lub strach.

– Wracamy... – rzucił ktoś.

– Jak durny byłeś, tak i jesteś nadal. Patrzcie go, na śmierć chce prowadzić nas wszystkich. Mało ci?

– Przynajmniej...

– Co przynajmniej? Co przynajmniej? – Zaczynała rozpalać się kłótnia.

Wszyscy byli mniej lub bardziej zdezorientowani. Instykt podpowiadał jedno: wiać, gdzie pieprz rośnie, ale resztki nadziei sugerowały odwrotne działanie.

– Powiedzcie, co robić? – Wysoki, chudy mężczyzna o dalekowschodnich rysach twarzy przystąpił do Jorgego, tarasując przejście na dobre. Wzrok rozbiegany, ręce trzęsące się jak w febrze, utyłany błotem i krwią... Każdy szanujący się stalker odepchnąłby łachudrę albo i uziemił. Każdy, ale nie Jorge, ten wysłucha, poradzi i wytrze smarki z nosa.

– Zajmijcie się rannymi... – nie zdążył powiedzieć nic więcej, gdyż od strony stacji rozległ się ogłuszający rumor. Ludzie, już i tak niespokojni, rzucili się do ucieczki w egipskich ciemnościach. Kłęby pyłu i kurzu wypełniły korytarz. Stalkerzy dali się ponieść tłumowi. Najważniejsze, to przestawiać nogi. Kto upadnie, już po nim. O plecy, żebra i nogi Matthiasa zaczęły obijać się kończyny innych. Wystawił ręce przed siebie. Od razu trafił na czyjaś głowę. Zdaje się, że przestawił nieszczęśnikowi nos. Trudno. Wąski korytarz nie ułatwiał ucieczki. Nie mogąc rozbiec się na boki, wszyscy gnali przed siebie. Z przodu podrygiwał reflektor unoszony przez Jasmin.

Bez niego już dawno potratowaliby się w panice.

– Stać! Stać! – czyjś apel utonął w ogólnym jazgocie.

Kolejna głowa rozbiła się o prawy łokieć Matthiasa. Zabolało potężnie. Przed nim zamajaczył Nerd, chłopak biegł ostatkiem sił, jakby miał zaraz wyzionąć ducha. Mocny chwyt stalkera za taszczonego przez młodego plecak sprawił, że chłopak dostał dodatkową porcję energii.

Zmęczeni ludzie zaczęli zostawać w tyle. W końcu stalkerzy wydostali się z matni. Przed nimi nie było już nikogo.

– Dosyć.

Powpadali na siebie. Tu przynajmniej dawało się normalnie oddychać. Rozłożyli się gdzie popadnie. Nerd jęczał. Jorge pluł, a Jasmin zanosila się kaszlem. Z ust zwisały jej nitki śliny. Już nie wydawała się taka twarda.

– O w dupę, ale burdel. To się nazywa mieć szczęście. Ilu tam mogło przygnieść? – Jej pierwsze słowa, gdy już doszła do siebie, nie tchnęły optymizmem. – W życiu czegoś takiego nie widziałam, naprawdę, jak żyję... khee... – Dziewczynie zacharczało w gardle.

– A ja i owszem – odezwał się Jorge.

– Naprawdę?

– Uhuu. Raz zarwała się pode mną podłoga, wpadłem po pas, potem nie potrafiłem wyleźć. Pamiętasz, Mati?

– Dwa lata temu.

– Raczej trzy.

– Niech ci będzie.

Kilkoro uciekinierów przysiadło blisko nich. Byli tak samo zziajani jak oni.

Teraz to już naprawdę nie było do czego wracać. Szaleństwo, kompletne szaleństwo.

Zachichotał.

– Mati, wszystko gra?

– Tak. – Nie potrafił się powstrzymać, rechotał jak opętaniec.

Tuż obok ci, którzy potracili bliskich, a on... Zupełnie od czapy, jak kretyn, tak bez powodu. Przysłonił usta rękawem kurtki. Na co wam to wszystko było? Współczuć im czy nienawidzić? Zdaje się, że od siedzenia w tym grobowcu dostawał szajby.

– Mati, już dobrze?

– Tak, gra. – Uspokajał się powoli.

Powiedział to tylko po to, by Jorge się od niego odczepił. Wystarczy.

Rozdział VII

Oni

Hallesches Tor leżała na dawnym skrzyżowaniu linii U6 z U1. Dworcowa hala zbudowana w ciągu linii U1 nawet niezbyt ucierpiała podczas zagłady, ale i tak była wyłączona z użytku – jak wszystko na powierzchni. Można jednak było tędy wyjść na zewnątrz. Stalowa ściana, a w niej wzmocnione drzwi... schodami do góry... Nie dziś.

Na dole też niczego sobie. Wokół stacji linii U6 wybito nowe korytarze, przejścia i korytarzyki, tak daleko, jak się dało, czyli aż do podpiwniczeń osiedla otaczającego stację okręgiem. W budowie tego miasteczka wykorzystano prefabrykaty z pobliskiej budowy. Mówiło się, że połowa stalkerów metra zginęła, ochraniając miesiącami transporty z materiałami. Ale za to w podziemnym miasteczku można było się pogubić. Na Hallesches Tor nie mówiło się teraz inaczej niż „Galeria”.

Matthias zastanawiał się kiedyś, co to znaczy. To słowo nie kojarzyło mu się z niczym. Kiedyś pewnie rozpowszechnione, obecnie martwe jak wiele innych. Ci, którzy w Galerii żyją, też szybko będą martwi, przecież beton i stal z powierzchni były solidnie napromieniowane.

Kosmopolityczny charakter dworca dawał się odczuć już przy posterunkach. Na wszystkich stacjach, przez które przechodzili, ludzie wegetowali, tu akurat tętniło życie, grała muzyka, afisze reklamowały teatry, a dla zmęczonych przygotowano przytulne hoteliki i spelunki. Bezpiecznie, gwarno i rojno. Ale coś za coś. Chcesz wejść – zapłać. Trzy naboje za dorosłego i dwa za dziecko.

Cennik sztywny. Jak się nie podoba, dziękujemy, możesz wracać. No i broń do depozytu, odbierzesz później.

Żołnierze w zgniłozielonych mundurach, trzeźwi i kompetentni. Przyjemnie obcować z zawodowcami. Brakowało jedynie gniazda karabinów maszynowych, zresztą kto wie, może było przemyślnie ukryte. I masz – jeden bunkier Matthias dostrzegł na wprost, pod sufitem – wąska strzelnica utrudniała wykoszenie obsługi, za to ona bez problemu kryła ogień całe przedpole.

Drogę zagroził im podoficer w okrągłej czapce na głowie.

– Tranzytem czy na dłużej? – Usta uśmiechały się wyrozumiale, oczy bynajmniej nie.

– Zobaczymy – odrzekł Jorge i pokrywający go pył zawirował w powietrzu. – Czuliście?

– Co?

– Zawaliło Kochstraße.

– Kurwa. – Oficer już się nie uśmiechał, skurczył się i syknął jeszcze przez zęby: – Czekać.

No tak, sam nie weźmie odpowiedzialności, należało sprowadzić kogoś wyższego stopniem.

Widzieli, jak podszedł do telefonu na korbkę zawieszoną na ścianie. Zakręcił, potem wybrał dwucyfrowy numer. Odwrócił się plecami do nich, szepcząc do słuchawki. Trzech pozostałych wartowników trzymało ich na muszce.

Porządek rzecz święta. Nieważne, że zginęli ludzie, ilu ich... Stu? Dwustu? Bez znaczenia. Tu była Galeria, a nie jakaś tam dziura, choćby i strategicznie położona, ale jednak dziura.

Podoficer skończył konferencję. Po minie trudno było wnioskować, czego się dowiedział – gęba jak u kłosa, nieruchoma, grubo ciosana. W dodatku czerwona. Był teraz bardzo ważny. On wie. Tacy są w mniejszości. Jest ich kilku, nie więcej niż kilku i on do nich należy.

Na razie musieli czekać. I dobrze. Matthias ledwo stał na nogach. Nerd przysypiał, to w końcu tylko dzieciak. I tak sprawił się nadzwyczajnie.

Stalker wychylił głowę bardziej, niż zezwalały na to przepisy. Hallesches Tor to

raj. Tu nikt nie oszczędzał. Od świateł bolały oczy, a czyści i najedzeni obywatele przelewali się we wszystkie strony. Nadzwyczajne.

Do jego nozdrzy zaczęły docierać zapachy. Taki zapach nie zna przeszkód, wciśnie się wszędzie, w najgłębsze zakamarki mózgu, znajdzie tam swoją przestrzeń, rozgości się i już nie pozwoli żyć. Zamęczy. Skonaj, człowieku, ale przed śmiercią spróbuj... Czego? To akurat proste. Na ruszcie w pobliżu piekły się szaszłyki. To było niehumanitarne. Ich aromat wykręcał trzewia. Już lepiej rzucić się na te druty kolczaste i lufy karabinów, niż znosić to dłużej. Tylko ci czterej idioci stali na drodze.

Niby od niechcenia przesunął automat do przodu, oblizując usta. Język jak kołek tkwił w gębie, suchy i sztywny. Zapomniał o bunkrze. Skoszą go, jak tylko czubki butów bez pozwolenia dotkną żółtej linii wymalowanej na posadzce. Nieważne.

Podoficer w okrągłej czapce po jednej stronie, oni po drugiej. Niby nic, a jednak życie i śmierć na wyciągnięcie ręki.

– To oni? – Mężczyzna w skórzanym płaszczu zarzuconym na potężne ramiona wyskoczył jak diabeł z pudełka. Matthias stał, patrzył i nie widział, kiedy ten się zjawił.

– Tak jest. – Odpowiedź była krótka i rzeczowa.

– Ciebie skądś znam.

– Jorge – przedstawił się stalker.

– Ach, tak... – Za plecami oficera bezpieczeństwa ustawiła się cała drużyna.

Chłopy na schwał. Chyba nie chodziło o ich czwórkę, a o napływ uchodźców. Pojawia się tu raczej prędzej niż później. Oni przynieśli nowinę, ale co zrobić z tymi, którzy przybędą tu po nich? Z tymi setkami głodomorów chcących tylko wpakować się na czyściutką i rozrywkową Hallesches Tor i uświadomić jej mieszkańcom, że ta bezpieczna enklawa to taka sama złuda jak wszystko inne?

– Przepuścić.

Troje zwiadowców i chłopak przekroczyli magiczną linię. Zadziałało od razu. Cząstka bogactwa spłynęła i na nich.

Matthias na razie nie dostrzegł wokół nic szczególnego, zdało mu się jednak, że wzmocnienie posterunków nie przeszło niezauważone wśród gawiedzi. No i Kochstraße dzieliło od Galerii tylko kilkaset metrów, więc wstrząsy tutaj dotarły. Sieć przenosiła wibracje jak membrana.

Przed ponurą procesją rozstępowano się na boki, bynajmniej nie z szacunku, lecz z odrazy. Tylko, broń Boże, nie zawadzić o takiego utyłanego błotem i gównem. Gangreny można dostać albo jeszcze czegoś gorszego.

Nasi już będą wiedzieli, co z takimi zrobić.

Nasi.

Czyli tacy jak ten smętny kutas na czele.

Doszli do końca hali, a potem wąskimi stalowymi schodkami w dół. Żarówki za pancernymi kloszami osłon i drutu dawały ciepłe żółte światło. Żelówki łomotały o kolejne stopnie. Jeden ciąg, potem drugi, korytarzem już nie tak szerokim jak te znajdujące się wyżej. Parkowa ławka zupełnie jak w poczekalni.

Oficer nawet nie patrzył, czy idą za nim. Nie musiał. Gdzie się mieli podziać?

– Kolejno.

Na pierwszy ogień poszedł Jorge. Matthias i Jasmin rozsiedli się wygodnie. Nerd zwinął się w kłębek na podłodze.

O, jak dobrze... Z Matthiasa uszło całe napięcie. Wcale nie chciał się stąd ruszać. Nie dochodziły tu dźwięki z wyższych poziomów, jedynie szum prądotwórczych agregatów kołysał do snu. Wyciągnął nogi przed siebie, opatulił się kurtką. Głowa sama opadła na piersi. Ocknął się nerwowo, starając się nie zasnąć. Znów to samo. Jasmin już delikatnie pochrapywała.

Cholera, to poczekalnia, a nie noclegownia. Wstał, zrobił kilka kroków. Podszedł do obitych blachą drzwi, za którymi zniknął Jorge. Wsłuchiwał się uważnie, jednakże bez skutku. W środku panowała kompletna cisza. Dziwne, raczej spodziewał się

ożywionej rozmowy. Grali w warcaby czy też poszli napić się wody?

Przemierzył cały korytarz. Od początku do końca naliczył trzydzieści kroków. Westchnął. Nic nie pomogło. Usiadł. Ciekawa sprawa, gdy świat walił się wokół niego, odczuwał całkowity spokój, teraz, gdy już dobrnęli do upragnionej przystani, ten bezruch doprowadzał go do rozpacz.

Ciekawe, jak długo tu siedzą? Sam nie miał zegarka, nie odczuwał potrzeby przyglądania się uciekającym sekundom. Na ogół zresztą czas w metrze obliczano intuicyjnie. Jedna godzina czy więcej... Pod ziemią nie przywiązywano do tego większego znaczenia. Ważne, by dostosować się do reszty stacji żyjącej w rytm zegarów peronowych.

Przysnął, sam nie wiedząc kiedy. Gdy się ocknął, wszystko wyglądało po staremu. Szczęknęły otwierane drzwi.

W końcu.

Nie prowadziły tam, gdzie wszedł Jorge. Były identyczne, ale mieściły się na drugim końcu korytarza. Wszedł przez nie oficer z przejścia granicznego. Dopiero gdy przeszedł przed Matthiasem, ten zorientował się w pomyłce. Wzrost i postura te same, uniform ten sam, ale ten to blondyn z orlim nosem.

Oficer przeszedł mimo, nawet nie zaszczyciwszy go spojrzeniem.

Matthias napiął mięśnie ramion, aż chrupnęły stawy. Zrobiło się trochę chłodniej, a może tylko tak mu się wydało po drzemce.

Najchętniej by zdjął buty i został w samych skarpetkach, co z tego, że dziurawych. Wystarczyło popatrzeć na wojskowe buciory, żeby zrozumieć – one też się zmęczyły. Umazane czymś zakrzepłym, do czego przykleił się rdzawy pył tunelu. Węzełki, sztukujące pęknięte sznurówki, piętrzyły się jedne na drugich w przedziwnych wzorach. Zdjąć, nie zdjąć? Głupio by wyglądał, gdyby teraz go zawołali albo miał gdzie iść.

Wrzód na dziąśle nie dawał o sobie zapomnieć. Zdaje się, że zaczynał krwawić. Gorzko-metaliczny posmak spłynął do gardła.

Słyszał kiedyś o piekle. Nie pamiętał szczegółów, ale ogólny sens, że to złe miejsce, które czeka złych ludzi po śmierci. Przyszło mu do głowy, że piekło musi być właśnie takie jak ten korytarz: bezosobowe, nijakie, z rzędami drzwi po obu stronach. To na pewno poczekalnia. W jednym biurze zdajesz relację, jak napłułeś do garnka z zupą, a w drugim, jak przeleciałeś kobietę kolegi. Zbierasz kwitki, idziesz dalej lub cofasz się i jeszcze raz, i jeszcze. Rozumiesz, co zrobiłeś źle? Jak nie, to od początku. Jak tak, to nie zaszkodzi utrwalić. Najgorsze, że nie ma do kogo się odwołać.

– Holt!

W pierwszej chwili nie zorientował się, że chodzi o niego. Nazwiska nie używał od dawna. Był Matthiasem stalkerem i Matthiasem pewnie zdechnie. Nic tego nie zmieni.

Wejście do pomieszczenia, gdzie zniknął Jorge, stało otworem. Bez większych obaw wszedł do środka i rozejrzał się. Pokój niewielki, niby przyjemnie urządzone, bardziej po domowemu niż jak biurowa klitka, tchnął nieznanym Matthiasowi porządkiem i jakąś nieludzką czystością. Tak mogło być kiedyś. Regał z książkami, stoliczek z elektrycznym czajnikiem, leżanka, oczywiście biurko w centralnym punkcie. Za nim ten, który ich tu przyprowadził.

– Proszę – wskazał miejsce.

Krzesło naprzeciwko oficera było już z innego świata. Twarde, trzeszczące, chwiejące się na boki, gdy tylko na nim przycupnął.

– Mówią na mnie Wichmann. – Mężczyzna jawił się jako ucieleśnienie profesjonalizmu. – Może o mnie słyszeliście? Nie? Trudno.

Dopiero teraz Matthias dokładniej przyjrzał się oficerowi – ciemne włosy z przedziałkiem po prawej stronie, przylizane, z wyraźną siwizną na skroniach. Na policzku brzydkie czerwone znamię. To ono przyciągało uwagę, a nie wodniste oczy.

Usta wąskie, zaciśnięte i kościste paluchy obracające chemiczny ołówek. Na blacie akta grube na trzy centymetry. Co to za papiery, Matthias nie potrafił odczytać.

- Gdzie Jorge?

- Kto?

W pokoju były tylko te drzwi, przez które wszedł.

- Schował się? To jest kawał?

- Kto się schował? Proszę mówić jaśniej. - Wichmann wyciągnął temperówkę z szuflady biurka, wsadził w nią ołówek i zaczął obracać. Rozległ się zgrzyt przypominający pękające kości.

- Mój kolega, był tu przed chwilą.

- Mogę zaręczyć, że od godziny nikt tu nie przebywał.

Matthias zdębiał. Od godziny. Jak to od godziny? Godzinę to czekał na przyjęcie. Co w tym czasie tutaj się działo?

- Proszę mnie posłuchać...

Wichmann przerzucał kolejne karty, w końcu wyciągnął jedną i przyjrzał jej się bliżej.

- ...wczoraj, dziś...

- To wczoraj czy dziś?

- Sam pan wie najlepiej kiedy - warknął zdenerwowany Matthias.

- Panie Holt, w ten sposób do niczego nie dojdziemy. Jak pan widzi, oprócz nas nie ma tu nikogo. Ten pański Jorge był, owszem, ale już dawno. To, że nie chciał z wami rozmawiać, to już zupełnie inna sprawa. Poczuję się słabo, więc posłałem go do ambulatorium. A swoją drogą... sam pan rozumie, człowiek ma w końcu przed kim duszę otworzyć. To rzadka okazja.

- Rozmawialiście? O czym? - W Matthiasie wzbierały takie pokłady złości, o których nie miał pojęcia.

- O wszystkim, chłopcze, o życiu, śmierci i odkupieniu.

To „chłopcze” najbardziej go zirytowało.

- Coście z nim zrobili?! - Zerwał się z trzeszczącego krzesła.

- Siadać! - Pięść Wichmanna grzmotnęła o blat z siłą zdolną złamać niejednego biurowy mebel.

- A jak nie usiądę? - Automat został na korytarzu. Nie szkodzi, z tym sukinsynem poradzi sobie gołymi rękami.

- Co ja powiedziałem? - Oficer przyglądał się stalkerowi wzrokiem bazyliuszka.

Matthias oddychał przez ściśnięte gardło. Ten facet miał rację. W ten sposób do niczego nie dojdą. Wszystko wyjaśni się samo. Może faktycznie Jorge wyszedł, gdy on kimał. Nie chciał ich martwić i poszedł do lekarza. W końcu młodzikiem nie był, a po tylu urazach... Trudno się dziwić. Zaraz stanie za nim i zacznie się śmiać, a Jasmin razem z nim.

Spokojnie, tylko spokojnie.

- Widzę, że jest pan rozsądnym człowiekiem. - Wichmann odchylił się do tyłu. - To dobrze, życie jest krótkie, po co marnować je na czcze demonstracje. - Tym razem z szuflady wyciągnął papierosy, ale nie grube skręty w gazetowym papierze zajeżdżające starymi szmatami, lecz aromatyczne, z filtrem, najwyższej jakości.

Matthiasa nie częstował. I dobrze, ten tytoń musiał pochodzić z powierzchni. -

Zacznijmy od początku. - Chmura o zapachu, jakiego Matthias nigdy nie czuł, zawisła pod sufitem.

- Nie mam niczego do ukrycia.

Oczy Wichmanna zwięziły się do szparek.

- Tak się tylko mówi.

Po raz pierwszy od początku tej rozmowy Matthias poczuł dreszcz niepokoju. O co w tym wszystkim chodzi? Przecież nie zrobili niczego złego. To tutaj ostatnim razem widziano Samira. Głowę da sobie uciąć, że ten drań wiedział coś na ten temat. Spodziewał się ich, to jasne. Może nie ich konkretnie, ale kogoś, kto przyjdzie po

gówniarza i zacznie zadawać pytania.

Niespodziewanie głowę Matthiasa wypełniła kompletna pustka. Od zadawania pytań i wydawania rozkazów był Jorge, Matthias strzelał, a Nerd nosił bagaże. Jasmin to kabel i dodatkowa lufa w razie kłopotów. Wykonawca, nie mózg operacji.

W takim razie co powiedział Jorge, że tak mocno wkurzył Wichmanna? Klitka stała się wręcz odpychająca i klaustrofobiczna. Żarówka świeciła prosto w oczy, pogrążając resztę pomieszczenia w cieniu.

– Tak, tak, panie Holt, lepiej, jak się pan przyzna od razu – powiedział w końcu oficer. – Ja wiem, takie wyznanie nie jest łatwe... Człowiek dusi je w sobie, dusza chce śpiewać, a tu nie, przygnieciono ją, więc męczy się stłamszona, błaga o zmiłowanie.

– Prawdziwy z pana poeta.

– Prawda? – Wichmann nie obraził się za porównanie. – Ile właściwie ma pan lat?

– Dwadzieścia pięć.

– Najlepszy okres dla mężczyzny. Wie pan, pomiędzy dwudziestką a trzydziestką... Potem to już różnie: zdrowie nie takie, choroby... Przyplącze się jakieś paskudztwo i trudno się pozbyć. Włosy jak na razie wszystkie? Podziwiam i zazdroszczę, szczerze zazdroszczę. To jednak trzeba mieć odwagę. Proszę mi powiedzieć, tam na górze jest tak strasznie, jak opowiadają? Te wszystkie mutanty? My tu też, na naszym odcinku, nie tak jak pan, ale też skutecznie... – Niedopałek po błyskawicznie wypalonym papierosie spoczął w pełnej popielniczce utworzonej ze ściętej łuski pocisku 120 mm. – Powiem prawdę... Ja to właściwie was podziwiam. Jaką trzeba wykazać się odwagą, żeby wyjść na powierzchnię. Nie jest łatwo, wiem. Ilu to stalkerów dożywa słusznego wieku?

– Niewielu – odpowiedział Matthias.

– No właśnie, niewielu. – Wichmann zastygł w pozie sfinksa. – Więc po co wam to było?

– Taka praca.

– Nie o to pytam. – Dłoń z ołówkiem przeleciała po kartce papieru.

– Mogę się w końcu dowiedzieć, o co chodzi? – Stalker zaczął się podnosić.

– Dokąd?! – Ochryply wrzask odbił się od ścian. – O czym mówię!? O dywersji... My tu razem, wspólnie, a wy co? – Głos Wichmanna ponownie wrócił do normy. – Mnie tam ta cała Kochstraße mało interesuje, niech robią, co chcą, brudasy... Ale na mojej głowie jest bezpieczeństwo tutejszych mieszkańców. Tu nie ustąpię. Wszelkie zagrożenia eliminujemy... we własnym zakresie.

– Jaka dywersja?! W co wy chcecie mnie zrobić? – Tym razem Matthias nie wytrzymał. Skoczy do gardła skurwysynowi. Parszywy gestapowiec. Zobaczymy, jak zaśpiewasz, gdy zacisnę palce na tej twojej tłustej szyi.

Już wyciągał się do skoku, gdy zobaczył wymierzone w siebie Parabellum.

– Podskakiwać mi tu będziesz? Myślisz, że nie wiem, jakie z ciebie ziółko? – Wichmann wolną ręką sięgnął po słuchawkę. – Straż!

Zjawili się od razu, zupełnie jakby czekali na korytarzu. Nim Matthias zdążył zareagować, został obezwładniony. Wykręcili mu ramiona do tyłu, a głową grzmotnęli o biurko i tak przytrzymali. Dobrze, że nie wybili zębów.

– Masz jeszcze szansę. – Parabellum zniknęło. Zamiast czarnego żelastwa w polu widzenia pojawiła się wykrzywiona gęba Wichmanna. – Podpisz tu, radzę po dobroci, podpisz, będzie sąd.

– Niczego...

– Nie zarzekaj się. Łamaliśmy nie takich jak ty. – Nieświeży oddech wionął wprost w nozdrza zwiadowcy. – Kto za tym stoi? Kalif? A może to któryś z jego przydupasów?

– Ja o niczym...

– Biedny frajerze, myślisz, że się wywiniesz? Nie próbuj kręcić. I tak o wszystkim się dowiemy. – Wichmann sapał i się ślinił.

– Kiedy ja...

Matthias kompletnie nie wiedział, co o tym myśleć. Nie dokonał żadnego z czynów, które mu zarzucali. A właściwie do tej pory się nie dowiedział, co mu zarzucają. Pewnie Jorge nagadał im bzdur. Ale dlaczego? To kompletnie nie trzymało się kupy. Wyszedł? Akurat. Zamknęli go tak samo, jak zrobią to z nim.

– Mów.

– Na Kochstraße doszło do wypadku. Wody gruntowe czy pęknięta rura wodociągowa, skąd mam wiedzieć? Tylko przechodziliśmy.

– Czy ja wyglądam na durnia? No, odpowiedz. Śmiało, chcę usłyszeć.

W Matthiasie wszystko się trzęsło.

– Oczywiście, że nie. – Gdy to mówił, czerwone znamię znalazło się tuż przed jego okiem.

– To dlaczego wciskasz mi te brednie? Bo to są brednie. Przechodziliście! Dobre sobie. Tu wszystko się wali, a oni przechodzą. Tam dzieci, kobiety, ponad dwieście osób! Nie żal ci? Jak mogłeś?

– To nieporozumienie. – Zaczynał naprawdę się bać. Strach niewidocznymi, zimnymi mackami ogarniał ciało i umysł. Dusił bezlitośnie, wysysając resztki zdrowego rozsądku.

– Co z ciebie za człowiek? – Wichmann wciąż wisiał nad nim. – Boże drogi, jak tak można, z zimną krwią, trach i już. Nie jeden, nie dwóch, cała stacja!

– Ale...

– Przyznajesz się?

Ostatni tryb nie chciał się przesunąć na pozycję, spoza której nie było już odwrotu.

– Nie.

– Wiesz, że my to możemy podciągnąć pod ludobójstwo. Twoje imię będzie wymawiane ze wstrętem. Będziesz przeklęty.

– Już jestem.

– Żeby nie było... sam wybrałeś. – Pięść Wichmanna zatoczyła krótki łuk i uderzyła zwiadowcę w szczękę, omal nie pozbawiając przytomności.

– Wyprowadzić.

Nie musiał iść, zresztą i tak by nie ustał, konwojenci z widoczną wprawą ciągnęli Matthiasa za ramiona.

Na korytarzu oczywiście nikogo nie było. Jasmin i Nerd rozplłynęli się jak sen. Bagaże znikły. O co w tym wszystkim chodzi? Niedługo okaże się, że po czterech osobach nie pozostał ślad. Cella znajdowała się niedaleko, ledwie parę kroków od gabinetu Wichmanna. Drzwi dokładnie takie same jak poprzednio, niczym się niewyróżniające, za nimi krata i betonowa klatka. Spróbował uczepić się prętów, żeby nie pozwolić wrzucić się do środka.

– Zostaw.

Nie posłuchał.

Nie opierał się długo. Grad uderzeń spadł na korpus i żebra. Zawył.

– Niech was...

Nawet nie spostrzegł pięści wymierzonej w skroń. Świat zmętniał, a on odpłynął do miejsca, gdzie nic nie jest ważne. A może wprost przeciwnie, ale on o tym nie wiedział.

Rozdział VIII

My

Matthias ocknął się cały zdrętwiały, z językiem jak kołek i dreszczami przenikającymi ciało.

Najpierw głowa. Zdaje się, że gdzieś zza ucha sączyła się krew, a może te dranie naderwały mu małżowinę. Trudno się było zorientować – bolało wszystko. Wypluł pokruszony kawałek zęba. Następny do kolekcji. Nie dość, że cholerstwa same wypadały jeden po drugim, to jeszcze i to. Nos opuchnięty, gardło obolałe. Co z oczami, nie wiadomo, bo dokoła panowały kompletne ciemności.

Gdy spróbował usiąść, poczuł się jak po zderzeniu z wagonikiem metra. Swoją drogą ci bandyci wykazali się całkiem sporą wprawą. Oberwał, i to solidnie, a mimo to kości wydawały się nienaruszone. Prawie same stłuczenia i otarcia. Z tym da się żyć.

Znowu wezbrała fala mdłości i tym razem nie potrafił jej opanować. Zwymiotował żółcią wprost na swoje kolana. Niewiele pomogło. Otepienie w żaden sposób nie chciało ustąpić.

Wdepnął w niezłe gówno, a raczej został w nie wepchnięty. Wichmann nagiął wszelkie możliwe zasady. Co tam nagiął – on je złamał.

Wysłał kogoś na Kochstraße czy też miał tam swoich ludzi? Na pewno miał. Tacy jak on wiedzieli, jak zabezpieczyć się na wszelkie możliwe okoliczności.

W tej chwili nienawidził go tak bardzo, że gołymi rękami... Dobra, dobra – marzenia przyjemna rzecz, gorzej, gdy grozi czapa.

Stał się pionkiem w jakiejś grze, sensu której nie potrafił zrozumieć. Ich obecność na Kochstraße okazała się dla kogoś ze wszech miar korzystna. Kto maczał w tym swoje brudne paluchy? Wichmann czy też osoba stojąca nad nim? To obojętne. Dość, że obeszli się z nim jak z ostatnim łachudrą.

Na dodatek stalkerzy sami się podłożyli. Przyszli tu jak skończeni idioci i zamiast trzymać język za zębami – zameldowali, opowiedzieli, a jak! Był zły. Przede wszystkim na siebie, w dalszej kolejności na Jorgego i resztę.

Cisza wkurzała tak samo jak hałas. Z zewnątrz nie dochodziły najmniejsze szmery, więc aż dzwoniło mu w uszach.

Z trudem wstał, namacał ściany i ostrożnie obszedł pomieszczenie. Przestrzeń najwyżej dwa na dwa metry. Gdy mózg nie znajduje pożywki w bodźcach, szaleje. I właśnie się zaczyna – ten chrobot to pierwszy znak. Dochodził z góry... a może z dołu? Nie, raczej z góry. Chyba. Opuszkami palców wyczuł lekkie drżenie ściany. Drażą kolejny tunel? Zresztą co go to może obchodzić. Niech robią, co chcą.

Ustalił, gdzie jest wyjście i zaczął w nie walić pięściami. Udało się, po paru minutach usłyszał szcęk klucza przekręcanego w zamku.

– Czego?

– Chcę wyjść.

Światło poraziło Matthiasa. Musiał przysłonić oczy, by cokolwiek dojrzeć.

Strażnik, tego akurat widział po raz pierwszy, o złośliwym uśmiechu i twarzy kretyna, nie wykazał zrozumienia. Wyciągnął zza pleców drewnianą pałkę i szturchnął zwiadowcę w pierś.

– Czekaj.

Matthias nie próbował jej odpychać. Zacznie się stawiać, to oberwie może gorzej niż dotychczas. Wyznał w końcu:

– Muszę do kibla.

W oczach wachmana pojawił się błysk zrozumienia.

– Dobra, tylko bez sztuczek. – Strażnik skinął na Matthiasa, pozwalając mu wyjść z celi.

Za drzwiami, tuż obok, krył się schowek na jakiś sprzęt. Mężczyzna wyciągnął z

niego plastikowe wiadro.

– Bierz i spływaj.

Drzwi ponownie zatrzasnęły się z hukiem, odcinając Matthiasa od świata, jaki znał, kochał i nienawidził jednocześnie. Ale przynajmniej załatwienie jednej potrzeby znajdowało się w zasięgu jego możliwości.

Trochę spał, a trochę trwał w przedziwnym półśnie. Dni rozplynęły się w ciemności, nastąpiła wieczna noc. Zatracił się w niej. Nie dość, że ostatecznie dwadzieścia lat życia spędził jak kret, to jeszcze na koniec spadł na samo dno piekła. Mimo zwodniczej ciszy i spokoju to więzienie go zabijało. Świat był za tymi obitymi blachą drzwiami – tam toczyło się życie, a on tu w bezruchu... Czasami wydawało mu się, że słyszy kroki na korytarzu, szmer rozmów, szuranie krzesel, rzadziej bicie i wycie katowanych.

A może te wszystkie dźwięki powstawały wyłącznie w jego głowie? Może to tylko omamy?

Jedyny punkt zaczepienia i chwila, w której odzyskiwał kontakt z rzeczywistością, to moment, w którym uchylały się drzwi i w wąskim snopie światła jakiś but wsuwał miskę zupy. Pewnie dostawał ją raz dziennie... A jeśli nie, jeśli na przykład dwa lub trzy razy dziennie? Wcale by się nie zdziwił, bowiem właściwie to nie czuł głodu. Jadł, bo dawali. Reszta się nie liczyła.

Nie mógł też powiedzieć, że się nudził, co zawsze było dla niego męczarnią. Po prostu siedział lub leżał zawieszony w beczasie i czarnej pustce. Niespodziewanie dla samego siebie nagle wstawał i zaczynał chodzić, chociaż nie było gdzie. Trzy kroki i ściana, obrót i wszystko jeszcze raz od początku. Wtedy oddałby wszystko za możliwość wyjścia na długą, prostą ulicę pod ołowianym niebem. Gdy chodził, głowa eksplodowała mu od myśli. Nie tak wyobrażał sobie własny koniec. Ma tu zdechnąć? On, stalker, człowiek o spiszowym obliczu i nerwach ze stali? Tacy jak Matthias ginęli zawsze w walce, w heroicznym boju...

Równie niespodziewanie odpływały od niego wszystkie myśli i siły. Siadał wtedy w kącie i trwał.

– Holt.

Kolejna micha? Trochę za szybko.

– Wychodzić. – Nowy strażnik o obliczu kretyna wygnał go z celi. – Prędejsz! Stał w korytarzu, mrużąc oczy. Sąd czy od razu wyrok?

Tym razem w zachowaniu Wichmanna Matthias nie dostrzegł nawet cienia dobrego humoru. Nie było dowcipów, gróźb czy próśb. Oficer wydawał się pochłonięty własnymi myślami.

Matthias stał, przestępując z nogi na nogę. Nie wiedział, o co chodzi i czego się bać. Niemniej cisza u Wichmanna była łatwiejsza do zniesienia niż samotność w celi.

– Proszę mnie posłuchać uważnie, panie Holt – odezwał się w końcu oficer. Jego ochryple głos nie wróżył niczego dobrego. Zresztą wyglądał, jakby chlał przez całą noc, a teraz szukał pocieszenia, czy wręcz zrozumienia. Co parę sekund odsłaniał zęby w idiotycznym tiku. Suszy je czy co? Butelkę z bimbrem pewnie schował obok biurka. Jak Matthias wyjdzie, Wichmann przyklei się do niej ponownie i wyżłopie mętną ciecz do dna. – Taaak. Holt, słuchaj uważnie, dwa razy nie będę powtarzał.

Matthias pociągnął nosem. Smarzać na podłogę nie chciał, przynajmniej nie w tym momencie.

– Zaszły pewne okoliczności... krótko mówiąc, możesz liczyć na ułaskawienie.

O, to zupełna nowość. Na razie o nic nie pytał. Wichmann sam się wygada.

– Byliście na Tempelhofie?

Przytaknął.

– Dawno?

– Może z pół roku temu.

– To dawno. – Oficer wydawał się zmartwiony.

– Raczej tak.

– To nic, pójdziesz ponownie. Nie sam oczywiście.

– Z bronią?

– Pewnie, że z bronią. Całą grupą, wy i jeszcze kilku, jakich udało mi się zwerbować.

– A Jorge? – Matthias zaryzykował pytanie.

– Przecież mówię, Jorge również. To poważna sprawa.

– A co, jak się nie zgodzę? – To on tym razem wyszczerzył zęby, dokładnie tak samo, jak wcześniej robił to Wichmann.

Jego prześladowca wydawał się zbity z tropu. Nie bluzgał, nie pieklił się i nie groził. Opadł zmęczony na oparcie fotelu. Już się nie szczerzył, tylko krzywił.

– Masz prawo, siłą do niczego nie przymuszę.

Pomilczeli. Matthias stał, Wichmann siedział. Jeżeli temu gnojowi się wydaje, że parę miłych słówek wystarczy, to się grubo mylił. Z nim nie pójdzie tak łatwo. W duszy rosła złość. Co to za zagrywka? Ma zostać ułaskawiony? Dobrze sobie. Na łasce nadzorców Hallesches Tor daleko nie zajędzie. Został wrobiony. Szkoda, że ręce miał skrepowane za plecami, bo nie ręczył za siebie.

– Panie Holt, nie chce pan współpracować? To nic, ja pana namawiać nie będę. Proszę jednak pomyśleć, co się stanie, jeżeli zamiast pana wyślemy mniej doświadczonego zwiadowcę? To niemal pewne, zginie. Tak? Zgadza się pan ze mną? Zginie i nie wykona zadania.

– Ciągle nie wiem, o co tak naprawdę chodzi.

– Karl, rozwiąż pana. – Wichmann skinął na strażnika. – Nadgorliwość bywa gorsza... no, sam pan rozumie. Nie zawsze pracujemy z tymi, z którymi byśmy chcieli.

Krew ponownie zaczęła dopływać do dłoni Matthiasa.

– Na czym skończyliśmy... Wszystko zaczęło się parę tygodni wcześniej. Na Tempelhof wysłaliśmy patrol, paru dobrze uzbrojonych ludzi, szykowała się prosta robota – Wichmann zaczął opowieść. – Jest tam dużo przedmiotów mających sporą wartość dla naszej społeczności, maszyny budowlane, stal... Zdaje się, że przed samą wojną szykowano modernizację obiektu i stąd to nagromadzenie środków. – Przerwał, chrząknął i kontynuował potoczyście. – Dla nas to skarb, leży tam bezpieczny, a my tu się gnieździmy.

– Rozumiem.

– Patrol poszedł i nie wrócił. Różne rzeczy się zdarzają, ale żeby zginęli wszyscy z pięcioosobowej grupy? Ja przynajmniej o niczym takim nigdy nie słyszałem. Do następnej wyprawy przygotowaliśmy się lepiej. Wynajęliśmy stalkera. – Przy tych słowach spojrzął Matthiasowi w oczy. – Pan wie, stać nas na to, a Bremer wydawał się odpowiednią osobą.

A więc chodziło o Bremera. Nie tak dawno zastanawiali się, co też z nim się stało. Zwiadowca przepadł bez śladu trzy tygodnie temu. Nikt do tej pory nie puścił pary z gęby. Tak się nie robi.

– Bremer poszedł. Nie sam, jak się pan domyśla. Należało sprawdzić, co się stało z poprzednikami. No i...

– Proszę nie kończyć.

– Sam się pan domyślił? Właśnie tak. Wszyscy przepadli. Co za sytuacja, w sumie dwanaście osób, i to nie pierwszych lepszych żołnierzy. Sami ochotnicy. Kierować następnym do tego samego zadania jakoś niezręcznie. Najpierw należy spenetrować teren, a to zadanie specjalnie dla pana i pańskich kolegów – zachrypiął Wichmann. –

Z naszej strony oferujemy pełną pomoc. Amunicji weźmiecie, ile sami zechcecie. Pod tym względem żadnych ograniczeń. – Wstał, zahaczając głową o żarówkę zwisającą na kablu pod sufitem. – To jak, dogadaliśmy się?

– A co potem?

– Potem? A skąd mam wiedzieć?

Nie, to niemożliwe – zdziwienie Matthiasa nie miało granic, gdy dostrzegł kropelki potu perlące się na czole Wichmanna. W gabinecie nie było aż tak gorąco, by się spocić, a ten tu... To nie z gorąca, raczej ze strachu. Ta niespodziewana myśl dodała mu otuchy. Szef służb bezpieczeństwa nie trząśł się przed nim, bo tak po prawdzie, to kim on był? Dla kogoś pokroju Wichmanna – nikim, przybłądą, szczurem do odstrzelenia.

– Musi pan zrozumieć, że nie wszystko zależy ode mnie. Ja też mam swoich przełożonych – wyjaśnił Wichmann pojednawczym tonem. – Wszystko zależy od okoliczności. Sprawdzi się pan, zasłuży, dawne winy puścimy w niepamięć.

– Winy... jakie winy? – W Matthiasie się zagotowało.

– Są niepodważalne dowody. – Oficer uniósł ręce w obronnym geście.

– Sam je spreparowałeś.

– Panie Holt, tak to my rozmawiać nie będziemy! Są zasady, a pan ich nie przestrzega. Te insynuacje... te obelgi... Gdyby nie stan wyższej konieczności, porozmawialibyśmy inaczej, a tak daję panu do wyboru: albo wróci pan do celi i w tym przypadku sąd będzie miał uproszczone zadanie, dla nikogo nie ulega bowiem wątpliwości, że jest pan elementem aspołecznym, wywrotowym i że motywy, którymi się kieruje, wynikają z cynicznych i nihilistycznych przesłanek. Albo skorzysta pan z szansy na rehabilitację. Proszę decydować według własnego uznania.

– A co to za wybór?

– Lepszy taki niż żaden.

Matthias zacisnął pięści. Siedzenie w norze nie rozwiązywało problemu. Wichmann wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie będzie się z nim pieścił. Kulka w potylicę i do wora. Spotkanie z Jorgem przynajmniej dawało jakąś szansę na ratunek. Rozluźnił się.

– I jak?

– Zdaje się, że nie pozostawiliście mi zbyt wielkiego wyboru.

Dwadzieścia lat to szmat czasu. W takim okresie można dokonać wielkich rzeczy, ale żeby aż tak...

Opowieści o labiryncie Galerii nie były przesadzone. Tu zbrojownia, tam magazyn z żywnością. Super! Hallesches Tor to najlepszy przykład, jak właściwie z niczego można stworzyć potężną strukturę.

W jednym miejscu dostrzegł jasno oświetlony tunel z białą wykładziną na podłodze. Drzwi do apartamentów nie było wiele. Na ścianach widoczki, kinkiety. Czy tam mieszkają ludzie? Kim są? A może należało zapytać, kogo reprezentuje ta banda sukinsynów, że tak się ustawiała? Większość z mieszkańców metra żyła w nędzy, a ci tutaj opływali w luksusy. Nic dziwnego, że anarchiści rośli w siłę.

Hala, do której go zaprowadzono, wydawała się ciągnąć bez końca. Zapewne kiedyś w tym miejscu znajdował się podziemny parking samochodowy, obecnie zajęty przez uprawy hydroponiczne. Na odpowiednio spreparowanych siatkach, zanurzone korzeniami w wodzie rosły pomidory, cebule, ziemniaki i fasola, najwyraźniej potrzebując do życia tylko wody i światła. Jednego i drugiego rośliny miały tu pod dostatkiem.

Matthias aż otworzył usta ze zdziwienia, ujrawszy ten podziemny eden. Zieleń pieściła oczy. Powinni tu oprowadzać wycieczki, odpłatnie oczywiście, lub też

utworzyć sanatorium. Kwadransik w takich warunkach, a życie stawało się łatwiejsze.

Poszli skrajem zagonu sałaty. Zraszacze rozpylały delikatną wilgotną mgiełkę. Zapamięta ten widok do końca życia.

Dalej nie było już tak miło. Po sali przylegającej do tej z uprawami kręciło się co najmniej kilkadziesiąt osób, zajętych obsługą jakichś zaworów, przygotowaniem nawozów i nie wiadomo czym jeszcze. Cała błogość wyparowała z Matthiasa natychmiast, ale widok Jorgego nad wyraz go ucieszył. Jasmin stała w pobliżu, jedynie Nerda nie mógł nigdzie dostrzec.

Na razie nie zwracał sobie tym głowy. Wygląd Jorgego nie pozostawiał wątpliwości co do metod Wichmanna. Fifa pod prawym okiem przechodziła z granatu w zieleń, ta pod lewym wciąż wyglądała jak krwisty stek. Całości dopełniał spuchnięty nos i górna warga oraz liczne otarcia na policzkach.

Ku zdziwieniu Matthiasa Jasmin też nie przypominała kwitnącego kwiatuszka. Musiała dostać pięścią w same usta, bo spuchły do nieprzyzwoitych rozmiarów. Zdaje się, że tylko on wykpił się tanim kosztem.

– Sfufinfyny. – Dziewczynę ledwie można było zrozumieć. – Piefdoleni fafyści.

Mógł się mylić, ale w jej oczach dostrzegł łzy.

– Nie przejmuj się, jeszcze wyrównamy rachunki. – Matthias spróbował poklepać ją po ramieniu, lecz wywinęła się szybkim zwodem i odeszła o parę kroków.

– Co z nią?

– Przecież widzisz.

– Zrobili jej krzywdę?

– Mnie pytasz?

– Jej nie mam odwagi – przyznał Matthias. – A co z tobą?

– Bywało gorzej. – Jorge uważnie przyjrzał się swojej dłoni, najpierw palcom, a na koniec zaciśniętej pięści. Kończyny wydawały się w pełni sprawne.

– Gdzie Nerd?

– Zabrali go – odparł Jorge przeciągle. – Jeszcze pierwszego dnia rozdzielili nas i od tamtej pory nikt go nie widział. – W jego słowach wyczuwało się smutek i ból.

– Nie zostawimy go.

– A co chcesz zrobić, pogadać z Wichmannem?

– Jeśli to konieczne.

– Pozwól, że ja to zrobię w odpowiednim czasie. – Jorge podszedł o krok bliżej. – Patrz na strażników. Ilu ich widzisz?

– Co najmniej dwudziestu.

– Właśnie. Kilku z nich pójdzie z nami. – Powietrze zaświstało pomiędzy zębami stalkera. – I nie myśl sobie, że będą pilnować naszych tyłków.

Matthias uważniej przyjrzał się ochronie. Co najmniej kilku spośród tej dwudziestki wyglądało na tęgich zabijaków, zawodowców, bez których żadna niezależna stacja czy związek stacji nie potrafiły się obejść. To nie tępe maszyny do zabijania, raczej chirurgiczne narzędzia do precyzyjnej roboty. Szare mundury, czarne hełmy i kamizelki taktyczne. Bez wątplenia komandosi.

Dowodził nimi brunet z blizną na policzku. Matthias widział go po raz pierwszy.

– Ten z koślawą gębą... Widzisz go? – Jorge odwrócił się tak, by tamci nie widzieli, że o nich rozmawiają.

– Taa...

– Mówią na kutasa Sprinter.

– Tak szybko ucieka?

– Tak szybko goni.

– Znasz go?

– Dawne GSG 9, kapitan, tak twierdzi. Jaka jest prawda, wie tylko on.

Niezlą gromadkę znalazł sobie Wichmann.

– On dowodzi?

- Nie.
- A kto?
- Sam zobaczysz.

Gunnara nikomu nie trzeba było przedstawiać – wysoki na metr dziewięćdziesiąt, chudy, o okrągłej ogolonej głowie, krzaczastych brwiach i bystrych, jasnych oczach. Wkroczył do pomieszczenia jak wódz, który przyszedł obejrzyć swoją armię, pogwizdując „Lili Marleen”. Sprintera i jego ludzi zignorował, za to z Jorgem uściskał się serdecznie. Gdy przyszła kolej na Matthiasa, przybili sobie piątkę, przed Jasmin się uklonił. Cały Gunnar. Nikt z takim wdziękiem nie zabijał ludzi jak on. Czynił to bez nienawiści czy mściwości. Taka praca. Gorzej, jak się zalało Gunnarowi za skórę, dlatego też wśród mieszkańców metra nie było nikogo, kto by się na to zdobył.

- Gdy usłyszałem o naszej współpracy, nie mogłem uwierzyć. – Legendarny berliński stalker odezwał się jako pierwszy.

- Widzisz, marzenia się spełniają – odparł ponuro Jorge.

- Te skurwysyny ci to zrobiły? – Brwi chudzielca uniosły się. – Który? Sprinter czy ten osioł Wichmann?

- Nie ma o czym mówić.

- Pewne kwestie lepiej wyjaśnić od razu, tam na górze nie pozwolę na osobiste gierki.

- Boisz się?

- Gdy zobaczę, że robicie mi koło dupy, zatłukę jednego z drugim, jak mi Bóg miły.

- Może jego do tego nie mieszajmy. – Jorge przechylił głowę.

- Ostrzegam. – Gunnar pogroził mu palcem.

- Przestań mendzić. Dobrze wiem, jakie są zasady. Powiedz lepiej, jak ty dałeś się w to wmanewrować.

- Wynajęli mnie.

- Tak po prostu?

- Nie jestem takim altruistą jak ty. – Gunnar wbił wzrok w plecy Wichmanna.

Tamten pewnie odczuł swędzenie między łopatkami, bo przerwał rozmowę z podwładnymi i się odwrócił. Obaj mężczyźni zmierzyl się wzrokiem, po czym każdy z nich wrócił do przerwanej rozmowy. Konfrontacja nie uszła uwadze nikogo w pobliżu. Jak się wydawało, z tej próby żaden z nich nie wyszedł zwycięsko.

- Dowodzę ja i tylko ja. – Gunnar pochylił się i oparł obie dłonie o stół, na którym rozłożono aktualną mapę. – W razie mojej śmierci lub poważnych obrażeń decyżę, co czynić dalej, podejmie Rolf. – Skinął w stronę Sprintera.

A więc to tak. Gdy zabraknie Gunnara, komendę obejmie ten kapitan z dawnej Straży Granicznej.

Ich na pewno nie będzie oszczędzał i spokojnie wyśle na pewną śmierć. Własnych ludzie pewnie będzie mu szkoda. Nie po to ich szkolił, by tracić w jakiejś szarpaninie, niezależnie od zdania Wichmanna na ten temat.

Prawdę mówiąc, z Gunnarem czy bez i tak nikt nie gwarantował, że cało wrócą z wyprawy.

- Czy to jasne?

Przytaknęli.

- Mam ostatnio kłopoty ze słuchem. – Spojrzenie Gunnara przesunęło się z Jorgego na Rolfa.

Sprinter uśmiechnął się kącikami ust. Wydawał się zadowolony. Jorge stał nieporuszony. Ciszy nikt nie próbował przerwać.

- Nie wiem, kutasy, jaki macie problem i mało mnie to obchodzi. Pytałem, czy wyraziłem się dostatecznie jasno?

Tym razem Rolf przytaknął już bardziej ochoczo. W ślad za nim poszedł Jorge,

nawet nie próbując ukrywać wrogości wobec dawnego pogranicznika.

– A teraz patrzcie tutaj... – Ołówek w dłoni Gunnara przesunął się po planie. – Do dawnego lotniska nie mamy daleko. To zaledwie dwa przystanki: Mehringdamm i Platz der Luftbrücke.

Przysunęli się bliżej stołu, by zobaczyć i zapamiętać jak najwięcej. Uważnie obserwowali wskazane miejsca.

– Mehringdamm to nie problem, stacja jest niezależna – wyrwała się Jasmin stojąca obok Gunnara.

– Była niezależna, słoneczko, była. Twoje informacje są nieaktualne. Obecnie Hallesches Tor i Mehringdamm są związane sojuszem i tworzą nową strukturę... jak jej tam?

– Obóz... – Wichmann pośpieszył z wyjaśnieniami. – Obóz Walki i Pracy.

OWP? Matthias pierwsze słyszał o czymś takim. Wystarczyło spojrzeć na Wichmanna, by dojrzeć bijącą z jego twarzy dumę, zupełnie jakby to on sam doprowadził do tego sojuszu.

Cudownie, wprost cudownie. Na wschodzie Gneisenaustraße, na zachodzie Möckernbrücke. Czy one również znajdowały się na celowniku właścicieli Hallesches Tor? Zapewne. Teraz, gdy przejście przez Kochstraße stanęło pod znakiem zapytania, Galeria chciała zabezpieczyć połączenia z resztą sieci. I to jak najszybciej. Można powiedzieć, że historia tworzyła się na oczach Matthiasa. Zawiązanie sojuszu nie zostało jeszcze oficjalnie ogłoszone. Ciekawe, czy kalif już o tym wiedział. Pewnie sypnąłby groszem za informacje.

– Nie muszę dodawać, że mamy zapewnioną wszelką pomoc ze strony nowych władz. Dla zainteresowanych: dotyczy to przede wszystkim kwestii wypłaty, jak i opieki medycznej oraz pewnego rodzaju ubezpieczenia w razie utraty zdrowia. Dobrze. Skoro w tej materii mamy jasność, przejdźmy do meritum – Gunnar zawiesił głos dla lepszego efektu. – Wszyscy wiecie, że na długo przed wojną lotnisko Tempelhof przestało pełnić swoją zasadniczą rolę, stając się czymś w rodzaju parku rozrywki, centrum konferencyjnym, rekreacyjnym i cholera wie czym jeszcze, niemniej nie należy zapominać o najważniejszym: pod lotniskiem, zarówno pod terminalem, jak i pod pasami startowymi, ciągną się kilometry niespenetrowanych tuneli.

– Będziemy tam wchodzić? – spytał Rolf.

– Tylko wtedy, gdy to będzie konieczne. Po pierwsze, mamy dowiedzieć się, co stało się z uczestnikami dwóch poprzednich patroli. To jest najważniejsze. Po drugie, należy zabezpieczyć park maszyn znajdujący się w południowej części obiektu, a przynajmniej zobaczyć, w jakim stanie się znajduje, i dokonać wstępnej inwentaryzacji. Rozumiemy się? Doskonale. Wymarsz za godzinę, do tego czasu możecie odpocząć. Rozejść się.

– Jorge...

– No...

– Wierzysz Wichmannowi?

Stalker odwrócił się w stronę towarzysza:

– A ty uwierzyłybyś wściekłemu psu?

Matthias przez moment zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Może Samir też poszedł na Tempelhof? – To pytanie gnębiło zwiadowcę od samego początku.

– Kto go tam wie.

– Nie wydaje ci się dziwne to nagłe zainteresowanie lotniskiem? No, powiedz. Najpierw Samir przepada jak kamień w wodę, potem te patrole.

– Aż tak cię to martwi?

- Pamiętasz, co powiedział ten handlarz o Pankow?
- Mati, to było dawno, on sam nie wiedział kiedy.
- A ja ci mówię, że na górze dzieje się niedobrze.
- Stałeś się czarnowidzem – skwitował Jorge, wyraźnie pochłonięty własnymi myślami.
- Ja też martwię się, co z Nerdem. – Matthias wcisnął magazynek do G36 w gniazdo. – I Jasmin też. – Wskazał w stronę dziewczyny, która właśnie ostrzyła samurajski miecz, kciukiem sprawdzając efekt. – Szarpnęło nią to mocniej, niż chce przyznać.
- Rozmawialiście?
- Nie. – Tym razem to on zbył Jorgego półsłówkiem. – Ale to widać.
Plecak wypełniły racje żywnościowe, dodatkowe filtry i przydatne drobiazgi. Na zewnątrz przytoczy torbę ze skafandrem. Gdy zabrakło młodego, musiał wszystko targać sam.
- Nie obraż się, ale dureń z ciebie.
- Dzięki za dobre słowo.
- Jej zależy jedynie na nagrodzie. Sprzedałaby własnego ojca i matkę za dodatkowy magazynek. Ta afera z Kochstraße wybiła ją z rytmu, ale zapewniam, że szybko wróci do formy. Jak zdarzy się okazja, to się zmyje i nikt jej nie zatrzyma, ani Gunnar, ani Rolf.
- Żle ją oceniasz.
- Doprawdy? Mati, przejrzyj na oczy. Ona jest najemnikiem.
- My też.
- Nigdy nie słyszała o honorze. Jak trzeba będzie, to sprzeda nas Wichmannowi. Kto wie, może już to zrobiła. – Jorge zaczął zbierać porzucany dobytek. – Wzięli ją w obroty tak samo jak nas. Nikt nie wie, co im powiedziała.
Złość Jorgego wydawała się uzasadniona. Matthias dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, na co się zanosilo. Dziesięć osób i kilka sprzecznych interesów.
Gunnar wydawał się być ponad tym wszystkim, ale kto wie, jak się zachowa, gdy przyjdzie godzina próby. Sprinter i jego banda – tu wszystko wydawało się jasne, choć też nie do końca. Ze słów Jorgego wynikało, że Jasmin też przyświecały niejasne intencje. Natomiast Matthiasowi i Jorgemu zależało na Nerdzie i Samirze. Właśnie w tej kolejności. Czas pokaże, co z tego wyjdzie.

Rozdział IX

Tempelhof

Tunel w kierunku Mehringdamm został oświetlony. To już nie była jakaś tam droga pomiędzy stacjami, lecz arteria przyjaźni. Ruch w obie strony odbywał się całkiem swobodnie, bez kontroli i zagładania do bagażu. Każdemu z obywateli obu stacji wydano odpowiednie dokumenty. Ich właściciele automatycznie znajdowali się pod ochroną nowych władz. Prawdopodobnie niedługo zostaną rozesłani przedstawiciele dyplomatyczni do innych stacji. Oczywiście, dotyczyć to będzie jedynie tych o większym znaczeniu. Peryferiami nikt nie będzie się przejmował.

Nikt nie próbował stanąć im na drodze. Zresztą po co? Od razu widać, co z nich za jedni. Specgrupa. Takich nie wzywają do reperacji pękniętej rury czy uspokojenia gościa, który za dużo wypił. Ich robota jest konkretna, co widać po ilości broni, jaką ze sobą taszczyli. Głównie automaty, ale dawało się dostrzec też snajperkę, jak i erkaem, a nawet granatnik. Z taką siłą ognia należało się liczyć.

Matthiasa mało interesowała wielka polityka, te wszystkie sojusze, ligi i zjednoczenia. W życiu stosował kilka prostych zasad: jak zostaniesz uderzony, oddaj, i to z nawiązką; chroń słabszych i nie zgłaszaj się na ochotnika, chyba że nie ma innego wyjścia, ale i wtedy nie szarżuj jak wariat, pomyśl, pokombinuj, może znajdzie się alternatywne rozwiązanie.

Łatwo powiedzieć, gorzej wykonać. Życie niestety nie jest takie proste. Możesz stanąć na głowie, a i tak sprowadzi cię do parteru, kopnie w zadek, a na koniec napluje w twarz. Wystarczyło zerknąć na Jorgego. Teraz maszerował tuż za Gunnarem, prawie następując mu na pięty. Świetny był z niego kumpel, choć troszkę za przyzwoity, a jak wiadomo generalnie wygrywiają dranie. Przykład Wichmanna sam cisnął się na usta. W tej kwestii niewiele dawało się zrobić. Gdyby tak odstrzelić tych typków? Co to zmieni? Nic, i tak świat będzie ewoluować w złą stronę. Takich jak szef bezpieczeństwa Hallesches Tor będzie przybywać. Tak to już jest. Dobrzy wyginą, bandyci przetrwają. Koniec, kropka.

Chociaż... On też chciał przetrwać. W takim razie kim jest? Dylemat kata i skazańca. Na razie nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Logicznie patrząc, jeżeli jest dobry, to co? Zginie? Zupełnie bez sensu.

Kiedy już dojdzie do konfrontacji z bandą Sprintera, postara się przynajmniej kilku zabrać ze sobą. Niech się im nie wydaje, że są niezniszczalni. Być może w konfrontacji z inną bandą okazywali się niezli, ale powierzchwnia to zupełnie inna bajka. Wyszkolenie to jedno, doświadczenie drugie. Pod tym względem oprychy nie mogły się z nimi równać.

Mehringdamm nie wyglądała tak dostanio jak Hallesches Tor, ale i w niej tkwił pewien urok – tory oddzielały arkadowe łuki, nad peronami sklepienia, z niewysokiej galerii strażnicy przyglądali się temu, co na dole. Widok Gunnara i reszty grupy nie wprawił w zachwyt ich dowódcy, żyłastego kurdupła o imponujących bokobrodach i wąsach. Gunnarowi sięgał najwyżej do ramienia. Wspólnie odeszli na bok zamienić parę słów. Pozostali przysiedli na skraju peronu, za to Matthias ruszył wzdłuż rzędu straganów. Nie spodziewał się dojrzeć niczego niezwykłego, ale kto wie?

Ubrania... nie dla niego, podobnie jak sterta emaliowanych naczyń. Trochę postał przy budzie z książkami. Powieści pominął, od razu koncentrując się na komiksach. Wybrał jeden, gdzie superbohater gromił wrogów i nawet się przy tym nie spocił. Cenę dwóch nabojuów uznał za akceptowalną, lecz dla zasady spróbował się potargować. Niestety, to nie tereny Ligi Muzułmańskiej, więc sprzedawca go wyśmiał. Zniesmaczony Matthias zapłacił i poszedł dalej.

Obok jadłodajnia, a w niej na półmisku piętrzyły się placki z mięsnym farszem. Tu nie było tanio. Pięć pocisków do G36 to już coś. A co tam. Wichmann płacił. Wciągnie

się to w koszty.

Zajadając placek, chciał kontynuować zwiedzanie, lecz wycieczka szybko się skończyła. Dwadzieścia metrów i koniec peronu. Dalej do śluzy i schodami w górę lub tunelem do Platz der Luftbrücke. U jego wylotu stała warta. Tu kończyły się porządki OWP, a zaczynały...

– Mati! – Doleciało do niego z oddali.

Odwrócił się. Jorge machał ręką.

Gunnar poprowadził ich w bok, na przeciwległy peron, obok dymiącego kosza z tłącymi się polanami.

Ta część Mehringdamm wydawała się luźniejsza. I nic dziwnego, tu znajdowała się administracja.

Jej struktury pewnie wkrótce zostaną rozbudowane. W końcu na kimś należało się oprzeć.

Urzednicy to w końcu najłatwiejsza do kontroli grupa społeczna. Nic nie potrafią oprócz przesuwania papierów po biurku. W przeciwieństwie do innych raczej się nie zbuntują. Będą knuć na boku, robiąc to tak nieudolnie, że w końcu i tak nic z tego nie wyjdzie.

Armia i bezpieczeństwo to zupełnie inna para kaloszy. Tym z kolei się wydawało, że skoro posiadają broń, powinni stanąć na czele, w sumie obojętnie czego, a byli takimi samymi pustakami jak i urzednicy, tyle że mniej od tamtych inteligentnymi.

Kiedyś, gdy Matthias był znacznie młodszy i chłonał jak gąbka każde słowo Jorgego, a ten też był bardziej rozmowny, powiedział mu, że niewielu z tych, którzy próbowali zdobyć władzę, potrafi zrozumieć jedno – prawdziwe rządzenie to sztuka balansowania. To brzemię, ale i słodycz. Niezbędna jest wiara we własne posłannictwo, ale nikt nie postawi na pierwszego lepszego krzykacza. Tu potrzebna jest charyzma, a później odpowiedzialność. Nawet kiedyś nigdzie tego nie uczyli, ale można się z tym urodzić.

Gunnar się zatrzymał. Otoczyli go kręgiem.

– Jeżeli ktoś liczył, że wyjdziemy przez Platz der Luftbrücke, to niestety się zawiedzie – oświadczył dowódca.

– Problemy? – Jorge oparł się o ścianę z założonymi rękoma.

– Na to wygląda. Nasi... sponsorzy nie dogadali się do końca. Podobno wynikł jakiś spór. Jaki? Mnie nie pytajcie. Nie mam pojęcia. Dalej pójdziemy górą. W sumie to już niedaleko.

Nikt nie kwestionował decyzji. Co prawda na Mehringdamm linia U6 krzyżowała się z linią U7 i pod ziemią dawało się podejść jeszcze kilkaset metrów na Gneisenaustraße, ale tam już panowali brunatni. Kontakty z nimi nie należały do przyjemnych. Trudno powiedzieć, co im strzeli do głowy na widok specgrupy OWP. Najprawdopodobniej otworzą ogień. Robili tak zawsze, gdy czegoś nie rozumieli lub wydarzenia układały się nie po ich myśli.

– Zaczynicie się przebierać. Macie kwadrans. Rolf, dopilnuj wszystkiego.

Niedawno minęło południe, co by nawet zgadzało się z pozycją słońca, nieśmiało przebijającego się spoza ciężkich gradowych chmur.

– Północ w piekle, a nie środek lata – skrzywił się Jorge.

Matthias do ostatniej chwili poprawiał maskę na twarzy, starając się jak najlepiej dopasować ściągacze. Gdy w końcu uporał się z problemem, niemal od razu poczuł wilgoć zbierającą się w zakamarkach ciała. Zignorował przykre swędzenie pod kolanem. Samo przejdzie.

Stali wszyscy zbitą gromadą tuż przy wyjściu z metra. Otoczenie nie robiło wrażenia na stalkerach, ale na ludziach Sprintera już tak. Ile razy wychodzili na powierzchnię – dwa, trzy? Nawet jak pięć, to i tak w najbliższym otoczeniu stacji.

Gunnar wysunął się na czoło. Jorge stanął po jego lewej, a Rolf prawej stronie. Naradzali się półgłosem. W końcu padł znak – poszli Mehringdammem na południe, mijając wraki samochodów i porozbijane szklane witryny. Większych oznak zniszczenia na razie nie dostrzegali, dopiero przy Fidicinstraße Matthias zobaczył ogon pasażerskiego odrzutowca wystający znad zburzonej kamienicy. Smętna pamiątka po dawno minionej wojnie.

Jak to się stało, że nie spłonął? Trudno powiedzieć. Stateczniki lśniły bielą tak samo jak w dniu, w którym wzbіл się ostatni raz w powietrze.

Stada samochodów, wciąż w tym samym miejscu, od dwudziestu lat nie potrafiły przebić się na drugą stronę skrzyżowania. Sygnalizacja już nigdy się nie włączy, nie będzie zielonego światła. Właściciele już dawno pożarł czas. Podobno kiedyś było odwrotnie – wozy użytkowano krótko, wymieniając na nowsze modele, gdy stare nie zaspokajały aspiracji.

Nadłożyli drogi, żeby wyminąć to złomowisko. Na wystającym fragmencie blachy czy szkła łatwo można było uszkodzić skafander.

Ciekawość Matthiasa wzbudził autobus – niegdyś soczyście zielony, obecnie pokryty całymi płatami rdzy. Farba spłowiła lub od słońca, lub od toksycznych deszczów, ogumienie popękało, a wielki pojazd stał w kępach zielska, które rozrosło się w pobliżu kół.

Fasada budynku dawnego lotniska nadal robiła wrażenie. Ten imponujący efekt ludzkiej myśli godnie opierał się działaniu czasu. I pomyśleć, że budowę rozpoczęto ponad sto lat temu. Skoro dziś zachwycał, to jakie emocje musiał budzić wtedy. Nie było się czemu dziwić – dworce kolejowe i lotniska to wizytówki państwa. Widząc monumentalną budowlę, każdy przybysz od razu powinien poczuć respekt i podziw.

– Nie rozchodzić się! – zagrział Gunnar pod adresem podwładnych Sprintera, którzy zaczęli myszkować po okolicy. – Trzymać się razem.

Reprimenda podziałała. Przestawszy się szwendać, znów utworzyli zwarty oddział. Szli jak należy, w formacji, mierząc z automatów we wszystkie strony.

Gunnar, ubezpieczony przez Jorgego i Matthiasa, szerokim podjazdem podążył w stronę głównego wejścia. Zbliżali się powoli. Licho wie, co wyskoczy ze środka.

Wyłamane drzwi świadczyły, że nie byli pierwszymi chętnymi do odwiedzenia przybytku. Matthias sprawdził okoliczne dachy. Po ostatnich doświadczeniach wołał dmuchać na zimne. Czysto. Teraz ostrożnie. Delikatnie przesunął stopą wielki kawał szkła i już śmieiej podążył za Gunnarem.

Hol wyglądał na kompletnie pusty. Przemknęli przez niego jak najszybciej, żeby wyjść na tyły kompleksu. Nie było to takie proste. W terminalu panowały wprost egipskie ciemności, a rozległość pomieszczeń dezorientowała. Wyjęli latarki i ostrożnie posuwali się naprzód, kierując się informacjami i piktogramami pozostałymi na ścianach. Wiele z nich było pozamazywanych i pozrywanych, jakby ktoś się wkurzył na lotnisko albo cały świat.

Stalkerzy byli przyzwyczajeni do takich widoków. Tuż po nuklearnej zagładzie żyły jeszcze tu i ówdzie jakieś niedobitki ludzi. Najwyraźniej gromadzili się w takich miejscach, mając nadzieję, że razem z innymi mają większe szanse na przeżycie i doczekanie ratunku. Prędzej czy później chyba docierało do nich, że to koniec. Różnie reagowali, widocznie sporo musiało tupnąć, odreagować na otoczeniu. Praktyczne konsekwencje były takie, że trzeba było uważać na zwłoki pod nogami. Nieraz dużo, kiedy desperat postanowił zaoszczędzić bliźnim mąk chorób i rozpaczy, nieraz tylko pojedyncze, jako świadectwo następnego etapu – rezygnacji.

Za plecami Matthiasa ktoś zaklął, gdy wielki szczur wyskoczył mu spod nóg. Czym one się tutaj żywiły? Wszystkie zwłoki, jakie widzieli, były już obgryzione do kości.

– Jorge, zabierz swoich. Pójdziecie tędy. – Gunnar wskazał w kierunku mrocznego przejścia. – Reszta za mną.

Kroki ekipy Gunnara wkrótce ucichły w oddali. Zostali sami. Nareszcie.

Przemierzyli kolejny wielki hol, wszędzie dominowały funkcjonalność i prostota.

Nadal było widać, że właśnie te dwie idee przyświecały budowniczym. Szkoda, że ze środka wypruto niemal wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Zostały same gołe ściany i filary. W końcu wyszli po przeciwnej stronie. Ich oczom ukazała się pusta połać płyty lotniska. No, może nie całkowicie pusta, bo tu i ówdzie tkwiły znieruchomiłe ciężarówki, a nawet kilka mniejszych samolotów. Zapewne niektórzy próbowali tą drogą uciekać przed zagładą, uznawszy, że to lepszy pomysł niż próba przebijania się przez zakorkowaną autostradę. Pewnie tak, lecz nie wszystkim się udało.

Jorge, nie czekając, aż dołączą do niego, podążył w stronę jednej z maszyn. Ta była większa od pozostałych – transportowiec z czterema szablastymi śmigłami wyglądał jak gotowy do lotu. Na szarym kadłubie widniał napis „Luftwaffe”, z tyłu miał namalowany maltański krzyż. Matthias po raz pierwszy w życiu widział takie cudo. Jak coś tak olbrzymiego mogło unieść się w powietrze? Rampa załadunkowa była zamknięta, wszystkie drzwi i okna pozamykane.

Samochodowa cysterna stała tuż obok.

– Idziemy sprawdzić? – zapytała Jasmin.

– Później. – Oddech Jorgego wydawał się krótki i urywany.

Obeszli samolot, starając się dostrzec, co jest dalej. Terminal i hangary ciągnęły się łukiem po obu stronach. W futrynach wybitych okien pogwizdywał wiatr. Próbowali wzrokiem przebić ciemności, lecz próby te skazane były na niepowodzenie. Światło latarek również grzęzło w gęstniejącym mroku.

Na obejście lotniska potrzebowali całego dnia, a nie paru godzin. Ciekawe, jak to sobie wyobrażali ci z Hallesches Tor – przyjdą, popatrzą, a sprawy rozwiążą się same? Niedoczekanie.

Daleko po prawej huknął strzał, potem kolejny i w końcu dało się słyszeć całą serię. Kanonada wybuchła tak niespodziewanie, że Matthias znieruchomiał w pół kroku.

Pierwszy z szoku otrząsnął się Jorge.

– To nasi...

– Chcesz tam iść? Po co? Żal ci Rolfa i jego kumpli? – zaproponowała całkiem rozsądnie Jasmin.

– Nie zostawię Gunnara.

– Pisaliśmy się na inną robotę.

– Jak chcesz, możesz zostać.

Stalker pobiegł długimi susami. Matthias nie namyślał się długo. On z kolei nie zostawi Jorgego. Tak już to działało. Nie oglądając się na dziewczynę, ruszył za przyjacielem.

Wysiłek w skafandrze i masce na twarzy stanowił prawdziwą udrękę, lecz na tym wygwizdowie wiatr zawiewał tumany pyłu i zdjęcie maski nie wchodziło w grę. Pocił się już wcześniej, teraz to już była zupełna katastrofa. Płuca pracowały jak miechy, a słony pot zalewał oczy. Biegł jednak, nie zwalniając, bo w takiej sytuacji cenna mogła być każda sekunda.

Zaczął już przeklinać pryncypialność Jorgego. Gunnar Gunnarem, ale Jasmin miała rację – jak bandytów Sprintera ubędzie, nie zamierza po nich płakać.

Wyminęli zdezelowaną ciężarówkę i wypadli na otwartą przestrzeń. To, co zobaczyli, zmroziło im krew w żyłach.

Część pasa startowego została przeorana przez gigantyczną ośmiornicę. Monstrum musiało zagnieździć się w kanałach pod lotniskiem i teraz pewnie wypełzło na spacer albo kolację. Odnóża chyba dwudziestometrowej długości siekły na wszystkie strony, a maleńkie ludzkie figurki miały się, starając wyrwać się z potrzasku.

Grzechot broni automatycznej zdawał się nie robić na mutancie wrażenia. Któryś ze strzelców, nie dość szybki, by uniknąć ataku, został porwany w powietrze i ciśnięty z potworną siłą. Krzyk mężczyzny przez moment zagłuszył wszelkie inne

dźwięki, po czym ucichł, gdy ciało uderzyło o ścianę terminalu. Na murze pozostała krwawa plama. W okrwawionych szmatach, które spadły na ziemię, trudno było rozpoznać człowieka.

Matthiasowi wydawało się, że śni. To nie mogło się dziać naprawdę. Doznał kolejnej halucynacji. Dopiero uderzenie w ramię wyrwało go z odrętwienia.

– Na co czekasz?! – Jasmin z mieczem w dłoni najwyraźniej szykowała się do ataku.

Chciał podbiec bliżej, biorąc za cel oczy – przynajmniej te dwa wyłupiaste, lśniące bielą ślepia powinny być wrażliwszym miejscem. Przystanął, unosząc kolbę do ramienia. Skupił się, wiedząc, ile zależy od precyzji. Już prawie... Szósty zmysł nie raz uratował Matthiasowi życie. Tym razem też. Grube na metr odnóże wyłoniło się z nicości po lewej stronie. Miał ułamek sekundy na podjęcie decyzji. Za mało miejsca, by odskoczyć do tyłu – gdy padnie, macka rozsmaruje go na betonie. Adrenalina dodała mu siły. Podskoczył tak wysoko jak jeszcze nigdy w życiu.

Prawie się udało... Czarno-sine odnóże przeleciało tuż pod nim, tylko muskając o nie dość wysoko podniesioną nogę.

Zanim to poczuł, fiknął w powietrzu kozła i spadł plecami na ziemię. Uderzenie wycisnęło powietrze z płuc. Kurwa, jak bolało. Wizjer maski ograniczał widoczność, ale wzniesione ponad nim odnóże widział doskonale.

Przetoczył się na bok, unikając zmiążdżenia. Ktoś chwycił go pod ramię i odciągnął. Czuł drżenie pod stopami. Potykając się, odskoczyli jeszcze dalej.

– Dzięki – wyjęczał.

– Nie ma za co. – Jasmin pozbierała się szybciej od niego. Gdy on dopiero dochodził do siebie, ona już była gotowa do kolejnej rundy.

Nie czekając na pomoc, skoczyła w stronę najbliższej macki unoszącej się w powietrzu parę metrów od nich. Miecz ciął ze straszliwą siłą. Matthias przestraszył się, że stal odbije się od skóry lub ugrzęźnie w cielsku, ale nie – co najmniej półmetrowa końcówka z przyssawkami została odcięta. Z rany trysnęła posoka. Tam, gdzie spadła choć kropla, unosił się dym. Strach pomyśleć, co będzie, gdy krew bestii spadnie na skafander.

Potwór znieruchomiał, najwidoczniej zdziwiony tym, co zaszło. Dobył się z niego paskudny, świdrujący uszy skrzek, a raczej jęk.

Jeżeli komuś wydawało się, że to zakończy walkę, grubo się mylił. Monstrum, trzymające się do tej pory wejścia do tunelu, wydobyło z podziemi pozostałe macki i ruszyło na ludzi. Wpadło chyba w amok, bo wszystkie odnóża jednocześnie zaczęły walić w podłoże, a dwa najdłuższe ze świstem przeszywały powietrze, starając się dopaść ofiary.

Już po chwili zginął kolejny nieuważny bądź spanikowany zwiadowca – tym razem, nadziany na kościany grot, nie pofrunął w stronę budynku, lecz znikł w paszczy stwora.

Jedna noga nieszczęśnika spadła na ziemię, odgryziona zębami przypominającymi jakieś ogromne ni to dzioby, ni to pazury. Reszta została pochłonięta. Matthias na ten widok o mało nie zwymiotował.

Prawie ogłuchł, gdy serie z karabinów odezwały się nagle ze wszystkich stron. Każdy, kto mógł ustać na nogach, naciskał na spust. Dopiero teraz się zorientował, że ci, którzy go otaczają, to nie podwładni Rolfa, tylko jacyś inni, zupełnie obcy.

W pobliżu szalała Jasmin. Blask srebrzystego ostrza wydawał się otaczać ją ze wszystkich stron. Nie były to pojedyncze cięcia, a raczej całe sekwencje, jak taniec – bloki, uniki i atak, bo co i raz wbijała żądło w miotające się odnóża.

Niepotrzebnie ryzykowała. Wystarczyła jedna kropelka żrącego kwasu, a nie będzie jak jej ratować.

Spróbował ją osłaniać, ale nie strzelał na oślep jak inni, faszerujący bestię setkami pocisków, które i tak jej nie szkodziły. Krzyczał przy tym do niej, nie wiedząc, jak inaczej zwrócić jej uwagę i zmusić do wycofania się.

Jasmin w końcu się opamiętała. Odskoczyła do tyłu, w chwili gdy zwierzę strzyknęło w jej stronę czarnym atramentem. Była szybka, więc jej nic się nie stało, za to przebiegającemu za nią zwiadowcy śluz spadł na ramię. Równie dobrze mógł je podłożyć pod gilotynę. Wszystko od łokcia aż po dłoń pokryło się dymem i szerniało, bulgocząc. Skowyt rannego zadzwonił Matthiasowi w uszach. Ten człowiek nie błagał o ratunek, tylko o szybką śmierć. Ta przyszła pod postacią macki, która urwała mężczyźnie głowę. Ciało poleciało na skrwawiony beton.

Mutanta nic nie było w stanie powalić, a ludzi ubywało.

Jorge próbował dowodzić, lecz niewielu go słuchało. Wszyscy, krok za krokiem, zaczęli się wycofywać w stronę wejścia do terminalu. I wtedy właśnie kolejna ekipa włączyła się do walki.

To na pewno był Gunnar.

Nadeszli tyralierą, siekąc ze wszystkich luf. Takiej ulewy ołowiu stwór nie był w stanie wytrzymać. Zaczął miotać się na boki, żeby zejść z linii ognia. Nic z tego. Obojętnie, gdzie się nie zwrócił, ścigał go grad kul.

Matthias skrył się za rozsypującą się furgonetką i złożył do strzału. Tym razem nie chciał chybić. Czekał, aż ślepiec mutanta nie będą przysłonięte. No, szybciej, pokaż się... Teraz. Wystrzelił. Tym razem dźwięk, jaki wydał stwór, ścinał z nóg. Musieli go słyszeć na drugim końcu miasta. Ostrzał się wzmógł. Ktoś rzucił granatem, a ktoś inny wystrzelił z miotacza płomieni.

Powoli zaczęli zaganiać bestię do dziury, z której wypęzła. Wreszcie to oni byli górą.

W przeciwieństwie do Jorgego Gunnara słuchali wszyscy bez wyjątku. Rozkazy padały bez ustanku:

– Z prawej, z lewej, ogniem gnidę!

W końcu ponad otworem w płycie startowej kołysały się jedynie odnóża, ale i te znikły. Po mutancie pozostała końcówka macki odrąbana przez Jasmin i dymiące dziury wypalone przez jego posokę.

Gunnar na ostatek kazał wrzucić do szybu wiązkę granatów. W powietrze trysnęły fontanny ognia. Odczekali chwilę, żeby zorientować się, co stało się z potworem. Mieli nawet nadzieję, że ten ostatni wybuch pod ziemią załatwił go na amen, ale nie – z głębi dobiegały wciąż różne skrzeki i szurania. Na szczęście jakby cichły, coraz bardziej przytłumione. Wydawało się, że potwór wrócił do miejsca, z którego wyszedł.

I dobrze, jeszcze trochę, a znowu nie miałyby kto wrócić i poinformować o spotkaniu.

Matthias ciężko dyszał. Plecy bolały go jak jasna cholera. Stłukł też łokieć prawej ręki. Całe szczęście, że nie roztrzaskał głowy. Odpoczywał, oparty o kolana. Słabość mijała powoli. W końcu podreptał w stronę Jorgego i Gunnara.

Dwie ludzkie gromady skupiły się wokół swoich wodzów. Nieufność wisiała w powietrzu, stąd już tylko krok do kolejnej strzelaniny.

– Ręce na widoku. – Gunnar nie opuszczał automatu wciąż tak samo czujny jak podczas walki.

– Wiesz, do kogo mówisz? – Wysoki zwiadowca w skafandrze o zgniłozielonym kolorze nie wydawał się przestraszony.

– Spod tej maski jakoś nie mogę dojrzeć twarzy.

– Racja – roześmiał się tamten. – Dowodzę pierwszą kohortą drugiej centurii. Na imię mam August.

Więc stało się to, co musiało się stać, i nie było w tym niczyjej winy. W okolicach Tempelhofu należało się spodziewać patroli brunatnych.

Jorge dużo opowiadał Matthiasowi o historii, więc młodszy stalker wiedział, skąd te dziwaczne nazwy. Nazwanie oddziału kohortą czy też centurią to nic innego jak zręczny wybieg przenoszący akcent z bliższej historii na dalszą. W praktyce to samo, a brzmi lepiej. No i dodatkowo uzasadnia rzymskie pozdrowienia.

Jedno nie ulegało wątpliwości – z wielbicielami ładu i porządku lepiej nie zadzierać. Znajdowali się na ich terenie. Istotne było, że kohorta pomogła w walce z potworem. Być może August wie, co stało się z poprzednimi patrolami, i zechce podzielić się tą wiedzą. O drugiej części misji na razie należało zapomnieć. Nie da się wynieść niczego sprzed nosa tej zgrai. Jeżeli OWP chce wejść z nimi w otwarty konflikt, to nic nie stoi na przeszkodzie. Na pewno dysponuje odpowiednimi środkami i zapleczem. Lecz nie oni i nie dziś.

Gunnar zapewne doszedł do takich samych wniosków. Opuścił broń, co wyraźnie poprawiło atmosferę.

- Dokończymy to, co zaczęliśmy? – Słowa Augusta zabrzmiały jak wyzwanie.
- Mówisz... o tym czymś? – Gunnar wskazał dziurę.
- Przecież po to przyszliście.
- Tak się składa...
- Nie?
- Po prostu nie spodziewaliśmy się, że jest taki duży.

Rozdział X

Legowisko

– Widziałeś? O kurwa, jaki wielki... Jak majtnął tym gościem, to myślałem, że narobię w gacie.

– A te macki? Ja pierdołę. Jedna przeleciała mi przed twarzą.

Ekscytacja żołnierzy Augusta i podwładnych Rolfa męczyła Matthiasa. Cholerni zasrańcy, zachowują się jak dzieci. Raz zobaczyli mutanta i teraz będą nawijać o tym godzinami. Niedługo odnóża zrobią się długie na pięćdziesiąt metrów i grube na co najmniej dwa. Amatorzy zawsze tak reagują, wszystko wydaje im się większe, niż jest w rzeczywistości.

Jorge wytłumaczył Matthiasowi, co to za potwór. Kraken. Jakaś zmutowana odmiana olbrzymiej kałamarnicy, a nie ośmiornica, od której różni się dodatkową parą macek, dłuższych niż reszta i czymś zakończonych. Ta miała pazury i jakby harpun. Kiedyś krakeny podobno zatapiały statki. Nigdy jednak nie żyły na lądzie, nie miały płuc. Aż do tej pory. Jeśli Jorge tak mówił, to tak musiało być. Przeczytał wszystko o potworach, mutantach i innych odmieńcach, co tylko było dostępne w metrze, i przy każdej okazji przepytывał każdego, kto tylko mógł służyć mu jakimiś dodatkowymi informacjami. Matthias zawsze był pełen podziwu dla jego wiedzy. Kiedyś takich ludzi nazywano chodzącymi encyklopediami. Albo jakoś tak.

August prowadził ich w stronę terminalu, tuż obok rozbitego śmigłowca. Pod ścianą złożyli resztki ciał poległych owinięte w peleryny. Zajmą się nimi później, o ile nie przyplączą się padlinożercy. Teraz liczyła się każda sekunda.

Całe to zamieszanie nie podobało się Matthiasowi. Po jaką cholere Gunnar wciąga ich w kolejną kabałę? Należało odmówić. Grzecznie, ale stanowczo. Nic tu po nich. Zamiast tego szykowali się do wejścia w korytarze pod lotniskiem. Kompletnie szaleństwo.

– Jorge, pogadaj z Gunnarem. – Matthias zrównał krok z przyjacielem wytrwale podążającym za czołówką.

– O czym?

– Tobie też odbiło?

– Czego się czepiasz?

– Włożenie w paszczę potworowi uważasz za dobry pomysł? Zastanów się. – Młodszy stalker ani myślał ustąpić.

– Mati, jak to bydlę przedostanie się do zamieszkałych tuneli, wszyscy będziemy mieli przerąbane. Już posmakował ludzkiego mięsa. Przecież widziałeś, co się stało. Bez naszej pomocy rozsmarowałyby ich po całym Tempelhofie. Nawet Rolf to rozumie.

Jorge wyminął kumpla, a Matthias zerknął w stronę Sprintera, który zamykał kolumnę do spółki z jednym z żołnierzy Augusta. Gwarzyli przy tym wesoło jak starzy kumple i faktycznie, zdawało się, że obaj idą do akcji bez żadnych wątpliwości. Tymczasem nim targwały wątpliwości. To dopiero absurd. Dlaczego nagle obleciał go strach?

Kraken był naprawdę wielki, ale nie o niego chodziło. Być może Matthias zdał sobie sprawę z własnej śmiertelności. Tyle razy ocierał się o śmierć, a dopiero dzisiaj wstrząsnęło nim to do głębi? Walczył jak pozostali i trach, nagła blokada. Strach paraliżuje nogi. Teraz zaczyna marudzić jak jakiś cywil. To chwilowe, czy też będzie go dręczyć dłużej?

Nie zdążył rozważyć tych pytań, dotarli bowiem do schodów prowadzących w głąb ziemi.

– Flara – zakomenderował August.

Jasna plama płonącej magnezji rozjaśniła otoczenie. Matthias zawczasu zmrużył oczy, lecz i tak blask prawie go oślepił. Zupełnie jakby zapłonęło nowe słońce.

Do przodu wysunął się mężczyzna z erkaemem i świeżo łątanymi spodniami. Widać, o coś zahaczył w czasie ostatniej bitwy, a jako profesjonalista nosił ze sobą taśmę i klej. Karabin maszynowy dzierżył pewną ręką. Szedł pochylony i czujny. Tuż za nim postępował kolejny, niemal opierając się o jego plecy. Reszta zwiadowców stłoczyła się tuż przy zejściu.

Zamarli, gdy z oddali dał się słyszeć przeciągły ryk. O kurwa, ten bydlak jednak wciąż tam jest. Pod Matthiasem omal nie ugięły się nogi. Reszcie twarzieli również nie było do śmiechu. Tylko kompletny szalenciec nie zna strachu. Co tam wzniosłe gadki, jak przyjdzie spotkać się z potworem wielkości kamienicy, każdy wymięknie.

– Franz, na co czekasz?! Specjalnego zaproszenia potrzebujesz? – August wydarł się na prowadzącego. – Jazda! Nie zatrzymywać się!

Obiektywnie należało przyznać – kohorta posiadała odważnego dowódcę. August nie dekował się na tyłach, szedł w pierwszej piątce żołnierzy. Zaraz za nim Gunnar, Jorge i Jasmin. Silna czołówka. Kolejnych dwunastu zwiadowców to jak siły główne. Całkiem niezłe. O tyły się nie martwił. Z góry nikt ich nie zaatakuję. Odwrotu pilnował Rolf. W razie zagrożenia będzie wiedział, co robić.

Flara zamigotała i zgasła.

– Dawać następną – odezwał się głos z przodu.

– Franz, jeszcze jedno słowo, a popamiętasz mnie do końca życia – zagroził August. – Latarki wystarczą, parszywe trzęsidupy. Flary przydadzą się później.

Długi ludzki wąż zamarł i po chwili ruszył ponownie. Wydawało się, że pordzewiałe schody rozpadną się pod ich ciężarem i pogrzebią wszystkich pod stalowymi kratownicami i blachą.

Przezorni stawiali stopy jak najbliżej boków stopni, gdzie naprężenia nie działały z taką siłą, i nie poganiiali idących z przodu. Jak wywali się jeden, polecą wszyscy pod nim. Taki urok pracy zespołowej.

Stopa Matthiasa, mimo że bardzo uważał, nagle zsunęła się o jeden stopień. Nie wywrócił się tylko dlatego, że cały ciężar ciała oparł na żołnierzu idącym przed nim.

– Bo jak cię...

– Nie moja wina.

Krótką wymiana zdań zwróciła uwagę Augusta.

– Zamknąć mordy. Nie jesteście w burdelu.

Matthias dla pewności przytrzymał się barierki. Był zły na wszystkich. Nigdy nie lubił się wychylać, a już reprimenda od takiego gnojka jak August to policzek. Zapamięta to sobie. Strach został zdominowany przez rodzącą się niechęć. Jeszcze pokaże, co jest wart.

W końcu dotarli na samo dno studni. Stąd rozchodziły się korytarze w czterech kierunkach. Wysokie na dwa i pół, a szerokie na półtora metra łukowate tunele nie zachęcały do dalszej penetracji.

Gunnar wysunął się do przodu. Maskę przeciwgazową przesunął na czoło. Tu nie było opadu.

Węszył. Podchodził do każdego z korytarzy, robił parę kroków i wciągał powietrze do płuc. Co odważniejsi poszli za jego przykładem.

Matthias spodziewał się obojętności smrodu, ale nie, spokojnie dawało się wytrzymać. Zapach kojarzył się z czymś wilgotnym – zbutwiałym drewnem lub mokrą szmatą.

Gunnar nie wahał się długo i wskazał na tunel odchodzący na południe. Jak on to robi? Jorge był niezły, ale Gunnarowi nie dorastał do pięt. Chociaż... Wie na pewno, czy tylko chce wywrzeć takie wrażenie? Zdaniem Matthiasa należało iść na wschód, bo to właśnie z tamtego kierunku dochodziła najintensywniejsza woń.

Zrobił parę kroków, żeby lepiej wyczuć, co też może kryć się w lepkiem mroku.

– Mati, idziemy – usłyszał za plecami głos Jasmin.

– Nie.

– Co powiedziałaś?

- Jak chcą, niech idą na południe.
- Gunnar powiedział...
- Gównu mnie obchodzi, co powiedział – Matthias wyrzucił z siebie z nagłą złością. – Ja idę tędy.
- Lepiej się nie sprzecaj.
Słyszał wzbierającą wrzawę, ale nie reagował. Powziął decyzję i nie zamierzał od niej odstąpić.
Gunnar nie kazał długo na siebie czekać. Ich spojrzenia skrzyżowały się, lecz nie dostrzegł w oczach starszego mężczyzny niechęci czy choćby zwykłego wkurwienia.
- No?
- Mam przecucie.
Wydawało się, że Gunnar zacisnął zęby.
- To mamy problem.
- Nie, jeśli się podzielimy. Wy możecie pójść tamtędy – wskazał głową kierunek, jak się wydawało na południe – ja tędy.
- Widziałeś, co ten bydlak potrafi zrobić z człowiekiem?
- Niepotrzebnie idziemy tu z tymi... Wiesz, co mam na myśli. To kompletnie nie nasza sprawa. Wichmann nie zapłaci za ukatrupienie tego mutanta. On ma to w dupie. Zgadza się?
Gunnar ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył.
- Zdecydowałeś za nas. Nie wiem, jaki masz w tym cel, i mało mnie to obchodzi. – Matthias w końcu wyrzucił to, co leżało mu na duszy. – Jednak skoro już tu jesteśmy, zrobmy to dobrze. Jorge ma rację. Jak ta pokraka wypełźnie w zamieszkałych stacjach, będzie kłopot. Może wtedy Wichmannowi i jego koleśiom zniknie ten głupawy uśmiech z twarzy.
- Zdziwiasz mnie.
- Jestem zwykłym zwiadowcą.
- Jorge, podejdź tutaj. – Gunnar powziął decyzję. – Matthias ma rację. Należy się rozdzielić. Możesz pójść ze mną albo z nim. Decyduj.
- Jasne.
- Możecie nie dać rady.
- Spokojnie, poradzimy sobie.
- Dam wam kogoś do pomocy.
Gunnar odszedł wydać dyspozycje. Jorge niczego nie komentował. Twarz miał tak nieprzeniknioną jak wtedy, gdy Matthiasa wypuścili z aresztu.
- Jorge, masz do mnie żal? – zapytał.
- Nie, Mati. Daj spokój.
- Pewnie zastanawiasz się, co mi strzeliło do łba?
- Wierzę w twoją zdolność osądu. I nie musisz się tłumaczyć. Masz przecucie...
- Gunnar też.
- To nie znaczy, że ma rację.
Matthias odwrócił się na odgłos kroków. Jasmin wyglądała na rozluźnioną, dwaj postępujący za nimi ludzie Rolfa, Hans i Fricke, już nie. Sądząc po ich minach, zadanie, jakie przypadło im w udziale, wykonaliby w jeden sposób – naciskając na spusty karabinów i pozbywając się Matthiasa raz na zawsze.
- Gotowi? – Nie miał zamiaru roztkliwiać się nad cudzymi problemami. Dostali rozkaz i muszą się podporządkować. A że polecenie nie pochodziło od Rolfa? Bywa. Nie zawsze robimy to, co lubimy.
Prawdę powiedziawszy, i jego dręczyły obawy. Postawił na swoim i wygrał, a teraz poniesie konsekwencje. On i jego grupa. Nikt im nie przyjdzie z pomocą.
Być może nie będzie tak źle. Tunel był wąski. Kraken doń się nie przedostanie, bo utknie, a to dawało szansę ujęcia z życiem z tej przygody.
Stanął na czele grupy. Jego pomysł, więc jemu przypadł zaszczyt poprowadzenia patrolu. Idąc, przyświecali sobie reflektorem Jasmin. Latarki oszczędzali na inną

okazję. Tunel wiódł w dół. Nie był to jakiś znaczący spadek, niemniej dawało się go odczuć.

– Jak się wam wydaje, głęboko jesteście? – zapytał.

– Dziesięć–dwanaście metrów – odparła Jasmin.

– Raczej pięć do ośmiu – powiedział Jorge.

Żołnierze Rolfa nie mieli zdania.

– Tylko? Myślałem, że więcej.

– To przejście techniczne pod płytą główną lotniska.

– Ma ze sto lat.

– Zapewne.

Dookoła panowała nieznośna wilgoć. Dobrze, że nie pozbyli się skafandrów. Ubrania szybko nasiąkłyby wodą. Przez kilkanaście metrów brodzili w kałuży sięgającej kostek. Niekonserwowana od lat instalacja przeciekała. Woda sączyła się po ścianach bądź kropla za kroplą spadała z góry. Te drobne niedogodności dawało się wytrzymać. Bywali w gorszych miejscach.

Kałuża się skończyła, dalej ciągnęło się błocko.

– Poczekaj. – Jorge wysforował się do przodu. Przypominał w tym momencie gończego psa, który złapał trop. – Poświeć tutaj... – nakazał Jasmin. Pochylił się do przodu. Głowa znalazła się pół metra nad gruntem.

– Widzisz coś?

– Nie tak szybko.

Ten, który osłaniał im tyłki, zaśmiał się nerwowo.

– Tędy ktoś szedł – oznajmił w końcu Jorge.

– Dawno?

– Raczej tak. O, widzisz? Tu jest odcisk.

Matthias tylko rzucił okiem, dziwiąc się, jak Jorge mógł cokolwiek dojrzeć w tej brei.

– Tu kolejny. Szli tam – wskazał przed siebie.

Wnioski nie były rewolucyjne. Ludzie zapuścili się w ten sam korytarz co i oni. Diabli wiedzą, czego tu szukali i co znaleźli. Miejsce wydawało się odosobnione i wyjątkowo ponure. Matthias wciąż czuł na twarzy wilgotne podmuchy. Intensywna woń wydawała się mocniejsza niż przy schodach. Niedługo zaczniesz im wyciskać łzy z oczu.

Przysunął do twarzy maskę przeciwgazową i zaczerpnął powietrza. Tak lepiej. Dalej posuwali się już znacznie ostrożniej.

W końcu dotarli do kolejnej studzienki. Jorge nie przesadzał – od powierzchni dzieliło ich tylko parę metrów i po metalowej drabince przytwierdzonej do ściany można by wyjść na zewnątrz, o ile dałoby się podnieść stalową płytę przykrywającą zejściówkę od góry.

A co, jeżeli została przysypana ziemią bądź zablokowana w inny sposób? Lepiej dowiedzieć się o tym odpowiednio wcześniej.

Podał Jorgemu automat, a sam zaczął się wspinać. Nie trwało to długo. Spróbował podważyć płytę samą dłonią. Ani drgnęła. Opór był ponad jego siły. Teraz barkiem. Efekt ten sam. Ciało dygotało z wysiłku, a przed oczami zaczęły latać mroczki.

– Zablokowana.

– Nie pękaj.

Zapał się nogami mocniej i ponowił próbę. Wciąż bez rezultatu.

– Może ja spróbuję? – w głosie Jasmin brzmiała drwina.

– Zostań lepiej tam, gdzie jesteś.

Wyciągnął nóż i ostrzem zaczął sprawdzać wszelkie szczeliny. Niemal od razu natrafił na opór. Zdaje się, że z góry studzienkę zalano betonem lub przykryto warstwą ziemi. Niedobrze. Jedna droga ucieczki mniej.

W końcu zszedł i otrzepał ręce.

– Próbowałem. Prędzej piekło zamrznie, niż uda nam się odblokować ten właz.

– Szkoda, wyglądał obiecująco. – Trudno powiedzieć, co Jasmin miała na myśli.
– Znajdziemy kolejny. – Matthias otrząsnął się jak mokry pies. – Wystarczy tych pogaduszek. Idziemy dalej.

Po najwyżej dziesięciu metrach okazało się, że tunel zaczyna skręcać delikatnym łukiem w prawo. Nie zastanawiał się nad tym, co to oznacza. W sumie to i tak bez znaczenia. W końcu dokądś korytarz prowadził. Zagadka w końcu wyjaśni się sama. Może za parę metrów, a może za kilkadziesiąt, ale wyjaśni. Spokojnie. Cały ten labirynt wybudowali ludzie i na pewno mieli w tym konkretny, praktyczny cel.

W końcu snop światła wydobył z mroku skrzyżowanie. Korytarz, którym się poruszali, mógł być zwykłym kanałem burzowym bądź przejściówką. Ten, do którego dotarli, może nie był wyższy, lecz znacznie szerszy.

Matthias od razu wskazał kierunek dalszego marszu. Podobnie jak za pierwszym razem i teraz był pewny podjętej decyzji. Ruszył, nie oglądając się na pozostałych. Tak się akurat złożyło, że tym razem marszruta prowadziła ich na południe, w tę samą stronę, gdzie powędrował Gunnar i reszta. Jak się spotkają, nie stanie się nic złego. Spenetrowali większy obszar. To wszystko. Nie spodziewał się reprimendy.

Zwolnił, gdy dojrzał przed sobą podejrzany kształt. Wyglądało to jak obgryziona kość. Dopiero przy bliższych oględzinach dopatrzył się urwanego w barku ramienia. Strzęp munduru owinał się wokół nadgarstka. Stopień rozkładu wskazywał, że do nieszczęścia doszło całkiem niedawno.

Otoczyli znalezisko, zastanawiając się, co mogło się stać z resztą ciała.

– Ja pier... – wyrwało się Frickemu.

Mały palec kończyny zdawał się drgać.

– To Uwe.

– Kto? – zapytał Jorge.

– Uwe. – Hans wydawał się pewny rozpoznania. – Poznaję po sygnecie. Tylko on posiadał taki. Chwalił się nim każdemu. Dostał go od Kristin.

– To prawda – potwierdził Fricke. Trudno było powiedzieć, co nim bardziej wstrząsnęło, fakt, że odnaleźli fragment ciała kolegi czy też drgający palec.

Jasmin zrobiła krok do tyłu. Jorge wprost przeciwnie, pochylił się nad strzępem ciała, analizując każdy szczegół.

Matthias przemógł się i dołączył do oględzin.

– Zaczynam mieć złe przeczucia – powiedział półgłosem.

– Chodzi o sygnet?

Wzór nie uległ zatarciu. Grawer bardzo się napracował, wycinając starogermański symbol słońca. Trójramienna swastyka wydawała się z nich drwić.

– Nie, o ten pieprzony palec. – Po chwili przerwy kość z resztką ścięgien i mięsa pomiędzy stawami ponownie uniosła się do góry i opadła na beton. I tak kilka razy z rzędu. – I co teraz, mądrało? Widziałeś coś podobnego?

– Prawdę mówiąc...

– Potrafisz mi to wytłumaczyć? – przerwał Jorgemu.

– Nie jestem lekarzem.

– Nie musisz. Ja pytam o konkrety, a nie o medyczny bełkot. Jeżeli coś jest martwe, to jest martwe, a tu proszę, wybija ryt, jakby chciało potaćzyć.

– To tylko palec.

– Czyli nie ma się czym martwić? To chciałeś powiedzieć? Oprzytomnij, Jorge. Jak skoczy komuś do szyi, będzie lepiej?

– Co proponujesz?

– A co ja mogę proponować? Cieszę się, że to nie Samir i tyle. Jak dorwę gnoja, to mu nogi z dupy powyrywam, wyręczając tatusia. Nie będzie szczył robił z nas w wała.

– Mati, nie ekscytuj się, to niezdrowe. – Jorge wciąż wydawał się zafascynowany znaleziskiem. – Chodzi mi o to, co robimy z tym... Zostawiamy czy... no wiesz.

– Chcesz to zabrać? Kompletnie ci odbiło. Ma ci wskazywać drogę czy co?

– Ktoś powinien obejrzeć ten fragment.

– No nie, trzymajcie mnie. Z kim ja pracuję? Chcesz to wręczyć Wichmannowi? Wspaniale. Najlepiej dołącz do prezentu butelkę bimbru, bo na trzeźwo mało kto jest w stanie się tym zachwycić. Jasmin, mam rację?

– Mnie w to nie mieszajcie.

– Strach cię obleciał?

Dziewczyna nie zdążyła odpowiedzieć. Z daleka dobiegł ich ryk rozwścieczonej bestii.

– Wdepnęliśmy w nieliche szambo – podsumował Matthias.

Dalszy marsz podjęli już w ogóle bez entuzjazmu. Hans i Fricke wyraźnie zaczęli odstawać. Dopiero ostre polecenie Jorgego przywołało obu żołnierzy do porządku.

W pewnym momencie wyglądało na to, że korytarz się kończy, a dalsze przejście zasypały zwały gruzu. Szybko okazało się, że byli w błędzie. Gruz, owszem, był, ale dotarli do o wiele większego tunelu, i to wcale nie wydrążonego ludzką ręką.

Wyglądało to zupełnie tak, jakby przez podziemie przetoczył się ogromny świder. Tyle że to nie był świder. Przekop wykonał kraken. Matthias nie wyobrażał sobie, że czegoś podobnego mógłby dokonać jakiś inny stwór. Ziemia, skały, beton najwyraźniej nie stanowiły dlań przeszkody. Bez problemu przebijał się przez najtwardszy materiał. Próbkę jego możliwości już widzieli. Bez ich pomocy po Auguście i reszcie już dawno nie pozostałby ślad. Co najwyżej paluszek.

Matthias odwalił na bok spory głaz i kilka mniejszych kamieni, żeby poszerzyć dziurę. Otwór był na tyle duży, by precyzyjnie się na drugą stronę. Dalsze powiększanie przejścia uniemożliwiały wiązki prętów zbrojeniowych wystające z pokruszonej konstrukcji.

Na początek lewa noga. Poszło. Teraz głowa i korpus, zahaczył wystającym elementem ekwipunku, lecz Jorge przyszedł mu z pomocą i przepchnął na drugą stronę. Reflektor Jasmin nie pozwalał dojrzeć dalszego otoczenia, a szkoda, bo sztolnia wydawała się ogromna.

Mścił się brak noktowizora. Jedyne, który posiadali, aktualnie znajdował się w dyspozycji Gunnara. Nikt nie przewidział, co ich czeka. Zapowiadała się prosta misja – tam i z powrotem. Na razie przynajmniej dowiedzieli się, że poprzednie patrole, a przynajmniej jeden z nich, natknęły się na krakena. Na powierzchni lub pod lotniskiem – trudno bowiem orzec, czy zwiadowcy weszli do tunelu, czy to głowonóg zaciągnął ofiarę pod ziemię.

Wkrótce Jorge i Jasmin stanęli obok niego. Hans i Fricke trochę marudzili. Wcale im się nie dziwił. Już sam widok oderwanej kończyny nie należał do miłych. Potem ten paluch, brrr... a teraz to.

– Nadal sądzisz, że to dobry pomysł? – zapytała dziewczyna.

Już nie był tego taki pewien.

– Wracajmy. – Hans wypowiedział na głos to, o czym i tak każdy myślał.

– Z tym zawsze zdążymy – odrzekł Matthias, choć w głębi serca chciał zgodzić się z tą propozycją. – Jorge, masz jakiś pomysł?

Ten nie odpowiedział od razu, zajęty oględzinami korytarza. W końcu przerwał myślowanie i odwrócił się w stronę zbitej gromadki.

– Chcecie uciec? Właśnie teraz? Nie za szybko?

– Przyznaję. Należało iść z Gunnarem, sami nic tu nie wskóramy.

Poszarpana mundurowa kurtka, którą Jorge wyciągnął z jakiegoś zakamarka, nie poprawiała im samopoczucia. Materiał lepił się od piachu i brudu. Rdzawe zacieki przy bliższych oględzinach okazały się zaschniętymi smugami krwi. Była tak sprana, że z ledwością dawało się dostrzec wzór kamuflażowych plam, a naszywka barw narodowych na ramieniu została wypruta. Rzecz mogła równie dobrze tu leżeć od dawna, jak też zostać porzucona zaledwie wczoraj.

– To waszych kumpli? – Jorge podsunął materiał pod oczy Frickego.

– Nie wiem, może. W tym stanie...

Kurtka wróciła na swoje miejsce.

– Proponuję sprawdzić, dokąd tędy dojdziemy. – Jorge rozejrzał się na boki.
– Jesteś pewny? – rzucił Matthias.
– Przed chwilą pytałeś mnie o zdanie.
– Sądziłem, że... a zresztą, nieważne. – Matthias wysmarkał nos.
– Zrobiliśmy najwyżej trzysta metrów, może trzysta pięćdziesiąt, i gdy w końcu znaleźliśmy coś ciekawego, strach was obleciał. Jak chcecie, zaczekajcie. Dalej pójde sam.

– Przecież wiesz, że nie o to chodzi.

– Nikogo nie zmuszam.

Tym razem to Jorge poprowadził grupę.

Na tym odcinku podziemi należało zachować szczególną ostrożność.

Przypuszczali, że są w bliskim sąsiedztwie mutanta i właściwie zmierzali wprost do jego gniazda. Nie mieli gdzie uciekać, więc jeden ruch macką i pozostanie z nich mokra plama.

– Stać. – Ciche polecenie Jorgego sprawiło, że zamarli w pół kroku.

W powietrzu rozchodziło się drżenie, które rozwiewało wszelkie wątpliwości – bydlak znajdował się w pobliżu, i to wcale nie zdechły, tylko przyczajony i liżący rany. Jak wypełźnie z kryjówki, będzie jeszcze bardziej morderczy.

– Zaczekajcie.

Jorge skulił się i dalej ruszył sam. Matthias podążył śladem przyjaciela.

– A ty tu czego?

– Myślałeś, że pękam, przyznaj się – odpowiedział stalker zduszonym szeptem.

– Powoli i cicho.

Gdzieś z góry przesączał się niewyraźny blask, co znaczyło, że monstrum celowo bądź przez przypadek zrobiło dziurę na powierzchnię. Być może do życia potrzebowało wody, bo brodzili w głębokim błocie.

Skąd to paskudztwo w ogóle się wzięło? Czyżby radioaktywny deszcz sprawił, że ze zwykłego kalmara wyrosło coś takiego? Podobno ludzie hodowali różne zwierzątka w domach. Teoria mocno naciągana, ale żadna inna nie przychodziła Matthiasowi do głowy. Zresztą widział już tyle najróżniejszych dziwactw, że kolejny mutant nie powinien robić na nim aż takiego wrażenia.

Korytarz kończył się jakąś komorą. Wydawała się ona całkiem spora, przynajmniej wielkości szkolnej sali gimnastycznej. Ponieważ kucnęli i przywarli do ściany tunelu, widok na pieczarę był bardzo ograniczony. Matthias nieco się uniósł, chcąc lepiej przyjrzeć się temu, co znajduje się w środku. Jeżeli kraken faktycznie tam rezydował, istniała szansa zrobienia małego sabotażu i zasypania wszystkiego w cholerę. Jeżeli nie, cała ich wyprawa nie miała sensu.

Omów nie wypuścił karabinu, gdy tuż przed nim wyprężyło się potężne odnoże. Przez moment machało przed jego oczami, potem cofnęło się i ponownie pojawiło. Poleciał do tyłu. Chyba tylko temu zawdzięczał życie. Sekunda później, a harpun na końcu macki przebiłby go na wylot.

– Chodu! – usłyszał krzyk Jorgego.

Odwrócił się i pomknął przed siebie. Pędził jak jeszcze nigdy. Za ich plecami stwór zabalgotał i rzucił się w pogoń.

Panika uskrzydlała Matthiasa. Nie liczyły się przeszkody. Gnał zdjęty przerażeniem. Pieczara i korytarz wibrowały od skrzeku potwora. Kraken znajdował się o kilka metrów od nich. Jorge próbował strzelać. Oddał jedną serię, nawet nie celując, bez żadnego skutku.

Jasmin, Hans i Fricke już przełazili przez dziurę w tunelu. Jorge zwolnił, puszczając przodem Matthiasa. Odczekał sekundę i cisnął granat jak najdalej. To choć na chwilę powinno zatrzymać maskarę.

Oby tylko nie zawadzić o wystające zbrojenie. Trzy potężne susy, odbicie i lot z automatem wyciągniętym przed siebie.

Skok wyszedł pięknie, Matthias przeturlał się po betonie i odskoczył w bok, tak by

Jorge nie spadł na niego i nie połamano mu żeber.

Korytarzami wstrząsnął wybuch. Fala uderzeniowa przetoczyła się przez tunele. W powietrzu unosiły się pył i kurz. Z ich kłębow wyłonił się Jorge. Podczas skoku musiał uderzyć się w głowę lub też skalny odłamek spadł na stalkera, bo z czoła sączyła mu się krew.

Potworna siła uderzyła w miejscu, gdzie dosłownie przed chwilą przechodzili. Zerwali się do biegu, popychając jedno drugiego. Tu byli w miarę bezpieczni. Nim kraken zacznie kruszyć beton, zyskają cenne chwile. Biegący tuż obok Matthiasa Fricke nagle plunął krwią i zatrzymał się.

Matthias obejrzał się, na ile mógł. Z piersi Frickego sterczał harpun potwora. Ciągnięty wstecz mężczyzna miotał się konwulsyjnie we wszystkie strony, by w końcu zniknąć w wybitym przez nich otworze.

Teraz drugie odnóże wyłoniło się z nicości i zaczęło ścigać uciekającą grupę. Razem z Jorgem zaczęli strzelać. Pociski rykoszetowały, odbijając się od ścian i twardej skóry potwora. Uzbrojona macka i tak uporczywie podążała w ich kierunku, dżgając i siekąc na oślep.

Ostatni pocisk opuścił lufę. Zmiana magazynku na pełny nic tu nie pomoże. Matthias z chorobliwą fascynacją obserwował, co się teraz stanie. Kto padnie ofiarą mutanta – on, Jorge czy Jasmin? To przecież musiało się tak skończyć. Harpun i pazury o twardości hartowanej stali cięły powietrze niczym jakiś upiorny wieloręki samuraj, aż nagle... zawisły w powietrzu. Odnóże dalej nie sięgało. Zaczęło się naprężyć i wibrować, drąc szponami beton ze ścian, sufitu i posadzki, jakby chciało się wydłużyć za wszelką cenę.

Odskoczyli do tyłu, mijając miejsce, gdzie leżał porzucony trupi bark. Tym razem się nie zatrzymywali. Wkrótce znaleźli się przy dojściówce. Już znacznie spokojniej zagłębili się w dobrze znany mrok.

Hansowi dzwoniły zęby zupełnie jak po kąpieli w lodowatej wodzie. Reszta nie wyglądała lepiej.

– Ja tam nie wrócę, ja tam nie wrócę... – Przyboczny Sprintera powtarzał nową litanię.

Nie zwracali na niego uwagi.

– Co teraz? – Pytanie Jasmin zawisło w powietrzu. Nie wyglądała na specjalnie przejętą, a już na pewno nie przestraszona.

– Na początek poszukamy Gunnara, a potem rozprawimy się z tym zasrańcem.

Rozdział XI

Wojna cieni

- To był Infrid.
- Co mówiłaś?
- Infrid, najpotężniejszy z dżinów. - Jasmin wydawała się pewna swego.
- O ile mnie pamięć nie myli, dżiny materializują się jako ludzie - powątpiewał Jorge.
- Czegoś tu nie rozumiem. - Matthias z rosnącym zdumieniem przysłuchiwał się rozmowie. - Mówicie o gościu, który wyłazi z butelki? Serio?
- Takie jest popularne wyobrażenie - Jasmin nie zamierzała ustąpić. - W mużulmańskiej tradycji to potężne demony pragnące ludzkiej krwi.
- A jeden właśnie zawitał do Berlina - słowa Jorgego ociekały sarkazmem. - To zwykły mutant, tylko... trochę większy od pozostałych.
- Większy? Kurwa! Jorge, on jest ogromny. - Matthias wyraził swoją opinię.
- Myślicie, że znalazł się tu przypadkiem?
- Zdumiewasz mnie, Jasmin - powiedział Jorge. - Zawsze uważałem, że jesteś rozsądną osobą, a teraz nie wiem, co o tym myśleć. Mało mamy kłopotów? Chcesz w to mieszać magię? Idź i zamelduj Wichmannowi, że dżin wybił mu dwie ekipy stalkerów. Na pewno będzie szczęśliwy.
- Tego kmiota tu nie ma.
- Ale my jesteśmy.
- Wiecie, co znajdowało się w hangarach przed wojną? - Dziewczyna ani myślała ustąpić.
- Samoloty.
- Nie o to pytam, to akurat jasne. - Jasmin spojrzała na Matthiasa z politowaniem.
- Tu znajdował się punkt etapowy dla imigrantów ubiegających się o azyl. Dla paru tysięcy osób to był przymusowy dom. Bo trzeba wam wiedzieć, że mało kto był szczęśliwy, że tu wylądował.
- Czyżby...
- Tak, Jorge, ja również przeszłam przez ten obóz, gdy byłam dzieckiem. W pamięci zachowałam tylko parę obrazów, ale to wystarczy.
- Wystarczy? Do czego?
- Wiesz, co tu się działo? - W oczach Jasmin nagle pojawiły się łzy. - Niby skąd możesz wiedzieć, ech... Ludzie skakali sobie do gardeł z byle powodu. Ściśnięci jak kury w klatkach. Bez przyszłości i bez nadziei.
- Ile miałaś wtedy lat?
- Trzy, może cztery.
- I pamiętasz to tak dokładnie?
- Pamiętam ciągle strach.
- Już jej nie przerywali. Niech się wygada.
- Ten kraken nie pojawił się na Tempelhofie bez przyczyny. To zemsta tamtych udreńczonych ludzi.
- Nie przesadzasz?
- Tu na pewno była siła. - Jasmin zignorowała uwagę Jorgego.
- A kto to taki? - zaniepokoił się Matthias.
- Wiedźma.
- Jasmin, proszę cię, miej litość. Hans już ledwie daje radę, a i mnie zrobiło się niewyraźnie. Gubię się w domysłach, a ty jak nie Infrid, to siła... - Jorge był wyraźnie zniechęcony kierunkiem, jaki przybrały te rozważania.
- A jak wytłumaczysz ten drgający palec?
- Dobrze wiesz, że nie potrafię tego zrobić - wyznał stalker, wyraźnie zakłopotany. - Nie wiem, cholera, nie wiem.

– Tak myślałam.

– A skoro ty wiesz, to czemu nie załatwiłaś go cytatem z Koranu? Co? Przecież to najlepsza broń na infrida, prawda?

– Nie znam Koranu.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Jasmin i Jorge wydawali się okopywać każde na własnej pozycji, natomiast Matthias nie wiedział, co o tym myśleć. Duchy? Demony? Arabskie bajki czy też legenda, która okazała się prawdą? Widział wszystko na własne oczy, kraken był jak najbardziej rzeczywisty. To nie wymysł chorego umysłu. To, co stało się z Frickem, do tej pory wywoływało u Matthiasa drżenie kolan. Skoro Jasmin obstawała przy swoim, to... No właśnie, to co? Czy to znaczy od razu, że ma rację? Niekoniecznie.

Jak to ona powiedziała? Infrid, dzin, szlag by to. Od kiedy wzięli tę robotę, wszystko zaczęło się pieprzyć: katastrofa na Kochstraße, potem zatrzymanie na Hallesches Tor, ta wyprawa na Tempelhof, a teraz duch ze wschodnich baśni. Uffff... Zamiast szukać Samira, razem z brunatnymi tropili demona na polecenie bezpieczniaka, który dopiero co chciał ich rozwalić. To się nie może dobrze skończyć.

Na Gunnara nie czekali długo. Stalker pojawił się dosłownie chwilę po tym, jak dotarli do schodów prowadzących na powierzchnię.

– Gdzie Fricke?

– Został. – Kciuk Jorgego wskazał ciemny tunel za ich plecami. – Kraken go dopadł.

Rolf, który wystąpił przed szereg, zeszytniał. Jego wzrok wyrażał czystą nienawiść. Zdaje się, że winą za śmierć podwładnego obarczył całą ich trójkę. Jedynie Hans wydawał się wolny od podejrzeń.

– Byliśmy bez szans.

– Tak się tylko mówi – wypalił Sprinter.

– Skoro cię tam nie było, to z łaski swojej nie zabieraj głosu.

Awantura wisiała w powietrzu.

– Jak śmiesz mnie pouczać. – Rolf przestawał panować nad emocjami. Karabinek w jego dłoniach drgnął niebezpiecznie, aż zainterweniował August, który przytrzymał lufę.

– Porachunki załatwicie później.

– Ty...

– Za bardzo się podniecasz.

– Zaczynam mieć was obu dosyć. – Gunnar stanął w lekkim rozkroku i założył ręce na piersi. – Jorge, możesz powiedzieć, co zaszło?

Ukrywanie czegokolwiek nie miało sensu. Hans i tak wypapla wszystko, co usłyszał i co zobaczył.

Już szedł do kumpli, zaraz zacznie opowieść, słowa Jasmin zostaną przekręcone, a potyczka z bestią i śmierć Frickego osiągnie isticie apokaliptyczny rozmiar.

– Mam pomysł, jak rozwalić tego ścierwojada.

– Naprawdę? – Gunnar uniósł brwi.

– Posłuchaj...

Ciężkie chmury i deszcz ograniczały widoczność do zaledwie paru metrów. Matthiasowi wydawało się, że nawet w szczelnym skafandrze chlupocze woda. A może nie był on już wcale taki szczelny. Przez ostanie godziny użytkował go dosyć intensywnie. Małych rozdarć czy dziur mógł w pośpiechu nie zauważyć. Jeszcze raz, na ile w tej chwili dał radę, obejrzał ochronne ubranie. Niby wszystko grało. Niepotrzebnie się martwił. Woda zmyje z niego szlam, którego gruba warstwa oblepiała plecy, brzuch i barki. Sam już nie wiedział, co gorsze – „czyste”, acz mocno śmierdzące błocko, czy „oczyszczający” radioaktywny prysznic z nieba. Nie cierpiał

ani jednego, ani drugiego.

Jak na razie nie istniała potrzeba wychodzenia na otwartą przestrzeń, wystarczyło, że poruszali się w obrębie terminalu, lecz i tak na wszelki wypadek należało przyjrzeć się najbliższemu otoczeniu. Kto im zagwarantuje, że wypłoszony z dotychczasowego legowiska potwór nie poszuka sobie kolejnego tuż pod ich bokiem?

Matthias poruszał się tuż przy ścianie, od jednego głębokiego cienia do drugiego. Prawdę mówiąc, nie tylko kraken stanowił niebezpieczeństwo. W pobliżu mogły kręcić się inne drapieżniki, także uzbrojone w broń palną. Tylko jak miał cokolwiek dojrzeć, skoro strugi wody ciągle łomotały o dach z wciąż taką samą intensywnością. Oszaleć można.

Na prawo od niego posuwał się Jorge, za nim Jasmin, tak samo ostrożni jak on. Jedno należało dziewczynie przyznać – znała się na swojej robocie jak mało kto. Nie raz zaskoczyła Matthiasa. Pasja, energia i odwaga czyniły z niej prawdziwą profesjonalistkę. Może nie przewyższała go siłą czy sprawnością w posługiwaniu się bronią palną, tu – jak się wydawało – panował pomiędzy nimi remis, ale zdolnością przewidywania już tak. Szybciej kojarzyła fakty i wyciągała wnioski. To cecha urodzonych przywódców. Nawet nie pokroju Jorgego. Nie ta liga. Jeżeli już, to świetnie nadawała się na prawą rękę Gunnara.

– Mati, nie śpij. – Jorge przywołał go do porządku w samą porę. Zagapił się na dziewczynę i przestał kontrolować okolicę. Dupa z niego, a nie stalker. Zaczynał podziwiać Jasmin. Może nawet nie tylko podziwiać, on ją zaczynał lubić.

Wraz z uświadomieniem sobie tego faktu do głowy Matthiasa przyszła kolejna myśl: a kim on dla niej jest? Szczerze mówiąc, nikim. Tolerowała go, owszem. I tyle. Przy najmniejszej próbie zbliżenia Matthias może spodziewać się co najwyżej kopniaka. Pewnie ze względu na Jorgego nie zabije go, ale po głowie też nie pogłaszcze, nie przytuli i nie powie dobrego słowa. Jeżeli już, to wyjmie tę brzytwę, którą nosiła przy boku, i zagrozi ucięciem przyrodzenia.

Już na samą myśl o czymś podobnym wzdrygnął się.

Przeszli przez hangar. Wyglądał jak olbrzymia sala szpitalna, przez którą przetoczył się tajfun – wypełniony tobołami, walizkami, ciuchami, niezliczonymi łózkami i stosami poprzewracanych plastikowych przepierzeń. Zachowały się rzędy prowizorycznych toalet i natrysków. Na ścianach czarną farbą wymalowano arabskie hasła. Jasmin zatrzymała się przed jednym z nich.

– Jak wam się zdaje, co tu jest napisane?

Matthiasowi wydawało się wręcz nieprawdopodobne, że ktoś potrafi przeczytać te bązgroły.

– Bliski jest dzień, w którym Stwórca pokarze niewiernych.

– I niby co to ma znaczyć? – Jorge nie wydawał się poruszony.

– Nie rozumiesz? To przecież wyraźny znak...

– Według ciebie to jest dowód, tak? – Zwiadowca przysunął się bliżej dziewczyny.

– Jedno bełkotliwe hasło, a tobie od razu wydaje się prawdą objawioną. Tu mieszkali imigranci, ale dwadzieścia lat temu. Twoja teoria nie ma racjonalnych podstaw.

– Masz rację, Jorge, masz rację.

– Pewnie, że mam.

– Wytłumacz mi tylko, w jaki sposób ten napis jest tak doskonale widoczny, bo na pewno nie ma dwudziestu lat. Jak przyjrzesz się bliżej, to na pewno zobaczysz, że powstał najwyżej kilka tygodni temu.

Samolot transportowy Luftwaffe stał w tym samym miejscu, w którym go ostatni raz widzieli. Pod tym względem nic się nie zmieniło. I nadal Matthias nie mógł uwierzyć, że tak olbrzymia masa w ogóle może unieść się w powietrze, choć

wiedział, że to nie było takie niezwykle. Wiele ze znanych mu osób opowiadało o podróżach taką lub podobną maszyną na inny kontynent, jakby to był spacer do McSchmidta po kebab. Szedł jednak o zakład, że żadna spośród nich nie miała bladego pojęcia, jak pilotować taki sprzęt. Umiejętność wzbijania się w niebo zanikła jako niepraktyczna. Od pilota o wiele większym poważaniem cieszył się botanik. Ten przynajmniej wiedział, jakie rośliny jak hodować, by nie zdechnąć z głodu. Zamiast bujać w obłokach, ktoś musiał wywalać gnój, świnia sama tego nie robi, a gdy już osiągnie odpowiednią wagę, kto inny musiał ją oporządzić. Dobry rzeźnik też był zatem w cenie. Kiedyś szło się do marketu i kupowało wszystko, na co przyszła ochota. Obecnie przyziemne sprawy pochłaniały niemal cały czas i energię.

Matthias obszedł transportowiec, zastanawiając się, co kryje jego wnętrze. Jakoś nie potrafił oprzeć się pokusie. Jorge i Jasmin majstrowali w tym czasie przy cysternie. Na pierwszy rzut oka wóz wydawał się być w dobrym stanie, niestety, po przekręceniu kluczyka w stacyjce nie chciał odpalić. Zdaniem dziewczyny problem tkwił w skorodowanych końcówkach kabli. Podobno wystarczy zeszkrobać rdzę i już. Matthias nie znał się na tym, lecz wydawało mu się to trochę za proste. Po dwudziestu latach stania na deszczu i mrozie nie ma „i już”.

Przy pierwszych oględzinach wszystkie wejścia do samolotu wydawały się zatrzaśnięte na głucho, dopiero przy kolejnych dostrzegł, że drzwi w tylnej części kadłuba, tuż za wielkim wybrzuszeniem skrywającym koła, nie są całkowicie domknięte. Szczelina nie miała więcej niż trzy centymetry.

Poczuł, że musi zajrzeć do środka. Przyłożył oko do otworu i poświecił latarką. Podobno ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Scheisse. Od góry do dołu wszystko pokrywał brązowy nalot. Paluchem nie będzie tego macał.

Wyciągnął nóż i wsunął ostrze w szparę, następnie przyjrzał się stali. Cholera wie, co to za paskudztwo.

Naparł obiema dłońmi na drzwi, starając się je przesunąć. Drgnęły, a to znaczyło, że może się uda. Spróbował ponownie. Kolejny centymetr. Jeszcze raz. Po kilku próbach otwór poszerzył się do pięciu, może sześciu centymetrów. W ten sposób będzie się szarpał do usranej śmierci.

Rozejrzał się wokół, zastanawiając się, co najlepiej posłużyłoby za dźwignię. Nic. Zaraz, zdaje się, że tu obok w hangarze widział odpowiedniej długości rurę. Należało ją tylko odszukać.

Po kilku minutach, zaopatrzony w odpowiedni element, przystąpił do kolejnej próby. Rura bez problemu weszła w otwór. Najpierw pociągnął ją do siebie. Pudło, nie da rady. Nie tak, odwrotnie. Zaparł się o sponson i popchnął. Zgrzyt metalu rozszedł się po płycie lotniska.

Znacznie lepiej.

Mocniej. Pchnął z całej siły. Szło powoli, lecz efekt był już widoczny. Wyciągnął rurę i ponownie zaczął uderzać rękami. W końcu zrobiło się na tyle szeroko, że bez problemu mógł się precyzyjnie. Postawił stopę na progu i zapierając się dłońmi, wczuł się do wnętrza transportowca. W końcu stanął na nogi i z automatem wyciągniętym przed siebie ruszył na obchód.

Na prawo kabina pilotów. Obejrzał ją sobie dokładnie. Nagromadzenie wskaźników, kontrolki, zegarów i dźwigni przyprawiało o ból głowy. Fotele za to wyglądały na niebywale wygodne. To nic, że popękane i z wyłazającą na wierzch wyściółką. Takich nie posiadał ani Ashan, ani wezyr, może jedynie kalif był przyzwyczajony do podobnych luksusów. Wystarczy, pora sprawdzić, co kryło się w ładowni.

Mroczny kształt nie przypominał niczego, z czym Matthias spotkał się do tej pory. W pierwszym momencie sądził, że całą przestrzeń zajmuje kontener, dopiero po skierowaniu snopu światła z latarki w dół okazało się, że jest on osadzony na kołach.

Podszedł bliżej. W końcu zrozumiał. To pojazd wojskowy, bardzo solidny, może

pancerny. Sześć kół jezdnych, kabina kierowcy i przedział transportowy. Na dachu obrotnica na karabin maszynowy. Istne чудо.

Obszedł znaleźzisko, nie potrafiąc wyjść ze zdumienia. O czym myśleli ci, którzy skierowali samolot z takim ładunkiem na Tempelhof w przededniu zagłady?

Tym razem bez problemu otworzył tylne drzwi. Rzędy siedzeń ciągnęły się po obu stronach. Policzył je. Ten pojazd był zdolny do przewiezienia dziesięciu osób, nie licząc kierowcy. Po dwudziestu latach wyglądał jak nowy. Zresztą, co mu miało się stać? Stał bezpiecznie ukryty przed światem. Najlepiej, jak o wszystkim opowie Jorgemu, on już będzie wiedział, co z tym zrobić.

Starannie zatrzasnął tylne wrota pojazdu i opuścił samolot. Martwił się tylko, żeby nikt inny nie zainteresował się uchylonymi drzwiami ani żeby przez nie nic nie weszło. Na to jednak nie dało się nic poradzić.

Dziewczyna i Jorge wciąż trudzili się przy cysternie. Jak widać, uruchomienie maszynerii po dwóch dekadach na wolnym powietrzu nie było takie proste.

– Chciałbym, żebyś coś zobaczył.

– Nie teraz, Mati, nie teraz.

– Proszę, warto.

– To ważne?

– Nawet bardzo.

Jorge przestał grzebać w silniku, odchylił się na bok i zawołał do Jasmin siedzącej za kierownicą.

– Odpalaj.

Motor chwilę popracował i ponownie zgasł.

– Zaraz mnie krew zaleje, przecież to musi działać.

– Jorge...

– Poczekaj – powstrzymał dalsze wywody Matthiasa, by ponownie zająć się napędem. – Dobra, teraz dawaj!

Już się wydawało, że i tym razem efekt będzie taki sam, ale nie – niskie dudnienie diesla rozeszło się po okolicy.

– W końcu! – Jorge odsunął się na bok. – Podjedź parę metrów.

Jasmin powoli ruszyła do przodu. Gdzie się tego nauczyła, stanowiło dla Matthiasa zagadkę. Po mniej więcej dwudziestu metrach zatrzymała się. Nie wyłączyła silnika, tylko zaciągnęła hamulec i cała szczęśliwa wyskoczyła z szoferki.

– Nie wydaje się wam, chłopaki, że przy tym pudle ktoś majstrował?

– W jakim sensie?

– Szybko nam poszło.

– Przesadzasz. Solidna niemiecka robota, ot co. W dodatku wyglądał, jakby nie jeździł od bardzo dawna.

– Niby tak, ale przecież sam wiesz, że raczej nie powinno się udać. Coś tu nie pasuje.

– Po prostu mamy szczęście. Marudzisz, a los nam sprzyja, Jasmin.

– Jak cholera – mruknął Matthias.

– Co chciałeś nam powiedzieć, Mati? – Myśli Jorgego błądziły już gdzie indziej.

– Chodźcie, to wam pokażę.

Ukryty w samolocie pojazd wywarł na nich należyte wrażenie.

– To Fuchs, transporter opancerzony. – Stalker natychmiast wiedział, z czym ma do czynienia. – Wspaniała maszyna, wszystko kulo odporne, hermetyczne, może pływać, noo...

– To pewnie wiesz też, jak nim jeździć.

– Tak samo jak zwykłym samochodem. Odsuń się. – Jorge zaczął rozglądać się po wnętrzu panczerki.

Przypominał dzieciaka, który nagle znalazł się w sklepie ze słodyczami. Matthias pamiętał taki sklep. Trochę szkoda mu było, że to nie on poprowadzi transporter, jednak zdawał sobie sprawę, że nie ma o tym zielonego pojęcia. W metrze na

niektórych odcinkach funkcjonowały spalinowe bądź też ręczne drezyny, a w trakcie jednej z wypraw z Jorgem nawet przejechał się samochodem. To wszystko. Całe doświadczenie w dziedzinie transportu. Jedyne, na co mógł liczyć, to własne nogi. Chciał gdzieś dotrzeć, proszę bardzo – wstawał i szedł. Ten sposób był niezawodny.

Ten Fuchs to bez wątpienia fajna sprawa, tylko co z nim zrobią? Do metra przecież nie zabiorą. Jedyne, co przychodziło Matthiasowi do głowy, to schowanie pojazdu przed wszystkimi i późniejsze wykorzystanie. Taka maszyna pozwoliłaby przedsiębrać znacznie dalsze wyprawy. Mogliby dotrzeć do Poczdamu czy Oranienburga, co samo w sobie byłoby wyczynem. Trudno powiedzieć, czego mieliby tam szukać. Wszystko, czego potrzebowali, znajdowało się na miejscu, lecz przyjemnie było zachłysnąć się samą myślą o podobnej przejażdżce.

A przecież Berlin to nie jedyne miasto, gdzie Hamburg, Kolonia, Monachium? No, tam to trochę za daleko, ale już sama podróż berlińską obwodnicą to nie byle co. Może zobaczyłby coś więcej niż gruzy. W takim pojeździe mogą się właściwie niczego nie bać. Do wnętrza zapakują paliwo, broń, żywność, wodę i świat stanie przed nimi otworem.

Na początek należało wyciągnąć Fuchsa z luku transportowego. Gorączkowo zaczął myśleć nad sposobem, jak tego dokonać. Żaden z guzików w pobliżu rampy nie działał, sprawdzone. Nie staranują przecież wrót załadunkowych i nie śmigną po pasie startowym. To wymagało więcej finezji.

Jorge męczył się nad silnikiem transportera, wciąż bez efektu. Paliwo było, akumulator naładuje się później od cysterny, olej nie wyciekł. Reszty nie było jak sprawdzić. W końcu wpadł na pomysł tyleż prosty, co genialny. Przecież dysponowali sprawną cysterną. Wystarczy, jak za pomocą lin ściągną klapę luku na dół i po sprawie. Należało się pośpieszyć, bo kraken i Gunnar nie będą na nich czekać bez końca.

Zawołał Jasmin i powiedział, w czym rzecz.

– Mati.

– Tak? – Właśnie szedł sprawdzić, czy pojazd dysponuje odpowiednimi mocowaniami.

– Nie sądziłam, że w całej tej bandzie znajdzie się choć jedna osoba, która mi zaimponuje.

– Naprawdę? – zdziwił się, i to nawet bardzo.

Z linami holowniczymi nie było problemu. Wojskową cysternę zaopatrzoną w długą stalową plecionkę idealnie nadającą się do tego celu.

Jasmin manewrowała maszyną, a on założył haki. Odsunął się o parę metrów. Jak linka się urwie, zadziała jak macka krakena.

Wóz ruszył. Linka się napięła, silnik wszedł na wyższe obroty, ale samochód się zatrzymał i koła zaczęły powoli buksować na mokrym asfalcie. Jasmin zlurowała i wysiadła.

– Zrobimy to po mojemu – oświadczyła. – Jorge, daj linę z Fuchsa!

Jasmin odpięła cysternę z uwięzi, po czym wsiadła do szoferki i ustawiła samochód bliżej, za to tyłem do ogona samolotu. Jorge już na to czekał i przeciągnął drugą linę pod cysterną, po czym zaczepił ją z przodu, a Matthias sprawnie połączył dwie liny. Na szczęście były dostatecznie długie.

Że też nie pomyślał o tym od razu. W ten sposób cysterna, działająca od razu jak balast, ciągnęła rampę w dół, a nie do tyłu.

Dziewczyzna powoli dodawała gazu. Rampa zgrzytnęła, coś pękło i pochylnia gładko opadła na ziemię. Sukces.

– Dobra, wystarczy tej zabawy – zawyrokował Jorge.

– Nie chcesz sprawdzić, czy jeździ?

– A co nam to da?

– Kolejny argument przy negocjacjach z Wichmannem. Przecież chcesz odzyskać Nerda?

Jorge zastanowił się nad argumentem Matthiasa. Trochę oklapł, ale szybko się pozbierał.

– Mamy pięć minut.

Wiatr przycichł, a deszcz nie zacinał już z taką intensywnością. Gorzej, że zrobiło się zupełnie ciemno.

Widoczność nie przekraczała paru metrów. Reflektory cysterny z trudem rozpraszały mrok. Jechali nad wyraz ostrożnie, niezbyt pewni miejsca, gdzie znajdował się otwór w ziemi prowadzący do jamy mutanta. Czas pozostawiony do ich dyspozycji kurczył się gwałtownie. Być może już został przekroczony.

Jasmin zręcznie operowała kierownicą, a jechali slalomem, bowiem co chwila z ciemności wyłaniały się najróżniejsze przeszkody, najczęściej wraki porzuconych samochodów.

– Spróbuj tam. – Jorge wskazał przypuszczalny kierunek.

– Wiesz na pewno czy zgadujesz?

– Rób, co mówię.

– Tam już byliśmy.

– Nie zaszkodzi sprawdzić jeszcze raz.

Matthias na razie nie zabierał głosu. Ten zygzak od jednej krawędzi pasa startowego do drugiej zaczynał go irytować. Jazda była całkiem przyjemna, ale te zakręty w wykonaniu Jasmin? Zwiadowcę ogarnęła groza. Prawo, lewo i od początku. Czuł zawroty głowy i zaczęło mu się robić niedobrze.

– Wolniej – poprosił cicho.

– Źle się czujesz?

– Trochę.

Przy kolejnym ostrym zwrocie chciał wysiąść. Zamknął oczy, lecz wrażenie kołysania nie chciało ustąpić.

– Widzę! – krzyknął Jorge zdławionym głosem, co dawało nadzieję na rychły koniec udreki.

– Nie jestem przekonana.

– Kraczesz.

Faktycznie, w mdłym świetle ledwie majaczył niewysoki krater, coś w rodzaju wału ziemi znajdującego się nie dalej jak dziesięć metrów od krawędzi asfaltowego pasa.

– Sprawdzę. – Jorge wyskoczył z szoferki i pochylony zaczął zbliżać się do dziury w ziemi.

Według planu był to jeden z kluczowych momentów. Mimo całego swojego doświadczenia i sprawności Jorge nie mógł równać się z krakenem. Bestia posiadała jakiś szósty zmysł do wyczuwania niebezpieczeństwa. Wystarczy, że z otworu wyskoczy macka i pochwyci zwiadowcę. Nic mu już wtedy nie pomoże.

Tymczasem Jorge nad wyraz ostrożnie zajrzał do środka. Jeżeli mutant znajdował się w legowisku, to na razie nie dawał znaku życia.

Plan, który Jorge wymyślił, na pewno nie należał do skomplikowanych, wymagał jedynie skoordynowania pary działań – z jednej strony oni wpompowujący do środka paliwo, z drugiej Gunnar i reszta mający osaczyć potwora i nie pozwolić, by uciekł z pułapki. W zbiorniku cysterny było parę ton łatwopalnej substancji, pozostało tylko mieć nadzieję, że monstrum nie jest odporne także na ogień.

Zalać, podpalić i chodu z powrotem.

Wszystko szło gładko, aż do tej pory. Wahanie Jorgego źle wróżyło całemu pomysłowi.

– Pójdę sprawdzić, o co chodzi – powiedział Matthias do Jasmin.

– Idź.

Maksymalnie skupiony ruszył śladem przyjaciela. Życie Jorgego dla Matthiasa było ważne, ale własne bez porównania ważniejsze.

– Co jest?

– Ten bydlak gdzieś polazł.

– Idealnie.

– Tak myślisz?

– Lejemy i spadamy stąd w podskokach.

Jorge nie wydawał się przekonany.

– Może zejde?

– Oszalałeś.

– Ty z Jasmin przygotujcie wszystko na powitanie, a ja sprawdzę co i jak.

– Nie. To samobójstwo. – Myśli Matthiasa galopowały jak szalone. – Jeżeli już, to ja to zrobię.

Na tyle szybko, by Jorge go nie zatrzymał, zaczął zsuwać się do wnętrza jamy.

– Mati...

– Bierz się do roboty.

Nie czekał na odpowiedź, patrzył pod nogi, nie chciał się wywrócić, a namokła ziemia dosyć szybko usuwała się spod stóp. W końcu odchylił się do tyłu i zaparł na większej grudzie. Dalej poszło już znacznie lepiej – nie było już tak stromo, choć zrobiło się o wiele ciemniej.

Kraken rzeczywiście gdzieś wywędrował, inaczej po tym hałasie przy zejściu już dawno spotkałby się z nim oko w oko.

Nad krawędzią osuwiska pojawiła się aluminiowa końcówka rury. Wyciągnął po nią rękę i przyciągnął do siebie. Z takim zapleczem poczuł się o wiele bezpieczniej.

Szkoda, że tak mało widział, poruszał się prawie po omacku. Na dodatek kaptur na głowie i wciąż szemrzący deszcz utrudniały rozeznanie w sytuacji.

Drżenie podłoża pojawiło się tak niespodziewanie, że omal się nie wywrócił. Co to było? Na pewno nic przyjemnego.

Dla takiego starego wyjadacza jak Gunnar spotkanie ze stworem pokroju krakena nie było niczym nadzwyczajnym. Widział już różne mutanty, ten co prawda wybujał nad wyraz okazale, ale czy był najgroźniejszy? Całej wypłaty na to nie postawi.

Minuty na tarczy zegarka wydawały się niemiłosiernie wlec. Może wiekowy patek w końcu się zaciął? Postukał w szybkę i przyłożył czasomierz do ucha. Wszystko grało. To jemu się wydawało, że czas zatrzymał się w miejscu.

Ludzie stojący za nim niepokoił się. Prawdę powiedziawszy, kolejna potyczka z krakenem nikomu się nie uśmiechała. Jedna wystarczy. Następna to kuszenie losu. Tylko twarde rozkazy utrzymywały całe towarzystwo w ryzach. Słyszał szepty i narzekania. Na razie to nic poważnego. Rolf i August poradzą sobie z niezadowolonymi, on wkroczy w ostateczności.

Znajdowali się w szerokim tunelu, o którym opowiadał Jorge. Stąd już niedaleko do korytarza wygrzebanego przez krakena.

– Ej, widziałeś? – Za plecami zaczynała się kolejna dyskusja. – To się rusza. Nie przesadzam, sam widziałem.

– Zamknąć ryje. – Groźba Gunnara poskutkowała. Już nikt nie przerywał milczenia.

Dalej nie mogli pójść. Drogę przegradzało gruzowisko pełne pokruszonego betonu. Gunnar sapnął gniewnie. Szpara była, ale taka, przez którą dawało się przełożyć ramię, nic więcej. Nikt tędy się nie preciesnie. Co ten Jorge gadał. Trzeba było o tym pomyśleć wcześniej. Poświecił sobie latarką, zbliżając się do wyrwy. Zobaczył ciemność, która szybko zmieniała się w szkarłat. Co to jest?

– Eeeee... – głos uwiązł mu w gardle. Nie było dobrze. Właściwie to było całkiem źle. – Chłopa... – nic więcej nie zdołał powiedzieć. Nagle wszystko zawało się z

hukiem.

Wydawało się, że nie ma siły, która jest w stanie pokonać Gunnara. Tym razem się znalazła w postaci przeszło tonowego bloku betonu, który przetoczył się przez stalkera, pchnięty z ogromną mocą.

Rozpętało się pandemonium. Z jednej strony mutant próbujący przebić się dalej, z przeciwnej ogień ciągly z trzynastu automatów.

Rolf w tym dramatycznym momencie sprostał obowiązkowi. Nie uciekł, stał, dając przykład, wrzeszczał przy tym jak opętany.

Jeden z żołnierzy, bliski paniki, wypalił z miotacza ognia. Żar nie do wytrzymania rozszedł się po tunelu. Oprócz mutantą, którego płomień tylko liznął, oberwali ci, którzy stali najbliżej. Jednemu zapalił się kaptur i maska na twarzy, drugiemu osmaliło rękę i nogę. Ten z płonąca głową próbował zerwać z siebie skafander. Na próżno. Gumowana tkanina przywarła do ciała. Skowyt rannego zagłuszył wszystkie pozostałe dźwięki.

Rolf otrząsnął się z szoku i nie zastanawiając się długo, lufę automatu skierował na zwijającego się z bólu człowieka. Wystarczył jeden strzał. Wrzask zelżał tylko trochę, bo oto drugi z poszkodowanych wił się już na ziemi. Jemu również nie można było pomóc inaczej, niż od razu skracając cierpienie.

Nie wahał się ani chwili. Wycelował w serce i G36 zadrżał w dłoniach. Był im to winien.

Śmierć w niewyobrażalnych męczarniach nie mieściła się Sprinterowi w głowie. Bardzo by chciał, żeby wobec niego ktoś postąpił równie humanitarnie.

W całym tym zamieszaniu przez moment przestał kontrolować, co dzieje się z mutantem. Bestia znikła i nikt nie potrafił powiedzieć, w jakim kierunku się wycofała.

Strumyczek żółtawej cieczy bryzgnął z rury. Szło to powoli. Elektryczna pompa najwyraźniej uległa uszkodzeniu i do przetoczenia paliwa została jedynie ręczna. Stąd ten mizerny efekt.

Walkę, która rozpętała się w tunelach, Matthias przyjął ze spokojem. Przynajmniej wiedział, gdzie jest mutant – był tam, gdzie go zostawili, a nie czał się tuż obok. Teraz pozostawało mieć nadzieję, że stwór przypełźnie do swojego legowiska wylizać rany.

Pora się zbierać. Nie chciał tu być w chwili, gdy kraken pojawi się w zasięgu wzroku.

Filtry przeciwpylowe nie były w stanie wychwycić oparów paliwa, a przeciwigazowych już nie miał. Nie pomyślał o tym. Jeżeli szybko nie wydostanie się z tego leja, to będzie miał rzadką okazję umrzeć na trzy sposoby jednocześnie. No, chodź tu, malutki, mamy dla ciebie przygotowaną niespodziankę.

Zaczął się cofać, w końcu odwrócił się i próbował wdrapać po stoku.

O, w mordę. Wystarczyło zrobić krok, a rozmoknięty grunt się zapadał. Matthias przerzucił automat przez plecy i zaczął pomagać sobie rękami. Z początku szło nieźle, lecz gdy już niemal dosięgał krawędzi, stracił oparcie i stoczył się na sam dół.

O nie, nie pozwoli się pożreć jak ostatni frajer.

W kolejną próbę włożył maksimum wysiłku. Nogami przebierał jak w biegu. Stopy zapadały się coraz bardziej, a ręce mdlały z wysiłku. No, stary, dalej do przodu!

Tym razem osunął się łagodnie wraz z jakąś toną namoczonej ziemi. Miał cholerne szczęście, że nie został pod nią pogrzebany. Niemniej czuł, że zaraz zwymiotuje od smrodu benzyny. Zaczęło mu się kręcić w głowie.

Właśnie podnosił się na kolana, gdy z tyłu dobiegło go bulgotanie krakena. No to siedział w szambie po samą szyję.

Strach dodał mu sił. Zerwał się do kolejnej próby. Tym razem początek okazał się

wyjątkowo trudny. Cały był oblepiony błotem wymieszonym z paliwem, a to cholernie przeszkadzało we wspinaczce.

Mutant już go wyczuł. To nieprawdopodobne, ile człowiek jest w stanie dać z siebie, żeby uciec śmierci. Palce dłoni wczepiały się w każdą większą grudę ziemi, płuca rzeziły, a nogi bezustannie pchały do przodu i do góry. Górską kozica nie mogła się z nim równać.

Wizjer maski umazany błotem nie pozwalał dojrzeć krawędzi dziury, ale to nieważne. Tak czy owak go poczuje. Na razie czuł coraz silniejsze drgania podłoża. Wściekły kraken młócił odnóżami i zbliżał się błyskawicznie. Od wibracji ziemia zaczęła osuwać się pod własnym ciężarem.

Co ma zrobić, żeby nie zostać tu na zawsze?!

Raz, dwa, raz, dwa... Już prawie znalazł się na górze. Dosłownie centymetry dzieliły Matthiasa od uchwycenia kępy trawy wyraźnie odcinającej się na tle słabej poświaty reflektorów.

Chciał się przytrzymać tej kępy, wyciągnąwszy się jak struna, i wtedy nogi same zaczęły sunąć w dół.

Przesunął ciężar ciała na bok. Efekt ten sam. Półprzytomny odliczał ostatnie sekundy życia.

Nie podda się bez walki. Gdzieś przy pasie wymacał nóż. Jak się uda, wbije ostrze w samo serce. Szykował się do ostatecznego boju.

Uścisk na przedramieniu był jak ostatni haust powietrza. Oplótł palcami dłoń Jorgego, omal nie rozrywając skafandra.

– Ciągnij – wycharczał.

Powoli, kawałek po kawałku, szorując brzuchem po glebie, piął się w górę. O matko, żeby tylko pod ciężarem ich obu nie stało się to, co przed chwilą, i obaj nie potoczyli się na samo dno piekła.

– Żyjesz?

– A jak ci się zdaje? – Gdy głowa wynurzyła się z mokrego dołu, poczuł się jak nowo narodzony. Jorge odtoczył się na bok, a on, drąc ziemię pazurami, wciąż czołgał się do przodu, dysząc przy tym ciężko. Był ledwie żywy. Najchętniej zwinąłby się w kłębek i odpłynął.

– Wstawaj, Mati.

– Daj mi chwilę.

– Ruszaj się. Teraz będzie najlepsze.

Wielki finał. A niech to! Pokażą tej gliździe, co to znaczy zadzierać z ludźmi. Strzał z raketnicy powinien zakończyć cały ten cyrk.

– Załatw sukinsyna. – Dźwignął się na kolana, przyglądając się, z jakim namaszczeniem Jorge zabiera się do unicestwienia bestii.

Czerwona raca na ułamek sekundy rozjaśniła okolicę. I zgasła.

Matthias ostrożnie zajrzał do dziury – raca paliła się, ale do wybuchu paliwa nie doszło. Za dużo wody, za dużo błota, za mało wpompowanej cieczy, za zimno.

Kraken pojawił się w polu widzenia i wyglądał na mocno wkurzonego.

– W nogi!

Rzucili się do ucieczki. Cysterna z Jasmin czekała na wprost z zapalonymi reflektorami. Przynajmniej wiedzieli, dokąd biec.

Czego się nie tknęli, to spieprzyli. Dziwne, że w ogóle jeszcze żyją.

Dopadli drzwiczek i wcisnęli się do szoferki. Mutant właśnie wyłaził z nory.

– Trzymajcie się. – Jasmin wrzuciła bieg, ale nie wsteczny.

– Co ty chcesz zrobić?

– Zobaczycie.

Pojazd nabierał rozpędu.

– Wymiń go!

Z jednej kabały od razu ładowali się w drugą.

Próbował uchwycić kierownicę, ale dostał po łapach. Kraken rósł w oczach.

Matthias zasłonił głowę i zamknął oczy. Tylko nie to.

Uderzenie nie było tak silne, jak się spodziewał, niemniej odbił się od deski rozdzielczej, tracąc dech w piersi.

Dopiero teraz Jasmin zaczęła cofać. Jedna z macek plasnęła w kabinę, lecz nie było w tym tej siły co poprzednio. Nic nie przetrzyma zderzenia z kilkunastotonową masą bez uszczerbku dla zdrowia.

Mutant co prawda nie spadł do wnętrza jamy, balansował jednak na jej krawędzi.

– Stój – zarządził Jorge, który właśnie założył do karabinku wielki dwubębnowy magazynek znaleziony w Fuchsie.

Stalker wyskoczył z szoferki, przyjął pozycję strzelecką i zaczął pruć do celu długimi seriami. Matthias poszedł za jego przykładem. Może dokończą to, co zaczęli. Jasmin tymczasem wycofała wóz na tyły.

Co ona wyprawia? W przekonaniu Matthiasa dziewczyna zachowywała się irracjonalnie.

Obserwował jej poczynania kątem oka, koncentrując się jednak na krakenie. Musieliby mieć armatę, a nie karabinki, żeby stracił rezon. Dobrze, że chociaż na razie nie napierał, pozostając wciąż w tym samym miejscu, pewnie trochę zdezorientowany tym, co się stało przed chwilą. A i chłopaki Gunnara musiały brzydalowi ostro przyłożyć. Matthias szedł o zakład, że tak się stało. Obecny pat nie będzie jednak trwał wiecznie. W tej chwili ani mutant ich, ani oni jego nie potrafili zmusić do ucieczki. Wszelako przewaga znajdowała się w istocie po stronie bestii. Im wkrótce skończy się amunicja. Odwrót stanie się koniecznością.

Matthias przerwał ostrzał i wymienił magazynek. Przeładował. Ryk samochodowego silnika wytrącił go z równowagi. Cysterna pędziła teraz pełną mocą silnika. To się musiało źle skończyć. Przecież Jasmin nie zatrzyma takiej masy w miejscu.

Potwór ocknął się i ruszył w stronę pojazdu. Jasmin skorygowała kierunek. Nawet Jorge przestał strzelać. Było już niemal pewne, że dziewczyna chce staranować potwora. Ale jeśli nie trafi, stoczy się do dziury.

Zamarli z przerażenia. Tym razem siła zderzenia wydawała się o wiele większa niż za pierwszym razem. Cysterna nie zatrzymała się na krakenie, tylko grzmotnąwszy go, spychała sparaliżowanego do legowiska.

– Gdzie Jasmin? – zawołał Jorge.

– Nie widziałem.

Wydawało się, że doszło do najgorszego. Zaraz pojazd wraz z dziewczyną i mutantem wpadną do otworu.

– Jest tam! – wydarł się, na ile pozwalała maska na twarzy.

Przetrzymała ich do ostatniej chwili, wyskakując tuż przed tym, jak wóz opleciony mackami stoczył się do szybu.

– Dawaj, Mati, dawaj! – Jorge zamiast iść jej z pomocą, pędził na skraj osuwiska.

Matthias pognał jego śladem. Dystans pokonali w ekspresowym tempie.

A niech to.

Najpierw jedna, potem druga i trzecia macka wyłoniły się z dołu. I tym razem kraken okazał się niezniszczalny, a koszmar trwał i zdawał się nie mieć końca.

Wystarczył jeden rzut oka i już było wiadomo, co się dzieje. Cysterna przygniotła krakena. Na dole nie było zbyt wiele miejsca i stwór miał kłopoty z wyczołganiem się spod pojazdu. Wił się i syczał, zgniatając blachę. Z pękniętego zbiornika lały się całe hektolitry paliwa. Jeszcze chwila i mutant wypełźnie spod zmiażdżonej kabiny, a okazja zostanie bezpowrotnie stracona.

Jorge załadował kolejną racę. Jak nie rozprawią się z nim teraz, to już chyba nigdy. Poszła.

Wybuch odrzucił ich o parę metrów do tyłu. Z dziury trysnął ogień jak z wulkanicznego krateru. W powietrzu fruwały fragmenty blach i kawały mięcha. Cud, że żaden nie spadł na nich.

Matthias ani na moment nie przestawał obserwować widowiska. Te odnóża, których nie oderwała siła detonacji, wiły się objęte płomieniami. Kraken konał, ale nawet w agonii dawał odczuć całą swoją moc. Smród palonego truchła rozszedł się nad całym lotniskiem, a ryk ginącego potwora wypełnił bezkresną przestrzeń wieczoru.

Przynajmniej jedna sprawa została zamknięta.

Rozdział XII

Wektor zagrożenia

Stos pogrzebowy mutantu gorzał długo. Ci, którzy dotrwali, podchodzili do krawędzi, aby przyjrzeć się płonącym szczątkom. Wytrzymywali najwyżej parę sekund, bowiem żar niemal topił powłokę skafandrów. Inna sprawa, że kraken też długo zdychał. Matthiasowi aż ciarki szły po plecach, gdy słyszał to bulgotanie i skowyt. Mięso skwierczało zupełnie jak na ruszcie, aż ucieszyli się z pierwszych kropli kolejnego deszczu.

Gunnar zginął. Zgodnie z jego decyzją dowodzenie przeszło na Rolfa. Z dziesięciu zwiadowców, którzy wyruszyli z Hallesches Tor, przeżyło sześciu. Ich trójka trzymała się mocno, z ekipy Sprintera pozostały resztki. Rolf, Hans i jeszcze jeden gość, którego imienia ani pseudonimu nie znali. Reszta została w tunelach pod lotniskiem. Tak po prawdzie, to Hans w połowie stał po ich stronie, w końcu sporo razem przeszli.

Augustowi pozostała piątka żołnierzy. Jak na kohortę to trochę mało, za to wykonał zadanie i to nie było jakie. Ten fakt wprawił go w wyjątkową dumę. Co tam kohorta, dostanie awans, a kto wie, może i dowodzenie legionem? Stał teraz wśród swoich podwładnych, tryskając dobrym humorem.

– Patrz na niego. Pomyślałby kto, że to on załatwił bydlaka gołymi rękami. – W oczach Matthiasa odbijały się iskry pogorzeliśka.

– Tak się zastanawiam...

– Nad czym?

Nim Jorge zdążył odpowiedzieć, podeszła do nich Jasmin.

– Świętujecie?

– My? – zdziwił się Matthias. – To nie święto, to stypa.

– Mnie też brak Gunnara. Nie sądziłam, że taka śmierć spotka właśnie jego.

– Chciałaś powiedzieć „takiego drania” – wypalił Jorge.

– Nie to miałam na myśli – zachnęła się. – Nie wciskaj mi w usta słów, których nie wypowiedziałam.

Stali naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem.

– Napiłbym się – powiedział szybko Matthias. – Od tego ciągłego biadolenia zaschło mi w gardle.

– Mam wodę.

– Wodą to możesz... – machnął niechętnie ręką – ...ugasić ognisko.

– Spytaj Augusta – poradziła. – Nie sądzę, żeby odmówił takiemu bohaterowi.

– Znowu się czepiasz?

Już miał nadzieję, że zawiązała się między nimi nić porozumienia, a ta jak wcześniej wyskakiwała ze złośliwościami. Chyba nigdy nie zrozumie kobiet. Z trudem przełknął ślinę.

Należało się zbierać, tu nic więcej nie wymyślą. Przynajmniej tym razem trochę więcej niż połowa patrolu wróci z powrotem na Hallesches Tor.

August, widząc, że zbierają się do drogi, natychmiast przykłusował z przeciwległego krańca dziury. Rozłożył szeroko ramiona, jakby chciał ich wszystkich uściskać za jednym zamachem, i zawołał:

– A wy dokąd?

– Nic tu po nas – odparł Jorge, poruszając się ociężale.

– Wprost przeciwnie – zaprotestował August i gdyby nie maska, uśmiech na jego twarzy rozciągnąłby się od ucha do ucha. – Idziemy na Hermannplatz.

– Na Hermannplatz? To rozkaz czy zaproszenie?

Matthiasowi było wszystko jedno. Jorge również wydawał się skłonny do wizyty w centrum administracyjnym brunatnych. Jeżeli już, to właśnie tam mogą dowiedzieć się o losie Samira, a w tej zasadniczej sprawie na razie dreptali w

miejscu. Inna rzecz, że Augusta jeszcze o to nie pytali. Jakoś nie było do tego sposobności.

Nie szkodzi, niedługo pociągną podpitego Augusta za język. Każdy strzęp informacji w tych warunkach mógł być istotny. Całkiem możliwe, że Samir skończył jako przekąska dla krakena. Ten wariant wydawał się całkiem prawdopodobny. W takim razie kwestia zapłaty za ich usługę stanie pod znakiem zapytania – brak ciała, brak informacji, nie ma podstaw do wypłaty należności. Matthias utwierdził się w przekonaniu, że nie należało brać tej roboty.

Oczywiście Rolf chciał wracać, i to jak najszybciej. Towarzystwo brunatnej kohorty zdecydowanie mu nie odpowiadało, a miał z czym wracać. Dowiedział się, co stało się z poprzednikami, upewnił się, że sytuacja się nie powtórzy, no i miał jasność co do aktualnej przynależności lotniska. To dość, by uzyskać od Wichmanna nagrodę. Cały problem polegał na tym, że Augustowi nie można było odmówić wprost. Gotów się obrazić i co wtedy? Nawet jeśli z gości nie staną się więźniami, to dla Rolfa i jemu podobnych dobre układy z każdym, kto coś znaczył w metrze, to podstawa. Widać było, jak czeka, co postanowi Jorge. Niby on tu dowodził, ale tę konkretną decyzję wołał scedować na kogo innego.

– Dobra – zgodził się w końcu Jorge.

– Słuszna decyzja – powiedział z powagą August. – Na pewno nie pożałujecie.

– Jak mówią: nie chwał dnia przed zachodem słońca.

August wydawał się skonsternowany.

– Kto tak mówi?

– Nieważne, to tylko takie dawne powiedzenie. Nie bierz wszystkiego do siebie.

Tłumaczenie co i jak wydało się Jorgemu pozbawione sensu. Dla kogoś, kto żył w wiecznych ciemnościach, różnica pomiędzy dniem a nocą była kwestią czysto umowną.

Ostatnie parę godzin Matthias czuł w kościach. Z miejsca, gdzie stali, było tak samo daleko do Hallesches Tor, jak i na Hermannplatz. Wszystko jedno, dokąd pójdą, byle usiąść i odpocząć. Teraz, gdy minął już stres spowodowany walką, poruszali się dwa razy wolniej. Na szczęście ulewa zmieniła się w mżawkę.

Jeszcze parę godzin wcześniej nie uwierzyliby w to, co przeżyli. Spotkanie z mutantem tej wielkości i tego typu uznałyby za nierealne. I co? Jak się okazuje, w tym popieprzonym mieście wszystko jest możliwe.

Jasmin wlokła się tuż obok niego. Mocno pochylona do przodu, szurała po trawie, a cała energia, którą do tej pory emanowała, ulotniła się bez śladu. Należało to sobie szczerze powiedzieć – bez niej kraken zrobiłby z nich mielone. Nie przesadzał. Zawdzięczali jej życie.

Mijali terminal dawnego lotniska z prawej strony. Powrót do niego nie był konieczny. Na Hermannplatz dostaną się przez Südsterm. Lepiej, jak już zejść do korytarzy metra. Dalsze przebywanie na tej odkrytej przestrzeni wzbudzało w Matthiasie lęk. Nadchodziła noc.

– Nie zdążyłem ci podziękować.

– Drobiazg.

– To, co zrobiłaś...

– Mati, daj spokój. Myślisz, że to wszystko dla was, o mnie nie pomyślałeś? Czy ja nie jestem stalkerką? A, przepraszam, jak kobieta, to już nie, jasne. Odezwał się wielki Matthias, kumpel samego Jorgego, dwaj najwięksi zwiadowcy metra. Cała reszta nie dorasta im do pięt.

– Chyba przesadzasz.

– Przyznaj się: nie spodziewałaś się, że ktoś oprócz was może dokonać czegoś podobnego. niespodzianka, co? Wszyscy jesteście tacy sami. Ostatni szcobel drabiny ewolucji. Tylko przypadek sprawił, że to nie pan Mati siedział za kierownicą.

– Nie potrafię prowadzić – przyznał szczerze.

– Coś podobnego. Lepiej się do tego nie przyznawaj.

- Jesteś wyjątkowo irytująca.
- Mam tak od dziecka.
- Wiesz, co ci powiem... - W Matiasie zaczęła wzbierać złość. Chciał powiedzieć parę miłych słów, a ta zamiast wysłuchać do końca, rzuca się jak ten cholerny kalmar.
- Nie pomyślałeś, że twoje uwagi mogą mnie kompletnie nie interesować?
- Ale...
- Daruj sobie.

Nikt w życiu go tak bardzo nie upokorzył. Co próbował nawiązać bliższą relację, to natychmiast atakowała. Tak wrednej istoty nie spotkał jeszcze nigdy. Prawdziwa wiedźma. Może to ona była tą siłą? Zaskoczony własnym pomysłem zwolnił. Wiedziała co i jak. Znała odpowiedzi na wszystkie pytania. O potworze mówiła in frid - demon, zupełnie jakby wiedziała, skąd się tu wziął. Prawda, przeszła przez obóz, ale to jeszcze nie tłumaczyło jej nadzwyczajnej pewności siebie. Na pewno chowała tajemnice. Właściwie to kto ją zwerbował - wezyr czy zupełnie ktoś inny? I najważniejsze - po co? Ciągnęła za nimi od samej Französische Straße. Szukała wraz z nimi Samira, czy też miała zupełnie osobne zadanie? A tak w ogóle to względem kogo była lojalna? Jorge też jej nie ufał.

Pytania tłoczyły się w głowie Matthiasa. Na żadne nie znalazł odpowiedzi. Samir, Jasmin, Wichmann - ciąg postaci przynoszących pecha. O Kochstraße nawet nie chciał myśleć. Takie katastrofy nie zdarzają się codziennie, dlaczego więc zdarzyła się akurat w czasie, kiedy oni tam przechodzili? Potem ci kretyni z OWP i ich pomysły. Na koniec tajemnice i zagadki Tempelhofu.

Ciekawe, czego dowiedzą się na Hermannplatz. Nie wszyscy brunatni są tacy mili jak August. Zdarzają się wśród nich prawdziwe kanalie i to one rządzą. Tak to już jest w społeczności zdominowanej przez mężczyzn, gdzie kult siły i jednomyślności zastępuje zdrowy rozsądek.

Dowódca kohorty maszerował parę metrów przed nimi zamaszystym krokiem, zupełnie jak nakręcony. Skąd on brał w sobie aż tyle energii? Może to też mutant albo ten, no, dzin? W takim razie wymysły Jasmin nie były tak kompletnie pozbawione sensu.

Do Südsterne pozostał im jeszcze spory kawałek drogi. Matthias słyszał, jak August z Jorgem naradzają się nad tym, czy dać ludziom parę minut odpoczynku, czy twardo przeć do stacji.

W ostateczności zawsze można spróbować zejść do piwnic okolicznych bloków i posiedzieć, tylko czy warto? Na Südsterne dojdą w dwadzieścia minut, może trochę więcej, niemniej niektórzy z ekipy Augusta powoli zmieniali się w maruderów. Matthiasa bardzo dziwiło, że ktoś zamiast chcieć jak najszybciej schronić się w bezpiecznej przystani metra, woli wlec się przez ciemniejące ulice pełne czyhających drapieżników i jeszcze planować piknik.

Dawno nie przebywał na powierzchni tak długo. Poprzednie wypadki kończyły się maksymalnie po trzech godzinach, a dziś upływał im na tym praktycznie cały dzień.

Zrównał krok z Jorgem i Augustem i przysłuchiwał się rozmowie.

- Kiedy? Bo ja wiem... Może z miesiąc temu. Ktoś coś widział, ktoś coś słyszał i jak zwykle w takich przypadkach żadnych pewnych informacji. Same plotki i pogłoski. - August mówił z zacięciem. - Pierwsze decyzje podjęto ze dwa tygodnie temu. Poszedł trzyosobowy patrol. Chłopaki miały wyniuchać, czy coś jest na rzeczy.

- Wrócili?

- A gdzie tam. Podobnie jak ci u was, kamień w wodę. Ani widu, ani słychu.

- Nie masz żadnych podejrzeń, skąd to bydlę przypełzło?

- Moim zdaniem czaiło się na lotnisku od początku.

- I nikt wcześniej niczego nie zauważył? Nie urósł do takich rozmiarów przez miesiąc.

- Na ludzkim mięsie... - zaczął August i urwał. Zachwiał się i upadł na ziemię.

– Snajper!

Nie wszyscy zorientowali się dostatecznie szybko. Jorge padł i przeturlał się w bok. Matthias skoczył w przeciwnym kierunku, ale idący za nim żołnierz kompletnie nie wiedział, o co chodzi. Oberwał prosto w brzuch, nim zrobił kolejny krok.

Pociski zaczęły gwizdać nad nimi jeden po drugim.

Komu tym razem się narazili?

Budynki przed nimi tonęły we wszystkich odcieniach szarości. Strzelec ukrył się gdzieś wśród nich. Był sam. We dwóch czy trzech wykosiliby ich od razu, a tak pozostawała jakaś szansa. Niestety, znajdowali się na samym skraju lotniska, miejsc na kryjówkę było tu jak na lekarstwo. Matthias pełził na brzuchu, szukając najmniejszej fałdy terenu. Z boków i za nim kotłowali się ludzie. Nie oglądał się na nikogo. Już miał karabinek przy ramieniu i obserwował przez celownik najbliższą okolicę. Gdzie się schował? Okna bloków wyglądały na martwe.

Któryś z żołnierzy nie wytrzymał napięcia. Zamiast spokojnie zlokalizować gniazdo strzelca, walił na oślep seriami. Szybko usłyszał szcęk iglicy uderzającej w pustą komorę. Zanim wymienił magazynek, kula ugodziła go w głowę. Osunął się bez jęku. I to tyle, jeżeli chodzi o panikarzy.

Ze śmierci zwiadowcy był chociaż taki pożytek, że Matthias dostrzegł miejsce, skąd prowadzono do nich ogień – płaski dach budynku na jedenastej.

Jorge także go dostrzegł. Siekąc krótkimi trzystrzałowymi seriami, szybko zdusił ogień snajpera, choć nie należało się łudzić, że wysłał go do wieczności. Jak jest bystry, zmienił pozycję i wykończył ich jednego po drugim.

– Odwrót – zarządził Jorge. Ostatnia pożegnalna seria i już był na nogach. – Mati, ja osłaniam, a ty pomóż Jasmin.

Matthias działał jak dobrze wyćwiczony mechanizm. Szybko dojrzał miejsce, gdzie ukryła się dziewczyna. Akurat jej pomoc nie była potrzebna. Sama radziła sobie doskonale. Rolf również się nie ościągał, włókł już ze sobą jednego z rannych tam, skąd właśnie przyszli.

Ci, co przeżyli, jeden po drugim odrywali się od ziemi i biegli przez pole. Aż trudno uwierzyć, ale została ich tylko garstka.

Matthias skrył się za betonowym blokiem.

– Dawaj! – wrzasnął pod adresem przyjaciela.

Ruch w oknie jednego z niższych bloków. Posłał tam kilka pocisków, dając w ten sposób Jorgemu czas na przebiegnięcie kilkunastu metrów. Byłe wyrwać się ze strefy rażenia.

Oślaniając resztę grupy i siebie nawzajem, zaczęli cofać się w stronę wciąż gorejącego paleniska.

Poniekąd wracali do punktu wyjścia, a nie o to im przecież chodziło.

– Domyślasz się, co to za jedni? – wydyszał, gdy już znaleźli się spory kawałek od miejsca zasadzki.

– Pewności nie mam.

– Kumple Augusta?

– A po co mieliby to robić?

– Wichmann kogoś podesłał?

– Niby w jakim celu?

Mętlik w głowie Matthiasa się pogłębiał. Jak nie brunatni i nie OWP, to kto? Nikogo innego w pobliżu nie było. Może jedna ferma i jakaś porzucona stacja. Co do reszty nie był pewny. Kto w takim razie wlaź na dach budynku i zaczął do nich strzelać? Drań na sto procent nie był amatorem. Zawodowiec, to pewne.

Ranny, którego Sprinter wyniósł spod ostrzału, konał. Mężczyzna oberwał, i to mocno. Kula trafiła poniżej lewej łopatki. Dziwne, że z takim postrzałem jakoś zdołał przejść kilkaset metrów. W końcu padł. Rolf zsunął z twarzy zwiadowcy ochronną maskę. W tym stanie ani mu to nie pomoże, ani nie zaszkodzi. Ekipa się wykruszała.

Schronili się w jednym z bocznych pomieszczeń terminalu. Prawdę mówiąc, gonili już resztką sił. Odpoczynek stał się koniecznością. Niedługo zaczną lecieć z nóg, a nikt nie wiedział, co jeszcze ich czeka w drodze na Mehringdamm. Jak tak dalej pójdzie, zostaną kolejnym patrolem, który wyszedł na rekonesans i już nie wrócił. Wichmann poczeka, skalkuluje ryzyko, może wyśle kolejnych frajerów, a może nie. Kto to może wiedzieć. W sumie to tylko ludzie, towar jak każdy inny. Wypłatę odbierali po, a nie przed. W ich przypadku i tak wypłata nie była taka pewna. Ciężyły na nich zarzuty, z takimi nikt nie będzie się liczył... Zginą czy przeżyją, czy to nie wszystko jedno?

Oni, Rolf, Hans i ostatni człowiek od Augusta. Sześcioro ludzi w wyjątkowo ponurych nastrojach.

– Matthias, Jasmin.

Chcąc nie chcąc, wstał i podszedł do Jorgego. Przykucnął obok stalkera, opierając się kolaniem o posadzkę.

– Co robimy? – spytał.

– Zostajemy, przynajmniej na razie.

– Rolf tak postanowił?

– Nie Rolf, a ja. – Stalker nie wdawał się w dyskusje.

– Długo?

– Po zmierzchu spróbujemy przedrzeć się na północ. To już postanowione.

Matthias wiedział już, co zapowiada ten ton u Jorgego. Pozostali będą mieli okazję się przekonać.

– Warty od strony placu i pasa startowego. Wy na początek. Tylko nie spać – ostrzegł.

Wspięli się po schodach na piętro, uważając na potłuczone kawałki szkła, którego pełno wałało się pod nogami. Rozeszli się bez słowa. Matthias dalsze próby nawiązania rozmowy z dziewczyną uznał za stratę czasu. Najwyraźniej Jasmin go nie cierpiała. Co zrobić, bywa. Nie zostaną przyjaciółmi, o kumplostwie też nie mogło być mowy.

– Uważaj na siebie.

Potknął się i omal nie wywalił, gdy usłyszał jej słowa pod swoim adresem. Odwrócił się, lecz już zniknęła w głębi korytarza. Spodziewał się wszystkiego – kopniaka, ciosu nożem w plecy czy poderżnięcia gardła tym majchrem, który nosiła przy sobie, ale nie dobrego słowa.

Co to niby miało znaczyć? Kolejna sztuczka, sposób na zły humor Matthiasa? Wszystko jest już w porządku. Parę miłych słów, a jutro zaczynamy od początku. Ona ma go chyba za kompletnego durnia.

Zajrzał w parę miejsc, z których rozpościerał się widok na puste pole, wybrał jedno i usiadł przy okiennej ramie. Jak wszystkie w tym pomieszczeniu była połamana i nadziana kawałkami szyby. Udało mu się znaleźć miejsce, gdzie nie leciało mu na głowę. Ognisty krater właśnie wygasł. Matthias wyteżył wzrok i próbował dojrzeć miejsce, w którym uśmiercili kałamarnicę, lecz nie potrafił go jednoznacznie wskazać. Przez ostatnie dwie dekady na pustym do tej pory polu wyrosły spore kępy drzew i zasłaniały widok. To podobno były tereny zielone, cokolwiek ten termin oznacza. Tak mówił o tym Gunnar... Szkoda człowieka, wydawał się niezniszczalny, a skończył w wyjątkowo idiotyczny sposób. Podobno potrafił dłonią skruszyć skałę, a na koniec skała skruszyła Gunnara.

Przez moment Matthiasowi zdało się, że w polu widzenia pojawiły niewyraźne cienie. Przyłożył kolbę automatu do ramienia i przyjrzał się przedpolu przez celownik. Pusto. Zaczyna mieć zwidy. Niedobrze.

Zachowanie pełnej koncentracji przychodziło mu z coraz większym trudem. Spadające z sufitu krople usypiały. Myśli sprawiały, że co chwila odpływał.

Przypominały się dawne wyprawy, znajomi, kobiety, mutanty, które wspólnie z Jorgem uśmiercili.

Nie śpij, kolego, nie śpij, bo twój najlepszy kumpel gotów cię wykastrować za niewykonanie rozkazu.

Wstał i zrobił parę kroków na chwiejnych nogach. Zaczynał mieć tego wszystkiego dosyć. Dławiący żal chwycił za gardło. Ileż tu będą siedzieć? Do usranej śmierci? Trwało to i trwało. Od razu należało się zbierać i gnać na Mehringdamm. Jeżeli nie dajesz rady, trudno, osłaniasz tyły, bracie... lub siostrzo.

Szum płynącej zewsząd wody zagłuszał większość odgłosów, mimo to miał wrażenie, że słyszy kroki. To zapewne Jasmin. Przyszła pogadać. Chciał do niej zawołać, ale lepiej będzie, jak wyjdzie jej naprzeciw, zamiast się wydzierać.

Postać, która przed nim wyrosła, w niczym nie przypominała dziewczyny. Skafander tego człowieka nie był dopasowany do sylwetki, wyglądał raczej jak luźno powiewająca peleryna. Na twarzy miał maskę starego typu, jedynie automat w dłoniach taki sam – G36.

Matthias ocknął się w tym samym momencie, w którym przeciwnik wymierzył mu cios w głowę kolbą, która minęła skroń dosłownie o włos.

Walka w zwarciu rządzi się swoimi prawami. Tu nie ma miejsca na finezję. Wygra sprawniejszy, młodszy lub silniejszy.

Uderzył czołem. Normalnie po takim zwodzie wróg padał z rozbitym nosem i zwijał się z bólu. Nie tym razem. Nim się obejrzał, sam oberwał pięścią w ucho. Ugięły się pod nim nogi. O, ty...

Spróbował zrobić krok do tyłu, niestety, palce tamtego wbiły się w jego krtań. Kolejne uderzenie w głowę. Po trzecim straci przytomność.

Ustał z trudem. Nie widział ramienia biorącego zamach, ale na wszelki wypadek ustawił się bokiem. Dźwignia na łokieć, już go prawie miał. Kopniak w kolano sparaliżował prawą nogę. Ależ bolało! Dostał pięścią w twarz, na szczęście maska zamortyzowała uderzenie. Ten typ był jak gład.

Schylił się zupełnie przypadkowo, dzięki czemu uniknął kolejnego grzmotnięcia w twarz. Odbił się z obu nóg i zaatakował barkiem. Przeciwnik poleciał do tyłu, rąbnął w okno i zjechał na podłogę. Tym razem wszystko wyszło, jak należy. Matthiasowi nic się nie stało, ale leżący wyprężył się, a następnie zwiotczał. Ciałem wstrząsnęły konwulsje.

O co chodzi, przecież aż tak mocno nie oberwał?

Tajemnica wyjaśniła się szybko. Najeżona szklanymi zębami framuga rozplątała delikwenta prawie na dwoje. Matthias zerwał się na równe nogi.

Parę metrów od niego pojawił kolejny typ. Huknął strzał, na szczęście niecelny. Gdzie automat? Zaczął się rozglądać zdezorientowany. Broń wałała się pod ścianą, tam gdzie ją upuścił. Złapał ją i odbezpieczył. Gdzie ten bydlak?

– Matthias!

Z dołu nadciągała odsiecz.

– Uważajcie.

– Ty strzelałeś?

– Nie.

Rozglądał się, lecz po tamtym pozostało wyłącznie wspomnienie.

Dotarł do klatki schodowej, tym razem nic nie pozostawiając przypadkowi. Broń w każdym momencie była gotowa do użycia. Gdy tylko dostrzeże niebezpieczeństwo, wypali od razu. Szkoda, że tak mocno kręciło mu się w głowie. Raz nawet się zatoczył i musiał oprzeć o ścianę. Jak tak dalej pójdzie, niewielki będzie z niego pożytek.

– Mati, co się stało?

– Zaskoczyli mnie.

– Żyjesz, to znaczy, że nie zaskoczyli. – Jorge skierował światło latarki na nieruchomą postać. – Ty go tak?

Ruch głowy Matthiasa w stronę zakrwawionej szklanej piły wiszącej nad zwłokami wystarczył za odpowiedź.

– Uważajcie, jest jeszcze jeden – ostrzegł pozostałych.

Hans i żołnierz, którego imienia Matthias wciąż nie znał, natychmiast ruszyli w głąb korytarza. Rolf stał z boku, przyglądając się.

– Powiedz, Mati, jak to się stało?

– Przyszli stamtąd. Myślałem, że to Jasmin, a natknąłem się na tego gościa.

– A właściwie, to gdzie ona jest?

Tym razem to Jorge i Sprinter poszli sprawdzić co i jak. Wrócili po paru minutach. Sami.

Pierwsze, co uderzyło Matthiasa, gdy zdjęli martwemu mężczyźnie maskę, to brak brwi. Innych włosów też nie posiadał – czaszkę ogolono na łyso. Najmniejszego śladu owłosienia, tylko tatuaże, jakieś bluszcze na policzkach idące w stronę uszu.

Jorge nie bawił się w subtelności, wyjął bagnet i rozpruł pelerynę wraz z tym, co się pod nią znajdowało. Potrzebowali informacji, a tylko w ten sposób mogli je zdobyć.

Tors, podobnie jak głowę, pozbawiono najmniejszych kłaczków. Wydawało się, że mężczyzna jest gładki jak noworodek. Na ciele znaleźli parę większych i mniejszych blizn – rany dawno minionych walk. Spodnie zupełnie jak rybackie wodery. Jeżeli ten facet uważał się za stalkera, to za wyjątkowo ekstremalnego.

Jorge zdjął martwemu rękawice i rozciął nogawki. Uda, podobnie jak policzki, oplatały wizerunki bluszczu, ramiona tak samo.

– Patrz tutaj.

Matthias tylko przyświecał, a Jorge i Rolf odwalali całą robotę.

– Widziałeś takie dziury wcześniej?

– To botanik – wyjaśnił Sprinter. – Za każdego zabitego jeden listek.

Matthias przełknął ślinę. Ten facet miał sporo wytatuowanych listków. Co najmniej pięćdziesiąt albo i więcej.

– Czego mógł tu szukać? – Rolf przewracał ciało na brzuch.

– Nas? – podsunął Matthias.

– Przecież nie wiedział, że tu będziemy – odparł Jorge, rozcinając pelerynę na plecach wzdłuż i w poprzek.

Rysunek wyglądał znajomo. Teraz Matthias zaczął naprawdę się bać. Wzór na ramionach to nie żaden bluszcz. Jaskrawoczerwone ślepie osadzone w rozdętym korpusie i macki, które u zmarłego zawijały się na ramionach i torsie. Prawdziwe dzieło sztuki, szkoda, że przedstawiało to, co przedstawiało...

– A niech mnie – Hans cofnął się o dwa kroki. – Może ktoś mi w końcu wyjaśni, o co tutaj chodzi?

– Jeszcze się nie domyślasz, kretynie, że ten kraken był tresowany? – warknął Rolf.

– Banda jakichś popaprańców wyhodowała mutanta, a gdy już urósł, wypuściła monstrum z klatki.

– Może im zwiął? – powątpiewał Matthias.

– Nawet jeśli, to bez znaczenia. Efekt ten sam i mogliśmy go obejrzeć na własne oczy. – Sprinter splunął na martwe ciało. To mu nie wystarczyło, więc wziął zamach i kopnął umarlaka w żebra raz i drugi.

– Uważaj, bo się ocknie – ostrzegł go Matthias.

– Co?

– Powiedz mu, Hans, ja nie mam siły.

– O czym wy bredzicie? – Rolf przenosił spojrzenie z jednego na drugiego.

– Te ciała, o których mówiłem, tam w tunelu...

– Pamiętam.

- No...
- Dalej, człowieku.
- Był tam drgający palec.
- Co chcesz przez to powiedzieć? – Sprinter zdębiał.
- Nie bardzo wiem, jak to wyjaśnić. – Hans stękał jak na torturach. – Palec drgał.

Wystarczy? Może Uwe nie był tak do końca martwy.

- Bullshit. Zdaje się, że wam kompletnie odbiło. Chcecie mi wmówić, że po Berlinie kręcą się zombi? Kretyni. Debile. Słyszycie, co wygadujecie? Zombi. Was chyba kompletnie pojechało.

- Przestań szaleć. Ktoś jeszcze gotów pomyśleć, że się wystraszyłeś – cicho zasugerował Jorge.

- Ja?!

- A ty. Znasz fakty, wyciągnij wnioski.

Wszystko, na czym opierało się ich rozumowanie, to same przypuszczenia, żadnych konkretów. Palce, kraken i tatuaże. Na razie nic do siebie nie pasowało. Należało jednak przyjąć, że ostrzału na skraju lotniska dokonał ten tu i jego koleś. Zakichani wielbiciele mutantów.

- Mówiłeś, że to botanik. – Jorge pociągnął temat dalej.

- Tak mi się na początku wydawało. To przez te dziury. – Rolf wskazał lufą roślinne motywy zdobiące ciało napastnika. – Ale teraz nie wiem, naprawdę nie wiem. Ten obrazek krakena zupełnie się tu nie komponuje.

O botanikach słyszeli wszyscy zainteresowani. Zamieszkiwali stację Zoologischer Garten i raczej stronili od reszty. Mogli sobie pozwolić na podobne fanaberie, bo nigdy nie cierpieli głodu. Znali się na uprawie i hodowli, a ich siedzibą stały się tereny byłego berlińskiego ogrodu zoologicznego. Pawilony podobno były wolne, gdyż po dniu zagłady zwierzęta, które nie padły z głodu, wyrwały się na swobodę. Pod Poczdamem ktoś widział lwy i nosorożce. Matthias nie znał nikogo takiego osobiście, a w dzikie ostępy zapuszczali się jedynie stalkerzy z peryferyjnych stacji. W centrum podobne pomysły uważano za idiotyczne.

Jeżeli za wszystkim, co ostatnio się wydarzyło, kryli się właśnie oni, to sytuacja była poważniejsza, niż do tej pory myśleli. Zanosilo się na wojnę z całą społecznością dużej stacji, i to najbardziej hermetyczną ze wszystkich zamieszkujących metro.

- Porwali Jasmin. – Matthias przerwał przedłużającą się ciszę.

- Już ją pewnie...

- Przymknij się.

Rolf zmilczał. W ogóle przestał zgrywać twardziela i osobę, która wszystko wie i wszystko może.

- Zastanówmy się, co możemy zrobić – powiedział Jorge.

- Nad czym się tu zastanawiać. Wracamy.

- Spieszysz się na jakąś imprezkę, Rolf? Przyznaj się, nikomu nie powiem ani się nie wproszę – rzucił Matthias.

- Odczep się w końcu ode mnie.

- A jak nie, to co mi zrobisz? – Krew o mało nie zalała Matthiasa. Nad czym oni deliberują? Już dawno powinni wyruszyć w drogę. Minuty upływały jedna po drugiej. Muszą zacząć działać natychmiast, inaczej dziewczyna zginie. Przecież to jasne jak słońce.

- Mati, nie szalej. Sami niewiele wskóramy. – Hans próbował załagodzić spór.

- Mati to ja jestem dla kumpli – zastrzegł. – Czy wam się wydaje, że na Hallesches Tor dostaniemy wsparcie, ludzi, sprzęt? Akurat. Jeżeli mamy coś zrobić, to tylko teraz, nim botanicy dotrą do siebie.

- A co, jeżeli już ją zabili?

- Nie kracz.

- Nie kraczę, jedynie rozważam opcje.

- Matthias ma rację. – Rolf niespodziewanie przyszedł mu w sukurs. – Bardziej

potrzebna im żywa niż martwa.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Domyśl się sam.

Ładownia transportowca, choć wielka jak cała stacja metra, nie robiła już na Matthiasie takiego oszałamiającego wrażenia jak wcześniej, zresztą stalker myślał teraz wyłącznie o Jasmin i Fuchsie, którego Jorge nie potrafił uruchomić.

Rampę udało się otworzyć wcześniej, więc jeden problem był z głowy. Niestety, ten mniejszy, jak się okazało. Transporter bowiem wciąż ani drgnął.

Rolf oraz ostatni z żołnierzy Augusta zadeklarowali, że mają jakieś pojęcie o mechanice, więc trudzili się nad uruchomieniem pojazdu. W świetle latarki widział dwie sylwetki biedzące się nad jakimś elementem. Nie było sensu im przeszkadzać. Jak skończą, pojedą. Nie wcześniej.

Myśl o tym, że Jasmin znalazła się w rękach takich oszołomów jak botanicy, nie pozwalała Matthiasowi ustać w miejscu. Kręcił się nieustannie, to przestępując z nogi na nogę, to chodząc od burty do burty.

I rozmyślał. Jakaś część układanki wskoczyła w końcu na swoje miejsce. Tak się przynajmniej wydawało. Przez przypadek weszli w paradę tym, którzy postanowili poeksperymentować na żywych organizmach, z opłakanym zresztą skutkiem. Nie wiedział tylko, co chcieli w ten sposób osiągnąć. Matthiasowi zaczynały się trząść dłonie. Rozpacz i wściekłość brały w nim górę nad opanowaniem i rozsądkiem, a może ogarnęło go obrzydzenie. Co się powyprawiało z tymi ludźmi?

Parę lat wcześniej w okolicach Westhafen grasowała banda kanibali. Szybko zostali wybici przez RAF i anarchistów. Nie był to zresztą odosobniony wypadek. Przez metro przechodziły okresowe fale głodu, trwające dłużej lub krócej w zależności od tego, jak szybko poszczególni naczelnicy stacji lub przywódcy grup i syndykatów potrafili poradzić sobie z problemem. A nie był on łatwy do rozwiązania. Stopniowe obcinanie racji żywnościowych prowadziło do atrofii. W końcu ileś kalorii dziennie należało przyswoić, żeby żyć. W pierwszej kolejności zabierano więc tym, których praca nie miała zasadniczego wpływu na rozwój stacji. Zaliczali się do nich również chorzy i najsłabsi oraz starcy. Im do życia nie było już wiele potrzebne. Później przychodziła pora na czystkę – kto chciał lub był do tego zmuszony, odchodził.

Niech idzie, szuka szczęścia gdzie indziej. Jak się mu powie, da znać. Może i my dołączymy, a jak nie... trudno.

Głód to tylko jeden z problemów, z jakim musieli sobie radzić, drugi to epidemie. Wilgotne powietrze, przeludnienie i prymitywna technika sprzyjały powstawaniu chorób. Gruźlica kosiła równie skutecznie jak promieniowanie. Wystarczyła jedna stękająca osoba i ginęła cała stacja. Lekarstw praktycznie nie było. A czas inkubacji na przykład prątków znacznie się skrócił i nie trwał już lata. Bywało, że zarażony wykańczał się w parę miesięcy.

Co ciekawe, mimo wszystkich tych nieszczęść populacja w metrze stale utrzymywała się na tym samym poziomie. Po każdej większej katastrofie ci, którzy pozostali, nadrabiali straty, niemniej starcy po pięćdziesiątce zdarzali się coraz rzadziej. Czepianie się życia pazurami nie pomagało. Na każdego w końcu przychodziła pora. Niedługo ci, którzy pamiętali życie na powierzchni, wyginą do ostatniego. Pozostaną jedynie ci, dla których przebywanie w tunelach stało się normą.

Matthias obserwował, jak z roku na rok ludzie stawali się słabsi. Młodym brakowało tego wigoru, który cechował ich przodków. Czego spodziewać się w miejscu, gdzie zwykłe przeziębienie mogło zabić równie skutecznie jak kula z automatu czy zęby mutanta.

Dźwięk wysokoprężnego silnika dotarł doń tak niespodziewanie, że Matthias aż podskoczył. Udało się! Rolf i człowiek, którego w myślach zaczął nazywać Mechanikiem, dokonali niemożliwego. Już zaczynał tracić nadzieję, że motor kiedykolwiek zaskoczy. Świat wciąż był pełen niespodzianek, również tych dobrych.

Kapitan GSG 9 zasiadł na miejscu kierowcy. Błękitna chmura spalin wypełniła ładownię samolotu. Pojazd szarpnął do przodu i stanął. Znowu ruszył, tym razem wolniej, po czym dostojnie zjechał z rampy. Wyszło doskonale.

Zapakowali się do środka w ekspresowym tempie. Rolf i Jorge z przodu, reszta z tyłu. W końcu ruszali z misją ratunkową. Byle ta wyprawa nie okazała się misją daremną.

Rozdział XIII

Strategia przetrwania

Wolno posuwali się Tempelhofer Damm aż do Dudenstraße. W Mehringdamm już nie próbowali wjeżdzać. Setki samochodów blokowało przejazd. Ten problem przerabiali już rano. Wraków nie dawało się zepchnąć na bok. To zbyt wielka przeszkoda nawet dla transportera. Samochodowy armagedon ciągnął się we wszystkich kierunkach. Nie bez przyczyny Berlin uważano za motoryzacyjną stolicę świata. Dawny powód do dumy w tych okolicznościach okazał się nie lada problemem. Nie istniał inny sposób na jego rozwiązanie, jak tylko wysiąść i sprawdzić najbliższą okolicę. A nuż znajdzie się jakiś przejazd.

Entuzjazm Matthiasa natychmiast osłabł. Nie tak to sobie wyobrażał. We wnętrzu pojazdu było o wiele przyjemniej niż na zewnątrz. Przede wszystkim można było kimnąć. Kwadransik na regenerację każdemu wyjdzie na zdrowie. Jak się okazało, pojazd miał własny system filtrów, więc można było zdjąć maskę. Choć wewnątrz nie pachniało kwiatkami, to i tak poczuł się o niebo lepiej.

No a tu niespodziewanie, ledwie pot zdążył obeschnąć na czole, znowu trzeba wyjść na zewnątrz.

– Zachowajcie ostrożność – nakazał rytualnie Jorge.

Smętnie pokiwali głowami.

Gdy podeszwy butów dotknęły asfaltu, Matthiasem nagle zawładnęły wątpliwości. Panujące ciemności nie pozwalały dojrzeć nawet konturów kamienic i bloków. Nikt przy zdrowych zmysłach nie łąził po zmroku po powierzchni. To proszenie się o nieszczęście.

Reflektory Fuchsa oświetlały jedynie drogę przed wozem, a ich zasięg był ograniczony niezliczonymi wrakami samochodów. Matthias wdrapał się na dach transportera i wypatrywał potencjalnej drogi. Od biedy dawało się przejechać chodnikiem. Przynajmniej tam, dokąd sięgały światła Fuchsa. Może dalej też, w końcu, do cholery, dysponowali pojazdem wyposażonym w sześć kół i przystosowanym do jazdy w trudnym terenie, a nie zwykłym samochodem, co to zawiesi się na pierwszym krawężniku lub utknie na jakimś słupku ograniczającym ruch.

Chcąc nie chcąc, Matthias zeskokczył z wozu i pomaszerował chodnikiem na dalszy zwiad. Dotarł do granicy między nikłym światłem a całkowitą ciemnością i po chwili wahania przekroczył ją, omiatając latarką wszystko dookoła. W kilku samochodach dostrzegł odbłaski oczu, na szczęście były to tylko małe oczka, czmychające natychmiast poza snop światła. Powoli więc posuwał się do przodu.

Daleko nie uszedł. Nagle latarka wyłowiła przed nim jakąś zaporę. W poprzek całej ulicy i chodników leżała kratownica budowlanego żurawia. Może podczas wybuchu lub jakiejś wichury dźwig przewrócił się i całkowicie zablokował przejazd tą ulicą. Stalowa konstrukcja złamała się na przeciwległej do placu budowy kamienicy i zalegała podwójną barykadą na ich drodze.

Spod kształtowników nieopodał wystawała maska eleganckiego BMW, przygniecionego podobnie jak tył jakiegoś dostawczaka. Jak tak dalej pójdzie, do Zoologischer Garten dotrą jutro w południe. Jedyłą, choć bardzo ryzykowną metodą, było przebijanie się bocznymi uliczkami.

Cofnęli się do Richthofen Straße i wykręcili tuż przy narożnej kamienicy, której urok zachował się aż do tej pory. Nowy plan był taki, żeby dojechać do Boelckestraße, a potem się zobaczyć.

To nie była spokojna przejażdżka, ale też nikt się takiej nie spodziewał. Co rusz podskakiwali na jakichś nierównościach i zawadzali o wraki porzuconych samochodów, ze zgrzytem odrzucając je na bok. Co kilkadziesiąt metrów zatrzymywali się, cofali i szukali łatwiejszego przejazdu. Mimo że Matthias musiał

wtedy znowu wychodzić na rekonesans, wolał w kółko wysiadać i wsiadać, niż dla wygody cały czas jechać na dachu. Cienie migoczące w świetle reflektorów przywodziły na myśl senne koszmary. W pewnym momencie na dachu transportera wylądował jakiś większy ciężar. Matthias skrzywił się w bolesnym grymasie. Słychać było szelest i skrobanie pazurami. Zdaje się, że zabrał się z nimi pasażer na gapę.

Trwało to do chwili, gdy przejeżdżając pod jednym z licznych tu drzew, zahaczyli o niższe konary i zrzucili nieproszonego gościa. Nikomu nie chciało się wyglądać przez wizjer i sprawdzać, co czy też raczej kto próbował zakłócić im podróż.

Raz czy dwa rozpędzali się, by staranować przeszkody, których nie sposób było wyminąć. Zgrzyt dartego metalu rozchodził się daleko, widzieli wtedy czujne drapieżniki, które dość szybko rezygnowały z ataku i pościgu, wyczuwając chyba, że tej sześciokołowej bestii żaden nie da rady.

Matthias wciąż głowił się nad znalezieniem sposobu przeniknięcia do siedziby botaników. Przecież nie zjawią się na Zoologischer Garten, nie zapukają do furty i nie poproszą o widzenie z Jasmin.

Ostatecznie mogą zatrzymać się w pobliżu Kudammu, dostać się na stację i tamtędy tunelem przejść na Zoo. Podobnie można było próbować z Wittenbergplatz. W obu przypadkach spotkanie ze służbami pogranicznymi skończyłoby się tak samo – odesłaniem z kwitkiem. Nikt nie wpuści pięciu stalkerów bez wyraźnego powodu. Może należało to ująć inaczej: wpuszczą i równie szybko rozbiją. Porwali Jasmin, więc czemu nie mieliby się zemścić i na nich.

Fuchs się zatrzymał. Rolf z Jorgem prowadzili głośny spór o dalszy kierunek jazdy. Sprinter chciał jechać ulicą, Jorge szlakiem wzdłuż torów kolejki. Ostateczna decyzja nie interesowała Matthiasa. Byle już ruszać dalej. Siedzący obok Hans kiwał się sennie, Mechanik już spał jak zabity, a i jemu powieki ciążyły jak ołów.

Zasnął, nim Rolf zdążył wrzucić bieg.

Ocknął się, gdy silnik przestał pracować. Błoga cisza kojarzyła mu się z niebezpieczeństwem. Posapywanie i pochrapywanie kolegów natychmiast go uspokoiło. Jak się zorientował, nie jechali, bo właśnie dotarli na miejsce. Niebo nie było już tak atramentowoczarne jak do tej pory. Właśnie wstawał świt kolejnego dnia nuklearnej zimy.

Samo określenie „nuklearna zima” nieco straciło na aktualności. Po dwóch dekadach widoczne już były oznaki odradzania się przyrody, w trochę zmienionym kształcie, ale jednak. Nie wszystkie rośliny i zwierzęta zmutowały. Dawny świat już na zawsze był stracony, niemniej w tym, który właśnie powstawał, być może da się żyć. Wcześniej czy później ktoś spróbuje. Ludzie nie będą na wieki tkwić pod ziemią.

Jorge i Rolf przeszli do części ładunkowej Fuchsa. Zwłaszcza na Sprinterze znać było trudy nocnej jazdy. Trzymał się, ale ledwo, ledwo.

Skąd się urwałś, człowieku? Pies łańcuchowy Wichmanna wyglądał jak ktoś, kto przeszedł wewnętrzną przemianę. Stalowe oczy Rolfa nie były już tak stalowe. Niewykłuczone, że misja go przerosła. Już nie warczał i nie rzucał się na każdego, kogo wskaże pan i władca, ale do pieska kanapowego było Sprinterowi równie daleko. On... znormalniał. Aż trudno było uwierzyć. Przestał się zgrywać, a stał się taki jak reszta. Dobrze by było – ale jego tą pozą nie nabierze. Może udawać przed Jorgem i resztą. Jeżeli temu skurwielowi się wydaje, że nikt go nie przejrzał, to jest w błędzie. Nie kłapie zębami, bo nie musi. Przyczał się tylko i wyczekuje na okazję. Ma przeżyć i zdać relację.

Myśl, która pojawiła się w głowie Matthiasa, należała do tych, jakie zwykle się określać mianem „genialnych”. A co, jeżeli Wichmann zataił przed Gunnarem większość informacji i z całego oddziału o krakenie i botanikach wiedział jedynie Rolf? Wichmanna nie obchodzili ludzie, tych zawsze mógł zwerbować w taki czy inny

sposób. Jeden albo i drugi patrol na straty – jakie to miało znaczenie? Skład materiałów budowlanych! Ależ dali się nabrać. Na całym lotnisku nie widział ani jednego worka z cementem czy wiązki stali zbrojeniowej. Wichmann wiedział, że na Tempelhofie staną do konfrontacji z potworem. Gunnarowi może coś tam szepnął, ale to Sprinter robił za wtykę.

Rolf gapił się na niego z przymilnym uśmiechem. Matthias z ochotą strzeliłby w ten zakłamaną pysk, mimo to powstrzymywał się, choć z największym trudem. Dla niepoznaki odpowiedział tym samym. Niech gnój myśli, że zostali kumplami.

– Pewnie zastanawiacie się, jak przenikniemy do środka? – Jorge tarł zaczerwienione oczy. – Nie widzę innego sposobu niż przeczesanie terenu ogrodu zoologicznego z przyległościami.

Z ust Hansa wydobył się jęk.

– Jeżeli ktoś ma lepszy pomysł, może się nim teraz podzielić.

Jakoś nikt nie wyrwał się z innym, świetnym konceptem. W końcu Hans, któremu taka perspektywa najmniej przypadła do gustu, spróbował ją storpedować.

– Mamy zaglądać w każdą dziurę? Bez przesady, Jorge. Dobry z ciebie człowiek, ale ten plan jest kompletnie do niczego. Tygodnia, co ja mówię, miesiąca mało na takie podchody.

– Ten kraken jakoś im zwiął, a nie słyszałem, by przeszedł przez zamieszkałe stacje. – Stalker uciął dalsze wywody. – Pomyślałeś o tym? Widzę, że nie. A może wyhodowali go w wannie na końcu jednego z korytarzy? Jak ci się wydaje? Nie mogli go zbyt długo trzymać w metrze.

– A gdzie?

– To przecież ogród zoologiczny. Wiesz: ludzie tu przychodzili oglądać zwierzęta. Zostały wybiegi, baseny i akwaria, całe zaplecze. Najlepsze miejsce do hodowli potworów w Berlinie. Znajac pomysłowość tych postrzeleńców, wydrążyli odpowiedni kanał łączący stację z tym miejscem.

– Będą go pilnować.

– Ale nie tak jak korytarzy metra.

Matthias pokiwał głową z uznaniem. Jorge miał głowę nie od parady. Pokręcą się tu i tam, zobaczą, co w trawie piszczy, a jak się uda, zejdą w odwiedzin. Żadnych słabych punktów. Choć te zapewne ujawnią się, gdy już będzie za późno.

– Podzielimy się na dwa zespoły. Ja z Matthiasem jeden, a Rolf, Hans i... jak właściwie na ciebie mówią?

– Gruber.

– Dobra, Gruber, pójdiesz z Rolfem.

– Wolę z tobą.

Jorge nieznacznie się uśmiechnął.

– To co robimy?

– Mogę pójść z Hansem we dwóch. Damy radę – zaproponował Rolf.

– Świetnie. To postanowione.

Fuchsa zaparkowali niedaleko, wciskając go pomiędzy ścianę na wpół zrujnowanego budynku a rozwaloną ciężarówkę. Maskowanie nędzne, ale przynajmniej wóz pancerny nie rzucał się tak bardzo w oczy.

Rozdysponowali pomiędzy siebie resztę amunicji – każdemu przypadły po trzy pełne magazynki i czwarty podpięty pod karabinek, do tego granaty zwykłe, ogłuszające i dymne – pełna gama, do wyboru do koloru.

Na początek umówili się na wstępny rekonesans, czterdzieści minut, a po nim spotkanie obok bramy, przez którą zamierzali wejść. Matthias żałował jednego – miotacza płomieni, który pozostał na lotnisku, w miejscu gdzie wyrwali się ze snajperskiego ostrzału. Żołnierz, który się nim posługiwał, zginął, a szkoda. Sprzętu oczywiście, nie człowieka, bo Sprinter już zdążył podzielić się z nim informacją, w jaki sposób stracił dwóch zwiadowców. Jak miotacz ognia dostał się w ręce takiego idioty? Szkoda gadać. August, bo to był jego człowiek, już niczego nie wyjaśni, a

Grubera nie będą pytać. Mało prawdopodobne, by podkablował kumpla z kohorty.

Przynajmniej deszcz przestał padać. Przy okazji się ochłodziło, co poprawiło Matthiasowi nastrój. Chociaż nie będzie się pocić jak prosię. Dozymetrem sprawdzili stan napromieniowania. Tradycyjnie najwyższą wartość odnotowali tuż przy asfalcie. Metr, a nawet pół metra wyżej aparat pokazywał najwyżej połowę tego. Nic dziwnego, najbardziej skażony był grunt. Deszcz oczyścił powietrze z pyłu i kurzu, ale radioaktywna zawiesina, nie znajdując ujścia w zatłoczonej kanalizacji, utrzymywała się na chodnikach i jezdni. Woda w końcu wyparuje, a wiatr znów wzbije w powietrze radioaktywne cząsteczki i tak przez kolejne kilkadziesiąt lat.

Na wprost przed sobą dojrzeliby pawilon wejściowy, za nim rozpościerała się ściana zieleni. Bez słowa ruszyli truchtem, jak najszybciej pokonując odkrytą przestrzeń. Matthias jako pierwszy dopadł bramki, przez którą mieli nadzieję dostać się do środka. Plan, który wydawał się racjonalny kilkanaście minut wcześniej, przyjdzie im skonfrontować z rzeczywistością. Czego mogą oczekiwać? Odpowiedź była prosta: wszystkiego. To jasne, nikt ich tutaj nie zapraszał, a skoro tak, to mogą spodziewać się co najwyżej serii z automatu jako zwyczajowego powitania intruzów.

Na razie w zasięgu wzroku nie dostrzegł niczego niepokojącego – ani strażnika, ani zwierząt. Nie wykluczał, że wszystkie ich przypuszczenia są nic niewarte. To w zasadzie same domysły, oparte na wątej podstawie, bo co znaczył jeden trup z najbardziej nawet pokręconym tatuażem?

Powodów, dla których ktoś ozdabia ciało obrazkiem krakena, mogły być dziesiątki, od najbardziej prozaicznych w rodzaju „chciałbym mieć na sobie obrazek, którego jeszcze nikt nie ma”, po takie, które normalnemu człowiekowi nie mieszczą się w głowie. Może to jakiś kult, o którym nikt nie wiedział? W takim mieście jak Berlin zawsze wszystko było możliwe.

Prawdę mówiąc, Matthias słabo znał historię, choć trafniej byłoby go określić jako kompletnego ignoranta. Na pewno nie należał do tych, którzy zasłyszawszy strzęp informacji, dorabiali całą opowieść. A przecież w metrze zdarzali się nauczyciele. W zasadzie każda stacja posiadała własnego historyka-kronikarza. Matthias nie miał pojęcia, co takiego ważnego miałyby być w notowaniu przeszłości. To, co było, już nie wróci. Jest teraźniejszość, a będzie niepewna przyszłość. Zresztą obie wydawały się do dupy. Ale historia? Jakie znaczenie ma fakt, kiedy panował jakiś król czy przywódca? Ich już nie ma. Są nowi władcy, z nimi należy się liczyć.

Odetchnął głębiej. Nagle przyszła mu do głowy całkiem nowa myśl – a gdyby tak o nim, Matthiasie Holcie, niezależnym stalkerze, pamiętano przez kolejne dekady, układając i śpiewając pieśni sławiące jego odwagę? Bo literatura to co innego. To nie jakieś daty i nazwiska, to opowieści o czynach, które inspirują następców. O sprawach ważnych, czyli takich, którymi żyje każdy. Albo chciałby żyć. Zamiast o kalifie, który po prostu był i nic więcej, pamiętano by o nim. Czy to nie postęp? Na pewno. Walkę z krakenem opiewałyby przyszłe pokolenia. Być może nawet na Potsdamer Platz graliby wzniosłą sztukę przy pełnej widowni przez parę sezonów.

Sam był tam na jednym przedstawieniu, lecz prawdę mówiąc, nie było to nic ciekawego. Aktorzy drewniani, a przypowieść o kobiecie mającej trzech mężów była bezsensowna. Jorge twierdził, że to awangarda, a sztukę napisał uznany współczesny autor. Zdaniem Matthiasa autorowi tego „dzieła” przydałaby się wizyta na stacji rządzonej przez Ligę Muzułmańską, nie wspominając o brygadach roboczych z Seestraße próbujących przebić się do Nowej Mekki. Kilof i łopata wyprostowałyby jego myśli.

Tak więc awangardowy dramat niekoniecznie, natomiast występy solistów z bardziej konserwatywnym repertuarem przypadły Matthiasowi do gustu. Gdyby jeszcze zaśpiewano o nim...

– Matthias, ocknij się.

Przestał błędzić myślami we wspomnieniach i marzeniach. Obowiązki wzywają.

– Źle się czujesz?

- Nie. Wszystko w porządku.
- Wydajesz się jakiś nieobecny.
- Mało spałem.
- Jak my wszyscy.

Jorge i Gruber precyzyjnie się obok niego i pobiegli parkową alejką w stronę najbliższych drzew.

Zebrał się w sobie i podążył ich śladem. Rolf i Hans już dawno zniknęli wśród wybujałej roślinności.

Podłoże popękało już dawno, spod niego wyrastały pędy, o których potrafił powiedzieć tylko tyle, że są srebrzyste.

Przestał gnać jak szalony, zwolnił i w końcu przystanął, żeby przyjrzeć się blaszkowym listkom. Już je widział, tylko gdzie? Umysł pracował na maksymalnych obrotach. Zignorował ponaglące kiwanie Jorgego i pochylił się nad chwastem.

Na rozwiązanie wpadł w tej samej sekundzie – to wtedy, gdy został zaatakowany przez canidy podczas ostatniej wyprawy do Pergamonu. Był pewny, że się nie myli. Jak widać, paskudztwo rozpleniło się po całym mieście. Podobnie jak za pierwszym razem, wołał nawet nie dotykać rośliny. W ogóle był nieufny wobec nowych form życia, natomiast ta roślina budziła w nim wręcz lęk. Nie wiedział dlaczego, ale ufał swojej intuicji, która nie raz uratowała mu życie.

Dłużej nie zwlekał i ruszył pędem w stronę oczekujących towarzyszy.

- Wypatrzyłeś coś ciekawego?
- Żebyś wiedział. – Holt z trudem łapał powietrze.
- No?
- Widzisz tamto zielsko?
- Owszem, stałeś tam i patrzyłeś, jakbyś zobaczył kosmitę.
- Pojawiło się już w paru miejscach. – Matthias nie zważał na docinki Jorgego.

Ważniejsze było to, co miał do przekazania. – Niedaleko Friedrichstraße rośnie na znacznie większej powierzchni.

- To znaczy?

- Jakieś sto razy większej, Jorge. Jest też wyższe, a ja nie mam pojęcia, co to jest. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem na oczy. Gruber, może tobie taki widoczek się z czymś kojarzy?

Mechanik pokręcił głową.

- Sam widzisz.

- No dobrze, jest nowy gatunek, ale dlaczego uważasz, że to takie ważne?

Trochę głupio mu było zwierzać się z jakichś irracjonalnych odczuć. Z drugiej strony nie chciał zatajać czegoś istotnego. Pamiętał, jak zobaczył macki krakena przed Unter den Linden i nie powiedział o tym nikomu, żeby nie wydać się śmiesznym.

- Bo... się jej boję. Czuję, że jest niebezpieczna i powinienem trzymać się od niej z daleka. No, sam nie wiem...

Jorge nie skomentował, pewnie sam nie wiedział, co z tym fantem zrobić, a to w końcu najbystrzejszy facet, jakiego Matthias znał. Jeżeli ten chwast stanowił niebezpieczeństwo, niedługo się o tym przekonają. Właśnie po to istnieli – identyfikowali i likwidowali zagrożenia. Słowo „likwidator” bardzo podobało się Matthiasowi. Kojarzyło się z czymś ostatecznym. To, co zlikwidowali, nie miało prawa się odrodzić.

Jasne, że wcześniej czy później oni też zostaną unicestwieni. Ten świat był tak skonstruowany. Każdy drapieżnik w końcu spotka na swojej drodze większego, szybszego lub bardziej głodnego zabójcę od siebie. Po prostu.

Jorge, wyraźnie zafasowany tym, co usłyszał, nie bardzo wiedział, jak się zachować – sprawdzić słowa Matthiasa czy też nie zawracać sobie nimi głowy. Kolejne biologiczne zagrożenie może okazać się istotne, jak nie teraz, to w najbliższej przyszłości.

Skinął na nich i ponownie wyszli na otwartą przestrzeń. Szum trących o siebie blaszek był wyraźnie słyszalny. Jorge zatrzymał się w podobnej odległości od zielska jak wcześniej Matthias.

– Uważaj.

– A co, gryzie?

– Gorzej: łaskocze.

Jorge uśmiechnął się, wystawił stopę, dotykając butem szeleszczącej trawy.

– Na twoim miejscu bym tego nie robił.

Stalker nie odpowiedział, wpatrując się w tajemnicze zielsko pod nogami.

– Jorge, mówię do ciebie.

Znowu brak odzewu.

– Odezwij się, bo tracę cierpliwość.

Jorge wciąż stał w tym samym miejscu.

– Żarty sobie robisz? – Matthias podszedł bliżej i rozejrzał się na boki, na szczęście dookoła panował spokój. – Co z tobą?

Znalazł się na wyciągnięcie ręki, a Jorge stał nieruchomo jak posąg.

– Gruber, bierz go z drugiej strony.

Zaszło coś złego, coś, czego Matthias nie potrafił sobie wytłumaczyć.

Pochwycony w mocny uścisk zwiadowca nie opierał się. Jednym silnym szarpnięciem przestawili go do tyłu.

– Co wy wyprawiacie? – Jorge jakby dopiero teraz oprzytomniał.

– Kojarzysz, co się stało? Ej, człowieku, popatrz na mnie. Możesz mi powiedzieć, po jaką cholere wsadzałeś tam nogę?

– Jaką nogę?

– Prawą, głupku.

Wystarczyło zerknąć na but zwiadowcy: cały nosek aż do pierwszych dziurek sznurówek zaśniedział, jakby pokryła go srebrnozielonkawa powłoka.

– Kurwa, Jorge, widzisz to samo co ja?

– Ja pier... – Stalker wyzwolił się z uścisku i zrobił krok do tyłu, następnie uniósł stopę i opuścił ją z głuchym uderzeniem. Trochę srebrzystego pyłu posypało się na alejkę. Teraz dawało się dostrzec liczne nacięcia w materiale. But może nie był jeszcze do wyrzucenia, ale pilnie należało rozejrzeć się za nowym. Jorge poszukał kałuży i zamoczył w niej stopę. Z dwojga złego lepsze promieniowanie od tego paskudztwa.

– Wiesz przynajmniej, co się stało? – zapytał Matthias.

– Wspomnienia.

– Bredzisz.

– Posłuchaj, nie mam pojęcia, co to jest, ale to równie niebezpieczne jak kraken.

Zrobiło mi się tak przyjemnie.

– Jorge, tobie odbiło.

– Nie, ale byłem blisko. To zielsko działa na świadomość. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

– Pewnie nikt nie potrafi.

– Masz rację, to wykracza poza naszą wiedzę. – Stalker chciał potrzeć twarz, lecz w porę przypomniał sobie o wszelkich zabezpieczeniach, jakie miał na sobie.

– Jakieś szczegóły?

– Pamiętam... matkę i dzieciństwo... – Z zakamarków mózgu wypłynęła cała masa wspomnień. On jako chłopak idący z rodzicami Unter den Linden na zabawę urodzinową chłopca imieniem Konrad. Nieśli prezent, zestaw klocków, o których Konrad wspominał. Wiosna właśnie przechodziła w lato i w Berlinie robiło się gorąco. Rodzice rozmawiali o wakacjach i wspólnym wyjeździe nad Bałtyk. Dalszego wypadu nie planowali, na świecie robiło się dosyć niebezpiecznie, zamachy i wojny, więc tydzień w którymś z kurortów na Rugii wydawał się odpowiedni, tym bardziej że, jak zapowiadano, pogoda dopisze. Właśnie zbliżali się do kamienicy Konrada, a

potem... już nic. Zobaczył po jednej stronie Matthiasa, a po drugiej Grubera.

- Mati, powiedz mi, jak długo to trwało?

- Minutę. Nie, co ja mówię, pół minuty to maks.

Gruber przytaknął, w pełni zgadzając się ze słowami Holta.

- Jak to pół minuty?

Dla niego upłynęło jakieś czterdzieści minut, na ustach czuł smak czekolady i już wyobrażał sobie ojca pomagającego dmuchać różnokolorowe baloniki oraz matkę pochłoniętą rozmową z pozostałymi rodzicielkami, lecz ani na moment niepuszczającą Jorgego z oczu.

To srebrne paskudztwo działało na mózg dużo skuteczniej niż flaszka bimbru. Każde fizyczne wejście w kontakt z tym chwastem to gwarantowane skutki uboczne. Dobrze, jeżeli tylko takie, jakich on doznał. Trudno powiedzieć, co się stanie, jak postoi w tym pięć minut. Był przecież zabezpieczony – w masce, skafandrze i w ogóle. Matthias mówił, że miejsc, w których rosło to paskudztwo, jest więcej. Będą kłopoty.

Jorgemu zakręciło się w głowie, a zaraz potem poczuł przemożną senność. Złożył to na karb braku snu i głód.

- Wszystko dobrze? – w głosie Matthiasa brzmiała troska i niepokój.

- Posłuchaj, Mati, gdy mnie zabraknie...

- Przestań pieprzyć.

- Nie przerywaj – upomniał go stalker. – Wszystko może się zdarzyć. Zajmiesz się wtedy Nerdem?

Jorge się zachwiał.

- Trzymaj go. – Wspólnie z Gruberem złapali zwiadowcę pod ramiona i odciągnęli w stronę najbliższych drzew, omijając co większe kałuże. Jorge odpływał, a Matthias kompletnie nie wiedział, co dalej. Takie rzeczy zdarzały się, owszem, ale nie im.

Rolf miał już po dziurki w nosie całej tej misji. Zespół zupełnie się rozpadł. Z ekipy pozostał on i Hans. To jakieś pieprzone fatum. Od początku wiedział, że będzie ciężko, ale nie, że aż tak.

Na Hallesches Tor pogłoski o jakimś stworze grasującym w dawnym ośrodku dla uchodźców krążyły od jakiegoś czasu, lecz jak zwykle przy tego typu okazjach brakowało jakichkolwiek konkretów. Im mutant nie zagrażał, ale Wichmann nie byłby sobą, gdyby nie spróbował obrócić sprawy na własną korzyść.

Faktycznie, dla OWP to była szansa. Tu i ówdzie przebąkiwano o bliskiej konfrontacji z brunatnymi. Ci, liczni i dobrze zorganizowani, od początku zapowiadali się na trudnego przeciwnika, a wojna z nimi to niepotrzebne marnowanie własnych i tak niezbyt imponujących zasobów. Czy nie lepiej załatwić problem cudzymi rękoma? W tym przypadku raczej mackami.

Skąd to paskudztwo przypełzło, nie miało większego znaczenia. Należało się tylko zorientować, czy mutant da się poszczuć na wroga i tyle.

Brunatni szybko zorientowali się, że mają niechciane towarzystwo. Zdaniem Rolfa źle się stało, że bestia została unicestwiona. Wszystko przez tych idiotów, których szantażował Wichmann. Zabrali się za robotę i trzeba przyznać, że wykonali ją nad wyraz skutecznie. Przy okazji brunatni zostali pozbawieni jednej kohorty, a on swojej grupy. A przecież to miało wyglądać zupełnie inaczej...

- Hans, co ty robisz?

- Nic.

Żołnierz stał po kostki w jakimś falującym łanie zielska.

- Wyłaź stamtąd, i to natychmiast!

Myśli Rolfa wciąż krążyły wokół zdarzeń na lotnisku. Zdaje się, że we wszystkim brał udział ktoś, o kim do tej pory nie mieli pojęcia. Pewne poszlaki sugerowały

obecność botaników, czy też bardziej precyzyjnie należałoby powiedzieć darwinistów. Te dziury na ciele...

– Głuchy jesteś?

Mężczyzna stał odwrócony do niego plecami. Pleśń czy jakaś podobna substancja oblepiała zwiadowcę aż do kolan.

Rolf zrobił w jego kierunku parę kroków. Tamten zaczął się obracać, lecz... to nie był już stary dobry Hans, a właściwie był, tylko znacznie odmieniony.

– Hans?

Brak jakiegokolwiek reakcji.

– Hans, odezwij się. – Rolfowi zrobiło się duszno. – Nie będę powtarzał.

Uniósł karabinek, ale ten gest nie zrobił na Hansie wrażenia. Dawny podwładny poruszał się dosyć niemrawo, szurając nogami po srebrzystym podłożu.

– Ja nie żartuję. – Sprinter poczuł, że w ten sposób próbuje dodać sobie odwagi. – Stój!

Wymierzył broń prosto w głowę Hansa.

– Ani kroku dalej.

I co ma teraz zrobić – strzelać czy uciekać?

Zdecydował się na to drugie. Nie będzie urządzać strzelaniny w miejscu, gdzie prawie na pewno zostanie namierzony i zlikwidowany.

– Co teraz? – zapytał Gruber.

– Nie wiem. Daj pomyśleć.

Jorge powoli dochodził do siebie. Wydawało się, że chwilowa niedyspozycja minęła.

– Pomóżcie mi wstać – zażądał.

Dźwignęli ciało do pionu i podtrzymali.

– Możesz iść?

– Tak.

Zmitrężyli masę czasu, a najważniejsze wciąż było przed nimi. Powolnym, spacerowym krokiem dostosowanym do możliwości Jorgego poszli skrajem ścieżki. Niebezpieczna roślina pozostała za nimi. W tych okolicznościach powrót Jorgego do formy stał się najważniejszą sprawą.

Wydawało się, że stalkerowi siły wracały wraz z każdym przebytym metrem.

Przygoda niezbyt miła, niemniej wyglądało na to, że wszystko dobrze się skończyło.

Czyli przecucie nie myliło Matthiasa – tego srebrnego gówna należało unikać jak ognia. A właśnie, może uda się chwasta wypalić? Kolejny raz pożałował braku miotacza płomieni. Z nim życie wydawało się prostsze.

Teren dawnego ogrodu zoologicznego wyglądał na rozległy, a oni poruszali się bez żadnego konkretnego planu. Gdzie mieliby się udać: w prawo, w lewo czy przed siebie? Wskazówek należało szukać na miejscu. Matthias rozglądał się we wszystkich możliwych kierunkach. Na prawo znajdowały się jakieś mocno zapuszczone pawilony. Nie namyślając się wiele, skierowali kroki w tamtą stronę.

O ile przed zagładą cały park stanowił miejsce rozrywki, to obecnie powoli stawał się puszcza. W niektóre miejsca lepiej się nie zapuszczać. Drzewa i krzewy tworzyły tam barierę nie do przebycia. Bez maczety nie ma co próbować, a i z nią powodzenie wydawało się mocno dyskusyjne. Natura brała znowu w posiadanie to, co jej kiedyś odebrano.

W pobliżu pawilonów zatrzymali się. Sądząc po ilości pnączy wydobywających się ze środka, musiała tu znajdować się oranżeria lub jakieś terraria, a w takim razie gdzie ich lokatorzy? Wynieśli się, wymarli czy też czają się w wilgotnym mroku?

Matthias delikatnie rozchylił zielone kłaczka, zaglądnąjąc do wnętrza. Dachy w

budynku praktycznie nie było. W jego miejsce sterczał gruby pień osłaniający otoczenie konarami jak baldachimem.

Wszedł do środka, patrząc pod nogi. Zatrzymał się, gdy zobaczył czarnego włochatego pająka wędrującego po gałęzi i szybko znikającego wśród listowia. Dobra, wystarczy, nie ma potrzeby zapuszczać się dalej.

- Jorge, posiedzisz tu z Gruberem, a ja pójdę się rozejrzeć.
- Mati, daję radę.
- Nie wątpię.

Że też ta wpadka musiała przydarzyć się właśnie Jorgemu. Prawdziwy pech. Mentor i doświadczony zwiadowca postąpił wyjątkowo nieuważnie. Każdemu się może zdarzyć. Nie, akurat Matthiasowi się nie zdarzyło, natomiast Jorge zadziałał jak skończony idiota. Nawet Gruber zachował się rozsądniej.

- Niedługo wrócę – dodał na odchodnym.

Zamierzał sprawdzić najbliższe otoczenie. Zajrzeć tu i tam. Wejście, gdzie mieli spotkać się z Rolfem i Hansem, było niedaleko, więc dotrą tam nawet na czworakach.

Minął budkę, gdzie w zamierzchłej przeszłości sprzedawano fast foody, kolejny gustowny pawilon i zapuścił się w jeden z ciemnych zakamarków. Komuś, kto takie rozrywki znał jedynie z opowieści, trudno było zorientować się, jakie zwierzę stanowiło atrakcję wybiegu. Lwy, niedźwiedzie i inną egzotyczną menażerię widział tylko na obrazkach w atlasie. W tym przypadku wielki basen sugerował zwierzę wodno-łądowe. Sam staw, w sporej części pokryty grubą jak dywan warstwą roślin i śmieci, sprawiał wrażenie opuszczonego.

Już chciał zawracać, gdy dostrzegł, jak czarna woda marszczy się, a parę centymetrów nad nią pojawiają się wypustki jakiegoś stwora, jakby gada z długim pyskiem. Osobnik wydawał się spory – od pyska do ogona co najmniej jakieś dziesięć metrów. Jedno kłapięcie szczęki i koniec, nie pozostaną po nim nawet buty.

Wycofał się powoli i ostrożnie. Nie zależało mu na zbadaniu, jak szybko biega ten dinozaur.

Już na alei pozwolił sobie na głośne westchnienie. Ten obszar był gorszy od Pergamonu. To prawdziwa zona śmierci. Jak właśnie miał okazję się przekonać, co najmniej kilku spośród dawnych lokatorów przetrwało, i to w całkiem dobrej kondycji. Już nie wątpił, że kraken mógł właśnie stąd wyrwać się na wolność. To całkiem prawdopodobne. Jeszcze uważniej niż poprzednio przyjrzał się otoczeniu. Nie znał się na zoologii, ale z książek i opowiadań dowiedział się o różnych niebezpiecznych zwierzętach. Wzdrygnął się na wspomnienie modliszki, która nie wiedzieć czemu wychynęła z mroków pamięci. Pocieszył się, że pająk, którego widział, nie zmutował do rozmiarów psa, więc może innych robaków też to dotyczy.

Cieszył się też, że zostawił Jorgego pod opieką Grubera. To, co przytrafiło się przyjacielowi, potraktował jako nauczkę. Jemu udało się oprzeć pokusie, a Jorgemu nie. Ze słów Jorgego wynikało jasno – ta roślina oddziaływała na umysł. Tyle że Jorge miał co wspominać i do czego tęsknić, on nie bardzo. Całe jego życie sprowadzało się do tuneli, mroku, smrodu, ciasnoty i ludzi, których nie cierpiał.

Musiał zdecydować, w którą stronę się skierować. Przed nim trawnik, tym razem bez ochronnej siatki. Podszedł bliżej, zaintrygowany charakterystycznymi wgłębieniami. Na pewno nie pozostawiło ich zwierzę, to wgniecenia po kołach.

Przykleknął i dotknął zgniecionej trawy. Nie znał się na czytaniu tropów, taka umiejętność w metrze do niczego się nie przydawała, ale jednego był pewien – te ślady powstały w sposób sztuczny. Samochód? Jeżeli tak, to raczej mały. Opony musiały być wąskie, w dodatku były umieszczone blisko siebie. Jazda większym kłamotem po tej puszczy też nie wydawała się możliwa. W takim razie należało sprawdzić, dokąd wiedzie tak cudownie odnaleziony szlak.

Nim ruszył, przygryzł wargi. To nie było normalne. Z każdym krokiem strefa podobała mu się coraz mniej. Roślinność przed nim była coraz wyższa, łodygi sięgały już kolan, na szczęście były to zwykłe zielone pędy, a nie ta diabelska trawa.

W końcu przystanął, ponownie przyglądając się śladom pod stopami. Skoro ktoś tu jechał całkiem niedawno, najwyżej parę godzin temu, to musiała być to ta sama osoba, która uciekła im na Tempelhofie. Inaczej nie potrafił sobie tego wytłumaczyć. Typ zwał i popędził do bezpiecznego schronienia. W swoim rozumowaniu nie dopatrywał się słabych punktów. Kto jeszcze miał tak pilne sprawy, żeby pętać się w nocy po mieście pełnym mutantów?

Dźwięk silnika sprawił, że niemal podskoczył. Wyciągnął szyję, czujnie wyłapując wszelkie odgłosy. To na pewno był silnik, nie mógł się mylić. Na szczęście ze znalezieniem ukrycia nie miał problemu. Wystarczyło skręcić w bok i poczołgać się parę metrów pod osłonę szerokich liści.

Znieruchomiał w oczekiwaniu.

Niedługo w polu widzenia ukazał się motocykl z bocznym koszem. Dwóch ludzi, z których jeden prowadził wehikuł, a drugi siedział za nim. Kosz wydawał się pusty.

Matthias przycisnął się do ziemi najbardziej, jak potrafił, jednocześnie starając się dostrzec jak najwięcej szczegółów w wyglądzie i zachowaniu przybyszów. Podobnie jak strzelec na lotnisku, ci też wyglądali jak z księżycy – maski na twarzy z charakterystycznym pochłaniaczem zwisającym na końcu długiej trąby i luźne peleryny. Motocykl wydawał się mocno zużyty, zwłaszcza kosz pokryty był mnóstwem wgnieceń i zarysowań. Telepali się powoli, sporo uwagi poświęcając otoczeniu. Na pierwszy rzut oka patałachy, tylko jedno wzbudzało niepokój – broń. To nie były tradycyjne G36, jakich używano powszechnie w metrze. Ci goście posługiwali się typem automatu, o którym on właściwie jedynie słyszał, bo widział tylko raz na jakimś straganie. To Kałasznikow – przypomniał sobie dziwną nazwę. Sama broń to jeszcze nic. Co z amunicją? Pociski z G36 nie pasowały do tamtych karabinków.

Cóż, to nie jego sprawa. Mogą posługiwać się, czym chcą, nawet mieczem, łukiem, piką czy butelką zapalającą. Jeżeli jakaś broń jest skuteczna, to przetrwa wieki. Co komu po automacie, gdy w magazynku nie pozostał ani jeden pocisk? Maczuga i proca okazywały wówczas swoją wyższość. To tyle na ten temat, teraz należało zastanowić się, czy podążyć za nimi, czy dać sobie spokój. Sam przecież nic nie wskóra. Jasne jednak było, że odwrót pozostawał możliwością jedynie teoretyczną. W końcu po coś tu przyjechali.

Już chciał się podnieść, gdy obok w trawie dostrzegł pełznącego gada. Od razu znieruchomiał. W przeciwieństwie do wizji sprzed paru dni ten wąż był zdecydowanie mniejszy – liczył zaledwie dwa metry długości i nie był grubszy niż ramię dorosłego mężczyzny. Paciorkowate oczy wpatrywały się w Matthiasa z nieodgadnionym wyrazem. Rozwidlony język pojawiał się i znikał pomiędzy zaciśniętymi szczękami gada. Zaatakuj czy nie?

Na wszelki wypadek Matthias wysunął przed siebie automat, ostrożnie wstał i odstąpił krok do tyłu, wycofując się poza zasięg zainteresowania gadziny. Dobrze, że dostrzegł pełzającą śmierć w porę. Z zębami jadowymi w tyłku daleko by nie zaszedł. Ani jak tego wyssać, ani jak wyciąć.

Uff...

Musiał się pospieszyć, bo motocykl zdążył się już znacznie oddalić. Podążył za nim truchtem. Byle tylko ten na tylnym siodełku się nie obejrzał.

Ryzyko się opłacało. Wehikuł wjechał na asfaltową aleję i przyśpieszył, niemal znikając Matthiasowi z oczu. Nie pozostało nic innego, jak przebierać nogami jeszcze szybciej.

W końcu dostrzegł motor przed dawną oranżerią. Ludzi ani śladu, więc na pewno znajdowali się już w środku.

Zaczął skradać się najciszej, jak potrafił. Jeżeli odnalazł cel ich wizyty, to nie może spieprzyć misji nierozważnym krokiem. Pytanie, czy ci motocykliści to lokalny patrol, czy też wracali z lotniska? Może jak stuknie jednego z nich, drugi okaże się skłonny do zwierzeń?

Wewnątrz stał zaparkowany drugi, podobny motocykl, zaś obok na podpórcie stał jeszcze jeden, tyle że już bez kosza. OK, teraz powolutku, na paluszkach. Piękny niegdyś pawilon popadł w zupełną ruinę. Brakowało szyb, a stalowa secesyjna konstrukcja poddawała się rdzy, choć wciąż imponowała finezją wykonania. Matthias znalazł boczne przejście, dzięki czemu nie musiał pchać się środkiem. Co spotka tym razem – pająki, węże czy gady z piekła rodem?

Nie było najgorzej, tutaj ktoś najwyraźniej dbał o otoczenie, więc przejście było wolne od pędów i gałęzi, tylko gdzie podziali się ci wszyscy, którzy dotarli tu przed nim?

W końcu i to się wyjaśniło. W centralnym punkcie pawilonu ujrzał sporą stalową kłapę z uchwytem. O ile ryflowaną blachę pokrywy obrosły jakieś rośliny, to kabłąk uchwyty aż błyszczał od częstego używania. To musiało być to. Matthias podszedł z bronią wycelowaną w szyb, z którego w każdym momencie mógł wyjść księżycowy wielbiciel kalmarów. Pochylił się ostrożnie i nasłuchiwał odgłosów z podziemi. Przedłużająca się cisza dodała mu odwagi. Z wolna uniósł kłapę, centymetr po centymetrze. Udało się to bez najcichszego skrzypnięcia czy zgrzytu. Zobaczył ziejącą w ziemi dziurę, mniej więcej metrowej średnicy. Stanął nad nią i zajrzał w ciemność. Studnia była pusta. Ktokolwiek nią schodził, już dawno dotarł na miejsce.

Znalazł wejście, dalsze decyzje nie należały do niego.

Rozdział XIV

Skutki uboczne

– Powtórz wszystko jeszcze raz powoli i nie opuść żadnego szczegółu – poprosił Jorge.

– Mało ci?

– Matthias nie słyszał, a i ja zaczynam mieć kłopoty ze słuchem.

Rolf zjeżył się, ale nie wybuchł. Nie cierpiał przyjmować rad od byle szczyła, tym jednak razem wolał powstrzymać emocje, co przyszło mu z łatwością, jak przystało na doświadczonego oficera GSG 9.

– Hans wlaź w jakieś pnącze, tak po pas, wyraźnie widziałem.

– Pnącze było po pas? Wyrażaj się precyzyjniej.

– To zielsko zaczęło go oplatać, słowo daję, na początku sięgało najwyżej kostek, a potem... no nie wiem, jak to powiedzieć, Hans się odwrócił i...

– I co?

– Odszedłem.

– Uciekłeś – spokojnie dopowiedział Matthias.

– Odwołaj to, co powiedziałaś.

– A jeżeli tego nie zrobię, to co?

– Nauczę cię, gnoju...

– Jeżeli masz zamiar dalej pieprzyć takie głodne kawałki, to lepiej się zamknij.

– Ty... ty mnie będziesz pouczać? – Sprinter zrobił krok w stronę Holta.

Stalker stał dalej bez ruchu. Prawdę mówiąc, dalsze przebywanie w towarzystwie tego palanta raziło jego zmysł estetyczny. Rolf go wkurwiał, i to od samego początku, od chwili gdy ujrzał oficera po raz pierwszy na oczy. Kumpel Wichmanna na pewno nie był dobrym człowiekiem. Potwierdzał to zresztą na każdym kroku, choćby i teraz. Zostawił podwładnego na pastwę losu, a sam zwiął z podkulonym ogonem. Normalnie za coś takiego to kulka w łepetynę.

– Nic nie rozumiecie – Sprinter pieklił się dalej.

– Masz rację, jestem tępy, bo w twoich słowach nie potrafię doszukać się elementarnej ludzkiej przyzwoitości. Sprawdziłeś, co z nim?

– Było widać.

– Co, kurwa, było widać? – zdenerwował się Matthias. – Oddychał? Mówił? Jeżeli tak, to dlaczego nie próbowałaś mu pomóc?

– On już nie był człowiekiem.

– A kim?

Na tak postawione pytanie Rolf nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

Mieli już próbkę tego, co może się stać z człowiekiem pod wpływem psychotropowej substancji wydzielanej przez roślinę. Tylko szybka reakcja Matthiasa zapobiegła nieszczęściu. Rolf po raz pierwszy zetknął się z tym paskudztwem, nawet trudno się dziwić, że zareagował za późno, a co do Hansa... Bez natychmiastowej pomocy przepadł, a szkoda, już się do niego przyzwyczaili. Szkoda chłopaka.

– Mati.

Holt nie ruszył się z miejsca.

– Mati, pójdziesz po niego? – poprosił Jorge.

– Jasne. Nie musisz pytać.

– Idźcie razem z Rolfem, tak będzie szybciej.

– Jeżeli chodzi o mnie, to nie ma sprawy.

– Rolf, pamiętaj: my nikogo nie zostawiamy.

– Dobrze, już dobrze, pójdę.

– Tylko się nie pozabijajcie.

W tej części ogrodu nie spodziewali się napotkać przyjemniaczków na motocyklach, choć nigdy nic nie wiadomo, więc szli powoli i ostrożnie, lecz się nie kryli. W końcu każdy zwiadowca może wejść na teren zoo. Do tego nie potrzeba szczególnego zaproszenia ani przepustki. Wszyscy stalkerzy to jedna rodzina.

Podobno.

– To już niedaleko – oświadczył idący z przodu Rolf.

– O nic nie pytałem.

– Myślałem, że chcesz wiedzieć.

– Jak chcesz się ze mną zaprzyjaźnić, to lepiej powiedz, co Wichmann zrobił z Nerdem.

– Z kim?

– Nie zgrywaj idioty, chodzi mi o syna Jorgego.

Sprinter przystanął i się odwrócił.

– Tobie się wydaje, że jestem jego stróżem? Odpowiedz mi tak zupełnie poważnie.

– Nie wiem, kim jesteś i w czyją dupę włazisz, panie oficerze, chciałbym wiedzieć, co z Nerdem.

– Nie odpowiem...

– To...

– ...bo nie wiem. Wichmann to żałosna kreatura.

– Nie taki przyjemniaczek jak ty?

Widać było, jak w Rolfie się zagotowało.

– Właśnie. O tym dzieciaku nie wspominał, przynajmniej przy mnie.

To akurat nie była prawda. Nerda odesłano do sierocińca prowadzonego przez OWP. Tam dziewczynki i chłopcy uczyli się trudnej i niewdzięcznej sztuki zabijania. Nerd był już trochę za duży, lecz odpowiednio umotywowany powinien się zaaklimatyzować. Celem Wichmanna było stworzenie idealnego janczara. Do tego nadawały się wyłącznie dzieci. Zabierano je rodzicom lub też zbierano porzucone na stacjach. Jak już nadejdzie odpowiednia pora, zostaną użyte w charakterze oddziałów szturmowych. Taki żołnierz, który nie zadaje pytań i nie wątpi w sens wykonywanych rozkazów, to prawdziwy skarb.

Jedynym problemem, z którym Wichmann się borykał, to ciągły brak odpowiedniego ludzkiego materiału. Duża część dzieci, które trafiały do sierocińca, zupełnie nie nadawała się do zadań, jakie je czekały. Słabe, chorowite i mocno zdemoralizowane. Na ich tle Nerd zdecydowanie się wyróżniał na korzyść. Co znaczy mocna stalkerska zaprawa.

– To już tutaj. – Rolf rozejrzał się speszony, bo nigdzie w pobliżu nie dostrzegł Hansa.

– W co ty sobie lecisz?

– Spokojnie, nie odszedł daleko. – Sprinter ruszył truchtem. Przed nim falował zielonkawy łąn diabelskiej trawy. Zatrzymał się parę kroków od skażonego obszaru, nie przestając kręcić głową na boki. Nie dość, że uznali go za tchórza, to jeszcze teraz zostanie okrzyknięty durniem.

– No to gdzie on jest?

Natarczywe pytanie wytrąciło Rolfa z równowagi.

– Znajdzie się – odpowiedział oschle.

Zaczęli przetrząsać najbliższą okolicę. Z krzaków wypłoszyli szczura rozmiarów kota i to było ich jedyne osiągnięcie. Po Hansie nie pozostał najmniejszy ślad.

– To przecież jasne – odezwał się Jorge. – Nie wiem, jak wy, ale ja idę. Mam nadzieję, że i ty, Mati, nie zostawisz Jasmin w potrzebie. Co do was... – tu stalker

zwrócił się do pozostałej dwójki. – Możecie robić, co chcecie. Gruber, dobry z ciebie człowiek, nie mam prawa narażać cię na kolejne niebezpieczeństwo. – Jorge zachwiał się, lecz szybko odzyskał równowagę. – Wybacz, źle postąpiłem, od razu powinniśmy odstawić cię na Südstern. Z tego, co Matthias mówił, wynika, że ci dranie dysponują kilkoma motocyklami. Jeden jest dla ciebie. Poradzisz sobie?

Gruber wyglądał na zakłopotanego.

– O co chodzi? – spytał Jorge.

– Podjąłem decyzję – odpowiedział Gruber po chwili milczenia. – Idę z wami.

– Słyszałeś, Mati, mamy nowego kumpla.

– Mi tam pasuje.

– A ty, Rolf, co zrobisz?

W pobliże oranżerii dotarli dwadzieścia minut później. W czterech, Rolf bowiem postanowił zagrać swoją rolę do końca. Wbrew oczekiwaniom Jorgego i Matthiasa nie wycofał się, co u jednego wzbudziło uznanie, a w drugim obawy o intencje.

Próba odbicia Jasmin od początku wydawała się skazana na porażkę. Być może, gdyby dysponowali większą siłą ognia, taką jak przy walce z krakenem, mieliby jakieś szanse, ale tak? Cztery lufy przeciw nieznanej sile botaników na ich własnej stacji to zdecydowanie zbyt mało. Każdy z nich to wiedział. Na co więc liczyli?

W przypadku Matthiasa było to proste. Liczyła się wyłącznie Jasmin. Nie potrafił nazwać tego, co do niej czuje, ale tak – chodziło o nią, stała się dlań tak samo ważna jak Jorge. Po tym, jak na dobre załatwiła potwora z Tempelhofu, zawładnęła jego sercem. Nie spodziewał się, że w jego przypadku jest to w ogóle możliwe. Szkoda, że jej zachowanie w stosunku do jego skromnej osoby cechowała dużo mniejsza serdeczność.

Jorge pójdzie, bo nie zostawi kumpla, to jasne. Gruber zdaje się, że miał dosyć mętnych ideologicznych wywodów politycznych liderów ścierających się o władzę nad południowo-wschodnimi stacjami. A Rolf? Ten wciąż pozostawał zagadką.

Studnia w oranżerii wyglądała tak samo jak poprzednio, podobnie szyb – czeluść bez dna, ciągnąca się do samych trzewi ziemi. Stali nad nią i gapili się w dół jak na wyjątkowe przedsięwzięcie inżynieryjne.

– Kto pierwszy? – zapytał Jorge.

– Ja.

Matthias obrócił się i wymacał stopą pierwszą stalową kłamrę wtopioną w beton, rękoma przytrzymując się cembrowiny. Druga noga szczebel niżej. Dalej poszło już samo. Przekładał dłonie i stopy z wprawą automatu. Metal, z którego wykonano uchwyty, był powycierany od stałego użytkowania. Plamy rdzy pokrywały jedynie łączenia z betonem. Cała konstrukcja wydawała się solidną robotą, a nie byle prowizorką.

Im głębiej się opuszczał, tym mocniej waliło serce w jego piersi, co niekoniecznie było skutkiem wysiłku. Strach coraz mocniej dawał o sobie znać. Tuż nad sobą widział tyłek Grubera na tle jaśniejszej plamy stanowiącej dowód na trwanie dnia tam u góry. Pod nim tylko ciemność niepozwalająca określić, ile pozostało do końca mordegi.

Wolał się nie zatrzymywać, bo wówczas Gruber wylądował na jego głowie. Żołnierz, mimo odstępu, schodził o wiele szybciej od niego. Widać miał w tym wprawę. Ponad nim dostrzegał zarys dwóch pozostałych postaci, a więc wszyscy znaleźli się już w studni. Po chwili ostatni zamknął nad sobą kłapę. Ciemność dosłownie ich oblepiła.

Może należało pozostawić kogoś na warcie? W iście wariackim planie pełno było słabych punktów, ale na niektóre zmiany było już za późno. Pozostawało jedno: schodzenie po kolejnych szczeblach aż do skutku.

Chrząknął, próbując oczyścić gardło. Wydawało mu się, że schodzenie trwa

godzinę. Próbował liczyć szczeble, ale po pierwszych piętnastu zrezygnował. Odległości pomiędzy nimi wynosiły jakieś czterdzieści centymetrów. Pokonał ich już bez wątpienia... no, dużo. Ile to metrów? Dwadzieścia-dwadzieścia pięć, ale może znajdowali się znacznie głębiej?

Im głębiej, tym gorzej się schodziło, jakby smolisty mrok gęstniał, więzając ich w sobie. Poruszał się mechanicznie, nie zastanawiając się już, czy kolejna kłamra jest na swoim miejscu. A co, jeżeli konstruktorzy przygotowali pułapki? Nawet nie chciał o tym myśleć, bo co by to dało.

No i stało się. Kolejnego szczebla nie było. Wodził nogą wciąż niżej i niżej. Żeby to cholera wzięła. Zaraz Gruber ciężkim butem nadepnie na jego paluchy.

- Stój, uważaj - wydyszał zduszonym szeptem.

- Co jest?

- Jeszcze nie wiem.

Opuścił się na rękach najniżej, jak potrafił, teraz noga zyskała dodatkowy zasięg. Mocno zdziwił się, gdy wymacał równą powierzchnię. A więc znajdowali się na dnie, jeżeli można tak powiedzieć.

Sprawdził jeszcze raz, czy się nie myli, i zeskoczył. Trochę go zniosło do tyłu, ale niewiele.

Już wcześniej wymienił szkiełko w latarce na czerwone, dające mniej światła. To faktycznie była studnia, odchodził od niej jeden korytarz, raczej prostopadle.

Zajął pozycję u wylotu, przygotowany na wszelkie niespodzianki. Pozostali dołączyli do niego chwilę później.

- Słyszycie? - Gruber pierwszy złowił uchem odległy hałas.

Matthias musiał mocno wyteńczyć słuch, by dosłyszeć rytmiczny odgłos.

- Co to jest, tam-tamy? - uwaga Rolfa zawisła w powietrzu.

- To takie bębny używane kiedyś przez dzikie plemiona w Afryce do przesyłania wiadomości - szepnął Jorge, widząc, że ani Matthias, ani Gruber nie wiedzą, o co chodzi.

Wyjaśnienie zmroziło ich do kości. W powtarzających się dźwiękach i tak było coś niepokojącego, a teraz napięte do granic wytrzymałości nerwy podsunęły im fantastyczne obrazy. Dżungla nad nimi i dżungla w tunelach, wyznawcy potworów w kosmicznych pelerynach. Gruber wyglądał, jakby to już było za dużo dla niego.

Matthias wcale mu się nie dziwił. Zgroza zaciskała powoli szpony na ich mózgach.

Nie mogą tu tkwić bez końca, to nic nie da. Należało natychmiast ruszać dalej.

- Mam to sprawdzić? - zaoferował się Rolf.

- Nie. Idziemy wszyscy razem - zdecydował Jorge.

I tym razem Matthias wysunął się na prowadzenie. Czuł niecierpliwość, o jaką wcześniej siebie nie posądzał. Zmęczenie minęło, ulotniło się bezpowrotnie. Stał przed kolejnym wyzwaniem i po prostu musi doprowadzić wszystko do pomyślnego końca.

Korytarz wysoki na dwa metry i szeroki na jeden nie pozwalał na skomplikowane manewry. Jedno było za to pewne - idący z przodu oberwie jako pierwszy. Trzeba jak najszybciej opuścić tę pułapkę. Matthias biegł, nie oglądając się za siebie. Wystarczy jeden przeciwnik i cały plan weźmie w łeb.

Dotarli do rozwidlenia w kształcie litery Y i się zatrzymali. Którędy dalej? Jakoś nie potrafił wybrać odpowiedniego kierunku. Niech ktoś inny zadecyduje za niego, najlepiej Jorge.

- Na co czekasz?

- Nie wiem którądy.

Już wcześniej zsunęli z głów kaptury i ściągnęli maski, lecz dopiero teraz odczuli różnicę w temperaturze, zupełnie jakby z lodówki przeskoczyli do szklarni. Pot ponownie zrosił czoło Matthiasa.

Wyraźniejszy odgłos pochodził z prawej strony, tyle że nie były to uderzenia, raczej jednostajny szum. Pewnie akustyka korytarza sprawiła im figła.

Jorge w końcu wskazał, dokąd iść. Matthias przytaknął, Rolf i Gruber w tym przypadku zupełnie się nie liczyli.

Tym razem odcinek do pokonania nie wydawał się szczególnie długi. Wkrótce znaleźli się w kolejnym tunelu, niewiele większym od pierwszego. Zasadnicza różnica polegała na oświetleniu: co dwadzieścia metrów pod sufitem zamontowano oprawkę z białymi diodami. Światła dawały niewiele, za to wskazówka była jasna – tędy na pewno kręcili się ludzie.

Jakby na potwierdzenie tego wniosku w głębi tunelu rozległy się kroki.

– Do tyłu, ktoś idzie. – Matthias odepchnął ramieniem Grubera, który zaciekawiony próbował przepchnąć się przed niego.

Ostrzeżenia nie trzeba było dwa razy powtarzać. Trójka zwiadowców szybko cofnęła się w głąb korytarza, jedynie Matthias przyklęknął i nieznacznie wystawił głowę.

Jedna osoba. W mdłym świetle żarówek widział tylko ją. Pewnie nie będzie chciała zapuszczać się w boczny tunel, już raczej pójdzie przed siebie. Lepsza okazja może się nie przytrafić. Rolf na pewno wiedział, jak skutecznie przesłuchiwać, a zdobycz niejako sama pchała się w ręce.

Po chwili reszta również usłyszała charakterystyczne szuranie. Matthias, przywarłszy do ściany bocznego tunelu, czuł chłód przenikający przez kombinezon i warstwy ubrania. Właściwie było to całkiem przyjemne.

– Mati – usłyszał szept dobiegający z ciemności.

– Nie teraz.

– Mati, co ty chcesz zrobić?

– Cicho. – Jeszcze tego brakowało, żeby nadchodząca osoba zorientowała się, że nie jest sama. Pozostały najwyżej trzy metry.

Wyciągnął nóż, mocno ściskając rękojeść. Niewyraźny cień zamajaczył u wylotu kanału. Nawet nie drgnął, czekając, aż botanik przejdzie dalej, i dopiero wówczas wyskoczył z mroku. Lewym ramieniem otoczył szyję tamtego, nożem zaświecił przed oczami, a potem przyłożył do gardła.

– Milczeć – nakazał.

Przeciwnika sparaliżował strach. Czuł to wyraźnie. Botanik jęknął brutalnie szarpnięty do tyłu, nagle wyprężył się i zaczął tłuc nogami na boki.

– Zamknij się.

Z ciemności wypadł Gruber i chwycił wierzgającego delikwenta za nogi, a właściwie spróbował, bo na początku oberwał kopniakiem w piszczel, a zaraz potem kolejnym w biodro.

– Jak nie będziesz grzeczny, skręcę ci kark.

Groźba nie pomogła. Pojmany szarpał się we wszystkich kierunkach, dopiero wygięcie szyi do tyłu i odcięcie tlenu sprawiło, że przestał wierzgać. Dalej poszło już szybciej, wnieśli ciało do tunelu i odeszli kilkanaście metrów.

– Wystarczy. – Matthias zrzucił botanika na twarde podłoże i przygniótł kolanem skulonego człowieka. – Teraz pogadamy. Przyświećcie.

– A niech to – wyrwało się Gruberowi.

To była kobieta. Łysa, z dziarami na twarzy i wściekłą miną, ale bez wątpienia kobieta. Brakowało jedynie wypilowanych zębów i można by ją wziąć za wampirzycę.

– Uspokój się. – Przestał ugniatać jej płuca, pozwalając zaczerpnąć powietrza.

– Sss...

– Nie rozumiem. – Pochylił się nad więźniem, zastanawiając się, co też ma im do zakomunikowania.

– Sukinsynu, zabiję cię.

– Tylko tyle?

Nie spodziewał się, że zostanie złapany za poły skafandra i przyciągnięty. Odchylił głowę w ostatnim momencie. Zamiast w nos oberwał czołem w szczękę. I

tak zabolalo.

– Opanuj się!

Nie należała do piękności, a wyszczerzone zęby i twarz wykrzywiona w grymasie złości sprawiały, że wyglądała jak furia. Jej dłonie wystrzeliły w górę, próbując sięgnąć do oczu Matthiasa. Piekący ból na policzku dawał wyraźnie do zrozumienia, że z nią nie ma żartów.

– Tak się nie będziemy bawić – wycharczał, próbując odepchnąć jej ramiona jak najdalej od swojej twarzy. – Gruber, pomóż.

Mechanik nie bawił się w subtelności, złapał ją za jedną dłoń i rozciągnął rękę na betonie. Jorge zrobił to samo z drugiej strony.

Rozkrzyżowana na ziemi kobieta wciąż nie dawała za wygraną.

– Mati, zatkaj jej gębę.

Szarpnięciem urwał jakiś dłuższy kawałek jej buzy i wcisnął w usta. Nie było to trudne, bo właśnie łysa zbierała się do krzyku.

– A to wredota.

Ręce skrępowali jej za plecami kawałkiem parcianej taśmy.

– Dziwisz się jej? – Rolf, który do tej pory trzymał się nieco z dala, przybliżył się. – Po tym, jak ją potraktowałeś? No... prawdziwa ślicznotka. Gruber, pomóż mi. – Bezceremonialnie chwycił jeńca za głowę, przy okazji trochę nadrywając kombinezon. – O tak, wystarczy. – Ich oczom ukazał się bluszcz wytatuowany na ramionach.

– Ich tu wszystkich pokrećilo. – Matthias splunął pod nogi. Dla niego nie ulegało wątpliwości, że ci wszyscy botanicy to banda niebezpiecznych szaleńców. Tylko idiota robi sobie takie rysunki. Na co to komu? W każdym razie trop okazał się dobry. I strzelec, i ta kobieta maczali palce w zbrodni na Tempelhofie. Ciekawe, do czego dojdą, jak zaczną pierwszą turę pytań. Wycisną z niej wszystko. Jak trzeba będzie, potną ją na plasterki.

Ciężko oddychał, a wyobrażenia zaczęła mu podsuwać coraz dziksze obrazy. Opamiętanie przyszło po paru sekundach. Ponownie dał się ponieść fantazji. Tracił nad sobą kontrolę. Jak tak dalej pójdzie, skończy jak jakiś świr. Cholera, coś podobnego wcześniej mu się nie zdarzało. To przyszło niedawno, choć nie potrafił wskazać żadnego konkretnego wydarzenia z tym związanego.

– Mati, to twój jeńiec, co chcesz z nią zrobić? – zapytał Jorge.

– Przesłuchać.

– Tutaj?

O tym nie pomyślał. Należało się gdzieś zaszyć, znaleźć stosowne miejsce, gdzie nie będą mogli zostać zaskoczeni. W tym kanale wcześniej czy później ktoś się pojawi.

Westchnął, starając się znaleźć wyjście z sytuacji.

– Zaczekajcie, pójde się rozejrzeć. – Nie czekał na odpowiedź.

Dosyć szybko dotarł z powrotem do oświetlonego tunelu. Ta kobieta nadeszła z lewej, śpieszyła się. Wystawił głowę. Nic podejrzanego. Zdecydowanym krokiem ruszył w prawo. Głuche dudnienie się nasiliło. W pobliżu pracowała maszyna, jakiś agregat lub generator. Zwolnił, gdyż tunel przed nim się kończył. Tego powinien się spodziewać. Podobnie jak ci z Hallesches Tor społeczność Zoologischer Garten pewnie również wydrążyła całą masę bocznych odgałęzień od dworca. Sama stacja już im nie wystarczała. Rozwijają się, sukinsyny.

Dalej się nie zapuszczał. Zawrócił. Błądzenie po nieznanym miejscu budziło w nim skrajną niechęć. Wszystko dookoła wyglądało obco. Inaczej nie potrafił tego określić.

Minał boczny korytarz i tym razem zapędził się kawałek dalej. Całość wydawała się tak samo beznadziejna. O wolnej, cichej przestrzeni, gdzie swobodnie dałoby się przesłuchać jeńca, można zapomnieć.

Podczas jego nieobecności chłopcy nie próżnowali. Siniec pod okiem kobiety był tego wymownym dowodem.

- Kłopoty?
- Trudno wytrzymać z tą sekutnicą – odrzekł Gruber z kwaśną miną. – Może tobie pójdzie lepiej.

- Tak sądzisz?

- Spróbuj.

Rolf chyba przesadził. Może nie siła, a odpowiednie argumenty trafią jej do przekonania. Po pierwszej części trudno będzie o porozumienie, niemniej należało spróbować.

- Słuchaj, ja nic do ciebie nie mam. – Chrząknął i przyklęknął na kolano, starając się jak najprecyzyjniej wyrazić myśli. – To czysty przypadek, że trafiło na ciebie. Broniłaś się, to też zrozumiałe. Każdy z nas postąpiłby tak samo.

Niewyraźny pomruk towarzyszy potwierdził jego słowa.

- Ja mam na imię Matthias i jak zapewne domyślasz się, jestem stalkerem. Znaleźliśmy się tutaj, bo wasi żołnierze porwali naszego zwiadowcę. Jak tylko go odnajdziemy, to sobie pójdziemy. Serio, nie szukamy rozróby. To wszystko. Zatem, czy słyszałaś coś o tym?

Kobieta potwierdziła kiwnięciem głowy.

- Żyje?

Tym razem wzruszenie ramion.

- Ale jest tutaj?

Całkowita obojętność.

- Wypuścimy cię, jak nam pomożesz.

- Powiem ci, że ja bym się z nią nie cackał. – Sprinter był zdegustowany.

- A ja ci powiem, że jesteś idiotą – warknął Matthias. – Nim się nie przejmuj, wyrywny jest.

Rolf zaklął, lecz wciąż trzymał się blisko.

- To jak, dogadamy się?

Łysa głaca, trochę za ostre rysy twarzy i rysunki na policzkach nadawały jej niepospolity wygląd. Może nie była ładna, za to, gdy się przyjrzeć, oczy emanowały inteligencją.

- Chcesz tu zdechnąć? Zupełnie cię nie rozumiem. Układ jest prosty: ty pomożesz nam, a my pomożemy tobie. Prościej tego wyrazić nie potrafię.

- Mati, zdaje się, że jej jest zupełnie obojętne, co z nią zrobimy – odezwał się Gruber.

- Wyjmę ci szmatę, dobra? Tylko nie wrzeszcz, proszę.

Chwycił za materiał i powoli zaczął ciągnąć przygotowany na najgorsze.

- Widzisz, jakoś się dogadamy.

- Nie macie pojęcia, w co wdepnęliście – wycharczała powoli, lecz zrozumiale.

- Powiem to tylko raz: nie my zaczęliśmy tę rozróbę. Wasi ludzie zaatakowali nas na Tempelhofie zupełnie bez przyczyny. Zginęło kilku dobrych żołnierzy.

- To nie my.

- Jak to nie wy?

- Ja jestem botaniczką, a z wami zadarli darwiniści.

- Jorge, słyszałeś o czymś takim?

- To sekta... – Stalker wydawał się zaskoczony.

- ...czcicieli śmierci – dokończyła.

- Co się z tymi ludźmi porobiło. – Gruberowi omal piana nie wystąpiła na usta. W końcu to on stracił wszystkich swoich kolegów, a teraz okazało się, że to przez pojebańców czczących maszkare.

- Mów od początku.

- To znaczy od czego?

- Od tego mutanta.

- Nazywają go, a właściwie ją, Hel.

- Chcesz powiedzieć...

- To samica.

Konsternacja nie trwała długo.

- Może mi ktoś w końcu powie, o czym ona, do ciężkiej cholery, mówi? - odezwał się Mechanik, nerwowo bawiąc się automatem.

- Hel to staronordycka bogini śmierci - wyjaśnił pokrótce Jorge.

- Teraz jeszcze okazuje się, że jakaś banda kretynów zaczęła całkiem nowy rozdział w historii berlińskiego metra - wpadł mu w słowo Rolf.

- Skąd się ten mutant wziął? - dopytywał Matthias.

- Tego nikt nie wie. Darwiniści gdzieś go znaleźli, a może wyhodowali. Bawią się w genetyków.

- Nie bardzo rozumiem.

- Mati, później ci to wytłumaczę - niecierpliwił się Jorge. - I co dalej?

- Nic.

- Ładne mi nic - oburzył się Matthias. - Macki na dwadzieścia metrów i dobre pięć ton wagi. Urocze nic. Ludzi szatkowało jak w mikserze. Dopiero... - W porę ugryzł się w język, nie chcąc powiedzieć o parę słów za dużo. Wciąż nie wiedzieli o kobiecie nic konkretnego.

- Musicie zrozumieć jedno: pomiędzy botanikami a darwinistami nie ma zgody.

- Ale co chcesz przez to powiedzieć? Walczą o krakena? Może jeden to za mało i jest potrzebny kolejny?

- Dla darwinistów Hel to dużo więcej niż zwykły mutant, to ich broń.

- Chyba trudno nad czymś takim zapanować, skoro polazło aż na Tempelhof.

- Możliwe, kanały burzowe i ściekowe wciąż są dostępne.

- Zaraz, momencik. - Matthias z palcem na spuście zbliżył się do kobiety. - Skąd mamy wiedzieć, że ty nie jesteś darwinistką?

- Widziałeś u mnie tatuaż?

Racja. Tamten facet na lotnisku nosił na plecach symbol krakena.

- Pochyl się.

Zmierzyła go wzrokiem, lecz po chwili posłusznie opuściła głowę. Było mu trochę niezręczne, lecz znalazł się tu w konkretnym celu. Odchylił skafander na ramionach pełen obaw. Spodziewał się samej łodygi, lecz się pomylił. W sumie cztery listki, czyli cztery ofiary. Krakena nie było.

- Już? - zapytała.

- Dobra. - Przejechał dłonią po szczecinie na brodzie. - Czyli co? Nie lubicie się z darwinistami?

- To akurat nie ma nic wspólnego z lubieniem czy nie lubieniem. Prowadzimy wojnę - poprawiła go.

- Od dawna?

- Od początku, ale dopiero teraz obie strony poszły na całość. Prawda jest taka, że nam, botanikom, nie udało się ich powstrzymać. Próbowaliśmy, ale nie daliśmy rady.

- Dużo was zostało?

- Najwyżej dziesięć osób. Bronimy się w paru korytarzach niedaleko dworca. To, co tutaj widzicie, to wszystko robota naszych wrogów. Dawny obszar ogrodu zoologicznego przecinają teraz dziesiątki korytarzy.

- Aż tyle?

- Żebyś wiedział.

Jeżeli w słowach botaniczki kryło się choć ziarno prawdy, to raczej nie powinni liczyć na to, że uda im się odbić Jasmin i bezpiecznie uciec z tego przeklętego miejsca.

- W takim razie skąd wiesz o porwanym zwiadowcy?

- Widziałam. To dziewczyna, prawda? Inaczej byście tu nie przyszli.

- Nie twoja sprawa - odwarknął Matthias.

Nie miał ochoty wdawać się z nią w dyskusję. Już wiedział, że go przegada, znajdzie słabe punkty i wykorzysta je do własnych celów. Cwaniara. Nie dość, że nie

wyglądała jak dziewczyny, z jakimi do tej pory się zadawał, to jeszcze umysł miała ostry jak brzytwa.

W świetle tego, co do tej pory powiedziała, jej początkowy opór wydawał się całkowicie uzasadniony. Bała się wpaść w łapy darwinistów. A swoją drogą, jak człowiekowi może tak odbić, by zaczął się modlić do mutanta? Tego nie potrafił zrozumieć. Przecież to poza logiką i zwykłym instynktem samozachowawczym.

Botanicy, darwiniści, jakie jeszcze cuda kryje berlińskie metro? Po latach obijania się po różnych stacjach Matthias był przekonany, że poznał już wszystkie istotne tajemnice. A czego on nie wiedział, to wiedział Jorge. A tu guzik – dopiero podczas tej wyprawy okazało się, jaka jest prawda. Każda ze stacji zazdrośnie strzegła swoich małych sekretów.

Botanicy może są odjechani, ale darwiniści to już kompletna szajba. Przy nich Państwo Islamskie, RAF i brunatni to łagodne owieczki.

– Jeńców przetrzymują bliżej głównego tunelu. Jest tam specjalny obóz.

– Zaprowadzisz nas?

– Pilnuje go ze dwudziestu strażników.

– No to pozamiatane. – Sprinter szykował się do odwrotu.

– Musi być jakiś sposób. Przecież znasz te tunele jak własną kieszeń. – Gruber nie odpuszczał.

– Kiedyś owszem. Teraz sama muszę się zastanowić, w którą iść stronę.

– Właściwie to co tu robisz?

– Niżej jest pomieszczenie generatorów. Miałam je zniszczyć, niestety, wy się napatoczyliście.

– Masz do nas żal?

Nie odpowiedziała, językiem zwilżając usta.

– Może zrobimy tak: ty nas zaprowadzisz do generatorów, my je uszkodzimy, a potem...

– Mati, zacznij myśleć głową, a nie kutasem. – Rolf nie darował sobie porady.

– Czy ja ciebie pytałem o zdanie?

– Nie.

– No widzisz.

– Generatorów też na pewno ktoś pilnuje, więc z jednej akcji robią się dwie. – Sprinter ani myślał ustąpić.

– Możesz iść na Hallesches Tor, czy ja cię zatrzymuję?

Rolf umilkł, dalszą rozmowę z młodszym zwiadowcą uznając za poniżającą.

– Jak ty właściwie masz na imię?

– Idun.

– Tak nazwali cię rodzice?

– Nie, tak nazwałam się sama.

– Posłuchaj, Idun, czy możemy ci zaufać?

Rozdział XV

Wrota piekieł

Matthiasa na przemian oblewał zimny i gorący pot. Poszli na całego, co do tego nie było wątpliwości. O konsekwencjach nawet nie chciał myśleć. Z tej przygody raczej nie wyjdą cało. O sobie nie martwił się zbyt, lecz widok Jorgego przyprawiał o drżenie serca. Przyjaciel zachowywał się, jakby nagle postarzał się o trzydzieści lat. Był tak samo spocony, oddychał przez usta, niekiedy mamrocząc do siebie bez ładu i składu. Na szczęście reszta zespołu tryskała energią. Idąca na czele Idun czyniła to z gracją skradającej się pantery. Bez tych szkaradnych wzorków i z włosami mogłaby okazać się całkiem do rzeczy. Kroczący za nią Gruber nie spuszczał z niej oczu, podobnie jak Rolf. Obaj nie ufali jej za grosz, spodziewając się zdrady w każdym momencie.

Może to oni mają rację? Nawet nie może, tylko na pewno. Szła na dywersję, a nie znaleźli przy niej żadnej broni. Czy to nie zabawne? Czym chciała zniszczyć generator? Palcami? No chyba, na urok osobisty nie mogła liczyć.

Jorge zwolnił, zatoczył się i w końcu zatrzymał.

– Jesteś chory? – zapytał Matthias półgłosem.

– Tak mi się zdaje.

– Rano czułeś się dobrze.

– To przyszło później – wysapał Jorge. – Pamiętasz, co przytrafiło się Hansowi?

– Jak twierdzi Rolf, facet zmienił się w warzywo.

– To zielsko wypala mózg.

– Przestań pieprzyć. Osłabłeś, każdemu może się zdarzyć – zdenerwował się

Matthias.

– Ja też się zmieniam.

Nie takiej informacji oczekiwał.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nachodzą mnie myśli, których nie jestem w stanie kontrolować. Ogarnia mnie ciemność.

– Lepiej nie wspominać o tym Rolfowi.

– O czym? – Sprinter słuch miał doskonały.

– Jorge źle się czuje.

– To widzę, nie ma o czym wspominać. – Rolf zatrzymał się i poczekał, aż podejda.

– Też władował się w to srebrne gówno, mam rację? No ładnie. Cała ta wyprawa to jedna wielka porażka. Od samego początku wszystko szło jak po grudzie. Jorge, będziesz nas teraz gryzł czy jak?

– Nie żartuj sobie w ten sposób. – Jorge uśmiechnął się blado.

– Już ci powiedziałem, możesz iść i nie zapomnij pozdrowić Wichmanna – dodał

Matthias.

Na wzmiankę o organizatorze ekspedycji Sprinter przestał się odzywać.

– Co mu jest? – Tym razem do rozmowy włączyła się Idun.

Matthias, chcąc nie chcąc, wyjaśnił, o co chodzi.

– Niech weźmie to. – Z bocznej kieszeni wyjęła fiolkę z małymi żółtymi pastylkami. – Pomoże, przynajmniej na razie.

– Wiesz, co to za roślina? – zapytał Jorge. – W końcu jesteś botaniczką.

– Ludzie od niej wariują.

– To już wiemy. – Rolf oparł się o ścianę tunelu. – Czy to może efekt waszego eksperymentu? Przyznaj się: kombinowaliście przy tym? Miało być pięknie, a wyszło jak zawsze. Nawet gorzej, totalna klęska. Zostało was kilku, bo reszcie zlasował się mózg.

Musiał trafić w czuły punkt. Idun cofnęła się i pewnie rzuciłaby się do ucieczki, gdyby nie to, że za nią stał Mechanik.

- A nie mówiłem.
Jorge wytrzeszczył oczy, nie bardzo wiedząc, co teraz zrobić.

- Wypluj to gównu – poradził Matthias.

- Nie mogę, połknąłem.

- To wyrzycaj, szybciej. – Dopadł przyjaciela, który w tym czasie pochylał się, próbując pozbyć się niechcianej tabletki.

- Przestańcie. – Idun, trzymana w mocnym uścisku Grubera, przyglądała się wydarzeniom z niesmakiem.

- Nie udzielaj nam rad.

- Przestańcie – powtórzyła. – Ten środek przynajmniej na parę godzin powstrzyma rozwój choroby.

- Przynajmniej na ile?

- Wszystko zależy od organizmu.

- Gruber, pilnuj jej jak oka w głowie. – Matthias tymczasem pomógł Jorgemu się wyprostować. – Wszystko gra?

- Sam nie wiem.

- Ale go urządziłaś.

- Sam się tak urządził – odparła Idun.

- To tylko jakieś zielsko.

- Tylko i aż. Oddziałuje na mózg, ale w sposób wyrafinowany, dość trudny do przewidzenia. Ludzie odpływają, że tak powiem.

- Co robią?

- Odpływają. Mówię tak, bo brak mi lepszego słowa. Po prostu stają się inni.

- Zmieniają się w zombi – wtrącił się Rolf.

- Ty to powiedziałeś. Faktem jest, że trudno jest ich później... no nie wiem, jak to powiedzieć... unicestwić.

- Oni żyją czy nie?

- Żyją, ale pogrążeni w swoim własnym świecie. Zresztą nie wiem, widziałam efekty, ale nigdy nie znalazłam się w skórze takiego odmienca. Przypuszczamy, że ta roślina posiada świadomość.

- Takich bzdur nie będę słuchać.

- Przed zagładą prowadzono prace nad uzyskaniem jak najlepszych zbiorów. Wiecie, robaki zjadały uprawy, więc należało wymyślić takie rośliny, które obronią się przed gatunkami inwazyjnymi, jak szarańcza czy mszyca, przed długotrwałą suszą, zalaniem, mrozem, stąd prace nad roślinami genetycznie modyfikowanymi. Większe plony, większe zyski i więcej ludzi, którzy są szczęśliwi. Żywność tanieje, a że jej hodowla czy spożywanie może wywoływać skutki uboczne, to już nikogo nie obchodziło. Protesty społeczne i zakazy poszczególnych rządów nic tu nie były w stanie pomóc. Realną władzę posiadały wielkie koncerny. Ktoś w końcu wpadł na pomysł zaszczepienia roślinom genów zwierząt. Od tego się zaczęło.

- Skrzyżowano pomidora ze świnią? – wysapał Matthias mający już tego wszystkiego powyżej dziurek w nosie.

- Upraszczasz. To nie jest tak, że zaraz dostaniemy wieprzowinę w pięciu smakach czy owoc, który ma oczy i uszy. Kolba kukurydzy na początku miała dwa centymetry, a człowiek wyhodował w końcu prawie półmetrową. Zgodzisz się, że jest to postęp?

- Co to jest kukurydza? – wyrwało się Gruberowi.

- Nieważne. Badania ruszyły pełną parą, nie szczędzono środków, sukces wydawał się bliski i wtedy nastąpił koniec. Ludzie wyparowali, ośrodki badawcze opustoszały.

- Rośliny przetrwały.

- Zmutowały, podobnie jak zwierzęta. Wcale bym się nie dziwiła, gdyby to zielsko na początku pojawiło się w pobliżu któregoś z laboratoriów. Kompletnie nie wiemy, jakie reakcje zaszły w procesie asymilacji cząstek.

– Możesz jaśniej?
– Nieważne. W każdym razie wszyscy ludzie, którzy zostali poddani działaniu zarodników, w końcu ulegli przemianie.

– Co z nimi robiliście?

Pytanie nie doczekało się odpowiedzi.

– Zapytam inaczej: czy ci zarażeni atakowali ludzi?

– Zdarzały się i takie przypadki.

– Ale nie wszyscy?

– Nie.

Od kiedy Jorge władował się w to srebrne gówno, upłynęły ponad dwie godziny. Idun sama powiedziała, że nie wie, jak długo trwa przemiana. To kwestia indywidualna. Może środek, który mu dała, zaczął działać, jako że Jorge wyglądał lepiej niż przed paroma minutami, choć bynajmniej nie kwitnąco.

O ile zatem troska o przyjaciela zesłała na plan dalszy, nadal Matthiasa martwiło tempo, w jakim się posuwali. Od wejścia w ten labirynt co chwila robili przestoje. Owszem, pojмали Idun i dowiedzieli się wielu przydatnych rzeczy, ale jak tak dalej pójdzie, minie kolejna doba od porwania Jasmin.

– Wszyscy gotowi? – Nie zaczekał na odpowiedź. – Mamy zadanie do wykonania.

Do zejścia na niższy poziom dotarli minutę później. Nie różniło się ono zbyt od tego, które pokonali wcześniej. Matthias jako pierwszy przygotował się do zejścia. Ostrożnie przestawiał stopy, nie chcąc narobić niepotrzebnego hałasu. Już parę metrów niżej pochłonęły go kompletne ciemności. Tym razem się tym nie przejął, wciąż z tą samą monotonią przekładając ręce i nogi. Szkoda, że nie zapytał, czy jest tu tak samo głęboko jak przy zejściu z powierzchni.

W końcu wyczuł podłoże i pewnie stanął na betonie. I tu nic go nie zaskoczyło, tunele niczym się od siebie nie różniły poza tym, że dobiegające do uszu dudnienie stało się wyraźniejsze.

Zajął pozycję nieco w głębi i odbezpieczył automat. Począł, aż wszyscy do niego dołączyli, i ruszyli dalej.

Wkrótce natknęli się na boczne pomieszczenie mieszczące generator. Niektóre z grubych wiązek kabli nikły w ścianie, pozostałe w podłodze. Czyżby pod spodem był kolejny poziom?

Z tyłu komory znajdowały się stalowe drzwi.

– Wiesz, co jest dalej?

– Musieli to wydrążyć, kiedy nas już tu nie było.

– Ej, Mati, popatrz na to. – Gruber znalazł sterownik. Kilka guzików i przełączniki na tablicy aż prosiły się, żeby je poprzestawiać.

– Znasz się na tym?

– Pewnie. – Mechanika najwyraźniej świerzbiły dłonie, bo już zabierał się za pierwsze korekty. – Tym włączasz i wyłączasz. – Pokazał odpowiedni wihajster.

– Wstrzymaj się z tym jeszcze trochę. – Matthias spodziewał się starego rupiecia, a na miejscu znalazł całkiem nowoczesne urządzenie.

– Jak chcesz.

Podszedł do drzwi, wciąż zastanawiając się, co też może się za nimi kryć.

– Który pierwszy? – zapytał Rolf.

Jorge nie wahał się dłużej, nacisnął na klamkę i pociągnął do siebie. Żelastwo otworzyło się z cichym cmoknięciem gumy. O ile tunele za nimi tonęły w mroku, to ten przed nimi aż skrzył się od światła.

– Widzieliście coś takiego? – Gruber ze zdziwienia otworzył usta.

– Prawdziwy cud techniki. – Jorge od razu wcisnął się do środka i przylgnął do ściany.

Matthias wepchnął przed siebie Idun i z Gruberem przy boku podążył za nimi. Rolf zabezpieczał tyły. W tym był najlepszy.

Temperatura była tu wyższa niż gdzie indziej, i to o dobre parę stopni, zupełnie

jak w szklarni na Hallesches Tor. Oddychało się ciężko, a powietrze przepemniał smród gnijących roślin.

– Wcale mi się tu nie podoba – oznajmił Rolf.

– Czego się spodziewałeś?

– Chłodni.

Kilkanaście metrów przed nimi po prawej stronie tunelu Matthias dostrzegł wejście.

Przyśpieszył, doganiając Jorgego.

– Masz jakiś plan?

– Zabić wszystko, co się rusza.

– Nie zapominaj, że gdzieś tam trzymają Jasmin.

– Pamiętam.

Nagle na główny korytarz wyszedł mężczyzna. Łysy jak wszyscy tutaj, zamiast broni w dłoni dzierżył skrzynkę na narzędzia. Obie strony były zaskoczone tym spotkaniem.

– Nie ruszaj się! – choć byli z Jorgem najbliżej, nie mogli zapobiec ucieczce mężczyzny.

– Stój! Mati, łap go.

Puścił się pędem w ślad za uciekinierem. Mógł strzelić, ale w ten sposób szybciej ściągną sobie na kark kolejnych darwinistów.

Przed nim ukazał się krótki korytarzyk, skręt w lewo i takie same drzwi jak te, które sforsowali przed momentem. Miał sporo szczęścia, gdy pocisk z pistoletu minął go o włos.

Szybko skrył się za załomem ściany. Jeżeli tamten otworzy drzwi, pryśnie nie wiadomo gdzie.

– Człowieku, nie rób głupstw.

Kolejny strzał zrykoszetował na betonie. Matthias pochylił się najniżej, jak potrafił, i ostrożnie wystawił głowę. Z jakiegoś powodu tamten nie odblokował jeszcze stalowej wierzei.

– Dogadamy się.

Skrzynka z narzędziami poszybowała w stronę zwiadowcy. Jej zawartość rozsypała się dookoła.

– Nie pozostawiasz mi wyboru.

– Mati, po co ty z nim gadasz? – Jorge nie bawił się w negocjacje, odepchnął Matthiasa i wystawił G36, od razu pociągając za spust. Jeden strzał wystarczył. Tamten upadł z głośnym stęknieniem.

Jorge wyskoczył z ukrycia i kopniakiem odrzucił Walthera z dala od rąk darwinisty.

– Żyje?

– Długo to nie potrwa.

– Zabiłeś go.

– Miałem czekać, aż nas nafaszeruje ołowiem?

Matthias pochylił się nad rannym. Światło szybko gasło w oczach łysielca.

– Mogliśmy z nim pogadać.

– Akurat.

– Z Idun się dało.

– Idun dała się zaskoczyć, a ten wybrał śmierć.

– Znasz go? – zapytał botaniczkę, gdy stanęła obok nich.

– Pierwszy raz widzę go na oczy.

– Ale to jeden z nich, znaczy się darwinista.

– Tak, zresztą sam sprawdź.

– Obejdzie się. – Matthiasa ciekawiło jedno, co też mogły kryć kolejne stalowe drzwi.

Normalnie na stacjach tak zabezpieczone były tylko magazyny broni i materiałów

wybuchowych oraz śluzę prowadzące na powierzchnię. Zwykli obywatele, a nawet elita chronili się za zasłonkami, kawałkami dykty, jeżeli było ich na nie stać. W warunkach permanentnych niedoborów radzono sobie, jak umiano. Tutaj ewidentnie starano się coś ukryć przed światem. To podobno jacyś genetycy czy inni eksperymetatorzy, zatem wcale by się nie zdziwił, gdyby tuż obok znajdowały się uprawy czy jakaś wysoko rozwinięta hodowla na wielką skalę mogąca odpędzić od mieszkańców metra widmo głodu. Zadano sobie naprawdę sporo trudu, organizując to zaplecze.

Z drugiej jednak strony darwiniści, botanicy również, nie zaliczali się do osób, które można posądzać o chęć ulżenia bliźnim. Za drzwiami mogło więc znajdować się wszystko. Kiedyś było takie określenie: puszka z czymś tam, nie pamiętała dokładnie. Otwarcie jej uwalniało wszelkie nieszczęścia.

Wejść czy nie wejść – oto jest pytanie. Ten robotnik nic im już nie wyjaśni. Należało zdecydować samemu i ponieść przy okazji wszelkie konsekwencje.

Zdaje się, że Rolf dla odmiany nie miał najmniejszych wątpliwości, bowiem już majstrował przy dźwigni odblokowującej zaczepy.

– Otwieramy?

– A wiesz, co jest po drugiej stronie?

– Przejście. – Rolf wydawał się tak pochłonięty tym, co robi, że nie zważał na nic innego.

– Debil, no po prostu debil. – Matthias wymruczał pod nosem kolejną obelgę pod adresem Sprintera.

– Ciężko idzie.

– Mam złe przeczucia – ostrzegł go Matthias.

– Zamiast gadać, lepiej będzie, jak mi pomożesz.

– Tylko ostrożnie – poradził Jorge.

Idun stanęła nieco z tyłu.

– Co się tak chowasz? – zaciekawił się Matthias.

– Wcale się nie chowam – odpowiedziała z typowym dla siebie lekceważeniem wszystkiego i wszystkich.

Jej asekurancka postawa nie spodobała się Matthiasowi.

W końcu wajcha została przestawiona do pozycji „otwarte”.

– Zostawcie...

– Bez paniki, chłopie, wiem, co robię. – Rolf z pewną siebie miną szarpnął za dźwignię i odblokował przejście, po czym śmiało zajrzał do środka. We wnętrzu się zakłębiło, dało się słyszeć jakieś cmoknięcia i plaśnięcia. Ciało Sprintera na ułamek sekundy znieruchomiało.

– Zamykaj! – wrzasnął Matthias do Grubera, który próbował wyrzeć ponad ramieniem oficera GSG 9. Nim tamten pokonał połowę dystansu do przełącznika, Rolfa odrzuciło do tyłu. Do jego twarzy przykleił się stwór o wielu mackach, którymi momentalnie oplótł głowę Sprintera, mocarnym uściskiem dławiąc w zarodku wszelkie krzyki.

Ten kraken był mały, zaledwie pisklę, ale za nim już pchał się następny, o wiele większy. Wybuchło zamieszanie jak w burdelu podczas pożaru. Jorge zaczął szyć seriami z automatu. Trudno było powiedzieć, czy trafia. Pod nogami stalkerów wiło się coraz więcej macek. Gruber oprzytomniał i zaczął pchać drzwi, żeby je zatrzaskać. Matthias natychmiast wsparł go ramieniem i nawet nie zdążył się skrzywić, gdy Jorge strzelił tuż nad jego uchem.

Tymczasem za nimi Rolf próbował zerwać z twarzy oblepiające go paskudztwo, słabł jednak z każdą sekundą. Kraken syczał, nie rozluźniając uchwytu. W końcu do szamoczącej się pary doskoczyła Idun z przechwyconym pistoletem i wypaliła w mutanta z przyłożenia. Pocisk wyrwał kawał tułowia maskary, lecz nawet na sekundę nie poluzowała ona zaciśniętych macek. Dopiero drugi strzał sprawił, że mutant skurczył się i odpadł od ciała. Dobrze, że mieli do czynienia z oseskiem, a nie

z dorosłym osobnikiem, bardziej odpornym na wszelkie uszkodzenia.

Matthias zaparł się nogami, pchając z całych sił, jednocześnie obserwując, co dzieje się w korytarzyku.

Tego, co zobaczył, wolałby nigdy nie widzieć. Twarz Sprintera została... wyżarta, wypalona? To zdaje się odpowiednie słowo. Nie było już oczu, nosa, ust czy policzków, wszystko znikło jak polane kwasem. Dopiero teraz usłyszeli dobiegający z gardła Rolfa nieludzki skowyt.

Już prawie dopięli swego, wypychając glutowate macki poza framugę, gdy poczuli kolejne mocne uderzenie, które odepchnęło ich o parę centymetrów, a potem drugie i trzecie.

– Trzymaj! – wrzasnął Holt do Grubera.

Jorge walący długimi seriami zrobił trzy długie kroki do tyłu, bo akurat w polu widzenia pojawiło się grube, mięsiste odnóże, o wiele dłuższe od tych, z którymi do tej pory przyszło im się zmagać.

– Ale wielki! – Jorge rozpaczliwie próbował utrzymać stwora na dystans.

Idun, skulona gdzieś pomiędzy ich nogami, szyła z Walthera zupełnie jak na zawodach strzeleckich.

Powoli zaczynał tracić nadzieję. Długo tak nie pociągną. W końcu mutanty trzymane w zamknięciu wyrwą się na wolność. Dopiero teraz zrozumiał, że właśnie to była hodowla, tylko inna, niż się spodziewał. Idun pewnie coś podejrzewała, dlatego nie pchała się do przodu.

Rozdzierający im uszy krzyk Rolfa wzmógł się jeszcze bardziej, gdy odnóże oplotło go w pasie i zaczęło ciągnąć. Nieszczęśnik zorientował się, o co chodzi, próbując walczyć z siłą, która za moment przełamie jego słabnący opór.

Seria prosto w odnóże poskutkowała, bo schowało się za framugę. W ciało Matthiasa wstąpiły nowe siły.

– Zamykamy.

Udało się.

Prawie.

Kolejna macka, długa i chuda wystrzeliła ze szpary, uchwyciła Rolfa za głowę i pociągnęła za sobą, omal nie wyrwijąc ciała z butów. Ciało na moment zaklinowało się w szczelinie między framugą a skrzydłem drzwi, lecz chwyczone kolejnym odnóżem zostało wessane do środka. Żołnierz zagulgotał i znikł w kłębiącym się piekle. Towarzyszyło temu głośnie plaśnięcie, od którego Matthiasowi zrobiło się słabo.

– Dłużej nie wytrzymam – Gruber wciąż mamrotał swoje.

– Nie puszczaj.

Uderzenia z drugiej strony stały się rytmiczne i każde z nich powiększało otwór. Już nie pomagało zapieranie się nogami i karabinowe serie. Sytuacja była krytyczna.

– Wyrrywamy.

Idun dłużej nie czekała, pierwsza biorąc nogi za pas. Do Matthiasa dotarło, że kiedy botaniczka znajdzie się przy drugich drzwiach, może odciąć ich od bezpiecznego wyjścia.

– Gruber, teraz ty, już!

Mechanik oderwał się od stali i pobiegł, ile sił w nogach. Sekundę później Matthias poszedł w ślady Grubera. Jorge osłaniał ich ogniem karabinka.

Był już prawie przy zakręcie, gdy na kostce poczuł mocarny uchwyt. Przyklęknął, żeby się nie przewrócić. Ręką natrafił na piłkę do metalu, która wyleciała z rozbitej skrzynki robotnika. Złapał za uchwyt i przejechał brzeszczotem po ciągnącym go z powrotem odnóżu. Wystarczyły trzy mocne ruchy i macka puściła. Jorge strzelał raz po raz w najbliższe osobniki, dopóki Matthias się nie podniósł. Już razem pobiegli w stronę wyjścia.

W pomieszczeniu z generatorami znaleźli się akurat w momencie, gdy kolejna ze stalowych blokad groziła zatrzaśnięciem.

– Czekaście! – Matthias oddał długi skok i dłonie uderzyły boleśnie w metal. Prześlizgnęli się na drugą stronę, drżąc z wysiłku.

– Po coście się tam pchali? – Idun wydarła się na całego.

– To nie my, to Rolf, z nim pogadaj.

Teraz już wiedział, po co dwa pancerne przejścia tak blisko siebie – to była śluza oddzielająca normalne korytarze od koszmaru czekającego tuż za rogiem.

– Jesteś pewna, że nie masz z tym nic wspólnego?

– Daj już spokój.

– Ja mam ci dać spokój? Dobre sobie. – Cały się trząsał, nie tylko ze zmęczenia.

Kolejny raz wdepnęli w bagno, z którego mieli małe szanse się uratować.

– Nie zrzucaj na mnie sprawek darwinistów.

– Wy to niby lepsi?

– Nie prowadzimy przynajmniej takich durnych eksperymentów.

Mało brakowało, a skoczyliby sobie do oczu.

– Spokojnie, krzykiem do niczego nie dojdziemy. – Jorge starał się załagodzić sprzeczkę. – Musimy zastanowić się, co dalej. OK?

– Tu jest generator, chyba zapewnia im ciepło albo co. – Gruber wskazał na urządzenie. – Rozwalmy ustrojstwo, tak jak radziła Idun. Mutanty szlag trafi.

– Mówisz tak, bo wiesz, że tak się stanie, czy tylko przypuszczasz? – Jorge wolał się upewnić.

Przy ostatnich słowach łomot macek walących o zamknięcie rozległ się szczególnie donośnie.

– Czy te bydlaki nawet na moment nie mogą się uspokoić? – Matthiasa ponownie ogarnęła zgroza. – Jorge, a co ty o tym wszystkim myślisz?

– Nie wiem, Mati. Nie wszystko mi tu pasuje, ale myśli mi się płaczą.

No tak. Gdyby nie to srebrne ścierwo, Jorge na pewno już by wszystko wyjaśnił i ich stąd wyprowadził, tymczasem to jeszcze jego trzeba będzie ratować.

Jak się wydawało, przynajmniej na razie byli bezpieczni. Potwory nie wyrwą się na wolność, dopóki nie puszczą ostatnie zabezpieczenia, te jednak wyglądały na wyjątkowo solidne. Stał osadzona w betonie. Tu trzeba czegoś więcej niż zwykłej siły, nawet takiego wściekłego mutanta jak kraken.

Gdyby chodziło o dorosłego osobnika, należałoby stąd wiać jak najprędzej, a tak parę minut w jedną czy drugą stronę nie miało większego znaczenia. W końcu jednak ci kretyni zorientują się, że generator nie pracuje, albo przyjdzie rutynowy patrol i sprawa się rypnie. Powinni więc pryskać stąd, i to jak najszybciej. Swoje zrobili, niech teraz Idun zapracuje na wolność.

– Wiesz, co to było? – wskazał palcem na kłębiące się za drzwiami stwory.

– Potrzebujesz szczegółowych wyjaśnień? – odparła, zadarłszy brodę do góry.

– Wiedziałaś, co się tam czai, tak?

– Przypuszczałam, a to nie to samo.

– Przez ciebie straciliśmy kolejnego człowieka.

– Zdaje się, że za nim nie przepadałeś.

– To już moja sprawa.

– Uważaj, bo się wzruszę.

– My... – Wściekłość niemal odebrała Matthiasowi oddech.

– Co „my”?

– Twoja kolej, masz nas zaprowadzić do obozu. Zrozumiano?

– Jak chcecie. – Jej długie, smukłe palce uchwyciły przełącznik i przesunęły na pozycje „wyłączone”.

Światło przygasło. Odgłosy bestii próbujących wydostać się na wolność ucichły. Może faktycznie, gdy spadnie temperatura, mutanty szlag trafi i problem rozwiąże się sam. Krzyżówki roślin ze zwierzętami i zwierząt z roślinami to nie na jego głowę. I jeszcze szalejący w pobliżu darwiniści ze swoimi idiotycznymi pomysłami...

Trudno powiedzieć, kto wzbudzał w nim większe obrzydzenie, chyba jednak ludzie.

Reszta robiła wyłącznie to, do czego została zaprogramowana. Człowiek to zupełnie inna historia. Zdaniem Matthiasa taki darwinista był gorszy od najbardziej krwiożerczej bestii. Tylko chory umysł mógł wpaść na pomysł hodowli mutantów.

Ciemność uspokajała. Nie spodziewał się, że kiedyś wpadnie na taką myśl, ale wreszcie nic nie kłębiło się w pobliżu, próbując komuś urwać rękę czy przyssać się do twarzy.

Może faktycznie nie cierpiał Rolfa, ale koniec, jaki spotkał oficera, był nie do pozazdroszczenia. Męczył się najwyżej pół minuty, nawet nie tyle, lecz odpokutował wszelkie winy.

Wciąż miał przed oczami ten widok, kiedy kraken odpadł od twarzy Sprintera. Próbował odpędzić natrętą myśl. Najważniejsze, to odbić Jasmin, potem wrócić na Hallesches Tor i zabrać stamtąd Nerda.

Koniec tej historii wciąż wydawał się odległy i – cholera! – wciąż się oddalał, zamiast przybliżyć.

– Prowadź, tylko bez numerów.

Zupełnie jak na początku latarka wskazywała im drogę.

– Przecież wam nie ucieknę.

– Po tobie można spodziewać się wszystkiego.

Zawrócili w stronę studni i drabinki na wyższy poziom. Idun skądś przyszła. Jak wydawało się Matthiasowi, teraz zaprowadzi ich do siedziby botaników. Nie o to im co prawda chodziło, ale zawsze to bliżej Zoo.

– W życiu tak się nie bałem. – Jorge idący obok Matthiasa był nad wyraz skupiony.

– Jeszcze mi się trzęsą ręce.

– Tobie?

– Osiwiałem przez te dwadzieścia cztery godziny.

– To prawda, było gorąco. Kręcimy się tymi korytarzami od tylu lat, a wciąż mnie coś zaskakuje.

– Już bardziej spodziewałem się, że...

Seria powtarzających się głuchych uderzeń nie pozwoliła Jorgemu dokończyć zdania.

– Co się tam dzieje? – Gruber obejrzał się nerwowo.

– Pewnie mutanty zaczęły tłuc się pomiędzy sobą – odpowiedział Matthias.

Prawdę mówiąc, ten hałas rozstrajał go nerwowo.

Idun jako pierwsza zaczęła szybką wspinaczkę na górny poziom.

– Jorge, nie ociągaj się, teraz ty.

Nagle wszystkim zaczęło się spieszyć. Jeśli pozostaną tu dłużej, oszaleją. Wtem rozległ się głośny trzask, musiano go usłyszeć na drugim krańcu metra. Fala dźwiękowa omal nie rozsadziła im bębenków w uszach.

Matthias przyświecił sobie latarką. W powietrzu zawirowały odrobiny pyłu. Teoretycznie proces ochładzania rozpoczął się z chwilą przekręcenia wyłącznika. To może nie potrwa pięciu minut, ale temperatura powinna zacząć spadać, co, jak zakładali, wpłynie na zachowanie potworów. Im zimniej, tym wolniejsze będą ich procesy życiowe.

Tyle teoria, praktyka do tej pory wychodziła poza ich przewidywania.

Kolejne przypuszczenia przelatywały przez głowę Matthiasa z szybkością błyskawicy. Mimo wysiłku wciąż nie potrafił uchwycić istoty rzeczy. Parę pytań, jakie właśnie się nasunęły, chętnie zadałby Idun. Próbował ją wyłowić wzrokiem, lecz zauważył jej postać prawie u wylotu studni.

Kobieta, idąc tutaj, nie przyniosła ze sobą żadnej broni. Tak jakby wiedziała, że po przekręceniu wyłącznika mutanty uciekną z cieplarni. Nie znał się aż tak na technice. Z obsługi urządzeń najlepiej wychodziło mu składanie i rozkładanie karabinka Heckler und Koch G36, ale rękę dałby sobie uciąć, że przy futrynie zamontowany był elektromechanizm blokujący drzwi. To może wcale nie była cieplarnia, a zwykła hodowla. W końcu ten potwór z lotniska to samica.

Niech no tylko ją dorwie. Okantowała ich wszystkich. Jorge od dawna powtarzał, że takim jak ona nie należy ufać.

Pokonywał od razu po dwie, trzy klamry, chcąc jak najszybciej znaleźć się na górze.

Jak na razie ani jedna macka nie wyciągnęła się po niego. Pojęcia nie miał, jak szybko stwory będą poruszały się po ciągnących się kilometrami korytarzach. Skoro pierwszy kraken wywodził się od jakiegoś niezbyt skomplikowanego zwierzęcia zamieszkującego obszary wodne, to potwór z Tempelhofu musiał być owocem niesłychanych starań darwinistów albo skutkiem niebywałego splotu mutacji pod wpływem promieniowania. Co więcej, niewykluczone przecież, że w kolejnych pokoleniach dojdzie do następnych mutacji.

To tylko przypuszczenia, natomiast co jest pewne, to to, że nawet bez kolejnych zmian w tych bestiach metro czeka zagłada. Do której on przyłożył rękę.

Uświadomienie sobie tego zmroziło Matthiasa. Fakt, że tak wyszło niechcący, bez jego złej woli, niczego nie zmieniał. Chyba faktycznie będą go wspominać przyszłe pokolenia. Jeśli jeszcze jakieś będą.

Spieprzył wszystko całkowicie i nieodwołalnie. Choćby nie wiadomo jak się starał, czasu nie cofnie.

Wyskoczył ze studni, dysząc rządzą mordu.

– Coś ty narobiła?!

Doskoczył do Idun, której drogę ucieczki błyskawicznie zablokował Gruber, i chwycił ją za gardło.

– Ja? – wystękała. Po raz pierwszy, od kiedy się spotkali, w jej oczach zobaczył strach. – Czego chcesz?

– Nie rób ze mnie durnia. – Niewiele brakowało, a skreśliłby jej kark. – Jaki masz interes w tym, żeby te stwory hasały na wolności?

– To... to...

– Nie rozumiem, co mówisz.

– Mati, udusisz ją – powiedział Jorge, ale tak jakoś bez przekonania.

– Kolejny raz zrobiła nas na szaro. – Matthias obrócił się na pięcie i nie puszczając Idun, podszedł parę kroków, pchając ją przed sobą tak, że w końcu znaleźli się nad zejściówką. – Wiesz, co powinienem zrobić? No, wiesz? – Był tak zły, że i jemu zaczęło brakować tchu. – Zaraz wylądujesz na dole wśród swoich przyjaciół.

– Nie zrobisz tego.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– To się pomyliłaś. – Stalker wychylił ciało Idun nad otwór i zaczął rozwierać palce.

– Tylko ja wiem, jak znaleźć tę dziewczynę. – Spróbowała. To była jej ostatnia deska ratunku.

– Kolejna sztuczka.

– Nie, błagam.

– Mati, wystarczy. – Jorge rękawem bluzy wycierał pot z twarzy. – Ona ma rację.

– Jesteś po jej stronie?

– Wyłącznie po stronie zdrowego rozsądku.

Zapanowała pełna napięcia cisza. Jorge nie próbował ich rozdzielić, po prostu stał obok, czekając, aż jego opinia dotrze do Matthiasa. Zresztą trudno było się z nią nie zgodzić. Niezależnie od tego, że stalker miał wobec Idun dług wdzięczności – jechał na prochach z jej prywatnego zapasu – i że Matthias dał się ponieść emocjom. Każdy przecież może się wkurwić do nieprzytomności z takiego czy innego powodu. Matthias miał powód, i to znakomity.

Czerwona mgła zaczęła powoli znikać sprzed oczu zwiadowcy. Każdemu z nich odbijało, tylko że w odmienny sposób. Może jedynie Gruber trzymał się ogólnie przyjętych zasad, ale kto wie, jak długo jeszcze.

– To co robimy? – Mechanik, choć spokojny, co i rusz łypał okiem w głąb studni. – Naprawdę chcesz ją tam... no, wiesz?

Holt ustawił Idun do pionu, a następnie lekko popchnął w stronę Jorgego, tak że stanęła z nim ramieniem w ramię.

– Ech, wy... – Zmierzył ich wzrokiem z niechęcią.

– Mati, trzeba być człowiekiem.

– Co ty nie powiesz.

– Już niewielu nas zostało – dodał Jorge, wyraźnie przygnębiony. Patrzył przy tym w otwór szybu jak w grób całej ludzkości.

Z dołu dobiegły ich odgłosy przypominające ssanie. Matthias wychylił się i puścił krótką serię. Kilkanaście metrów pod nimi zakotłowało się. Przez moment zastanowił się, czy zrzucenie granatu nie byłoby dobrym pomysłem. Właściwie, to czemu nie. Przynajmniej przetrzebi nowy gatunek o parę sztuk.

Splunął i się uśmiechnął. Stał teraz z szeroko rozstawionymi nogami i prął krótkimi seriami. Dla lepszego rozeznania sięgnął po flarę. Zielonkawy blask ukazał jego oczom widok, od którego robiło się niedobrze. Macki wiły się, próbując chwycić kłamry i dźwignąć cielska głowonogów na kolejny poziom.

Przestał się bawić w półśrodki i zrzucił jajowaty granat. Huknęło, aż miło. Parę fragmentów bladoróżowych ciał pacnęło o strop tunelu.

Na jakiś czas to zapewni im spokój, ale pewnie na niezbyt długo. Tych małych, wrednych paskudztw mogły być setki, jak nie tysiące.

Zaczął się śmiać, najpierw krótkim nerwowym chichotem, a potem już na całe gardło.

– On oszalał. – Na płaskiej jak łopata twarzy Mechanika zagościło zdumienie. – Mati, dobrze się czujesz?

– Wspaniale – odrzekł zgodnie z prawdą. – Hej, Jorge, chodź tu i popatrz. No, chodź, nic ci nie zrobię.

Stalker podszedł bliżej.

– A teraz pomyśl, ile tych skurczybyków ta suka wypuściła na wolność? I co ty na to? Gdzie twój zdrowy rozsądek, nie zasnął chyba?

– Jesteśmy ludźmi.

– My tak, ale ona nie.

– Nigdy nie jest za późno, aby odpokutować swoje winy.

– Ty zawsze potrafisz największe łajdactwo ubrać w najładniejsze słowa. – Holt odstąpił o parę kroków i zarzucił taśmę automatu na ramię.

Krótką naradą odbyła się bez jego udziału. To prawda, że znaleźli się tu głównie dlatego, że on tak chciał, bo przecież nie zostawią nikogo ze swoich na pastwę takich szaleńców jak darwiniści. Gdyby nie to... Zaraz, zaraz – i bez nich Idun dopięłaby swego: zeszyłaby na dół i wypuściła mutanty, a wtedy o grasujących w metrze bestiach dowiedzieliby się o wiele za późno. Natomiast przy takim obrocie spraw istniała szansa zakończenia sprawy tu i teraz. Owładnięty nową nadzieją w końcu się przemógł i podszedł bliżej, przysłuchując się, o czym rozmawiają.

– ...nie jest daleko, czterysta, pięćset metrów najwyżej. – Idun niby mówiła do Jorgego, ale zerknęła na Matthiasa.

– Tam już jest główna stacja? – dopytał Jorge i nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do Matthiasa: – Pamiętasz? Byliśmy tu jakiś rok temu.

– Pamiętam – mruknął, starając się, by wypadło to wyjątkowo pogardliwie.

Niemniej fakt pozostanie faktem. Wędrowali wówczas linią U9 w poszukiwaniu roboty. Na Zoo nic nie znaleźli, dopiero gdy doszli do Ernst-Reuter-Platz trafiła się okazja. Tamtejszy naczelnik poprosił ich o eskortę towaru, jaki szedł na Bismarckstraße. Robota łatwa. Obyło się bez komplikacji, a skończyło tęgą popijawą. Głowa bolała Matthiasa dwa dni.

Zoologischer Garten to potężny dworzec, a na dodatek trwały na nim prace budowlane. Nie wyglądało na to, by społecznością targały jakieś konflikty. Na

wojenną ścieżkę musieli wejść później. Szybko im poszło, skoro botaników pozostało tak niewielu.

– Idun, jak to się stało, że się poróżniliście? No, śmiało, ciekaw jestem. Wcześniej, o ile się nie mylę, szliście ręką w rękę, że tak powiem, i co? Nagle trach, już się nie lubimy?

– Upraszczaś. – Kobieta wciąż musiała się go obawiać, bo trzymała się za Jorgem i Gruberem. – Darwiniści przywędrowali gdzieś z rejonu Otisstraße. Zdaje się, że zostali przepędzeni przez tamtejszą społeczność.

– Wiesz dlaczego?

– Zaczęli głosić apokaliptyczne przepowiednie.

– Nie bez przyczyny, jak widać.

– Na ich czele stoją dwaj przywódcy, mówią na nich Mały i Duży Karl. To ponure typy. Jeden z nich robi za proroka. Moim zdaniem to oni stoją za wszystkim.

– Dobrze ich znasz.

– Widziałam parę razy i uwierzcie mi, nie były to miłe spotkania. Jak twierdzą wyznawcy Dużego Karla, przed katastrofą był on naukowcem.

– Niech zgadnę: zajmował się genetyką?

– Raczej psychiatrią kliniczną. – Idun nie wyglądała na zmieszaną. – Namieszał im w głowach.

– A ten drugi?

– Tego nikt nie wie. Na początku paru naszych zniknęło bez śladu.

– Nie szukaliście ich?

– Oczywiście, że tak, ale jak kamień w wodę. Dopiero później doszło do nas, że pewnie nakarmiono nimi Hel.

– No to pięknie! – Matthias o mało nie wydarł się na całe gardło. – Ledwie załatwiliśmy mamuszkę, a ty wypuściłaś resztę stada do kanału!

– Wasza przyjaciółka jest tu właśnie dlatego, że darwiniści przygotowują mutantom przekąski z ludzkiego mięsa. Jak mówią, chcąc oczyścić miasto. Poza nimi i mutantami nie będzie nikogo. Całkiem prawdopodobne, że ta dziewczyna miała tam trafić w pierwszej kolejności. Te głowonogi nie pogardzą padliną, ale świeże mięso to przysmak, a na dodatek się broni. Niech małe się ucą polowania.

– Wypuściłaś je z zamknięcia! – powtórzył jeszcze głośniej.

– Właśnie dlatego, żeby darwiniści posmakowali tej przyjemności, jaką przygotowali dla pozostałych. Nas, botaników, już prawie nie ma, rozumiesz? Przestaliśmy liczyć się już dawno. Jeżeli ja tego nie zatrzymam, to już chyba nikt.

– Chcesz wyleczyć chorego terapią wstrząsową? To jak pomoc przy skręconej kostce przez obciążenie nogi. Trach i po kłopotcie. – Matthias uderzył dłonią z góry na dół jak przy cięciu toporem.

– Nic nie rozumiesz, darwinistów jest wielu.

– A tych robali? Jeżeli myślisz, że to towarzystwo wzajemnie się powyrzyna, to jesteś w błędzie.

– Gdybym wam powiedziała, co chcę zrobić, nigdy byście się nie zgodzili.

– I tu masz rację. – Stalker wycedził przez zaciśnięte zęby. – A ty, Jorge, zawiodłeś mnie. Należało ją zrzucić.

Rozdział XVI

Zona śmierci

Matthias w tunelach metra widział już niemal wszystko – życie i śmierć, demony zagłady i apostołów nowego życia, trupy i niewyobrażalną nędzę, a także wszystko to, co jeden człowiek jest w stanie zrobić drugiemu. Tu obowiązywały proste reguły gry: albo zabijesz, albo zostaniesz zabity. Jednak wiedzieć i być przygotowanym, a doświadczyć czegoś osobiście, to dwie różne sprawy.

Pierwsze niewyraźne pasemka mgły pojawiły się, gdy przeszli jakieś dwieście metrów. W migotliwym świetle latarek ledwo dawało się je dostrzec. Rwały się i znikały przy każdym zawirowaniu powietrza.

– Czujecie? – Gruber jako pierwszy czujnie uniósł głowę.

– Niby co? – Jorge zaczął węszyć.

– Jakby dym.

– Faktycznie, coś tu śmierdzi. – Matthias dopiero teraz zwrócił uwagę na blade smugi unoszące się tuż nad podłożem.

Zatrzymali się. Dalszy marsz wydawał się być obciążony dodatkowym ryzykiem.

– To jedyna droga? – zapytał Jorge.

– Jedyna, jaką znam – odparła Idun.

Dalej ruszyli z dużo mniejszym zapałem. Jak na razie stwory ich nie goniły, zapewne zniechęcone pułapką z kolejnego granatu, którą zastawił Matthias, ale niedaleko od miejsca, w jakim się teraz znaleźli, miała być zlokalizowana siedziba sekty owładniętej szałem zagłady.

Zrobili dosłownie parę kroków, gdy podniesione głosy i krzyki z przodu uzmysłowiły im, że znaleźli się w pułapce.

– Musimy jednak znaleźć inną drogę.

Czyżby kolejny raz dali się omamić Idun? Na jaką cholere pchać się prosto w paszczę lwa?

Niedaleko znajdowało się przecież wyjście na powierzchnię. Nic nie stało na przeszkodzie, by wydostać się stąd przez oranżerię.

– Jorge, słyszysz?

– Tak.

– Za pół minuty będzie za późno na odwrót.

– Masz rację, nic tu po nas.

Pobiegli w stronę nieodległej studni. Już nikt nie przejmował się botaniczką. Niech ją piekło pochłonie. Matthias nie chciał wiedzieć, jak ominęła posterunki darwinistów. Miała swoje sposoby. Teraz o wiele bardziej interesowało go, jak najszybciej opuścić niegościnnie korytarze.

Dopadł wmurowanych w beton szczebli jako pierwszy i nie czekając na pozostałych, zaczął wspinać się do góry. Może wyglądało to mało elegancko, ale jeżeli w oranżerii schował się jakiś darwinista, to lepiej będzie, jeżeli on wypatrzy go pierwszy.

Mniej więcej w połowie drogi nasunął na twarz maskę, a na głowę wcisnął kaptur. Na górze promieniowanie i grasujące mutanty, na dole darwiniści i również grasujące mutanty. Siła złęgo na jednego.

Zatrzymał się i przesunął automat do przodu. Od dołu napierali na niego pozostali. Uspokoił ich ruchem dłoni, skulił się pod klapą zamykającą szyb i nasłuchiwał. Nic nie wskazywało na przypadkową obecność wroga. Jeśli jednak czciciele maskary zaczęli się na górze albo jakieś bydlę czeka z rozwartą paszczą, to trudno. Za chwilę się przekona.

Gwałtownie wyprężył się, z rozmachem odmykając pokrywę i omiatając otoczenie lufą karabinku.

Blask dnia oślepiał, ledwo dostrzegał zarysy roślin zamaryłych w uspokajającym

bez ruchu. Począł, aż źrenice się przyzwyczajają i dopiero wtedy podjął ostatni etap wspinaczki.

Wykręcił szyję tak, jak tylko potrafił, i rozejrzał się raz jeszcze. Wszystko wyglądało tak samo jak w chwili, gdy zeszli do podziemi. Zwinnie wyślizgnął się ze studni i podpełził w stronę motocykla z bocznym wózkiem.

W tej samej chwili zza gęstych krzaków wyłonił się człowiek, zupełnie zaskakując Matthiasa. Zareagowali w tym samym momencie, może on był o ułamek sekundy szybszy. Seria poszybowała w kierunku przeciwnika. Z trzech pocisków trafił tylko jeden, odłupując kawałek czaszki na czubku głowy.

Był sam, czy są też inni?

Sekundy wlokły się niemiłosiernie. Kolejni darwiniści się nie pojawili, zamiast tego przy boku Matthiasa przywarowali Jorge i Idun. Gruber poczołgał się w stronę drugiego motocykla.

– Mało ich.

– A czego się spodziewałeś, całej armii? – Botaniczka jako pierwsza dźwignęła się na nogi. Podeszła do zwłok i bezceremonialnie zdjęła maskę przeciwgazową z twarzy zabitego. Matthiasowi nie chciało się tego komentować.

– To Martin, jeden z ich stalkerów.

– Dobry był?

– Najlepszy.

I on podszedł bliżej. Dla niego zabity był kolejnym czubkiem wyznającym idiotyczną teorię ewolucji. Oczywiście nie zabrakło tatuaży na policzkach, i to z wieloma listkami. Jedynie metalowe ćwieki w uszach odróżniały zabitego od pozostałych widzianych dotąd darwinistów. Jego broń zainteresowała Matthiasa – sztucer myśliwski z potężną lunetą. Z czegoś takiego sprawny strzelec eliminuje ludzi na dystansie do kilkuset metrów. Teoretycznie mogli spotkać się już wcześniej. Snajper mógł go widzieć przez celownik, gdy Matthias spieprzał po płycie lotniska na Tempelhofie.

Przy pasie poległego wyszperał parę nabożów pasujących kalibrem do sztucera. Niewiele tego było, zaledwie pięć sztuk, w komorze jeszcze jeden. To wszystko. Zapasy nieubłaganie się kończyły. Jeżeli sam nie elaborował amunicji, to broń nadawała się do użytku jedynie w charakterze maczugi.

Szkoda. W tunelach był z niej niewielki pożytek, ale na powierzchni mogła być bardzo przydatna.

Przestał zajmować się zabitym i ponownie skupił na odgłosach dochodzących ze studni. Te bynajmniej nie były przyjemne. Wyraźnie widział ulatujący dym. Stacja Zoo płonął?

Wychylił się i spojrzął w dół. Tym razem to nie macki pojawiły się w polu widzenia Matthiasa, ale ręce i głowy.

Jorge i Idun przystanęli obok.

– O, jasny gwint! – wyrwało się stalkerowi.

Na dole trwała brutalna przepychanka i zanosilo się, że wkrótce co najmniej kilkunastu darwinistów dotrze na powierzchnię. Jak na wielbicieli zagłady przejawiali dziwną chęć życia.

W pierwszym odruchu Matthias chciał zrzucić granat. Dostyc wycierpiał przez tych idiotów, by odezwało się w nim sumienie. Tak samo jak w przypadku mutantów fala uderzeniowa powinna zakończyć sprawę.

Sięgnął do pasa, gdy dłoń Grubera zacisnęła się na jego przedramieniu.

– Nie rób tego.

– Zaraz wyleżą. – Cofnął się, wyswobadzając rękę.

– To nic nie da. Zrzucisz granat, zabijesz dziesięciu, po nich przyjdą kolejni albo i mutanty.

– Tym bardziej.

– Mam lepszy sposób.

Gruber podszedł do stojących w pobliżu motocykli i wybrał ten bez kosza.

– Co ty kombinujesz? Postawisz go na klapie?

– Zaraz zobaczysz.

Podprowadził jednośląd tuż pod ziejący w ziemi otwór i przymierzył do zrzutu.

– Ty sukinsynu. – Matthias nie ukrywał podziwu. – Chcesz im spuścić to na łeb.

– Jak dobrze się zaklinuje, nie ma takiej siły, której uda się to podnieść.

Żelastwo z pewnością ważyło gdzieś pomiędzy sto pięćdziesiąt a dwieście kilogramów. Podniesienie podobnego ciężaru przerastało możliwości człowieka stojącego na szczeblach i przytrzymującego się dla utrzymania równowagi. Ani człowiek, ani mutant nie poradzą sobie w takich warunkach.

– Dawaj.

Ustawili jednośląd przy krawędzi.

– Może bokiem? – zaproponował Matthias, zastanawiając się gorączkowo, jak najlepiej wykorzystać motocykl w charakterze pocisku.

– Kompletnie wam odbiło – odezwał się Jorge.

– Spokojnie, to znakomity pomysł.

W końcu bez zbędnego kombinowania mocno wysłużona maszyna zjechała przednim kołem z krawędzi i zawisała nad otworem. Zachodziła obawa, że kierownica oprze się o obramowanie i cały plan okaże się do kitu. Matthias obrócił ją trochę w bok, a co tam...

– Jazda.

Pchnęli z całych sił. Obawy Matthiasa nie potwierdziły się. Pomiedzy manetkami a krawędzią pozostało parę centymetrów luzu. Na efekt nie trzeba było długo czekać. Łomot w wąskiej, betonowej przestrzeni był nie do opisanego. Nad tarcia, zgrzyty i piski wzbily się głosy tych, którym ten złom spadł na głowy.

Matthias kolejny raz nerwowo przełknął ślinę. Genialny pomysł Grubera nagle przestał być taki genialny.

Nie wiadomo, który już raz wystawił głowę. Motocykl był doskonale widoczny. Zaklinował się tak, jak zaplanowali. Wyjście na powierzchnię zostało całkowicie zablokowane. Może dałoby się wszystko odkręcić, mając do dyspozycji bloczek i dużo czasu, więc w obecnych warunkach było to nierealne.

– Zadowoleni jesteście? – Jorge, od początku krytyczny wobec pomysłu Grubera, obecnie wydawał się nim wręcz przybity. – Kretyni.

– Miałeś lepszy plan?

Jorge machnął ręką, zbierając się do odejścia. Prawdę powiedziawszy, był już zupełnie innym człowiekiem niż jeszcze parę dni temu. Energia wyparowała z niego jak woda z kałuży. Tylko zrzędził i zrzędził. Matthias uświadomił sobie, że lepiej dogaduje się teraz z Gruberem niż z dawnym mistrzem. Ale tak to bywa, gdy ktoś nie patrzy pod nogi i ładuje się w kłopoty.

Nad Berlinem wciąż przetaczały się granatowe kłębowiska chmur. Szansa na rozpoznanie oscylowała w granicach zera. Do tego wiał mroźny wiatr, od którego można było popaść w ciężką depresję.

Od dworca Zoologischer Garten dzieliło ich kilkaset metrów. Nie będą zasuwać na piechotę, skoro szło o jak najszybsze przeniknięcie do siedziby darwinistów. Liczyły się minuty, jeżeli nie sekundy.

Wzrok Matthiasa padł na motocykl z koszem, którego tak chętnie używały patrole sekciarzy.

Prowadzenie czegoś takiego to chyba nic trudnego? Nogi na podpórki, dłonie na manetkach i... Właśnie, co dalej?

Próbował sobie przypomnieć, jak to robili ci, którzy potrafili odpalić silnik. W samochodzie były biegi, tu chyba też? Pewności nie miał, a jeszcze te małe

dźwigienki przy kierownicy... Do czego służyły?

- Jorge, powiedz mi, znasz się na tym?

Stalker obejrzał maszynę, kopnął w przednie koło i usadowił się na siodle.

- Trochę - odparł w końcu. - Tu masz zapłon, tu sprzęgło, tu biegi, hamulec.

- Wystarczy. - Dalsze wyjaśnienia miały się z celem. Instruktaż Jorgego wydał się Matthiasowi kompletnie niezrozumiały. W końcu dał sobie spokój, prędzej oszaleje, niż pojmie znaczenie tych wszystkich przełączników. Przywołał Grubera i wskazał na stojącą obok maszynę.

- Jest twoja.

- Serio?

- Oczywiście, że tak, masz mnie nią dowieźć na Zoo.

- Rozumiem.

Idun usiadła za Jorgem, on wcisnął się do kosza obok Grubera. Oba motocykle zaskoczyły od razu. Gruber jako kierowca radził sobie całkiem nieźle. Trochę szarpało, ale to nic wobec faktu, że nie musiał zasuwać na własnych nogach.

Zmienił zdanie, gdy na jednym z zakrętów boleśnie uderzył głową w kolano Mechanika. Jazda przestała już być taka fajna.

- Opanuj się.

Gruber nie odpowiedział, tylko dodał gazu. Z boku wypadła na nich sfora canidów i rzuciła się w pościg z głośnym ujadaniem. Z czerwonych ślepi wyzierał głód krwi.

Matthias, na ile pozwalało ciasne wnętrze kosza, przymierzył się do strzału. Wystrzelił, kiedy największe bydlę znalazło się na muszce. W tym samym momencie motocykl podskoczył na jakimś garbie. Tym razem Matthias walnął się zamkiem w szczękę, na dodatek przygryzając sobie język.

Kolejny zakręt, przy którym o mało nie wyleciał na zewnątrz. Już nie próbował strzelać, musiał się trzymać, i to mocno. Obrazy przed jego oczami migały z zawrotną prędkością. Odcinek, jaki mieli do pokonania, nie należał do szczególnie długich, lecz musieli jechać objazdem. Jorge z podziwu godną zaciętością wciąż siedział im na kole. Gdzie on się tego nauczył? W każdym razie radził sobie znakomicie.

Prawo, lewo, potem ponownie w lewo. Matthiasowi już dawno poplątały się wszelkie kierunki. Miał wrażenie, że jadą w stronę przeciwną do zamierzonej. Niech ten opętańczy balet na trzech kółkach już się skończy.

Skończył się szybciej, niż Matthias się spodziewał. Na większym wyboju wraz z motorem wylecieli jak z katapulty. Krótkie doświadczenie nieważkości i rąbniecie o jezdnię z siłą mogącą połamać kości. Gdy opadli na siedzenia, kręgosłup stalkera eksplodował nieznośnym bólem. Przy okazji Matthias o mało nie zgubił karabinka. Odruchowo chwycił taśmę, gdy lufa już leżała na ziemi.

Katorga trwała kolejne parę minut i w końcu przed nimi wyrosła wysoka i rozległa, przeszklona bryła dworca Zoologischer Garten. Bliżej nie dało się podjechać, jezdnię tarasowały wraki setek samochodów.

Wejście do metra mieściło się tuż obok wieżowca ze stali i szkła. Próba wyobrażenia sobie, jak ta okolica wyglądała przed dniem zagłady, jak zwykle spełzła na niczym. Dla kogoś przyzwyczajonego do wiecznego mroku i kreciej ciasnoty tysiące światła, ludzi, wszechobecne reklamy i przetaczające się kawalkady samochodów były absolutną fantasmagorią.

W całym tym zamieszaniu Matthias starał się zachować zimną krew. Odetchnął, gdy Gruber zatrzymał maszynę. W głowie mu się kręciło, ale nie szkodzi, zaraz dojdzie do siebie. Parę łyków wody byłoby najodpowiedniejszym sposobem na przywrócenie równowagi, niestety na powierzchni ta prosta czynność urastała do rangi problemu. Lepiej, jak nie będzie wystawiał się na promieniowanie.

Ostatni odcinek pokonali truchtem. Im bliżej wejścia na dworzec, tym większy niepokój ogarniał Matthiasa. Nie znał metod działania darwinistów, ale nie zdziwiłby go posterunek wystawiony na zewnątrz. Wydawało się to całkiem

prawdopodobne. Może nie należało gnać na złamanie karku, za to więcej uwagi poświęcić obserwacji otoczenia?

Idun szła przed siebie pewnym krokiem, wyraźnie nie spodziewając się zasadzki, w przeciwieństwie do Matthiasa.

W końcu skupił się na zejściu do metra. Przymknął oczy, nie do końca wierząc w to, co widzi – tu kłęby dymu były o wiele gęstsze od tych, jakie unosiły się w oranżerii. Zdaje się, że pożar wymknął się spod kontroli i rozprzestrzenił po całym dworcu. W polu widzenia pojawił się człowiek w samej kurtce, bez ochronnego skafandra, lecz szybko znikł im z oczu.

Przyśpieszyli kroku. Trafiła się im okazja, o której marzyli. Są szanse, że gdy wejdą do środka normalnie zabezpieczeni, nikt się nie zdziwi, a co ważniejsze, nie rozpozna, kim są. Jedynie Idun mogła uchodzić za swojaka. Oni najwyżej za jej jeńców.

Zejście przecinała stalowa konstrukcja odgradzająca powierzchnię od podziemnego azylu. Tym razem furtę zastali uchyloną.

Matthias zbiegł i zajrzał do środka, o mało nie zderzając się ze strażnikiem warującym obok. Mruknął coś niewyraźnie i odepchnął wartownika bezceremonialnie na bok. W sytuacji, gdy zagrożone jest życie wszystkich mieszkańców stacji, nie czas na ceregiele.

Łysielcy, jak ich zaczął nazywać, mężczyźni, kobiety, jak również spora gromada dzieci, kłębili się na peronach i torowiskach, nie bardzo wiedząc, co robić. Spora grupa uzbrojonych mężczyzn znikła w jednym z tuneli, pozostali zbierali się przy wysokim, chudym okularniku wydającym rozkazy.

– To Duży Karl – wskazała Idun, odrobinę zsuwając maskę z twarzy.

Nie wyglądał na takiego, co samymi łapskami jest w stanie ukręcić łeb człowiekowi. Od reszty tępych, łysych prymitywów odróżniały go całkiem arystokratyczne rysy twarzy i wzrok intelektualisty. Na takich Matthias uważał szczególnie. Kto wie, co takiemu może przyjść do głowy? Jeżeli obmyśla kolejną zbrodnię, wszystko w porządku, zwykłym bandytą nie ma co się przejmować. Prawdziwe kłopoty zaczynają się wtedy, gdy w takim typie dojrzeje idea i zechce przekuć ją w czyn. Zdaniem Matthiasa nie było niczego gorszego. Za każdym razem koniec wyglądał tak samo – rzeź.

– Idź, nie ociągaj się. – Gruber lekko, lecz zdecydowanie popchnął Matthiasa do przodu.

Szli wzdłuż tłumu sekciarzy niezaczepiani przez nikogo. Darwiniści wydawali się zdezorientowani.

Rozkazy Dużego Karla trafiały do niewielkiej grupy wyznawców, całą resztę pozostawiono samą sobie. Może nie byli tak zjednoczeni, jak wcześniej Matthias sądził? Większość informacji otrzymali od Idun, a jakież ona mogła mieć cel w mówieniu całej prawdy nic nieznaczącym stalkerom? Prawdę mówiąc – żaden. Wystarczy, że się zatrzyma i wskaże ich strażnikom. Zostaną rozerwani, nim zdążą wykrztusić choć słowo w swojej obronie. Nikt tu nie będzie się z nimi pieścił. W najlepszym przypadku pociągną dostatecznie długo, aby stać się pokarmem dla kolejnego pokolenia krakenów.

Nad peronami i torowiskami dworca unosiła się złowroga atmosfera. Matthiasowi trudno to było określić, ale odczuwał jakąś groźną obecność czegoś niewidzialnego, zupełnie jakby dusze ludzi pożartych przez krakena nie chciały odejść. A może to sam widok darwinistów przyprawiał go o mdłości. Na większości stacji kwitł handel. Kupcy wędrujący po metrze wymieniali się wszelkimi dobrami, budki z jedzeniem oblegali głodni, w jednym miejscu się kłócono, w innym słuchano, co mają do powiedzenia mądrzejsi.

Tutaj nie. Zoo robiło wrażenie martwego w przenośni i dosłownie, zupełnie jakby dwugłowa władza wyprała tym ludziom mózgi. Może tak w istocie było? Kto ich tam wie. Duży Karl na pewno znał całą masę socjotechnicznych sztuczek.

Dworzec przypominał obóz wojskowy. Wspólna kuchnia, baraki mieszkalne, magazyny. Wszelka indywidualność została wykorzeniona. Pozbyto się jej jak niechcianego dziecka. Na co komu pojedynczy człowiek, skoro mamy plan do zrealizowania wspólnymi siłami?

Matthias zdał sobie sprawę z tego, że ma rację, gdy już dosyć daleko zaszli długim peronem. Urządzono tu coś w rodzaju sanktuarium. Przechodząc obok, nie potrafił oderwać spojrzenia od złotej figury krakena umieszczonej na postumencie. Już wiedział, co działo się ze złotem skupowanym na pozostałych stacjach – przetopiono je na pomnik. Może teraz dodają po kawałku do odnóży rozrastającej się maskary. Jeżeli modlili się do tego potwora, to szczerze im współczuł.

Co to niby miało być – jakiś makabryczny kult, swoim zasięgiem obejmujący...

Zwolnił i przyjrzał się dokładnie. Pod figurą dojrzał znajomy rysunek. To przecież schemat metra. Macki mutanta zdawały się sięgać w głąb wydrążonej przez człowieka sieci.

Już nie wiedział, co o tym sądzić. Nagle okazało się, że w ciągu paru miesięcy w podziemnym świecie wyrosła całkiem nowa struktura, niemająca nic wspólnego z dotychczasowym układem sił. Co więcej, jej założyciele zdawali się gardzić całą resztą, mając na uwadze wyłącznie jeden cel – podporządkowanie, a w ostatecznym rozrachunku zgładzenie wszystkich niepodzielających szalonej idei.

– Stać!

Matthias obrócił się najwolniej, jak potrafił. Palec na spuście, szkoda, że się zdekoncentrował.

Niski, nabity typ uzbrojony w automat, z którego wystawał łukowaty magazynek, stał trzy metry od nich w otoczeniu gromady podobnych do siebie wariatów.

– O mnie chodzi?

– Zdejmij maskę.

– Człowieku, o co ci chodzi? – Stalker wiedział, że ściemnia niezbyt przekonująco. Pożar najwidoczniej już opanowano, choć w powietrzu dalej unosiła się silna woń spalenizny.

– Nie wkurzaj mnie.

– Dobrze, już dobrze. – Matthias opuścił filtr, odsłaniając twarz.

– Obcym nie wolno się tu kręcić.

– Widzieliśmy ogień, chcieliśmy pomóc.

– Już ci wierzę.

Konfrontacja z darwinistami od początku wydawała się skazana na porażkę. Ich troje, bo Idun nie liczył, tamtych kilkunastu.

– Kiedy my naprawdę...

– Lepiej się przymknij.

Nie zdąży wymierzyć, zanim podziurawią go kulami. Za bardzo skupił się nie na tym, co trzeba, teraz przyszło za to zapłacić. Pretensje mógł mieć wyłącznie do siebie.

Sekciarz, który ich zatrzymał, podszedł bliżej i mocnym szarpnięciem wyrwał Matthiasowi karabinek.

Gruber stał obok jak potulny baranek, Jorge również wyglądał na takiego, któremu wszystko jedno, tylko Idun nigdzie nie dawało się dostrzec. Botaniczka ulotniła się, pozostawiając ich na pastwę losu. Zdziwiłby się, gdyby zachowała się inaczej.

– Niedługo sobie pogadamy. – Facetowi strasznie śmierdziało z ust, a szyderczy uśmiech obnażył szerniałe pieńki zębów. Jak się wydawało, higiena nie stała tu na najwyższym poziomie.

Blok więzienny znajdował się tuż za głównym peronem, w bocznym tunelu wykutym rękami jeńców.

Matthias instynktownie się zatrzymał, czarna otchłań nie zachęcała do wejścia, a jęki i smród unoszący się w powietrzu dodatkowo odrzucały. Nad wszystkim dominowała woń spalonego plastiku bądź też gumy, od której wzbierało go na mdłości. Jak oni wytrzymywali tu bez pochłaniaczy?

Teren oświetlał przemysłowy reflektor, w blasku którego ekipa remontowa podciągała gruby zwój kabla kilkadziesiąt metrów dalej.

Może to stalkerzy wywołali pożar jakimś spięciem albo krakeny przegryzły izolacje?

Dostał kopniaka i znalazł się w ponurym miejscu pełnym podobnych jemu nieszczęśliwych. Wielkości pomieszczenia nie potrafił oszacować. Jedna słaba lampa diodowa nie pozwalała dojrzeć, co znajduje się dalej od wejścia. W pobliżu same głowy, zarysy ramion i obłąkańczo wytrzeszczone oczy. Wystarczyło pół minuty i już miał dosyć.

– Mati...

Kobięcy głos wznoszący się ponad dookolny szum zabrzmiał w jego uszach jak najpiękniejsza muzyka.

– Jasmin?

Roztrącił paru więźniów, którzy stanęli mu na drodze, i znalazł się tuż przy dziewczynie. Przytrzymał ją w wyciągniętych ramionach, lecz ona, czując niezręczność sytuacji, szybko odsunęła się na bezpieczną odległość. Matthiasowi pozostało jedynie wpatrywać się w jej ogromne oczy.

– Co tu robicie? – spytała.

– Przyszliśmy po ciebie.

– Chyba wam odbiło? – Uśmiech zniknął z jej twarzy jak zdmuchnięty. Ponownie stała się dawną Jasmin. – Gdzie reszta?

– Zostaliśmy jedynie my.

– Żartujesz?

– Niestety nie.

Wzruszył ramionami. Nie będzie jej tłumaczył, co i jak. Za długo to potrwa. Niedługo wygłodniałe krakeny zjawią się na Zoo i zabawa zacznie się od początku.

Najważniejsze, to zdobyć broń, bo na razie co najwyżej mogą pogrozić im pięścią. Nawet dorosły, silny i zdesperowany mężczyzna miałby trudności, by dać radę całkiem małemu stworowi, widzieli to. Wystarczy, jak pazury lub harpun z końca macki wbiją się w ciało lub pysk weźre się w ofiarę. Dobrze przynajmniej, że małe krakeny nie strzykały tą czarną mazią. W obecnych warunkach najlepszą metodą obrony były granaty i zmasowany ogień karabinów maszynowych. Chyba że znajdą jakieś granatniki, o miotaczu płomieni nie wspominając.

– Czemu się dąsasz? – mruknął urażony. – Wiem, nie tak to miało wyglądać. Była z nami taka jedna...

– Kto?

– Spotkaliśmy ją później. Niby tutejsza. Miała pomóc.

– To gdzie jest?

– Zmyła się, ale... – przerwał, przysłuchując się odgłosom dobiegającym zza furty

– ...nie wszystko stracone. Ci kretyni mają tu hodowlę krakenów, uwierzyłybyś?

– Wiem o tym.

– Naprawdę? Kto ci powiedział?

– Samir.

– Ten...

– Tak, ten Samir, po którego nas wysłano.

– A co on tu robi? – Matthias nie potrafił ukryć zaskoczenia.

– Garuje tak jak my, kretynie.

– To ostatnie mogłaś sobie darować – odparł z urazą. Wyobrażał sobie, że ich spotkanie przebiegnie w atmosferze... hmm... jak to nazwać... zrozumienia. O, to odpowiednie określenie.

Zrozumienia potrzebują wszyscy. On również i ona pewnie też, a tu co go spotyka? Wymówki! Pewnie jej chodzi o Idun. Zabawne. To spostrzeżenie wolał pozostawić dla siebie. Kolejna sprzeczka z Jasmin była już ponad jego siły.

Tymczasem spośród ludzkiej ciżby wyłonił się młody chłopak wzrostem dorównujący Jasmin. Jeżeli to był pierworodny kalifa, to raczej nie miał w sobie żadnej zauważalnej cechy przywódczej, którą zakładał Matthias. Był idealnie nijaki: przygaszone spojrzenie, lekko cofnięty podbródek, nawet włosy zamiast kruczoczarnych, jak się należało spodziewać, były wyraźnie jaśniejsze. Być może odziedziczył geny matki. O prywatnym życiu kalifa nikt nie wiedział nic pewnego.

– Ty jesteś Samir?

Zamiast potwierdzenia zaciśnięte zęby.

– Ojciec się o ciebie niepokoi.

Nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć. Na pewno od Jasmin chłopak poznał szczegóły tej nieszczęsnej wyprawy. Nic więcej nie było do dodania. To od niego mogli dowiedzieć się, jak popadł w kłopoty, tylko czy naprawdę im na tym zależało?

– Jorge, widzisz go? – Spróbował wytrącić przyjaciela z uporczywego stuporu, w jaki ten popadł. – Jorge, co z tobą?

Został zignorowany. Wyglądało na to, że stalker stracił wszelkie zainteresowanie otaczającym go światem.

– Gruber, przypilnujesz go? Ja muszę pogadać.

Co więcej mógł? Niedługo i tak wóz albo przewóz. Od kiedy sięgał pamięcią, zawsze mógł liczyć na Jorgego, a teraz wychodziło na to, że sam nie chciał poświęcić kumpłowi dostatecznej uwagi w potrzebie. Powinien czuć z tego powodu wyrzuty sumienia, ale jakoś nie potrafił się na nie zdobyć.

Przemawiał przez niego egoizm czy też kierował się wyższymi racjami? Jak wyjdą z tego cało, na rozterki przyjdzie czas.

Przykucnęli w kącie. W tych warunkach nie mogło być mowy o intymności. Co chwila ktoś się o nich ocierał i potęrał.

– Od dawna siedzisz? – zapytał Samira.

– Tydzień czy dwa, co za różnica?

– Taka, że żyjesz. Jak myślisz, co robią tu ci wszyscy ludzie?

– Są roboty na...

– Owszem są, nikt tego nie neguje.

– Mati, spokojnie, my wiemy, jak się to kończy. – Jasmin trzęsły się dłonie albo mu się zdawało. – Najczęściej zabierają jednego, rzadziej dwóch, zawsze rano i wieczorem.

– Na śniadanie i kolację – dodał od siebie.

– Nie przerywaj – powiedziała ze złością. – Żaden z nich już więcej się nie pojawił. Dopiero Samir opowiedział mi, co i jak.

– Powiedz mi, chłopcze, jak się tutaj znalazłeś?

– Wiesz o darwinistach?

– To i owo.

– Mają agentów na większości stacji. Jeden z nich opowiedział mi o nowej rewolucyjnej idei.

– Rewolucyjna to ona faktycznie jest. – Matthias potarł skronie. – Wiedzieli, czym synem jesteś?

– Co najwyżej się domyślali.

– Wystarczyło.

– Chcieli, żebym pogadał ze swoimi. Odmówiłem. Wtedy się zaczęło. Moi kumple trafili do wylęgarni w charakterze, jak to powiedzieli ci kretyni, „wysokobiałkowego produktu spożywczego”. Ze mną nie bardzo wiedzieli, co zrobić.

– Może próbowali niuchać wkoło twojego ojca?

– Tego nie wiem, całkiem możliwe, ale znając jego poglądy, nie mogli nic wskórać. Dla niego te padalce stoją niżej od pozostałych form życia.

- Wiesz, że jeden z krakenów się uwolnił?
- Ten największy.
- Zanim go załatwiliśmy, padło ze dwudziestu żołnierzy.
- Te mniejsze też urosną.
- O ile zdążą – ściszył głos do konspiracyjnego szeptu.

Bardzo żałował, że nie może zmierzyć zamkniętej przestrzeni długimi krokami. Gdyby naprawdę chciał tego dokonać, musiałby spędzić wszystkich w jedno miejsce, a tak co najwyżej mógł poskakać dla rozprostowania kości. Nerwy dawały o sobie znać nieprzyjemnym kołataniem serca. Coś za długo to trwało. Mutanty już dawno powinny zjawić się w tej części Zoo, bo niby co mogło je zatrzymać?

Sama myśl, że upatruje ratunku w krakenach, od początku wydawała się szalona. O mało nie został przez nie pożarty, a teraz czeka, aż się zjawią i przepędzą warty sekciarzy. O tym, co nastąpi później, na razie nie chciał myśleć. Jakoś to będzie, uwolnią się i... właśnie, co dalej? Do spółki z darwinistami zaczną rozwalać krakeny czy też razem z mutantami zaczną polowanie na sekciarzy, a może od razu zaatakują jednych i drugich? Opowiadanie się za którąś ze stron uznał za idiotyzm. Zresztą z mutantami nie dawało się negocjować i wchodzić w układy. Zeżrą cię i tyle.

Szczęknęła zasuwa i do wnętrza wpadło więcej światła. Matthias instynktownie zmrużył oczy. Jakiś człowiek wkroczył do środka i zaczął rozglądać się po jeńcach. W końcu ujrzał Matthiasa i wskazał na niego palcem.

- Ty.

Nie było wyjścia. Składanie zeznań to ostatnia rzecz, na jaką miał teraz ochotę. Dobrze chociaż, że to nie pora karmienia.

- I ty.

Tą drugą osobą okazała się Jasmin.

Czyżby Duży Karl próbował symultanicznego przesłuchania? Kogo będą torturować: jego, by złamać dziewczynę, czy też Jasmin, aby wyciągnąć informacje z niego?

Od dziecka nie lubił być bity, ale choć nieraz dostał wycisk, to cierpienie zawsze przyjmował z godnością. Tej próby może jednak nie przetrwać. Przeczuwał, że złamie się, jak zobaczy, co robią Jasmin. O ile to możliwe, znienawidził darwinistów jeszcze bardziej.

Nim opuścili pomieszczenie, skrępowano im ręce, co i tak wystarczyło, bo co mogą zrobić z lufą przystawioną do głowy?

Zamiast na prawo, jak się spodziewał, zostali poprowadzeni w przeciwnym kierunku. Grupie przewodził ten sam nadęty dupek, który ich pojmał. Za plecami trzech strażników, z których jeden okazał się być karłem. Przysadzista sylwetka z nieproporcjonalnie wielką głową wydawała się Matthiasowi czystym koszmarem. Kolejny mutant, czy też z braku witamin większy nie urósł? Nie on jednak martwił zwiadowcę najbardziej. Wariant przesłuchania okazał się chybiony. Właśnie realizował się inny scenariusz, o którym dotąd nie chciał myśleć – wędrowali w stronę, gdzie grasowały spuszczone z więzi krakeny. Długo zamartwiał się ich nieobecnością, no to teraz jako jeden z pierwszych zobaczy, w jakim są stanie.

Nogi momentalnie nabrały wagi ołowiu.

- Szybciej.

Bolesne szturchnięcie w plecy niewiele dlań znaczyło. Szybciej nie pójdzie, nikt go nie zmusi. Na złość prześladowcom jeszcze zwolnił.

- Masz jakiś problem? – Facet z przodu odwrócił się. – O co ci chodzi?

- Dokąd nas prowadzicie?

- Jak już dojdziemy, to się przekonasz.

- Lubię o wszystkim wiedzieć wcześniej.

– Zabawny jesteś. – Żołdak uśmiechnął się nieszczerze.

– Nie jesteś pierwszym, który mi to mówi.

Oberwał z czoła prosto w nos. Świat stracił kontury, a on poleciał na plecy. Ból był nie do wytrzymania. Oczy łzawiły, a z ust ciekła ślina przemieszana z krwią.

– Następnym razem nie podskakuj.

Silne dłonie ujęły Matthiasa pod ramiona i ustawiły do pionu. Odważne sukinsyny, bić kogoś, kto ma dłonie związane na plecach.

– Hej.

– Jeszcze ci mało?

Gnojek nie spodziewał się, że chęć zemsty weźmie w Matthiasie górę nad zdrowym rozsądkiem. Kopniak podkutym butem prosto w jądra musiał zabość. Skóra na twarzy waźniaka nabrała intensywnie czerwonej barwy. Strażnik dyszał przez zaciśnięte zęby, lecz ani jęknął.

– Przyjemnie ci? – Matthias splunął w kierunku prześladowcy.

Zrobiło mu się wszystko jedno. Odwet nastąpi natychmiast i choć na ból nie da się przygotować, wiedział, że postąpił słusznie.

Uderzenie pod kolanem sprawiło, że się zachwiał. Potem drugie i trzecie, pozbawiające równowagi. Wykręcone ramiona nie pozwalały idealnie zamortyzować upadku.

– Przestańcie!

Krzyk Jasmin niewiele pomógł. Oprawców takie wezwanie jedynie rozjuszyło. Skulił się, jak potrafił, na prawym boku i zamknął oczy.

– Zabiję... Spodziewał się nagłego ciosu, takiego, który od razu pozbawi go przytomności. Może to i lepiej. Dalsza męka rozmyje się w nicości. Zamiast tego został spryskany czymś ciepłym. Czyżby banda zwyrodnialców postanowiła ulżyć pełnym pęcherzom?

Wrzask Jasmin urwał się jak nożem uciął. O co tu, do diabła, chodzi? Może ją potraktowano z pięści?

Ciężar, który zwałił się wprost na niego, odebrał Matthiasowi oddech. Spodziewał się kopniaków i uderzeń, ale nie czegoś takiego. Ze strachu krzyknął niewyraźnie i szarpnął do przodu. Leżał teraz przygnieciony ciałem jednego ze strażników. Faceta pozbawiono głowy, a to, co wcześniej wziął za mocz, okazało się krwią.

Usiadł w tej samej sekundzie, w której padał drugi z eskortujących ich mężczyzn. Karzeł skulił się i próbował ukryć pod ścianą. Ostatni z sekciarzy odrzucił karabin i zaczął uciekać w głąb tunelu. Najwyraźniej limit lojalności względem szefów się wyczerpał. Wkrótce jego urywany charkot ucichł w oddali.

– Idun?

– A kogo się spodziewałeś? – Botaniczka wyłoniła się z mroku, ściskając w rękę niezawodnego Walthera.

Nożem wyjętym z pochwy przy pasie jednego z darwinistów rozcięła więzy krępujące Matthiasa.

– Dzięki. – Rozmasował nadgarstki i w końcu zrzucił z nóg bezgłowy korpus.

– Trochę za wcześnie na podziękowania. – Idun w międzyczasie szarpała się z pętlą krępującą dłonie Jasmin.

– Nie sądziłem, że ich tak... no wiesz. Mogłaś przez przypadek postrzelić któreś z nas.

– Bez obawy.

Spróbował wstać. Obok poniewierały się automaty zastrzelonych. Sięgnął po jeden i sprawdził magazynek. Wszystko na miejscu. Zrzucił broń na ramię i pomógł wstać Jasmin.

– Zapewne domyślasz się, kto nam uratował życie.

Od razu było widać, że obie kobiety nie przypadły sobie do gustu. Nie będzie ich godził na siłę. Niedługo każde z nich pójdzie swoją drogą, o ile uda się pożyć dostatecznie długo.

Rozdział XVII

Rykoszet

– Co, staruchu, nie spodziewałeś się takiego końca? – Matthias lufą karabinu trącił karła.

– Panie, zmiłuj się.

– Teraz to się zmiłuj. Który z was mnie kopał?

– To Samuel. – Karzeł wskazał na martwego strażnika. – Sam widziałem. Zawsze był z niego łajdak.

– Z niego łajdak, a z ciebie?

– Panie, ja tylko wykonywałem rozkazy.

– Co z nim? – Idun poruszyła naglący temat. – Nie może się z nami zabrać.

– To fakt – przyznał Matthias. – Słyszałeś, co ta pani powiedziała?

– Jestem niewinny. Samuel mi kazał.

– A co mnie to obchodzi. Wszyscy jesteście tacy sami. – Mocniej ujął rękojeść automatu i nakierował broń na cel.

– Nie mam z nimi nic wspólnego. – Karzeł padł na kolana, dłonie składając jak do modlitwy. – Powiem wszystko, co wiem, pójdę sobie i już mnie więcej nie zobaczycie.

– Idun?

– No?

– Może ty...

– Mięczak – prychnęła botaniczka. Najwidoczniej skomlenie dziada nie robiło na niej najmniejszego wrażenia. Czyżby dla niej każda forma życia ograniczała się wyłącznie do białka?

Odstąpił do tyłu i odwrócił głowę. Ależ z niego hipokryta. Powinien rozwalić starucha sam, a nie wysługiwać się Idun. Z drugiej strony nie czuł powołania do plutonu egzekucyjnego.

Wytarł nos, z którego wciąż kapłała krew. Ciszy nie mącił żaden odgłos.

Czyżby?

Z głębi dobiegł ich cichy z początku jęk, który z każdą chwilą nabierał mocy.

– Idun?

– Co znowu?

– Słyszałaś to, co ja? A ty, Jasmin? Głuche chyba nie jesteście?

Strażnik, który zwał po pierwszych strzałach oddanych przez Idun, teraz wracał pędem. Widok niedawnych jeńców nie zrobił na nim wrażenia. Utykał, przykrywając dłonią ranę na prawym udzie. Gdy ich mijał, bełkotał coś niewyraźnie i nie zatrzymując się, pognął dalej, potykając się tak, że chwilami pędził na czworakach.

– Wiecie co...

Promień latarki nie sięgał daleko, ale już samo szuranie, cmokanie i tarcie nie pozostawiało wątpliwości, co nadciąga tunelem.

– ...lepiej będzie, jak już stąd znikniemy.

Najpierw karzeł, potem Idun i Jasmin, a na końcu on rzucili się do ucieczki. Wkrótce dogonili umykającego strażnika. Tym razem w Matthiasie nie drgnęła żadna litościwa struna, podciął z wyrachowaniem faceta, a gdy ten już się przewrócił, skoczył na wyciągniętą nogę. Kość chrupnęła jak suchy patyk. Jeżeli krzyk mężczyzny wcześniej był głośny, to teraz zabrzmiał przeraźliwie.

Matthiasem kierowała zimna kalkulacja – zyskają pół minuty, a może i całą, gdy krakeny zajmą się tym jęczyduszą.

Przed nimi zamajaczyły światła dworca. Trochę zwolnili, nie chcąc za szybko ściągać uwagi warty przy pomieszczeniu więziennym.

Manewr Matthiasa nie uszedł jednak uwadze stróżujących. Trudno było przeoczyć kilka osób biegnących bocznym tunelem od strony oranżerii. Nudna dotąd służba

nagle zaczęła robić się ciekawa.

Widok sunącego na czele tej dziwnej procesji karła wzbudził w nich niepokój.

– Stać! Stać! – Sekciarz pełniący obowiązki dowódcy zastąpił im przejście.

– Groza! – Karzeł, który mimo swoich krótkich nóżek pierwszy dopadł odwachu, o mało nie przewrócił mężczyzny.

– O czym ty mówisz?

Idealna broń darwinistów właśnie zmierzała w stronę właścicieli. Życie bywa pełne niespodzianek.

Matthias odwrócił się i posłał długą serię w kłębiące się za jego plecami stwory. Jedyne, co ich ratowało, to brak umiejętności szybkiego poruszania się mutantów. Odnóża nie wystarczały na razie, by monstrum tej wielkości dopadło biegnącego dorosłego. Oczywiście wszystko zależało od gabarytów – im większa maska, tym szybciej potrafiła się przemieszczać, rósł zasięg jej odnóży i trudniej było też ją zabić.

– Na co czekacie, strzelajcie! – wrzasnął w kierunku dwójki osłupiałych strażników.

Jednakże mężczyźni ci wyraźnie nie byli zbyt lotni i w obliczu tak szybko rozgrywających się wydarzeń woleli poczekać. Wyższy z nich w Matthiasie rozpoznał więźnia prowadzonego do wylęgarni, jedna z kobiet też nie była od nich, a druga... Już podnosił karabin do ramienia, kiedy pocisk z pistoletu utkwiał w jego głowie.

Ośłupiały kolega wybałuszył oczy. Nim zdążył pojąć, co się wyprawia, oberwał w krtań.

W magazynku Matthiasa kończyła się amunicja, a właśnie jeden średniej wielkości mutant był nie dalej jak trzydzieści kroków od niego i jak na razie kule z karabinu nie potrafiły go powstrzymać. Trochę krwawił, co wszakże nie wystarczało do powalenia bestii.

Strzały zaalarmowały innych darwinistów. Już teraz w stronę kanonady biegło ich kilkunastu, z Dużym Karlem na czele.

– Co się tu wyprawia?

Ciała wartowników stanowiły wyraźny dowód na popełnioną zbrodnię, a – jak wiadomo – zbrodnię należy ukarać z całą surowością prawa, zwłaszcza jeśli ich ofiarą padają funkcjonariusze nowego porządku.

– Brać ich.

Czwórka, a właściwie trójka uciekinierów przystanęła niezdecydowana. Droga ucieczki została właśnie zamknięta. Karła jako sekciarza dylemat – co dalej? – nie dotyczył. On już dotarł do swoich i teoretycznie był bezpieczny. Pod ochroną Dużego Karła nie mogło mu się stać nic złego.

Zręcznie prześlizgnął się pod pierwszą linią nadbiegających współwyznawców i pomknął dalej.

Matthias, któremu zabrakło amunicji, odrzucił bezużyteczny automat, rozglądając się wkoło. Znaleźli się w pułapce. Obojętnie, gdzie nie spojrział, czyhali wrogowie.

Jasmin jako pierwsza wpadła na pomysł, jak wyrwać się z matni.

– Mati...

Wejście do komory więziennej znajdowało się trzy metry od niego. Wystarczyło odciągnąć zasuwę i już, jeden krok i byli bezpieczni, przynajmniej na razie.

Darwiniści wyglądali na rozbawionych takim postępkim. W końcu kto dobrowolnie zamyka się w klatce? Śmiechy trwały krótko – do momentu gdy pierwszy kraken pokazał się na stacji.

Rozpętało się istne pandemonium, które powinno przejść do historii metra. Za pierwszym mutantem nadciągnęły kolejne zwabione zapachem krwi. Duże, małe i średnie, wszystkie głodne, pożądające łatwych ofiar i całkowicie poza kontrolą. Kanonada, wybuchy, wrzaski – wrota piekieł zostały otwarte na oścież. Tak to przynajmniej brzmiało przez solidne, stalowe drzwi, które Matthias trzymał ze wszystkich sił. Mutanty sunęły korytarzem tuż za progiem kazamaty. Do uszu

zgrupowanych nieustannie dobiegało szuranie, plaśnięcia i inne odgłosy, od których jeżyły się włosy na głowie.

W pewnym momencie któryś ze stworów zainteresował się tym, co kryje się tuż obok. Pierwsze szarpnięcie o mało nie wyrwało Matthiasowi ręki ze stawu. W desperacji mocniej zaparł się nogami. Z tyłu do drzwi doskoczyło kolejnych paru więźniów przynaglonych przez Idun i Jasmin. Zrobiło się tłoczno, co wcale nie pomagało w trzymaniu.

– Zamknijcie się – rozkazała Idun. – One nas słyszą.

Mutant wyczuł zdobycz. Zdaje się, że był inteligentniejszy od pozostałych albo też nie doceniali tej wesołej gromadki. Wielka szkoda, że ta cholerna furta otwierała się na zewnątrz, a nie do środka. Należało wyteńczyć wszelkie siły, bo jak nie...

Skrzek, jaki usłyszeli, sprawił, że adrenalina żywiej zaczęła krążyć w żyłach. Sądząc po odgłosach, zaledwie pół metra od nich kotłowały się dwie bestie. Brzmiało to tak, jakby okładały się gumowymi węzami. Powietrze drżało od wizgnięć i łomotów, świergotu i syku rozjuszonych potworów.

Nie było dobrze.

Naparzanka na korytarzu nie ustawała ani na moment. Zdaniem Matiasa musiało to przypominać pojedynki pięściarski podczas przedostatniego pucharu Berlina na Jannowitzbrücke, kiedy to reprezentant Syndykatu Przestępczego, niejaki Ernst Weddingen, walczył z przedstawicielem Związku Handlowego Ottonem Schumacherem. Walka była piękna. W ósmej rundzie Schumacher osłabł lub też, jak podejrzewał Jorge, podłożył się Weddingenowi. Za wejście do sali, gdzie odbywały się zawody, zapłacili po pół magazynka do G36. Takich frajerów jak oni na widowni zjawiało się kilkuset, a gdy w końcu Schumacher padł, wśród widzów rozległy się gwizdy. Weddingen, wyraźnie słabszy, wygrał. W nagrodę odebrał nową maskę z pochłaniaczem oraz skafander ochronny i tyle go widzieli. Poszli potem zalać robaka do speluny tuż obok. Na pijaństwo poszedł drugi magazynek. Spłukali się do cna. Dobrze, że nie postawili zakładów, bo zostaliby w samych gaciach. Na interesach z Syndykatem jeszcze nikt nie wygrał.

Może więc młócka za drzwiami z tamtą niewiele miała wspólnego, bowiem dwa krakeny nie wiedziały, co to przewałka, znały tylko walkę na śmierć i życie. Pisk nie cichł ani na chwilę.

Niespodziewanie seria detonacji od strony głównego holu zagłuszyła pojedynek. Mutanty albo przesunęły się dalej, albo jeden z nich pourywał drugiemu, co tam było do urwania. Ludzie najlepiej robią, jak dalej będą cicho.

– Już myślałem, że cię nie zobaczę – szept Grubera był jak balsam dla duszy Matthiasa.

– Nie masz pojęcia, jakiego mieliśmy farta.

– Idun się znalazła?

– Bez niej już byłbym trupem. Jasmin również. – Otarł łzy z kącików oczu, przy okazji rozmazując smugi brudu na policzkach. Nawet nie chciał wiedzieć, jak wygląda. Pewnie jak wampir. Nos pulsujący nieznośnym bólem musiał być złamany. Krew ściekała przez usta na brodę i dalej po szyi na tors. Przynajmniej żył, czego nie dawało się powiedzieć o prześladowcach. Wszyscy oni, oprócz karła, odeszli do wieczności, czy gdzie tam darwiniści mieli niebo.

– A Jorge? Gdzie on jest?

– Zostawiłem go z tyłu, zrobiło się z niego kompletne warzywo. – Gruber poprowadził Matthiasa pomiędzy ludźmi.

Stalker stał odwrócony do nich plecami z pochyloną głową i obwisłymi ramionami. Niby żył, ale wyglądał jak trup.

– Jorge, słyszysz mnie? – Matthias potrząsnął go delikatnie za ramię i spróbował przemówić do przyjaciela, lecz szybko się zorientował, że może sobie darować.

Już wcześniej nie było z nim dobrze, najwidoczniej pastylki Idun przestały działać. Po dawnym stalkerze pozostał cień. A przecież godzinę czy dwie temu wydawało się,

że najgorsze minęło. Jorge wykazywał wówczas zwyczajną aktywność i bystrość. Szybko poszło.

Matthias podrapał się po głowie. Skoro na Jorgego nie mógł liczyć, to kto pozostał? Gruber, dwie kobiety i wyrostek. Dalsze straty były nie do przyjęcia.

Pół godziny później, gdy odgłosy dochodzące do uszu więźniów dostatecznie ucichły, postanowili sprawdzić, jak długo przyjdzie im jeszcze męczyć się w tym koszmarnym miejscu. W pomieszczeniu cuchnęło jak w kloace. Wielu z przetrzymywanych nie potrafiło znieść napięcia, paru wymiotowało, a i zwieracze w kilku przypadkach nie wytrzymały.

Matthias, nieformalny lider, przyłożył ucho do furty. Nic nie zagłuszało ciszy.

– Cofnijcie się.

Tłum posłusznie wykonał krok do tyłu.

Wystarczyło nieznacznie pchnąć skrzydło, by przez powstałą szparę rozejrzeć się, co też pozostało po wizycie mutantów na Zoo. Nie pamiętał, czy zawiasy skrzyphiały, czy też nie. Jak zrobi to powoli, może uda się uniknąć hałasu.

Popchnął drzwi i od razu napotkał opór. Niezrażony popchnął mocniej. Kurwa, zacięło się. Już bez początkowej ostrożności z całych sił naparł ramieniem raz i drugi, ponownie – bez efektu. Czoło Matthiasa oblał zimny pot. Jeżeli jakiś gorliwiec zdążył zamknąć drzwi z zewnątrz na zasuwę, to po nich. Zostaną tu na zawsze. Paznokcie nie poradzą sobie ze stalą i betonem. Ale nie, przecież krakeny o mało ich nie otworzyły.

– Co jest? – zapytał ktoś z samego końca.

– Nie da się otworzyć.

Szmer przerażenia rozszedł się wśród zgromadzonych. Jak spanikują, zostanie zdeptany. Odwrócił się i otwartą dłońią trzasnął najbliższego tchórza w pysk. Wystarczyło, by delikwent poleciał do tyłu.

– Który jeszcze?

Groźba podziałała. Nikt nie chciał narażać się zwiadowcy ani jego pomocnikom.

– Gruber, chodź tutaj. – Matthias przywołał Mechanika. – Na trzy...

Wystarczyło jedno solidne uderzenie i kamień spadł mu z serca. Rzeczywiście jakiś ciężar blokował skrzydło od dołu. Uporanie się z nim wymagało sporego wysiłku.

W końcu szczelina pomiędzy blachą a futryną była na tyle szeroka, by można się przez nią przecisnąć. Matthias wpięrował głowę. Tuż pod progiem leżał kraken. Wyglądał na poważnie sponiewieranego. Jak należało przypuszczać, to właśnie ten osobnik próbował dostać się do środka, a przy okazji naraził się większemu od siebie bratu czy siostrze. Teraz łykał na Matthiasa nienawistnym, zapuchniętym okiem. Drganie odnóży sugerowało, że jest w stanie zdobyć się na ostatni wysiłek i zrobić człowiekowi krzywdę.

Stalker nie miał zamiaru szarpać się z potworem. Zabrał od Idun nóż, którym rozcięła im więzy, i wbił go w wylupiaste oko. Gwałtowne drgawki przeszły ciało stwora. Przyłożył stopę do rękojęści i mocno pchnął, uważając, by krew głowonoga nie ubrudziła jego butów. To już kolejny załatwiony w ten sposób. I co, skubańcu, kto jest górą?

Pierwsze metry do przejścia wydawały się decydujące. Poruszał się uważnie, oświetlając miejsca, w których chciał postawić nogę. Tunele i perony tonęły w absolutnych ciemnościach. Nie potrafił ocenić szkód poczynionych przez stado uwolnionych mutantów, ale z tego, co widział, nic nie zostało na swoim miejscu. Stacja wyglądała, jakby jej środkiem przeszło tornado. Wszędzie walały się szczątki bud i wszelkich rupieci, złoty posąg został przewrócony – widać potwory nie doceniły uwielbienia ze strony wiernych. Ciał było niewiele, właściwie dostrzegał

jedynie ich fragmenty, pojedyncze kończyny, głowy. Domyślał się, jak do tego doszło. W ferworze ataku krakeny pewnie nie dojadły ofiar lub wyrwały je sobie. Wystarczyło przecież, by człowiek został pochwycony przez jedną mackę, by druga swobodnie robiła z ciałem mniej więcej to, co rzeźnicki nóż oprawiający świńską tuszę.

Krakeny nie odróżniały mężczyzn od kobiet i kobiet od dzieci. Im było wszystko jedno, w końcu od wyklucia się dostawały taki sam posiłek.

W co najmniej kilku miejscach leżały cielska mutantów poszatkowane przez ogień z broni maszynowej i rozerwane eksplozjami granatów. Wszystkie truchła należały raczej do małych osobników, o ile ważącego ze sto kilogramów krakena o odnóżach sięgających pięciu metrów można nazwać małym. Matthias wszedł ostrożnie na peron. Barak mieszkalny wydawał się pusty. Po drewnianych schodach nadal skapywała krew. Podniósł porzucony karabin, wytarł kolbę z resztek mózgu i tkanki, a następnie przeładował. Od razu poczuł się raźniej.

Więźniowie za plecami Matthiasa zaczęli rozchodzić się we wszystkich kierunkach. Nie było to rozsądne, ale co mógł powiedzieć: wracajcie, nie płatajcie się pod nogami, czy też idźcie i róbcie, co chcecie?

Wszystkie te pomysły były do kitu. Mutanty nie odeszły daleko, wciąż czały się w pobliżu gotowe do kolejnej rzezi.

– Szczęśliwa jesteś? – zwrócił się do Idun, która właśnie przetrząsała pobojuwisko tak jak i on. – Popatrz, co zrobili twoi podopieczni.

– One wcale nie są moje. To nie botanicy je stworzyli.

– W takim razie jak to nazwiesz?

– Zemstą natury.

Matthiasa opuściła cała energia. Nawet widok pourywanych kończyn nie był w stanie przemówić Idun do rozsądku.

– Szlag by to trafił – mruknął pod nosem.

– Mówiłeś coś? – zapytała Jasmin, która podobnie jak botaniczka próbowała na nowo poskładać ekwipunek.

– Tylko do siebie.

– Czego się właściwie spodziewałeś? – Stalkerka zaczęła wymachiwać solidnych rozmiarów tasakiem, ale od razu było widać, że miecz samurajski to to nie jest.

– Nie bardzo rozumiem.

– Pytam, czego właściwie spodziewałeś się po niej?

Idun, nawet jeżeli słyszała zaczepkę Jasmin, to postanowiła ją zignorować.

– Fanatycy już tak mają – dodała, wyraźnie prowokując botaniczkę.

– Tylko nie fanatycy – ostrzegła Idun cicho, lecz wyraźnie. Widać było, jak zaczęło się w niej gotować. – Kierujesz te słowa do niewłaściwej osoby.

– Czyżby? Plan był taki, że mutanty wykańczają darwinistów, a darwiniści mutanty. Jak na razie wyjątkowo udało się pierwsza połowa, co wyklucza realizację drugiej, nieprawdaż? – Dziewczyna aż kipiała gniewem. – Prościej? Z powodu twojej głupoty po metrze pęta się całe stado krakenów wystarczające, żeby zlikwidować wszystkich ludzi. Twoje założenia okazały się gównem albo... nie mówisz nam prawdy. Darwiniści przynajmniej wiedzieli, czego mogą się spodziewać, a mieszkańcy Kudammu czy Wittenbergplatz, co z nimi?

– Jasmin, uspokój się. – Matthias spróbował załagodzić konflikt.

– Ja mam być spokojna, tak? Nie było jej z nami na Tempelhofie i nie widziała, co ta wielka pokraka robiła z całym oddziałem dobrze uzbrojonych i zdeterminowanych żołnierzy. Już zapomniałeś Gunnara? Krótką masz pamięć. Czy wam się wydaje, że sfora małych potworów – ze złością kopnęła cielsko tego „średniej” wielkości – jest mniej groźna od tamtego wielkiego sukinsyna?

– Nie ja wypuściłem je na wolność – bronił się Matthias.

– Byłeś tam i jej nie powstrzymałeś.

– Gdyby nie ja, twoim kościstym tyłkiem już by nakarmiono jedną z tych pokrak –

syknęła Idun.

– Może to by było lepsze od tego, co mamy teraz? Jeden tyłek zamiast setek innych.

– Nie mów mi, co jest lepsze – zdenerwował się Matthias. – Uratowaliśmy ci życie.

– Przy okazji skazując całe metro na zagładę.

– Wiesz co... Wiesz, co ci powiem... Jesteś... Jesteś...

– No, wykrztuś wreszcie.

– Niewdzięczna – odpowiedziała botaniczka.

– Tylko tyle?

– Mało?

– Spodziewałam się czegoś więcej.

Jej uśmiezek politowania doprowadzał Matthiasa do szału. Obcując z Jasmin, doświadczał skrajności – od ekstazy po kompletne upodlenie. Sam siebie nienawidził z tego powodu. Przykra prawda była taka, że i jedna, i druga manipulowały nim, jak chciały, a on chodził na ich pasku. O nie, moje drogie panie, tak dalej być nie może. Jak kolejny raz usłyszy, co powinien zrobić, każe im się zamknąć. Tak, właśnie tak! Albo lepiej niech idą i robią, co chcą, ale bez niego. Znalazł Samira, a udział Jasmin w tym był zupełnie przypadkowy i nieistotny. Wracając – znalazł Samira, czyli zadanie wykonane. Pozostało mu zabrać stąd resztę towarzystwa i wynosić się na Französische Straße. Reszta nie należała do niego. I tak zrobił sporo. Właśnie. Nikt nie będzie miał do niego pretensji, jak wycofa się i zakończy akcję właśnie w tym momencie. Jeżeli ktoś nie chce z nim iść, może zostać, proszę bardzo, droga wolna. On nikogo na siłę ciągnąć nie będzie.

Tymczasem Samir myszkujący wśród rozbitych bud otworzył kolejną z rzędu komórkę. W jednej znaleźli broń, te dziwne automaty, w które uzbrojono tutejszych stalkerów, jak również skrzynki z granatami, kanistry z benzyną i rurę granatnika, jak się okazało, załadowaną. Opis na plakietce nic Matthiasowi nie mówił. Część liter była zupełnie inna niż te, które znał. Po złożeniu wszystkiego razem wychodziły kompletne idiotyzmy. Po krótkim namyśle postanowił zabrać wyrzutnię ze sobą. Lepiej, by nie wpadła w niepowołane ręce. Zresztą da to do niesienia Gruberowi.

Odnalazł i miecz Jasmin. Dziewczyna wymachiwała nim teraz na wszystkie strony. Biedny ten, kto podejździe jej pod rękę, mutantów nie wyłączając.

Wkrótce okazało się, że sprzętu wystarczy do uzbrojenia całkiem pokaźnej gromady ochotników. O wiele gorzej wyglądała sprawa amunicji. Dokładnie przetrząsnęli komórkę. Znaleźli sporo pustych magazynków i tylko garść nabojów. Ostatecznie wyszło po dwa magazynki na automat. Wydawało się, że to sporo, ale przy ogniu automatycznym pozbędą się całego zapasu w pół minuty. Inna sprawa, że kaliber broni – większy niż zwykłego G36 – wart był zachodu.

Najróżniejszego żelastwa było dużo więcej – piki, tasaki, siekiery osadzone na długich styliskach, widły. Czyżby z braku nabojów tutejsi administratorzy postanowili wykorzystać do walki broń białą? Jeżeli tak, to okazali się skończonymi idiotami. Za pomocą piki czy wideł dałoby się usiec nierozważnego canida lub inną mniej groźną bestię. A co się stanie, jak na drodze stanie całe stado głowonogów? Znalazł nawet łuk i sportową kuszę wraz z zestawem bełtów. Zbaraniał. Może w pobliżu był kiedyś sklep sportowy, który sekciarze splądrowali, zabierając wszystko jak popadnie?

W pewnym momencie do głowy Matthiasa przyszła absurdalna myśl, pomysł tak dziwny, że sam się go wystraszył.

W jaki sposób te dziwne automaty znalazły się w posiadaniu darwinistów? I nie chodziło tu o pojedynczy egzemplarz, co łatwo by wytłumaczyć. Zapasy sekciarzy wykluczały przypadkowe znalezienie kolekcji w mieszkaniu jakiegoś hobbysty. Taką bronią nie posługiwała się ani armia, ani policja, ani inne służby starych Niemiec. W takim razie kto?

Sami tego nie wyprodukowali. W metrze co prawda znajdowało się parę

warsztatów zdolnych wykonać odlew, wyfrezować i złożyć spluwę w całość, ale do tego potrzebne były dokładne plany. O wiele łatwiej wejść do dawnego komisariatu i przejść zawartość zbrojowni.

Sklepów z bronią w dawnym Berlinie również nie brakowało. Jak coś się zatnie czy uszkodzi, każdy rusznikarz czy mechanik dorobi odpowiednią część, jedną konkretną, jeżeli o resztę nie trzeba się martwić. Wszyscy uzbrojeni ludzie w metrze posiadali taki sam sprzęt jak niemieckie służby przed zagładą, czyli G36 w najróżniejszych odmianach i wersjach. Pod względem logistycznym zaopatrzenie armii i policji w jeden konkretny rodzaj broni palnej jest łatwiejsze niż w dwa czy więcej. Skoro więc automaty nie pochodziły z niemieckich zapasów, to skąd się tu wzięły? Po odrzuceniu fantastycznych teorii wychodziło na to, że ktoś je tu przywiózł. A skoro tak... Ta myśl wracała niczym bumerang. Jeżeli miał rację, to rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej, niż ją do tej pory sobie wyobrażał.

Tym razem dla odmiany Matthiasowi zrobiło się zimno. Bo co, jeżeli tych całych darwinistów, z ich obłądną koncepcją oczyszczenia metra przez krakeny, ktoś nasłał? Pojawili się znikąd i usadowili w samym sercu miasta. Mają wtyki na pozostałych stacjach i broń w postaci mutantów. Jeżeli to spisek, to sięgał tak daleko, że nawet naczelnicy, co tam naczelnicy, nawet ci, którzy mienili się przywódcami lig, syndykatów czy związków, nic o tym nie wiedzieli.

Kolejna komórka, a na niej wielka kłódka. Nie będą jej rozbijać, szybciej rozwalą drewniane zamknięcie poprzez włożenie łomu pomiędzy deski a futrynę.

Gruber stęknął z wysiłku i drewno puściło. Przyświecili latarkami, zagładając do środka.

Wszystko z dołu do góry wypełniono butlami wykorzystywanymi do spawania lub cięcia. Przynajmniej tak to kojarzyło się Matthiasowi. Piętrzyły się jedna obok drugiej w całym pokaźny stos. Było ich co najmniej pięćdziesiąt, każda zaopatrzona w manometr tuż przy mosiężnym zaworze.

– Pełne. – Gruber, który jako pierwszy zaczął przy nich majstrować, na początek sprawdził, w jakim są stanie.

– Wiesz, do czego służą?

– Zaraz zobaczę.

– Nie odkręcaj – ostrzegł Matthias tknięty złym przeczuciem.

– Głupi nie jestem.

– Nigdy cię o to nie podejrzewałem.

W kącie dostrzegł starannie zwinięte gumowe węże o długości co najmniej kilkunastu metrów.

– To jakiś gaz.

– Tyle to sam się domyśliłem.

– R-VX. Mówi ci to coś?

– Nie.

– Mnie też nie.

– Dalej nie potrafię odczytać.

– Aha.

– Sam spróbuj. – Gruber wycofał się, by zrobić miejsce Matthiasowi.

Symbole, kombinacje liter i cyfr stalkerowi z niczym się nie kojarzyły. Jedyne, co wydawało się jasne, to data na zbiorniku, choć i tu trudno było powiedzieć, czy chodzi o datę produkcji samych butli, czy ich napełnienia.

Tak czy owak było to frapujące. To tylko dziesięć lat temu. Już nie chodziło o to, co jest w środku, tylko o zagadkę, kto mógł dysponować odpowiednim zapleczem do wytworzenia czegoś podobnego.

Zamieszanie na peronie oderwało Matthiasa od niewesołych myśli.

– Co się tam dzieje?

– Zdaje się, że kogoś złapali.

Mało go to obchodziło, ale hałas zrobił się taki, że zaraz ściągnie im na głowy

stado mutantów.

Wyszedł z komórki i pośpieszył w stronę, gdzie Samir i kilku więźniów okładało pięściami karła.

Cwany sukinsyn zaszył się gdzieś, w czasie gdy krakeny masakrowały jego współwyznawców, i teraz próbował chyłkiem wynieść się ze stacji. Na jego nieszczęście sprawne oczy Samira wyłowiły poskręcaną sylwetkę z mroku i dawaj... Musiał ciężko zapracować na takie potraktowanie przez więźniów.

- Samir, odbiło ci?

Chłopak dalej zapamiętale kopał karła. Tamten zwinął się, jęczał i błagał o litość.

- Samir, mówię do ciebie.

Gdy to i następne wezwanie pozostało bez odpowiedzi, Matthias postanowił interweniować. Odsunął na bok najbliższych stojących i bynajmniej nie łagodnymi ruchami poprzestawiał bijących.

- Już dobrze, nie ma powodu...

- Nie ma? Jak to nie ma? Wiesz, co ten bydlak zrobił?

- Odprowadzał więźniów do wylęgarni i co?

- Zdaje się, że nic nie rozumiesz.

- Gdybyś wiedział, ile razy to słyszałem. - Matthias ziewnął.

- I jakoś nikt ci nie uświadomił, z kim miałeś przyjemność?

- Tak się złożyło.

- Przecież to Mały Karl.

Matthias zdębiał. Dlaczego sam o tym nie pomyślał? Duży Karl był duży, a Mały jest mały, zaskakująco proste i oczywiste.

Kolejny kopniak wylądował na żebrach niedawnego przywódcy darwinistów.

W Matthiasie wezbrała złość. Z trudem powstrzymał się, nie chcąc iść w ślady Samira, bo jego ciężki but na pewno wylądowałby na czerepie tego gnoja.

Zatłuc ścierwo, parszywy bękart, któremu się wydaje, że wszystko może, oto sprawca wszystkich jego nieszczęść.

O nie, gnido, nie zrobię ci tej przyjemności, mamy ze sobą do pogadania, wyśpiewasz wszystko, co wiesz, a ja na koniec, o ile będą zadowolony, sprawię, żeby twoja śmierć była lekka.

Złapał Karła za kołnierz i ustawił do pionu, żeby zajrzeć w kaprawe oczka.

- On mówi, że jesteś Małym Karlem.

- Ja, panie?

- A niby kto?

- Myli się, ja tylko...

Nagłe pulsowanie w skroni Matthiasa sprawiło, że dłużej nie próbował utrzymywać nerwów na wodzy, tylko trzasnął pięścią darwinistę prosto w usta. Uderzenie wybiło siekacze, a z rozbitych warg trysnęła krew.

- Kłamiesz. - Stalker od razu poczuł się lepiej mimo wciąż pulsującej wściekłości. Najważniejsze to znaleźć spokojne miejsce do rozmowy, bo pytania jedno po drugim cisnęły się na usta.

- Rozejść się. - Zdaje się, że nie posiadał daru przekonywania, skoro stojący nawet nie drgnęli, rzucił więc: - Gruber, mam taki pomysł: podziel ich na drużyny i wyznacz dowódców.

Najwyższa pora spożytkować te zasoby ludzkie. Dobrze zorganizowani poradzą sobie z każdym niebezpieczeństwem. No, z prawie każdym, cudów od nich nie będzie wymagał. Sądząc po twarzach, wielu z nich przesiedziało w niewoli dłużej niż parę dni.

- Dowiedz się przy okazji, może jest tu jakiś chemik.

- Sprawdzę.

- Tylko dyskretnie, nie chcę, by wpadli w panikę.

- Co z automatami?

- Wydaj chętnym.

– Paru na pewno będzie chciało odejść.
– Przecież tu się roi od mutantów. – Matthias przygryzł usta. – Spróbuj przemówić im do rozsądku.

Stalker odprawił Grubera i zajął się najważniejszą z jego punktu widzenia sprawą. Mały Karl był faktycznie mały, co nie znaczyło, że lekki. Ważył tyle, co dwóch lub nawet trzech więźniów. Wielka głowa, korpus jak beczka oraz krótkie nogi i ręce. Obraz nie byłby kompletny, gdyby nie wspomnieć o artystycznej, kolorowej kresce tatuażu na głowie.

– Jesteś nędznym robakiem.

– Wiem, panie, wiem. – Karzeł prawie padł przed nim na kolana. Nie do pojęcia, jak taki palant stanął na czele świetnie zorganizowanej społeczności. Wydawał się giętki jak gumowy wąż. Jeżeli udawał przed Matthiasem nieporadnego i skrzywdzonego człowieka, to był w tym bardzo przekonujący.

– Zapewne nie zdajesz sobie sprawy z tego, w jak ciężkiej sytuacji się znalazłeś. – Zwiadowca usiadł na kawałku płyty stanowiącej do niedawna część baraku mieszkalnego.

– Ci ludzie się mylą.

– Nie sądzę.

– Panie, kim ja jestem, by podważać czyjeś zdanie, ale tym razem...

– Zrobimy tak. – Matthias staranie rozważał w myślach wszystko, co miał do powiedzenia. – Jeżeli uznam, że kłamiesz, utnę ci palec. Pozostaniesz w jednym kawałku tylko wtedy, gdy będziesz mówił prawdę.

– Jak to tak? – Karzeł zmartwiał i ugięły się pod nim nogi.

– Czy ja pozwoliłem ci usiąść?

– Nie, ale...

– To stój.

– Oczywiście, panie.

Początek na pewno będzie trudny. Należało zacząć od czegoś łatwego, a nie od razu przystępować do meritum. Dla Matthiasa nie ulegało wątpliwości, że Mały Karl zacznie od łgarstw. Pewnie nie przypuszczał, że groźby zostaną przekute w czyn. Trudno, w końcu każdy ma prawo do pomyłki.

– Jak się nazywasz?

– Ja?

– A o kim mówimy?

– Tak, oczywiście.

– Więc jak?

– Hermann.

– Oj, nie próbuj zgrywać idioty. Pytam o prawdziwe imię i nazwisko.

– Ale...

– Sam wybrałeś. – Widok miny karła był bezcenny. Jemu naprawdę wydawało się, że jest w stanie oszukać Matthiasa, przeciągać rozmowę w nieskończoność i zbywać pytania półsłówkami. – Idun, mamy tu pewien problem.

Botaniczka wyrosła przy karle jak spod ziemi. W rzeczywistości nie opuszczała ich nawet na krok.

– Bądź tak dobra i odetnij temu skurwielowi palec.

– Który?

– Wskazujący u prawej dłoni.

– Może od razu i środkowy. Już nigdy nie wystrzeli z automatu.

– Ja nie mam nic przeciwko temu, a ty, Karl, czy jak się tam nazywasz? Co nic nie mówisz? Dobra, tnij, czas ucieka – westchnął. – Tylko najpierw zaknebluj tego idiotę – poradził na ostatek.

– Przecież wiem.

Karlowi do tej pory wydawało się zapewne, że to jakieś żarty, łatwa gra, w której on jest górą, dopiero dławiący oddech kawał materiału zawiązany z tyłu głowy

uświadomił mu, że nie wszystko układa się po jego myśli.

– Tnij na trzy. – Matthias nie odwracał wzroku od przerażonych oczu mężczyzny.

Ten próbował się szarpać, ale został spacyfikowany przez Idun z nadzwyczajną wprawą. Najpierw ogłuszyła go silnym ciosem w potylicę, a gdy przestał wierzgać, ułożyła dwa paluchy na drewnianym pieńku i uderzyła tasakiem. Żadnego wahania. Krew trysnęła z obciętych kikutów.

– I na co ci to było?

Odczekał chwilę, aż karzeł złapie oddech, i kazał Idun zdjąć knebel.

– Będiesz mówił?

– Będę, panie – zaskowyczał ten, co do niedawna mienił się przywódcą ludu.

– Imię, nazwisko?

– Bernard Frühling.

– Po co ta cała maskarada, panie Frühling?

– Jaka maskarada? – zakwilił karzeł.

– Panie Frühling, jeżeli pan się upiera, to dla odmiany obetniemy palce u lewej dłoni. Nas to nic nie kosztuje, a jak się zdaje, mojej koleżance sprawia to przyjemność.

– Ależ ja nie kłamię.

– Te zapewnienia kompletnie na mnie nie działają. Idun...

– Już... wystarczy, powiem.

– Zdecyduj się, człowieku.

– Przed zagładą zajmowałem się badaniami.

– Jakimi?

– Byłem genetykiem.

A więc jednak Idun mówiła prawdę, ci kretyni kombinowali w celu stworzenia nowej biologicznej broni masowego rażenia.

– Kto wam pomagał? – Na to pytanie chciał znaleźć odpowiedź jak najszybciej.

– W czym?

– Karlu, Bernardzie czy jak tam masz na imię. – Matthias wstał i postąpił krok w jego kierunku. – Te butle z gazem R-VX do czego są wam potrzebne?

– Trzymamy je na wszelki wypadek. To rodzaj zabezpieczenia. Gaz ma uśmiercić mutanty, gdyby coś poszło nie tak.

– To dlaczego nie użyliście tego paskudztwa do oczyszczenia metra? To zdecydowanie prostsze od hodowli mutantów.

– Gaz jest silnie toksyczny, a poza tym...

– No, mów.

– Udało się nam zorganizować całkiem sporą siatkę wyznawców. Jak użyjemy gazu, wszyscy zginą, co do jednego, nie przetrwa nikt, kto nie ma ochronnego skafandra i maski. Wystarczy niewielka dawka i po człowieku.

– Taki jesteś litościwy?

Idun wciąż stała za plecami sekciarza.

– Metro miało należeć do nas.

– Innych nie było wam żal? Najważniejsze to kłanianie się w pas temu wielkiemu ścierwu? – Matthiasa znów zaczynało ponosić. – W końcu ilu was było?

– Sporo.

– Zadałem konkretne pytanie.

Niespodziewanie karzeł zaczął się krztusić, a następnie dostał ataku kaszlu. Silne uderzenie w plecy niewiele pomogło. Twarz zrobiła się czerwona, widać było, że brakuje mu tchu.

– Kurwa, jeszcze tego nam brakowało.

Frühling upadł na plecy. Idun natychmiast pochyliła się nad nim.

– Symuluje?

– Raczej nie.

Zdaje się, że krążyło nad nim jakieś fatum, czego się nie tknął, zaraz obracało się

wniwecz.

- Ma jakiś atak - zakomunikowała botaniczka.
- Hej, Frühling, nie umieraj mi tu. Słyszysz mnie? Cholera, dlaczego właśnie teraz?
- Przejął się.
- Może to przez te palce?
- Całkiem możliwe.

Matthias stał nad drgającym ciałem, nie bardzo wiedząc, co ma zrobić. Na ustach Karła pojawiły się wymiociny. Agonia była aż nadto widoczna.

- Ratuj go! - wydarł się na botaniczkę.
- Nie wiem jak.
- A co, jeżeli to atak serca?
- To by nawet pasowało - zgodziła się z nim natychmiast.

Nogi zaczęły trzeć o beton, źrenice zapadły się w głąb oczodołów. Ale obsuwa. Facet właśnie się kończył, nie zdążywszy podzielić się z nimi całą swoją wiedzą. Matthias miał nadzieję, że w ciągu pięciu minut zgłębi największą tajemnicę metra, a oto ponownie stawał na początku drogi.

Konwulsje targające ciałem Karła ustały.

W życiu by nie przypuszczał, że śmierć tego pokurcza pozbawi go wszelkiej nadziei.

Rozdział XVIII

Błędne ognie

Gruber zjawił się pół minuty później.

– Coście z nim zrobili? – Popatrzył na nich podejrzliwie.

– Nic – odparł Matthias.

– Jak to nic. Przecież widzę.

– Sam umarł.

– Wciskacie mi kit.

– Dostał zawału czy wylewu, skąd mam wiedzieć.

– Wystarczy na chwilę spuścić was z oczu i od razu są problemy. Pięć minut temu ten gość jeszcze chodził.

– A teraz nie oddycha. – Matthias nie wgłębiał się w szczegóły. – Masz konkretną sprawę czy chciałeś dowiedzieć się, jak nam idzie?

– Znalazłem chemika, o którego pytałeś.

– Świetnie.

– Czeka przy tamtej kanciapie.

– Już idę.

– A co z nim? – Gruber wskazał na leżące ciało.

– Później się zastanowimy.

Pod drzwiami komórki czekał na nich starszawy, siwiejący mężczyzna w drucianych okularach na nosie. Koszula wisiała na nim jak na szkielecie, spodnie tak samo. Mimo niechlujnego wyglądu na widok podchodzących wyprostował się z godnością.

– Pan jest?

– Maks, Maksymilian znaczy się.

– Miło mi. – Dla formalności uścisnęli sobie dłonie. – Zdaje się, że ten składzik nie ma przed panem tajemnic.

– A tak, owszem. Kiedy pan... – chemik zmieszał się, nie bardzo wiedząc, jak zwracać się do Grubera – ...pytał o specjalistów, zgłosiłem się od razu.

– Godne pochwały.

– Nie przesadzajmy... Otóż... o, tak, właśnie. Mamy tu spory zapas gazu bojowego, na moje oko wystarczy tego do wytrucia całego metra.

Ta informacja nie poruszyła Matthiasa. Tyle już zdążył dowiedzieć się od karła. Cierpliwie czekał na ciąg dalszy, bojąc się, że Maks spektakularnie odwali kite właśnie w tym momencie.

– Od razu mówię, że to nie są oryginalne pojemniki.

– Kto je mógł wyprodukować?

– Pojęcia nie mam. – Chemik wydawał się zmartwiony tym, że nie może udzielić konkretnej odpowiedzi. – O, proszę spojrzeć, tu jest nawet wózek transportowy. – Maks wskazał na stojący opodal środek lokomocji: dwa kółka, stelaż i rączka do ciągnięcia. – Wie pan, gdy się tak temu przyglądam... Wiem, że to ryzykowny pomysł, ale sądzę, że jedyny sposób, jaki nam pozostał.

Teraz z kolei Matthias bał się słuchać dalej.

– R-VX działa na skórę, śmierć następuje przez uduszenie w wyniku niekontrolowanych skurczów. Skoro działa na człowieka, to na głowonoga też powinno. Proszę mi wierzyć, nie ma żywego organizmu, który zdołałby uchronić się przed tą substancją.

– Chce pan powiedzieć, że mamy wytruć wszystkie mutanty?

– To jedyne pewne rozwiązanie, w dodatku ostateczne. – Chemik nerwowo poprawił okulary. – Widzę tylko parę problemów technicznych.

– Jakich problemów?

– Środek ma postać cieczy. W tych butlach zmieszano go z jakimś gazem nośnym,

ale nie sposób się o tym bezpiecznie przekonać. Najskuteczniejszy jest aerozol. Działa wziewnie. Jedno naciśnięcie pompki i bach... Tego nie przeżyją, nie ma mowy. Niemniej działa też kontaktowo, przez skórę. Czy skóra tych mutantów jest dostatecznie podobna do ludzkiej, by uzyskać wystarczającą przepuszczalność, tego nie wiem. Jestem za to dogłębnie przekonany, iż warto spróbować. Powinniśmy to uczynić dla ludzkości.

– Czy panu się wydaje, że one będą stały spokojnie, w czasie gdy będziemy je polewać trucizną? – Matthias przerwał tę przydługą przemowę.

– No nie, ale... – odparł nieco skonfundowany chemik.

– Tak mi się zdawało – uciął stalker. Właśnie ktoś próbuje go wkręcić w kolejną samobójczą akcję, na którą wcale nie miał ochoty. – Jeżeli pan pozwoli, zajmę się naszym powrotem.

– Mati, do czego ty chcesz wracać? – zapytał Gruber.

– Ja właśnie o tym... Nadarza się niepowtarzalna okazja – wtrącił się Maksymilian.

– Jaka znowu okazja? – zniecierpliwiał się Matthias.

– Wydaje mi się, że te potwory właśnie powróciły do wylęgarni. Na razie są syte i oczywiście mniej agresywne. Możliwe, iż niektóre zapadły w letarg. Gdy zgłodnieją, ponownie się rozpełzną. Sam pan widział, że ogień broni maszynowej nie robi na nich wrażenia.

– Z pana słów wynikało jedno: gazem można wytruć wszystkich, stąd aż do Schönhauser Allee.

– Tylko przy założeniu, że użyjemy wszystkich pojemników. Ja sugeruję posłużyć się jednym.

– I to wystarczy?

– W zupełności. Proszę nie zapominać, że to de facto nie jest gaz, więc sam się nie rozprzestrzeni, zaś wylęgarnia znajduje się w bocznym odgałęzieniu, w zamkniętym pomieszczeniu, a nie w gęsto zaludnionej części metra. Przy zachowaniu odpowiednich środków ostrożności zminimalizujemy zagrożenie do dopuszczalnego poziomu.

– Co to znaczy?

– Znaczy to tyle, że ludzie pozostaną bezpieczni.

– Na pewno?

– Oczywiście, stuprocentowej gwarancji dać nie mogę. W grę wchodzi co najmniej kilka czynników, wszelako możliwa jest nawet szybka neutralizacja toksyny.

– A czym da się ją zneutralizować?

– Wystarczą standardowe wybielacze na bazie chloru.

– Mati, on ma rację, to jedyna taka szansa. Zamknięty tunel... – wtrącił się Gruber.

– Nie taki znów zamknięty. Sami znaleźliśmy wejście w oranżerii. Są co najmniej dwa poziomy tunele, a nie wiemy, dokąd prowadzi jeden z nich.

– Lepsze to niż dopuszczenie do masakry.

– Proszę cię, nie bierz mnie pod włos.

– Jestem ostatni z całego oddziału, rozumiesz? Jak ja mam się czuć, wiedząc, że coś takiego pełza po tunelach? Kiedy te maskary urosną, będą nie do powstrzymania. Wiesz o tym tak samo dobrze jak i ja. Wtedy poświęcenie tylu ludzi pójdzie na marne! Wszystkich! Niezależnie od tego, co robili wcześniej: żołnierzy, stalkerów, Augusta, Gunnara, Rolfa. Tych kretynów, którzy wpadli na ten pomysł, już nie ma, ale musimy zniszczyć ich dziedzictwo.

Matthiasowi nie chciało się tłumaczyć, jaka jest prawda. Inspiratorzy pewnie mają się dobrze, a konfrontacja z nimi nawet się nie zaczęła. Co, jeśli postanowią oczyścić metro po raz kolejny? Za pierwszym razem się nie udało, lecz mogą spróbować ponownie.

Sekciarze, przynajmniej ci skupieni na Zoo, już szczęśli, pozostali tylko agitatorzy na innych stacjach. Mało prawdopodobne, by nadzorcy spróbowali reanimować sektę. Na cholerę im to potrzebne, najlepiej od razu załatwić wszystkich tym

pieprzonym gazem R-VX. Gwarancja zagłady niemal całkowita.

– Mamy tu niezłą ekipę. – Gruber kusił dalej.

– Właśnie widzę. – Matthias wskazał na człowieka ze szlaczkiem tatuażu na głowie.

– Nie chciał współpracować z Dużym Karlem – chemik wziął go w obronę.

– Pewnie doszedł do wniosku, że apokalipsa obejmie też jego.

– Sam zapytaj – poradził Gruber.

– I z takimi ochotnikami mam rozegrać ostatnią rundę?

– Lepszych nie znajdziesz.

Stos kombinezonów ochronnych piętrzył się tuż przy schodach wiodących na piętro baraku. Po dłuższym przerzucaniu peleryn, spodni, całych skafandrów oraz masek przeciwigazowych Matthias odnalazł swoją odzież ochronną. Szczęśliwy wyciągnął ją i uważnie obejrzał z każdej strony. Od razu rzuciły mu się w oczy dziury na rękawach i nogawkach. Strój nadawał się do kosza. Za to skafander należący do Jorgego był w o wiele lepszym stanie. Druh już raczej się w niego nie ubierze i tam, gdzie się wybierali, z nimi nie pójdzie ani nic nie powie, gdy Matthias pożyczycy sobie komplet wraz z maską. Stan wyższej konieczności.

Podłubał palcem w zębach, próbując ogarnąć myślami wszystko, co miało się wydarzyć. Kolejny raz stawali do nierównego boju. Właściwie za każdym razem było dziwniej. Tempelhof to miał być tylko rekonesans, a czekała tam monstrualna Hel, od kiedy zaś trafili na Zoo, ocierali się o czyste szaleństwo.

Wciągnął na siebie skafander i wymienił filtr przeciwpylowy w masce na pochłaniacz z zapasów darwinistów. Dzięki temu też zaoszczędzi swój ostatni filtr. Zamiast sprawdzonego G36 posługiwał się teraz topornym automatem wyprodukowanym przez nie wiadomo kogo.

Grupa ochotników na czele z Gruberem i Jasmin już na niego czekała, tylko Idun nigdzie się nie wybierała. Nie pytał o powody. Jeżeli nie chciała, nie musiała o tym mówić.

– Samir, a ty dokąd?

– Nie zostanę sam.

– Zostaniesz. To rozkaz.

– Nie możesz mi niczego nakazywać.

– Chcesz się założyć? – Matthias nie potrzebował kolejnej kłótni. – Idun, zajmiesz się Jorgem i Samirem?

– Bez obaw.

– Właśnie gdy tak mówisz, zaczynam się bać.

Czułby się o wiele lepiej, gdyby botaniczka szła razem z nimi. Właściwie to się do niej przyzwyczaił, jeżeli można tak powiedzieć. Zawsze zła i kąśliwa jak osa, ale też zawsze z jakąś radą. Może nie całkiem pasującą do ich sposobów działania, lecz braku skuteczności nie można jej było zarzucić.

– Spróbuję to ogarnąć – rzuciła, wskazując za siebie, trochę jakby czuła się zobligowana do jakiegoś wyjaśnienia.

– To ja nie będę przeszkadzał.

Grupa szturmowa liczyła jedenaście osób. Oprócz chemika Maksa pozostałych widział pierwszy raz na oczy, a może i nie, bo w skafandrach i pelerynach wszyscy wyglądali podobnie. Matthias nie miał pojęcia, czy strojów ochronnych wystarczyło tylko dla tak nielicznej gromady, czy też reszta wolała pozostać na w miarę bezpiecznej stacji.

Najważniejszy był wózek z długą butlą ciągnięty przez dwóch najsilniejszych ochotników. Pozostali stanowili ochronę. Oczywiście pierwsze skrzypce w całej tej eskapadzie grał chemik. W końcu to jego pomysł, niech i wykonanie spocznie na jego

barkach.

Już po pierwszych krokach Matthiasa ogarnęły wątpliwości – może jeden pojemnik to za mało? Wcześniej nikt nie wypróbował gazu, nie było takiej możliwości. Uwierzyli Maksymilianowi na słowo i może nazbyt pochopnie przyjęli, że w butli jest to, na co wskazuje etykieta. Żeby tylko nagle nie okazało się, że trzeba będzie spieprzać w podskokach.

Poruszali się powoli, zbici jeden obok drugiego. Ośka wózka cicho poskrzypywała. Czuło się panujące napięcie.

Matthias zrównał się z Makssem.

– Jak chcesz to zrobić? – zapytał cicho.

– Wszystko zależy od tego, w jakim stanie są mutanty.

– Nażarte i szczęśliwe, tak twierdziłeś jeszcze niedawno.

– To było przypuszczenie, prawdę poznamy wkrótce.

Chodnik skręcał. Na mokrym betonie, podłożu i ścianach fosforyzowały smugi zastygłego płynu, co znaczyło, że przynajmniej niektóre z potworów ucierpiały. Nafaszerowane ołowiem raczej nie zasną spokojnie zwinięte w kuleczkę. Wracają do wylęgarni lizać rany, a nie odpocząć po posiłku, więc zamiast sytych i drzemiących kalmarów zastaną stado rozwścieczonych potworów. Jeżeli gaz nie zadziała, to już są trupami.

Idun poczekała, aż za ekspedycją podążającą w stronę wylęgarni ucichną wszelkie odgłosy. Nie życzyła ochotnikom źle, ale ich szanse w starciu z mutantami nie były duże. Niemniej potrafiła docenić poświęcenie i wolę rozprawienia się z zagrożeniem raz na zawsze. Głupcy. Sami wybrali swój los.

Należało działać, i to szybko. Materiały wybuchowe, spłonki, detonatory i odpowiednio długi kawał kabla czekały w składziku na broń. Każdy, kto chciał, wiedział, co znajduje się w ciemnozielonej plastikowej skrzyni, i jakoś nikt nie wpadł na pomysł, jak spożytkować jej zawartość, ech...

Do brezentowej torby wcisnęła dobre dziesięć kilogramów plastiku. Uniosła wór, krytycznie oceniając ciężar. Na wszelki wypadek dorzuciła paręnaście kostek trotylu oraz resztę potrzebnych akcesoriów. Tobół zarzuciła na ramię. Na razie nikt nie interesował się jej poczynaniami.

Przy bocznym tunelu nic się nie działo. Zrzuciła ciężar na posadzkę i zaczęła bacznie przyglądać się prętom zbrojeniowym wystającym z sufitu. Ładunki powinna umieścić jeden obok drugiego. Plastik musiał być przytwierdzony do prętów, lecz nie stanowiło to problemu. Wystarczy je obkleić masą wybuchową. Podobny ciąg ładunków chciała rozmieścić kilka metrów dalej dla maksymalnego efektu. Powstanie taki zawał, że nawet mucha nie przedostanie się do pozostałej sieci metra. Użycie gazu uznała za kretyński pomysł. Konwencjonalne środki sprawdzą się o wiele lepiej w rozprawie z mutantami.

Przyświecając sobie lampą, szukała po ścianach i stropie optymalnego miejsca do umocowania drugiej części ładunków. Parę osób kręciło się tu i tam, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić. Większość już się wyniosła w stronę Wittenbergplatz lub Ernst-Reuter-Platz. Co najbardziej szurnięci lub pamiętliwi poszli z Matthiasem i tą pyską dziewczuchą. Jak się pośpieszy, już ich więcej nie zobaczy.

I oto chodziło.

Potraktowany przez Matthiasa jak piąte koło u wozu Samir czuł się dotknięty i niepotrzebny. Chciał dobrze. Skoro nikogo nie obchodził, a własny ojciec nim się nie interesował, postanowił raz się na coś przydać, zebrać ważne informacje i wrócić.

Może wtedy zostałyby potraktowany poważnie. Eskapada niestety zakończyła się kompletną klęską. Darwiniści widzieli w nim jedynie syna kalifa, marionetkę do wykorzystania, aż do czasu gdy przywódca muzułmańskiej wspólnoty zostanie obalony. Wiedział to, bo wcale nie kryli przed nim swoich zamiarów. Czuli się pewnie i bezpiecznie. Kiedy został złapany podczas próby ucieczki, skończyły się uśmieszki i poklepywanie po plecach. Może dłużej należało grać rolę młodego adepta ich nauk. Udawać zafascynowanie ich ideami i przytakiwać wszystkiemu.

Oczywiście, łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Plany sekciarzy jawiły mu się jako obłąkańcze, a mutanty napawały obrzydzeniem. Nie widział w nich „destrukcyjnego piękna”, o jakim perorował Duży Karl, tylko samo bezmyślne zło.

A potem, kiedy Hel uciekła i wszystko się posypało, zapanowała panika. To już Samir słyszał od innego więźnia, wrzuconego do celi niedługo przed stalkerami. Podobno przywódcy darwinistów różnili się w poglądach na dalsze działania. Kurdupel uznał, że nic się nie stało, bo i tak była już najwyższa pora zacząć oczyszczać metro. Dla Dużego Karla pośpiech był niewskazany. Jak się szybko okazało, chodziło o coś więcej. Hel już nie wystarczała wylęgania, w jej nowym miejscu pobytu mogło wykluć się do dwustu nowych osobników, i to poza jakimkolwiek nadzorem. Hodowlę w inkubatorze dawało się kontrolować – likwidować osobniki, które nie rokowały nadziei, oraz utrzymywać populację na założonym poziomie trzydziestu sztuk.

Zwiadowcy rozpoczęli poszukiwania, ale wrócili z niczym. Jak się później dowiedział, ekipa wysłana z Hallesches Tor szybciej zlikwidowała zagrożenie.

Sam Matthias wydawał się w porządku, Jasmin i Gruber też, wszyscy oprócz Idun. Botaniczka od początku nie zrobiła na nim dobrego wrażenia. Zdaniem Samira była jakaś taka... oślizgła.

Do magazynku z bronią dostał się zaraz po tym, jak opuściła go Idun. Czego mogła tu szukać? Przecież nie sterty starych karabinów maszynowych.

Pomimo panującego w środku bałaganu jego wzrok przyciągnęło podniesione wieko zielonej skrzyni. Na dnie wciąż wałało się sporo kostek trotylu.

Znał się na tym jak mało kto. W oddziałach kalifa nie brakowało osób mających spore doświadczenie z podobnymi środkami. Samir od małego obracał się w ich towarzystwie. Zawsze chętnie udzielali mu rad i instrukcji. To, co znajdowało się tu wcześniej, wprawiłoby minerów w radosny zachwyty.

Same kostki nie stanowiły zagrożenia. Bez detonatorów nadawały się co najwyżej do rzucania zamiast kamieni, a nie do użycia. Przeszukał półki i skrzynki. Żadnych detonatorów nie znalazł, a musiały tu być.

Samir wymknął się z komórki jeszcze bardziej ciekaw, co porabia botaniczka.

Widział, jak dokonywała oględzin bocznego korytarza. Po chwili gdzieś poszła, ale w każdej chwili mogła wrócić. Idun najwyraźniej kompletnie nie obchodziło, gdzie on się podziewa. Jeżeli ma się wymknąć, to nadeszła odpowiednia chwila.

Ze sterty ochronnych ubrań wyciągnął gumową pelerynę i maskę, wciskając zdobycz do plastikowej reklamówki z napisem Aldi.

W ostatnim momencie przypomniał sobie o Jorgem. Stalker wciąż stał w tym samym miejscu, gdzie ostatnio, czyli w pomieszczeniu więziennym, gapiąc się na ścianę. Był kompletnie bezwolny, gdy Samir poprowadził go do wyjścia.

Nim Idun rozpoczęła podłączanie przewodów do zapalników, oni już dawno rozpułynęli się w mroku.

- Mati, czujesz?
- Niby co?
- Ziemia drży.
- Wydaje ci się, Gruber.

Nic nie drżało, co najwyżej Gruberowi trzęsły się nogi. Solidny chodnik ani drgnął. Im bliżej wylęgarni się znajdowali, tym szli wolniej. Jakoś nikomu nie śpieszyło się do konfrontacji z mutantami. Lepsze życie niż marna śmierć za obietnice i nadzieję. Jeżeli chemik się nie mylił i wszystkie stwory wróciły do matecznika, istniała spora szansa załatwienia ich, w innym przypadku wszelkie starania nie zdadzą się na nic.

Matthias szedł z automatem wycelowanym przed siebie i próbował nie poddawać się zwątpieniu. Co to za szef, który nie potrafi dać przykładu podwładnym. W sensie formalnym to nawet nie byli jego podwładni ani on nie był ich przełożonym czy dowódcą. Nie znał ich, a oni nie znali jego. Obrona przed mutantami wyszła mimochodem. Wiedział, co robić, i nie stracił zimnej krwi. Wystarczyło. Autorytet wykuwa się w boju.

- Dobra, dosyć. - Chemik zatrzymał się wraz z ekipą ciągnącą wózek.
- Do wylęgarni jest jeszcze z pięćdziesiąt metrów - zauważył Matthias.
- Spokojnie. Podciągniemy wąż. Jest go w sam raz. - Maks zaczął dopinać skafander, na twarz założył maskę, a na dłonie rękawice. Reszta poszła za jego przykładem. Matthias próbował nie poddać się irytacji. Jego skromnym zdaniem butlę należało cisnąć do dziury ze stworami i odstrzelić zawór, a potem niech się dzieje, co chce.

Środek był podobno cholernie toksyczny. A skoro poradzi sobie z każdym żywym organizmem, lepiej, jak nie będą mieli tego pojemnika za plecami. Nikt nie wiedział, co się stanie, gdy dojdzie do potyczki z krakenami. Wystarczy, że wąż pęknie pod wpływem ciśnienia lub rozerwie go pocisk bądź potwór. Wtedy to trujące gówno rozleje się po całym korytarzu.

- Maks, podejźmy bliżej.
- Ale...
- Proszę.
- Jak chcesz. - Chemik próbował oszacować odległość dzielącą ich od stalowych drzwi pomieszczenia z generatorem.

Pokonali jeszcze ze dwadzieścia metrów. Łożyska skrzypiały niemiłosiernie. Maks sprawnie podłączył końcówkę przewodu do zaworu. Cichy syk obwieścił obecność gazu w gumowym wężyku.

- Działa.
- Nie sprawdziłeś wcześniej? - zdumiał się Matthias.
- Gdzie to niby miałem zrobić?
- Wybacz, jestem zdenerwowany.
- Na pewno nie tak jak ja. - Na drugim końcu rury tkwił wciśnięty zawczasu metalowy grot prądownicy z odpowiednim spustem. Darwiniści pomyśleli o wszystkim. Można im było wiele zarzucić, jak zbrodnie, szaleństwo i żądze unicestwienia ludzkiego gatunku, ale planowanie i organizację posiadli na wysokim poziomie.

Nie było się czemu dziwić - na ich czele stał tandem mózgowców. Tymczasem dawni intelektualiści, wyższa kadra urzędników lub inżynierów stanowiła po zagładzie nadzwyczajną rzadkość - po prostu to nie elita umysłowa jeździła metrem.

- Gotowi? - zapytał Maks dla formalności. - Zaczynamy.

Wysunął się do przodu, pochylony. Za nim Matthias i Gruber, osłaniający go z obu stron. Reszta pilnowała tyłów i rozwijała wąż ze stelaża. Tylko Jasmin gdzieś się zapodziała, choć akurat w tym przypadku lepiej, że nie było jej na pierwszej linii.

- Maks, proszę cię bądź ostrożny. - Matthias dosunął stopę, przenosząc ciężar ciała na lewą nogę.

Otwarta na oścież furta znajdowała się jakieś dwadzieścia parę metrów przed nimi.

- Niczego nie gwarantuję. - Dłoń chemika wyraźnie drżała na spuście.
- Może się przymkniecie - szept poirytowanego Grubera przypomniał im o konieczności zachowanie bezwzględnej ciszy.

Jak na razie Matthias nie dostrzegał niczego podejrzanego. Ani śladu mutantów, co oczywiście o niczym jeszcze nie przesądzało. Prawdę powiedziawszy, gdy byli tu wcześniej, korytarz wywarł przyjemniejsze wrażenie, pewnie z powodu oświetlenia. Światło zawsze podnosiło go na duchu. Teraz jakby mniej, może z powodu potworów czających się tuż za rogiem. Właściwie to nie za rogiem, tylko w głębi pomieszczenia wylęgarni.

Ostatnie metry pokonał z duszą na ramieniu. Dał znak i grupa się zatrzymała. On jako pierwszy zajrzał do pomieszczenia z generatorem, modląc się, by żadne grube odnóże nie wciągnęło go do wnętrza.

– Mam pryskać?

– Wstrzymaj się jeszcze trochę.

Obejrzał zawiasy, na których ledwo trzymało się stalowe skrzydło drzwi. Były mocno powyginane, co przekreślało nadzieję, że uda się je zatrzaskać. Może te drugie wewnątrz są w lepszym stanie?

Prawie przestał oddychać, gdy dostrzegł macki wylaniające się z generatora. Opanował się z trudem, by nie uciec. Ten stwór był mały i już nikomu nie zagrażał. Musiał zostać stratowany przez starsze rodzeństwo, kiedy próbował się przepchnąć pomiędzy nimi.

Stalker nie odczuł żalu. Jednego bydlaka mniej do eliminacji.

Przed nimi druga furta. W czerwonej poświacie ledwo dawało się dostrzec kontury futryny. Z sali wylęgarni ziało grozą.

– Jesteśmy u celu – powiedział chemik.

– I gdzie te twoje mutanty?

– Dalej, w głębi.

Pół kroku do przodu, przystanek, kolejne pół. Krótki odcinek wydłużał się w nieskończoność, ale nikt nie miał ochoty na niespodzianki.

– Dawaj – Matthias ponaglił chemika.

Maks wystąpił do przodu, niecierpliwie pociągając wąż sunący za nim. Już prawie się zdecydował, gdy ziemia zatrzęsała się im pod nogami.

– Co to było? – Gruber nie krył przerażenia.

Huk i rumor z głębi chodnika były ogłuszające. Matthias czuł, jak jego serce na moment staje. Zrobiło mu się słabo. Co tam się wyprawia? Brzmiało to tak, jakby zawalił się kawał tunelu. Niepewnie zerknął do tyłu, poszukując rozwiązania zagadki, i choć trwało to ułamek sekundy, natychmiast przekonał się, że popełnił błąd. Szaro-brunatne odnóże pojawiło się w otworze prowadzącym do wylęgarni i plasnęło tuż przed nim. Gruber zaczął walić z automatu bez opamiętania. Chemika w pierwszym momencie sparaliżowało, dopiero mocniejsze szturchnięcie zmusiło go do naciśnięcia spustu. Trucizna została rozpylona.

Przez jedno uderzenie serca Matthiasowi wydawało się, że wszystko będzie dobrze, środek zadziała, a im uda się spokojnie wycofać do wyjścia.

Tymczasem zamieszanie za plecami rosło. Jeszcze tego brakowało, by któryś z jego ludzi postrzelił go w plecy. Gorzej, że mutant wił się i sunął ku nim, nie zważając na kropelki osiadające na cielsku.

– Do tyłu! – To najlepsze, co mógł zarządzić.

Rzucili się do ucieczki w tym samym momencie.

I wpadli na Jasmin i Samira z Jorgem na dokładkę, którzy niespodziewanie wyszli z tunelu.

– Miałam rację, nie wierząc tej suce.

– O czym ty mówisz?

– Idun wysadziła tunel. Jesteśmy odcięci!

– Skąd wiesz?

– Samir mi powiedział.

Matthiasa zmroziło. Został wyrolowany jak frajer. I wcale nie pocieszało go, że to już ostatni raz.

Chłopak gorliwie przytaknął. Jego oczy za ochronnymi okularami były okrągłe z przerażenia. Z kolei krzywo założona maska na twarzy Jorgego odsłaniała kawałek brody i policzek.

– Aaaa! – Chemik darł się na całe gardło, lecz jego wrzask w dużej mierze tłumiała maska.

Dalsze wyjaśnienia będą musiały poczekać. Należało się stąd zmywać, tylko gdzie?

Jedynym pozytywnym aspektem całej sytuacji było zablokowanie przez mutanta wyjścia z wylęgarni. Kraken wił się, próbując przebić się na korytarz. Nie było po nim widać oznak agonii. Matthias nawet szczególnie się nie zdziwił. Z wolna zaczynał się przyzwyczajać do niewypałów.

– Mati, co robimy? – Jasmin miotała się po korytarzu.

– Tu jest jeszcze jedno wyjście – wskazał kierunek.

Tliły się w nim wątpliwości, czy korytarz został zawałony na tyle skutecznie, by nie dało się tamtędy przejść. Może to tylko mały zawał, który uda się szybko usunąć? Rozsądek podpowiadał, że Idun niczego nie robi połowicznie. Uratowała życie jemu i Jasmin z czystego wyrachowania. Zawsze dobrze mieć pod ręką frajerów od czarnej roboty.

Czy ktoś w ogóle widział tych całych botaników? Ona sama się tak określiła, opowiadając przy tym, że mała ich grupka wegetuje gdzieś na obrzeżach dworca Zoo, ale do tej pory żaden z jej przyjaciół nie zjawił się, żeby im pomóc. Czy to nie podejrzane? Gdzie w takim razie się kryją? Kolejny wymysł, jak się należało spodziewać.

Mutant w przejściu powoli i systematycznie przebijał się dalej w stronę miejsca, w którym stali. Siekł przy tym odnóżami i dźgał harpunem.

Miecz Jasmin zakreślił w powietrzu łuk i spadł na wyciągniętą mackę. Kolejny raz Matthias żałował, że nie ma tyle odwagi co dziewczyna.

– Maks, co z tym gazem?

– Nie wiem... – Chemik drobił po parę kroków w każdą stronę, jakby nie potrafiąc się zdecydować co do kierunku ucieczki.

Może to jakieś zupełnie nieszkodliwe chemikalia, środki odkażające, cokolwiek, ale nie gaz bojowy. Darwiniści znaleźli butle i napełnili czymkolwiek, co im było potrzebne, a jemu nie przyszła do głowy taka ewentualność. I oto skutki.

Kraken w końcu sforsował przewężenie. Czym prędzej należało odskoczyć parę metrów dalej.

– Gruber, bierz wózek.

– Ja?

– A kto, kurwa, ja?

Już w chwili gdy Mechanik ruszył galopem w stronę porzuconego sprzętu, potrącając przy okazji tych, którzy nie zdążyli ich jeszcze wyminąć, Matthias zdał sobie sprawę z idiotyzmu tego rozkazu. Sięgnął po porzuconą przez chemika prądownicę i skierował ją na mutanta. Aerozol trysnął w stronę zwierzęcia i osiadł na nim, żółtawy płyn spływał po oślizgłym ciele wprost na ranę zadaną przez Jasmin. Stwór ryknął i zaczął drzeć. Z początku nie było to aż tak spektakularne, dopiero po chwili Matthias zorientował się, co się dzieje. Maks nazwał ten niby-gaz paraliżująco-drgawkowym. Mutant przed nim właśnie dostał drgawek, które wstrząsały jego wszystkimi odnóżami.

Gaz zadziałał, może nie od razu, ale w końcu spełnił zadanie. Matthias ponownie nacisnął spust i obserwował skutek, jednocześnie bardzo uważając, by choć jedna kropla nie spadła na ochronny skafander.

– Gruber, patrz! – krzyknął uradowany.

– Co jest? – Mechanik dyszał jak kowalski miech.

– Udało się.

– Naprawdę?

Pytanie było zasadne, gdyż po cielsku konającego stwora laź już następny, na którym R-VX nie robił większego wrażenia. Wynikałoby z tego, że trzeba spryskiwać otwarte rany.

To nie był moment na przemyślenia, ale Maks faktycznie wspominał, że skóra mutantów może słabo absorbować środek. Za to bezpośrednio przeniknięcie do krwiobiegu dawało natychmiastowy rezultat.

Oddał parę strzałów w stronę stwora, który chciał go zezreć. Niestety, rany po kulach najwyraźniej były niewystarczające, zapewne się zasklepiały. Pożałował, że nie ma ze sobą piki czy innego ostrego narzędzia. Sekciarze mieli tego całą stertę. Teraz już wiedział po co. Cwane z nich sukinsyny, ale i tak nie uchroniło ich to przed zagładą.

– Uciekamy!

Gruber próbował posłuchać wezwania, lecz że cofał się tyłem, wywalił się o wąż kłębiący się obok wózka.

– Wstawaj! – Matthias próbował mu pomóc, lecz bał się, że sam zaraz się potknie i zapłacze. Ciężko jednocześnie strzelać i podnosić kogoś. Na szczęście Jasmin i Maks byli w pobliżu. Chemik chwycił Grubera pod ramię, a stalkerka przydeptała gumę, uwalniając spętane nogi Mechanika.

Nastąpił chaotyczny odwrót. Walczyli o przeżycie, a mutanty wciąż napierały. Pojemnik z gazem i wózek pozostały przed wejściem do pomieszczenia z generatorem. Matthias po raz kolejny uzmysłowił sobie, jaki kretyński rozkaz wydał Gruberowi. Gaz działał, ale nic im po nim. Po drabince nie wciągną butli na wyższy poziom. Same dobre chęci tu nie pomogą.

Do ostrzału przyłączyli się pozostali uczestnicy eskapady. Zmasowany ogień broni maszynowej przynajmniej na chwilę powstrzymał napór krakenów, lecz szybko dał o sobie znać niedostatek amunicji. Kolejni strzelcy opróżniali magazynki i biegli na tyły. Drużyna nieubłaganie się cofała. Ile pocisków by nie wystrzelili, wciąż nowe gadziny opuszczały wylęgarnię.

Iglica w automacie uderzyła w pustą komorę. Matthias przerzucił broń przez plecy i sięgnął po granat. Dał znak, by pozostali rzucili się do ucieczki. Nie namyślając się wiele, cisnął jajowatą skorupę w największe kłębowisko bestii.

Głuche echo uderzyło w nich jak obuchem. Odłamki raziły z morderczą skutecznością, zwłaszcza że w kilku miejscach przecięły też wąż. Pokaleczone krakeny, charcząc, konały w konwulsjach.

Przy studni wiodącej na kolejny poziom powstał zator. Panika skutecznie dezorganizowała ewakuację. Kilku ochotników jeden przez drugiego próbowało przedostać się na górę po śliskich kłamrach. Dłonie trzymały szczeble, ale nogi majtały w powietrzu.

Matthias ściągnął jednego i przywalił mu pięścią w pysk, drugiego kopnął w tyłek i odrzucił na bok.

– Spokój! – wrzasnął na pozostałych i wskazał. – Ty i ty. Ruchy!

Obejrzał się za siebie. Niecałe czterdzieści metrów od najbliższego mutanta to zbyt mały margines bezpieczeństwa, na dodatek Jorge pozostał w tyle, wyraźnie ślaniając się na nogach.

W desperackim odruchu Matthias pobiegł z powrotem. Chwycił stalkera za skafander i ustawił do pionu.

– Co z tobą?

– Nie mogę złapać tchu.

Pierwsze zdanie od wielu godzin! Najwyraźniej przyjaciel odzyskiwał kontakt z rzeczywistością. Matthiasowi kamień spadł z serca. Nie wszystko stracone.

– Ruszaj się, bo zostaniesz tu na zawsze.

Popędzili w stronę studni. Mutanty zbliżały się nazbyt szybko, prawie deptały im po piętach. Korek trochę się rozładował. Jasmin właśnie zwinnie pięła się do góry. Pozostał tylko Gruber i oni.

- Dawaj.

Mechanikowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Mimo sporej wagi pomykał do góry, aż furczało.

- Teraz ty.

- Ja poczekam.

- Idziemy – nie ustępował Matthias. Siłą zmusił Jorgego do wspięcia się na pierwszą kłamrę. – No, dalej.

Jakiś głowonóg wyminął pozostałe, ni to pełznąc, ni to się czołgając. Robił to tak szybko, że już był tylko o parę metrów od nich.

Matthias podskoczył i od razu uchwycił kłamrę wbitą ze dwa metry nad posadzką. Błyskawicznie podciągnął się wyżej. Wolną ręką złapał Jorgego i zaczął się wspinać. Szło to nad wyraz opornie.

- Boli.

- Przestań narzekać.

- W płucach mnie boli.

Matthias przesunął się nieco wyżej niż on i przestał ciągnąć.

- Jorge, proszę, nie rób mi tego.

- Odpocznę.

- U góry, to niedaleko.

Trudno powiedzieć, na ile przekonał Jorgego, ale ten zmobilizował się i podciągnęli się o kolejny kawałek. Wszystko wskazywało na to, że jednak się uda – do czasu, kiedy kraken nie wyrzucił w ich kierunku jednego z dwóch dłuższych odnóży. Harpun przebił ciało Jorgego i wyszedł tuż pod mostkiem. Na jedną sekundę ich spojrzenia splotły się ze sobą.

- Wybacz.

Ciało oderwało się od ściany i poleciało w dół. Matthiasa ogarnęły jednocześnie bezbrzeżny żal i wściekłość, rezygnacja i żądza mordy. Chciał skoczyć na łeb tej pokrace i powyrywać jej macki gołymi rękami.

- Mati, szybciej – głos Jasmin wyrwał go z otchłani.

Popatrzył do góry. Stalkerka wyciągała do niego ręce. Jej błagalny wzrok sprawił, że zaczął logicznie myśleć.

Jeżeli pozwoli się zabić, niczego nie osiągnie, a wszystkie dotychczasowe starania i ofiary pójdą na marne. Jasmin i Gruber nie poradzą sobie z unicestwieniem mutantów. Jorge, od kiedy wpakował się w diabelskie zielsko, i tak był na wpół martwy. To była jedynie kwestia czasu, kiedy pożegnają się z nim na zawsze. Największe rozczarowanie to oczywiście Idun. Ukatrupi ją przy najbliższej okazji, absolutnie nie dając dojść do słowa. Po co mu wyjaśnienia? Jej wykręty jak zwykle sprowadzą się do mieszanki prawdy, półprawdy i ordynarnego kłamstwa.

Szybko pokonał ostatnie metry drabinki.

Należało jak najprędzej wyprowadzić stąd wszystkich ludzi. Do wyjścia nie było daleko.

- Poprowadzisz ich do oranżerii, ja tu jeszcze chwilę zabawię – rzucił do Grubera.

- Mati...

- Czego chcesz?

- Zapomniałeś?

- O czym?

- Wejście...

- Co z nim? – Dialog z Gruberem przedłużał się, a on nie lubił takich gier.

- Wrzuciliśmy do środka motocykl, nie pamiętasz?

Dławiący strach ścisnął Matthiasa za gardło. Zapomniał o tym na śmierć. A jaki był wówczas zadowolony. Ha, mutanty tędy nie wyjdą! Tyle że oni też nie. Och, Jorge...

Roztrącił najbliższych stojących i ruszył pędem w głąb chodnika. Słyszał za sobą tupot butów i nawoływania, lecz się nie zatrzymywał. Do skrótu było niecałe sto metrów.

Znalazł boczne odgałęzienie i niemal na ślepo rzucił się przed siebie.

Taka galopada nie była rozsądna. Któryś z mutantów mógł zapuścić się aż tutaj i czaić parę metrów przed nim. Trochę zwolnił. Już nie biegł, tylko maszerował długimi, posuwistymi krokami. W końcu dostrzegł kilka dziwnie ułożonych ciał na ziemi i okrągłą dziurę w stropie nad nimi.

Ominawszy trupy, stanął pod otworem i poświecił prosto w górę. Motocykl tkwił w zejściówce tuż nad nim, dokładnie tak, jak Matthias do niedawna chciał.

Powierzchnia znajdowała się tak blisko i tak daleko jednocześnie.

- A nie mówiłem - sapanie Grubera dobiegło z korytarza.

- Czyj był to pomysł?

- Eee...

- Dobra, dobra.

Pomysł z zablokowaniem studni był doskonały, szkoda tylko, że obrócił się przeciwko nim.

Rozdział XIX

Między piekłem a niebem

Zwątpienie to ostatnie uczucie, na które mógł sobie teraz pozwolić. Do spenetrowania pozostało ostatnie odgałęzienie – to, którym przyszła Idun. To ich ostatnia szansa, kolejnej nie dostaną.

Tym razem na rozwidleniu skręcił w lewo. Ta przelotówka nie mogła być dłuższa od tej, którą szli poprzednim razem. Tak jak się spodziewał, dotarli do korytarza łączącego się ze studnią.

Ponownie skręt w lewo. Mutanty pewnie już pięły się w górę po stalowych klamrach.

– Wiesz, dokąd idziemy? – Jasmin zrównała z nim krok.

– Lepiej pilnuj Samira.

– Sam się pilnuje – odparła. – Zadałam pytanie.

– Pojęcia nie mam.

– Mnie też szkoda Jorgego, więc nie wyzywaj się na wszystkich jak leci.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Naprawdę? – Jej głos pozostawał spokojny.

– Musisz mnie tak wkurzać?

– Ja ciebie?

– Od samego początku jeździsz po mnie jak po łysej kobyle. Mati to, Mati tamto. Kiedy próbuję być miły, jesteś niezadowolona. Kiedy milczę, przyłazisz i udajesz kumpla. Pojęcia nie mam, o co ci chodzi. Jak się stąd wydostaniemy i odstawimy Samira, dam ci spokój i nasze drogi się rozejdą, nie martw się.

– A ty? – zapytała niespodziewanie. – Mam wrażenie, że...

Matthias poczekał, aż dokończy.

– ...dobrana z nas para.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Zjeżył się jeszcze bardziej. Też sobie znalazła czas na kolejne gierki.

– Jeszcze nie zrozumiałaś?

Przyjrzał się jej, gdy go wyprzedziła przed chwilą. Kolejna mistrzyni półsłówek i niedopowiedzeń. Wysyłała tyle sprzecznych sygnałów, że oszaleć można.

Zastanawianie się nad jej słowami przypominało rozwiązywanie łamigłówek w obcym języku i z zawiązanymi oczami. Niech idzie w cholerę. To kolejna znajomość, która nie doprowadzi go do niczego dobrego.

Korytarz zaczął się wznosić, i to pod dosyć ostrym kątem, co znaczyło, że szybko zbliżali się do powierzchni. Z każdym kolejnym krokiem odżywała w nim nadzieja.

Skinął na Grubera, by podszedł bliżej.

– Ile masz amunicji?

– Najwyżej pół magazynka.

– Mało.

– Wiem, że mało – odparł Mechanik. – Mam jeszcze to.

Wydobył zza paska wielgachny tasak. Z jednej strony ostrze gładkie, z drugiej ząbkowane. W sam raz do cięcia i rżnięcia.

– Znajdziesz się na tyle blisko, by razić tym krakena?

– Jasmin się udało.

– Ona ma wprawę. Wywija tym ostrzem chyba od urodzenia.

– Nie jestem sam, chłopaki też coś tam ze sobą pozabierali.

– Z chłopakami to oni niewiele mają wspólnego – powiedział Matthias, acz bardzo cicho.

Średnia wieku członków ekspedycji przekraczała czterdzieści lat, a mimo to ci sterani życiem ludzie potrafili wykrzesać z siebie energię do walki z mutantami. Nie zastąpią tropicieli Rolfa czy żołnierzy Augusta, lecz ich doświadczenie mogło jeszcze

okazać się bezcenne, o ile pożyją dostatecznie długo.

Tym razem obyło się bez mozolnej wspinaczki. Wyjście na powierzchnię znajdowało się najwyżej trzy i pół metra ponad nimi. Tak to przynajmniej wyglądało, bo wylotu kanału broniła pancerna płyta.

– Cholera. – Gruber splunął pod nogi i zabrał się do oględzin. Reszta czekała w milczeniu. To ich ostatnia szansa, by opuścić korytarz w jednym kawałku.

– Podsadzić cię?

– Obejdzie się. – Mechanik powolutku zaczął pokonywać odległość dzielącą go od klapy.

– Pośpiesz się.

– Robię, co mogę.

Matthias najchętniej by się z nim zamienił, ale nie chciał wprowadzać dodatkowego zamieszania.

– Poświećcie.

Promienie wszystkich latarek skupiły się w jednym punkcie.

– Może spróbujesz podważyć? – poradził Matthias.

– Może. – Gruber spróbował unieść klapę dłonią. Naprężył się i trochę poszło. – Ciężko idzie.

– To barkiem.

Mechanik wygiął się w pałąk, przystępując do szturm. Stękał i sapał, a wąż powoli poddawał się naciskowi.

– Jeszcze trochę.

Matthias, nie mogąc dłużej zdzierżyć bezczynności, wspiął się na pierwszy szczebel, a później na kolejne, by choć przyjrzeć się problemowi z bliska.

Metrowej szerokości wyjście zamknięte było dwuskrzydłową pokrywą, której ryflowana powierzchnia mocno zardzewiała. Resztki szarej farby trzymały się tylko w paru miejscach.

Stanął obok Grubera i palcem dotknął zawiasów. Na rękawicy pozostał ślad smaru. Widok tłustej plamy dodał mu otuchy. Skoro darwiniści zadali sobie trud konserwacji tego wjazdu, to w czym problem?

– Spróbujemy razem.

– Dobra.

Z trudem zmieściwszy się razem na tym samym stopniu, zaparli się nogami i zaczęli pchać. Z początku szło ciężko. Udało się podważyć wąż na centymetr, potem na dwa, lecz gdy już byli pewni sukcesu, coś z góry docisnęło wieko z ogromną siłą.

– Zamknęli to z zewnątrz sztabą albo czymś takim – wyjęczał Gruber.

– Myślisz?

– A jakże.

– Spróbujemy jeszcze raz.

– Po jaką...

– Mutanty wkrótce odgryzą ci dupę, więc przestań jęczeć.

Wyteżyli wszystkie siły i... tym razem opór okazał się znikomy. Jedno skrzydło klapy uniosło się i odleciało na bok z koszmarnym łomotem.

– Mówiłem, że się uda. – Matthias uradowany zaczął przygotowywać się do wyjścia. Pozostało odrzucić drugą część wjazdu, wtedy łatwiej im będzie wyjść z podziemi.

Plan dalszych działań jawił mu się jako tyleż prosty, co genialny: nic nie stało na przeszkodzie przywalić klapę czymś ciężkim i pozostawić krakeny własnemu losowi. Z jednej strony zawał, a z drugiej zablokowane wyjście. Idealnie, można powiedzieć.

Dyszał tak ciężko, że postanowił przesunąć maskę przeciwgazową na czoło i choć raz zaczerpnąć świeżego, lekko promieniotwórczego powietrza. Gazu już się nie bał, a problem mutantów również zniknie niedługo raz na zawsze.

Pierwsze, co zaniepokoiło Matthiasa, to straszliwy smród, od którego wypalało nozdrza i wzbierało na wymioty. Drugie to paszcza z co najmniej trzema rządami

ostrzych zębisk.

Kłapy nie udawało się podnieść, gdyż stał na niej długi na jakieś osiem metrów prehistoryczny jaszczur. Na skutek naporu kłapy gad pewnie przesunął się nieco, a teraz wpatrywał się zaintrygowany w człowieka.

Obustronne zaciekawienie trwało najwyżej ułamek sekundy. Krokodyl rzucił się do przodu, rozwierając szczęki, a Matthias poleciał na Grubera. Mechanik dostrzegł ruch, lecz nie znał jego przyczyny. Na szczęście instynkt samozachowawczy kazał mu puścić szczeble, nim gigant wraził pysk do otworu.

Ludzie stojący pod drabinką rozpierzchli się na wszystkie strony. Obolały Matthias leżał na plecach na zimnym betonie i obserwował z przerażeniem, jak bestia próbuje wcisnąć się do wnętrza. Paszcza potwora zaklinowała się w otwartym tylko do połowy otworze wejściowym, inaczej zębate monstrum spadłoby uciekinierom na głowy. Na szczęście mózg gądziny nie urósł tak jak reszta cielska, więc nie próbowała ona podważyć drugiego skrzydła pokrywy.

– Co to jest? – Samir, ujrawszy zielone cielsko, nie potrafił ukryć zdumienia.

– Uciekaj! – Matthias z trudem wycofał się poza otwór studni.

Krokodyl tymczasem gwałtownie zarzucał głową, by ją uwolnić i zapewne powiększyć dziurę w ziemi. Kiedy druga część włazu zostanie odrzucona, nic nie powstrzyma tej maskary przed przedostaniem się na niższą kondygnację.

Jednak uciec też nie było gdzie. Krakeny im nie odpuszczają.

Mechanik z automatem wymierzonym w szkaradę starał się oddać skuteczny strzał. Pozostało w nim na tyle zdrowego rozsądku, że nie próbował siać seriami, tylko ustawił przełącznik na ogień pojedynczy. W ciasnym pomieszczeniu każde naciśnięcie spustu powodowało swędzenie bębenków w uszach. Po piątym strzale gad w końcu wycofał się poza zasięg broni Grubera.

– Jasmin, daj mi swój miecz! – Stalker krzyknął do dziewczyny.

– Nie.

– Proszę.

– Powiedziałam wyraźnie.

– Pójdę przodem.

– I co zrobisz?

– Walnę go w pysk.

– Masz swój tasak.

– Miecz dłuższy.

– To weź maczetę Maksa.

Może to i racja. Chemik nie nadawał się do bezpośredniego starcia. To naukowiec, a nie zabójca.

Każdy z ochotników powyciągał, co tam miał przygotowane. Maks nie upierał się tak jak Jasmin i oddał swoją broń bez oporu. Gruber zebrał resztkę amunicji. Było tego na pełny magazynek.

– Wszyscy gotowi?

Niewyraźny pomruk odbił się od ścian studni. Matthias zezował na trzymany w dłoniach kawał żelastwa. Człowieka rozplatałby tym na dwoje, ale z tym gadem sprawa wyglądała gorzej. Nim weźmie zamach, straci nogę albo i obie. Nie był też przekonany, że stal pokona pancerz tego ścierwa. Jedyna szansa to odpędzić je jak najdalej i gdzieś uciec.

Czyżby darwiniści celowo wybudowali zejście przy basenie z krokodylami, czy też zwierzak przywędrował tu sam?

Matthias spiął się w sobie przygotowany do działania. Odetchnął głębiej i zaczął się wspinać. Ktoś musiał dać przykład. Jasmin poszła jako druga. Już chciał ją opieprzyć, że pcha się nie tam, gdzie trzeba, lecz zrezygnował. Chyba lepiej mieć przy sobie kogoś, kto nie zawiedzie.

Kłapa znalazła się na wyciągnięcie ręki. Na razie nie próbował odrzucić na bok drugiej połówki. Jeżeli to bydlę kryje się w pobliżu, to może zaatakować i wpaść

przez szyb na stojących pod drabinką, a wtedy wiadomo – masakra. Najlepiej powoli i ostrożnie się wysunąć.

Najpierw ręka z maczetą czy głowa? Nie chciał stracić ani jednego, ani drugiego. Skoro jednak musiał wybierać, uznał, że bez ręki dłużej pociągnie.

Pełen obaw wysunął ostrze ponad obramowanie. Na razie nic się nie stało. Wspiął się szczebel wyżej, gotów w każdym momencie na skok z powrotem na sam dół, choć to również nie była miła perspektywa. Pod nim było aż gęsto od sterczących w górę noży, pik, tasaków i wideł o długich styliskach.

Wystawił głowę na wstrzymanym oddechu. Znalazł się na dnie jakiegoś zbiornika. Tak to przynajmniej wyglądało z jego perspektywy. Pawilon stanowił schronienie dla zwierząt wodnych bądź wodno-łądowych. Krokodyl pasował tu idealnie.

Gwałtownie rozglądał się we wszystkich kierunkach, obawiając się pozostałych mieszkańców tego cudownego przybytku.

– Dawać tu Grubera. – Matthias szybko się zreflektował, że wymachiwanie maczetą nie jest najlepszym pomysłem. Potrzebny będzie karabin. Strzały przynajmniej utrzymają drapieżnika na dystans.

Kiedy już automat znalazł się w jego ręku, stalker wyskoczył ze studni i dał znać pozostałym, że mogą wychodzić. Najgorzej, że zarośla drastycznie ograniczały pole widzenia. Chociaż klimat od dnia zagłady dalece odbiegał od tropików, zmutowana roślinność w tym pawilonie rosła jak w sercu dżungli. Agresywne pędy poprzebijały ściany i wydostały się na zewnątrz. Nikt, kto widział to miejsce dwadzieścia lat temu, nie poznałby go teraz.

Wkrótce pięciu ochotników otaczało pierścieniem właz. Należało zastanowić się, jak dojść do wyjścia. Maszerowanie na przełaj przez zbity, zielony gąszcz nikomu się raczej nie uśmiechało.

Wtem ucho Matthiasa wyłowiło spośród szmerów odgłos łamanych gałązek. Potwór wypadł na nich z boku. Zrobił to tak błyskawicznie, że czas na reakcję ograniczył się do mrugnięcia okiem. Bydlę pochwyciło jednego z ludzi, zaciskając paszczę na jego udzie i zaczęło szarpać na prawo i lewo.

Holt stał najwyżej cztery metry od nieszczęśnika i nic nie mógł zrobić. Próbował wycelować, lecz przed lufą co rusz pojawiał się korpus mężczyzny ciskanego z ogromną siłą.

Jasmin doskoczyła do krokodyla, siekąc kataną. Lśniące ostrze odbiło się od grzbietu gada, nie czyniąc mu szkody.

Ktoś potrafił Matthiasa, próbując tego samego, lecz z przeciwnej strony. W końcu i on się zdecydował. Wystrzelił, będąc pewnym trafienia. Nie celował w łeb, uznawszy, że to bez sensu. Małego mózgu chronionego przez grube kości czaszki i tak nie dosięgnie. Wypalił zatem w brzuch. Efekt zerowy. Potwór dalej miażdżył udo ofiary. Po kilkunastu sekundach gad, machnąwszy głową, rozwarł paszczę i cisnął człowieka w stronę zarośli jak szmatę.

Mutant miał dłuższe łapy niż zwykły krokodyl czy jakiś aligator, ale równie silne, więc poruszał się z zadziwiającą prędkością. Obrócił się o parę stopni w lewo i machnięciem ogona podciął faceta biorącego zamach siekierą. Ledwo ten zwałił się na ziemię, drapieżnik już zacisnął szczęki na jego głowie, momentalnie oddzielając ją od tułowia. Z szyi chlusnęła fontanna krwi.

Matthias oddał kolejny strzał w słabiej chronione podbrzusze. W zdenerwowaniu jednak chybił. Chciał poprawić, nie zdążył. Bestia zbiła z nóg kolejnego człowieka i pazurami rozpruła jego ciało od mostka po pachwinę. Różowoszary kłęb jelit wypląnął z brzucha.

To od początku nie był równy pojedynek, tylko krwawa jatka. Gad robił z nimi, co chciał. Wszelkie wysiłki unicestwiał w zarodku, sam nie doznając najmniejszego uszczerbku.

Matthias odskoczył do tyłu, starając się zyskać jak największe pole manewru. Klęknął i złożył się do strzału. Trafił gada w okolicach podgardla, ale podobnie jak

wcześniej rana tylko go rozjuszyła.

Samir. Gdzie jest Samir?

Nigdzie nie dostrzegał chłopaka. Przysunął się bliżej otworu w ziemi. Syn kalifa tkwił tuż przy wyjściu, lecz nie potrafił zdobyć się na ostateczny krok.

Matthias wykorzystał okazję, drapieznik właśnie atakował kolejnego ochotnika, i jednym szarpnięciem wyciągnął Samira z dziury.

– Stań za mną. – Odepchnął chłopaka do tyłu i wystrzelił. Kula zrykoszetowała na betonie i wbiła się nieco od spodu w brzuch krokodyla.

Ból w końcu dotarł do mózgu. Gad znieruchomiał i zwrócił łeb w ich stronę. Matthias domyślał się, że stwór świetnie pływa, a teraz miał zobaczyć, że równie dobrze biega. Nic nie mogło powstrzymać szarży mutanta. Prawie frunął nad ziemią, rozbryzgując błoto z kałuż.

Pierwsze, co przyszło zwiadowcy do głowy, to obrócić się na pięcie i wiać, gdzie oczy poniosą. Ten wariant miał niestety jedną podstawową wadę – przeciwnik był od niego o wiele szybszy. Pozostawała druga możliwość: walka – przy czym szanse i w tym przypadku równały się zeru.

Pomysły jeden za drugim przelatywały przez głowę, a on nie potrafił zdobyć się na decyzję. Najprostsze to zacząć strzelać.

Nacisnął spust, co skłoniło nadciągającego potwora do zmiany kierunku. Teraz znalazł się bardziej na prawo od niego, jakby chciał go zająć z boku. W ogólnym położeniu i tak niewiele to zmieniało. Zyskał sekundę, może dwie.

Nie chciał umierać, zwłaszcza w ten sposób. Był jeszcze młody. Wiele życia przed nim. Szkoda, naprawdę szkoda.

Już właściwie pogodził się z przeznaczeniem, gdy widok głowonoga wydostającego się z podziemi sprawił, że poczuł dreszcz podniecenia. Studzienka znajdowała się niemal dokładnie na trasie krokodyla. Falujące w powietrzu odnóże krakena, który mozolnie pokonywał kolejne szczeble drabiny, zdezorientowało drapieznika. Gad zatrzymał się, pochwyił je w zęby i zaczął ciągnąć do tyłu. Skutek był taki, że wyciągnął całe oślizgłe cielsko na powierzchnię.

Kraken i krokodyl zwarli się w morderczym uścisku. W przeciwieństwie do człowieka głowonóg nie ustępował gadowi siłą czy zaciętrzewieniem. Kilka par macek od razu owinęło się dookoła długiego cielska, a odnóża z harpunami bodły rogowe płyty gadziny. Monstra zaczęły wierzgać we wszystkich kierunkach, na co ludzie rozpierzchli się, ratując życie.

– Mati, tutaj! – Jasmin wołała do niego i machała ręką, Ocaleni skupiali się wkoło niej. Matthias upadł, lecz nie próbował wstawać, tylko czym prędzej odepchnął się stopami i na czworakach wycofał się do tyłu poza zasięg walczących stworów.

Po raz pierwszy widok krakena nie był dla niego przykry. Można powiedzieć, że mutant przyjął na siebie wściekłość gada.

Teraz, gdy obie maskary próbowały wzajemnie się pozabijać, należało to wykorzystać. Kolejna okazja mogła się nie zdarzyć. Już i tak los był dla nich łaskawy.

Dobiegł do pozostałych, pchając przed sobą Samira. Jasmin, Gruber, chemik i jeszcze dwóch ochotników już czekali. Aż dziwne, że zostało ich aż tyłu.

– Za mną – zakomenderowała Jasmin.

Nikt nie próbował dyskutować z dziewczyną, gdy zaczęła się przebijać w stronę, gdzie spodziewali się wyjścia. Matthiasowi nie pozostało nic innego, jak osłaniać tyły.

Miecz siekł teraz roślinny gąszcz, zupełnie jakby maszerowali przez dżunglę. Oby tylko w pobliżu nie czaił się kolejny krokodyl. Nogi zapadały się w grząskiej glebie, która z irytującym mlaskaniem przytrzymywała ich buty przy każdym kroku.

Po konarze zwisającym tuż przed ich głowami przebiegł pająk wielkości dwóch pięści dorosłego mężczyzny. Jaskrawoczerwony odwłok zdradzał go, czy raczej ostrzegał innych?

W chwili gdy Matthias dostrzegł stawonoga, ten spadł z gałęzi na kark ochotnika

podążającego przed stalkerem.

Mężczyzna zachwiał się jak po wypiciu co najmniej pół lita samogonu i padł jak długi na ścieżkę.

– Gruber, Maks. – Bez odpowiedniego sprzętu wołał nie ryzykować kolejnej konfrontacji. W magazynku pozostało jeszcze parę pocisków, lecz nie włada kuli w poczware, bo narobi jeszcze większych szkód. Widział, jak pajak zatopił w szyi człowieka przezroczystą kłujkę grubości palca i począł ssać krew.

W odruchu desperacji chciał wskoczyć leżącemu na plecy i rozgnieść paskudę obcasem, ale uprzedził go Gruber. Jego tasak zatoczył łuk i omal nie odciął pajęczakowi odnóży. Ten jednak okazał się szybszy, niż ktokolwiek mógł przypuszczać, i wskoczył na ostrze, nie pozwalając się przepołować. Wydawało się, że zaraz przejdzie po ostrzu i wejdzie Gruberowi na dłoń.

Jasmin, która zawróciła, próbowała szybkim wymachem samurajskiego miecza strącić krwiopijcę na ziemię i porąbać na kawałki, lecz poślizgnęła się i z impetem upadła na tyłek.

– Mati, zabierz go! – ryknął Mechanik, odrzucając tasak od siebie.

W kółko tylko: „Mati, pomóż!”, „Mati, zabierz!”, „Mati, ratuj!”. Był zwykłym stalkerem, wcale nie najlepszym, a z pewnością nie cudotwórcą.

Zanim pajak się obrócił, Holt zdążył złapać za lufę, wziąć zamach i uderzyć karabinem jak maczugą. Ośmionoga pijawka poleciała w krzaki.

Poszkodowany dźwignął się na kolana z pomocą Grubera. Matthias odetchnął z ulgą.

– Co się stało? – Z powodu maski na twarzy ledwie można było go zrozumieć.

– Pajak spadł ci na głowę – wyjaśniła Jasmin.

– Mnie?

– A tobie. Wszystko gra?

– Ja nabadzie – zdążył powiedzieć, nim bezwładnie padł u ich stóp.

– Bierzcie go, musimy stąd wyrwać – rzucił Matthias, patrząc wstecz na wściekle walczące potwory. Na razie żaden nie uzyskał wyraźnej przewagi.

– On już nie żyje. – Jasmin wystarczył jeden rzut oka.

– Skąd wiesz? – nie dowierzał stalker. – Przecież nie sprawdziłaś.

– Z czerwonymi pajakami nie ma żartów. Już widziałam, co robią z człowiekiem. Zdjęła zmarłemu maskę z twarzy, która aż po szyję cała nabiegła krwią i traciła kontury, jakby zaczęła się rozpląwać. Maks zgiał się wpół i zwymiotował.

– To już tu kiedyś byłaś? – zapytał zdziwiony Gruber.

– Nie tutaj, ośle – zeżliła się dziewczyna. – To cholerne robactwo porozłaziło się po całym Berlinie. Widziałam je niedaleko ogrodu botanicznego i w pobliżu Jannowitzbrücke.

– A co ty tam robiłaś? – zapytał kpiąco.

Pytanie tylko z pozoru było niewinne. Matthias wiedział, że Mechanik stąpa po cienkim lodzie. Na stacji przesiadkowej U8 z S3 zorganizowano jeden z największych w mieście wyszynków połączony z burdelem. Każdy mógł przepuścić dowolnie wielki majątek, bawiąc się do upadłego. Żadna rozrywka nie była zbyt perwersyjna, jeśli tylko klient był wypłacalny. Jeszcze nie zdarzyło się, by Syndykat sprawujący nad dworcem kontrolę nie sprostął oczekiwaniom.

– Nie twoja sprawa.

– Ja wiem, że nie moja, ale jestem ciekaw. – Gruber drażył temat.

Zanim mrugnął okiem, ostrze katany oparło się na jego gardle.

– Jeszcze słowo, a nawet nie zdążysz go pożałować.

– Nerwowa jesteś – szepnął, próbując nie przełykać śliny.

– Bynajmniej, inaczej już byś nie żył. Wara ode mnie, zrozumiałeś?

Napięcie zelżało, choć tylko na chwilę.

– Słyszycie? – zapytał Matthias.

Kotłowanina pomiędzy potworami ucichła. Gdy oni zajmowali się czerwonym

krwiopijcą, jeden mutant załatwił drugiego. Matthiasowi było kompletnie obojętne, który okazał się zwycięzcą. Czy to nie wszystko jedno, czy zostanie się pożartym przez krakena, czy przez megakrokodyla?

Ocknął się z letargu, w który zaczynał popadać. Dobrze wiedział, że nigdy się nie podda, to nie było w jego stylu. Miewał słabsze okresy, ale szybko mijały.

Popędził ocalałych, pognali w stronę, gdzie gęszcz nieco rzędł. Tu naprawdę trudno było się zorientować, czy wciąż są w pawilonie, czy już poza nim. Strach przed tym, co ich czeka, dodawał sił. W końcu przebili się przez spróchniały płótek. Przyjemnie było po tych wszystkich przygodach stanąć w strugach radioaktywnego deszczu. Sunące nad nimi ołowiane chmury cieszyły jak nigdy wcześniej.

Nie dane im było jednak upajać się tymi cudami. Rozległ się znajomy skrzek, co oznaczało, że to kraken wyszedł zwycięsko z pojedynku. Darwinistom udało się wyhodować wyjątkowo odporny gatunek. Jak by nie patrzeć, mutanty wydawały się niezniszczalne. W innych okolicznościach budziłoby to podziw.

Zatrzymali się na szerokiej parkowej alei. Właściwie to pierwszy przystanął Matthias, starając się dojrzeć mutanta. Kiedy wreszcie ten wyłonił się ze zrujnowanego pawilonu, wyglądał raczej żałośnie.

Który to już z kolei? A kto by je potrafił zliczyć. Jak do tej pory spotkali jednego wielkiego i całą masę pomniejszych upierdliwców. Ten był... może piętnasty? Raczej mały, o ile małym można nazwać stworza potrafiącego poradzić sobie z przerośniętym krokodylem. Tylko jedno nie ulegało wątpliwości – w walce odniósł poważne rany i chyba jedynie dzięki temu nie siedział im jeszcze na karkach.

Mimo obrażeń i tak wydawał się śmiertelnie groźny. Jednym machnięciem macki zmiecie każdego, kto podejdzie bliżej.

– I co, Jasmin? Masz jakiś pomysł, jak go wykończyć? – zapytał dziewczyny stojącej w pobliżu.

– Wiem jedno, nie możemy tak tego zostawić.

– Nie bardzo rozumiem.

– Ile ich jest...

– Mutantów? – Wzruszył ramionami. – Pojęcia nie mam. Dużo.

– Jak nie zamkniemy klapy w pawilonie, wkrótce Berlin zrobi się paskudnym miejscem. Nikt nie opuści stacji, bo wszędzie pełno będzie tych...

– Powiedz lepiej, że chcesz je wszystkie wykończyć.

– Nazwij to, jak ci się podoba, ale musimy to zrobić.

– Nie uważasz, że to przekracza nasze możliwości? Rozejrzyj się i powiedz, co widzisz. Paru zmęczonych facetów i chłopca. Nie mamy broni ani cysterny z paliwem. Jesteśmy bez szans. Powtórzę to jeszcze raz: bez szans. Nikt z nas nie wie, ile ich jeszcze wylezie z podziemi. Może jeden, a może dwadzieścia.

– Moim zdaniem nie więcej niż pięć – odezwał się Samir.

– Ciebie nikt nie pytał o zdanie.

– Dlaczego każesz mu się zamknąć? Niech mówi.

– Właśnie – Gruber zawtórował Jasmin.

– Próbowałem je liczyć, bo darwińscy trzymali populację na stałym poziomie trzydziestu sztuk.

– Skąd o tym wiesz?

– Duży Karl mi powiedział, jak jeszcze udawali, że jestem im do czegoś potrzebny.

– Nawet jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, to jeszcze nie oznacza, że Karl nie próbował wprowadzić cię w błąd.

– Wylęgarnia jest spora, ale nie aż tak. – Samir starł wodę z osłony maski. – Byłem tam kiedyś, zresztą strażnicy lubili sobie pogadać. Więźniów nie traktowali jak ludzi, raczej jak ludzkie odpady. Chełpili się sukcesami, gdy brali nas do brudnej roboty. Można się było od nich sporo dowiedzieć.

– A ty sobie oczywiście policzyłeś wszystkie sztuki co do jednej...

– Mogę się mylić.

- Powiem więcej: na pewno się mylisz.
- One niedługo zaczną się rozmnażać – wtrącił Maks.
- Kolejny specjalista od mutantów.
- Duży Karl uważał, że Hel uciekła właśnie z tego powodu.
- O, w mordę.
- Wiesz, co to oznacza.
- Pełno małych wrednych sukinsynów wszędzie, gdzie nie spojrzysz.
- W pierwszym rzucie jakieś dwieście jaj. Z nich wylęgnie...
- Powoli, bo nie nadążam. – Matthias powstrzymał słowotok Samira. – Dwieście w ogóle?
- Dwieście na jednego dorosłego osobnika. Takich darwiniści trzymali osiem, może dziewięć, reszta maluchy.
- Ładne mi... fuck.
- Kilka sporych sztuk załatwiliśmy, acz nie wszystkie – zauważył Maks. – Problem w tym, że nie wiemy, które są zdolne do rozmnażania, a które nie. Które to osobniki męskie, a które...
- Proszę cię, Maks, zamknij jadaczkę.
- Z każdego osobnika dwieście sztuk młodych. Przerażająca perspektywa. A jak z podziemi wyrwą się dwa, to już czterysta. Matematyka to cudowna nauka, ale w tym przypadku działała przeciwko nim.
- Wystarczy, że choćby jedna mała gadzina pozostanie przy życiu. Jakoś nie potrafił wyobrazić sobie Berlina pełnego tych stworów. Nic nie przetrwa takiej inwazji.
- Dobrze, przekonaliście mnie. – Matthias popatrzył na trzymany w ręku karabin.
- Jakież sugestie?
- Ja mam jedną. – Gruber machnął tasakiem. – Dajcie mi dziesięć minut.

Fuchs stał zaparkowany w tym samym miejscu, gdzie go zostawili. Silnik zaskoczył przy pierwszej próbie i mruczał niczym zbudzona ze snu bestia. Siedząc zamknięty w pancernym pudle, Matthias nie bał się niczego. Z wielotonową maszyną nie poradzi sobie ani mutant, ani tym bardziej krokodyl. Dla utorowania sobie drogi przez miasto wystarczy zamontować karabin maszynowy w obrotnicy znajdującej się tuż przy władze dowódcy.

Oprócz tego znalazł też sobie automat, i to starego pocziwego G36, a nie ten ciężki i niecelny złom podrygujący w rękach, jakby próbował ugryźć właściciela.

Przez moment pomyślał o Idun. Kim była ta jędza? Złość na nią nie pozwalała skupić się na czekającym zadaniu. Nie pasowała do żadnej z grup walczących o wpływy w metrze. Do każdej z nich było jej tak samo daleko, gdyż bajki, że należała do botaników, już nie kupował. Może tacy kiedyś istnieli, ale ślad po nich zaginął. Samotna mścicielka? Mało prawdopodobne. Była jak mutanty, które zwalczała – zimna i bezwzględna. Wychodziło na to, że została przez kogoś przysłana, taka najemniczka jak kiedyś on z Jorgem. To nawet pasowało. Wykonywała zadania, których nikt inny nie chciał się podjąć. A może nie człowiek do wynajęcia, tylko kiler w dyspozycji któregoś z bossów? Którego? Syndykat Przystępczy, Związek Handlowy? Ci dbali jedynie o swoje interesy. Kalif? W takim razie nie było potrzeby zatrudniania ich trójki, a poza tym Idun nie wykazywała zainteresowania Samirem. Chłopak był jej zupełnie obojętny. Brunatni, anarchiści, RAF? Te grupy rozumiały dobro wspólne na tyle dziwnie, że kto wie. Jednak brunatni chcieli się pozbyć Hel.

Może jednak należało szukać dalej. Może to ludzie spoza aglomeracji. Na razie to jedynie luźne domysły, ale w swoim rozumowaniu nie widział słabych punktów. Cała ta teoria darwinistów w zasadzie miała jeden cel: oczyszczenia metra i przygotowania do zasiedlenia przez... hmm... Kogo? No przecież nie przez mutanty. Kto mógł być na tyle zdesperowany, by zająć ich miejsce?

Całe to myślenie nie prowadziło do żadnej konkluzji. Gdy już wydawało się, że pojął sens wydarzeń, następna myśl sprawiała, że zaczynał wątpić. Pewnie na niektóre pytania nie znajdą odpowiedzi. Brakowało mu Jorgego.

Tymczasem Gruber wyprowadził pancerkę na jezdnię i zaczął zmierzać w stronę wejścia do zoo. Fuchs to nie motocykl, potrzebował nieco więcej miejsca niż jednośląd, nawet taki z bocznym koszem. Pojazd przyśpieszył i wbił się w ozdobną kratę, która pękła z głośnym trzaskiem. Pawilon znajdował się tuż obok.

Zdaje się, że nadjechali w samą porę. Jasmin właśnie uciekała aleją na wschód, za nią wyłonił się jeden z krakenów próbujący upolować ją na harpun. Ten osobnik zdecydowanie nie wyglądał na rannego czy osłabionego. Zatem sprawdziły się przewidywania Samira, że mutanty zaczną opuszczać wylęgarnię i każdy z nich poszuka własnego gniazda. Jak to mówił chłopak? Z każdego dorosłego osobnika dwieście młodych. Nie potrafił tego policzyć, ale pomnożył dużo przez bardzo dużo i wyobraził sobie niepoliczalny koszmar.

Jeden z dużych krakenów właśnie wszedł im w drogę. Widok pancerki musiał zaskoczyć stwora, bo przystanął niezdecydowany.

– Trzymaj się. – Gruber za kierownicą cichutko pogwizdywał. To był ten sam motyw, który tak lubił Gunnar: „Lili Marleen”.

Wóz nie zwalniał, zmierzając wprost ku drapieżnikowi. Ten stał bez ruchu. Po raz pierwszy to on był atakowany, a nie na odwrót.

Fuchs walnął w mutanta z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę. Mocno zatrzęsło, zupełnie jakby przywalili w gruby mur. Transporteromal nie stanął dęba. Galaretowate cielsko wydawało się odporne na skutki uderzenia. Opony zabuksowały na asfalcie. Gruber zmniejszył obroty i koła złapały przyczepność. Nie pomogła siła odnóży. Prawie piętnastotonowy pojazd napędzany ośmiocylindrowym silnikiem o mocy trzystu dwudziestu koni mechanicznych okazał się mocniejszy od mutanta i powoli go przesunął. Brutalna siła przeciw brutalnej sile, lecz tym razem w tych zapasach przewaga znajdowała się po ich stronie.

Tyle że niewiele z tego wynikało. Mogli co najwyżej liczyć na to, że po kilku kilometrach kraken zetrze się do cna. Ale jeśli ten egzemplarz umie strzykać kwasem...

– Cofnij i przywal jeszcze raz – poradził Matthias, widząc impas.

Rozjadą sukinsyna tak, że pozostanie po nim mokra plama.

Gruber wrzucił wsteczny, silnik zawył. Trochę nimi szarpnęło, prawa strona transportera opadła, ale nic poza tym. Pewnie zjechali z jakiegoś odnóża. Wyrwanie się z uścisku krakena okazało się trudne nawet dla samochodu pancernego. Łomotanie w podłogę nie ustawało ani na chwilę.

– Ten drań jest pod nami.

– Wiem. – Matthias przytrzymał się uchwyty przy desce rozdzielczej. – No to do przodu.

Ponowny zgrzyt skrzyni biegów i nasilający się wizg silnika. Pojazd ani drgnął.

– Trzyma nas w uścisku.

Mimo szerokiej przedniej szyby niewiele dawało się dostrzec. Na prawo falowała wściekle jedna z macek regularnie uderzająca o pancierz maszyny. Z lewej strony dostrzegli inną, nieruchomą, zapewne przygwożdżoną do podłoża kołem Fuchsa.

Tułów głowonoga musiał znajdować się centralnie pod nimi. Tymczasem w polu widzenia pojawił się też kolejny osobnik wolno nadciągający w ich stronę. Co go tu zwabiło? Miał ochotę pożreć krewniaka czy przyjrzeć się z bliska jego stalowej zdobyczy?

– Ciśnij, na co czekasz?

Tym razem Gruber poszedł na całość. Sześć ogromnych opon powoli i z mozołem zaczęło przeważać nad niezmordowaną siłą krakena. Bestia się zmęczyła, silnik Diesla nie. Nastąpiła seria mocnych uderzeń w podwozie i nagle siła trzymająca ich

w miejscu ustąpiła.

– Dawaj.

Wóz przejechał kilkanaście metrów i nabrawszy prędkości, od razu staranował kolejne monstrum. Tym razem poszło o wiele łatwiej. Korpus krakena dosłownie rozbił się o pancerną płytę.

– Widziałeś?! – ekscytował się Gruber.

– Uspokój się, to jeszcze nie koniec. – Matthias we wstecznym lusterku widział, że niedobity potwór próbuje odpełznąć na bok. Tego nie można było tak zostawić.

– Zawróć.

– Pełny gaz?

– Jak tylko dasz radę.

Gruber zakręcił kierownicą. Okaleczony stwór znalazł się na wprost nich. Fuchs przyśpieszył. Po raz pierwszy w swoim krótkim życiu kraken spotkał coś, czego nie mógł pokonać.

– W czachę bydlaka.

– A jakże.

Gnali pełną mocą silnika. Czas kończyć. Przygotowali się na zderzenie, więc odczuli je o wiele słabiej. Z ukrycia wybiegła Jasmin, a za nią Samir. Na widok tego, co stało się z mutantem, zaczęli wiwatować.

– Podjedź do nich – polecił stalker.

Fuchs potoczył się aleją, a oni uważnie obserwowali otoczenie. Zatrzymali się kilkadziesiąt metrów dalej.

Wóz posiadał system pozwalający na operowanie w skażonym środowisku, więc gdy tylko Jasmin z chłopakiem wcisnęli się do środka, od razu ściągnęli kaptury i zdjęli maski.

– Gdzie Maks i ten drugi? – zapytał Matthias.

– Śledzą jednego, który próbuje się urwać. Tam poszli. – Dziewczyna wskazała kierunek na prawo od nich.

– Cholernik nie potrafi usiedzieć w jednym miejscu. – Trudno było odgadnąć, kogo Matthias ma na myśli: mutantą czy chemika.

Dojechali do rozjazdu i zwolnili. Towarzyszy nie było nigdzie widać.

– Widzicie ich?

Fuchs ułatwiał przemieszczanie, ale miał też drobne wady. Chcąc zobaczyć, co znajduje się z boku, należało wystawić głowę ponad otwór włazu.

– Poczekajcie. – Matthias nasunął maskę i kaptur, na koniec sięgnął po karabin maszynowy i taśmę z amunicją. Na krótki ostrzał powinno wystarczyć.

Dostrzegł ich od razu. Chemik za pomocą znalezionej gdzieś bosaka próbował dźgać krakena, podczas gdy jego kolega odczołgiwał się w bok z bezwładną nogą. Ten osobnik wydawał się maluchem, sięgał człowiekowi co najwyżej do pasa. Mały nie znaczyło jednak niegroźny.

Dłoń stalkera uderzyła w pancerną płytę.

– Tam są.

Gruber natychmiast wrzucił jedynkę. Nadjeżdżali z hukiem silnika i w kłębach spalin.

– Odsuń się! – Matthias zamachał do chemika, odganiając Maksa z linii ognia.

Tamten odskoczył jak oparzony, pozostawiając wolne pole do ostrzału.

Wystarczyło przeładować.

Ułożył kolbę przy ramieniu i delikatnie ściągnął język spustowy. Wszystkie trzy pociski utkwily w korpusie. Mutant zapiszczał cieniutko.

A masz, skurwysynu. Trach – trach – trach. I tym razem nie chybił. Poczł uniesienie. Dostatecznie nacierpiał się przez to pełzające dziadostwo. Chciał wystrzelić jeszcze raz, ale w ostatniej chwili powstrzymał go krzyk chemika.

– Szkoda amunicji!

Maks z bosakiem trzymany mocno w garści przyspilił krakena do ziemi i nie

przestawał pchać, dopóki tamten się ruszał. Ostrze syczało i zaczęło lekko dymić.

– Już go wykończyłeś. Wystarczy.

Chemik skinął ponuro głową i odstaąpił od truchła. Wysiętek, jaki włożył w unicestwienie paskudy, sprawił, że chwiał się na boki.

– Maks, musimy wracać. Zbieraj się, szkoda czasu.

Dał znać, że rozumie, i wziął się za przenoszenie rannego. Gruber ustawił wóz tyłem. Obaj szybko znaleźli się w środku. Zbyt zmęczeni, by spocząć na siedziskach, legli na podłodze.

– Czemu to trwało tak długo? – wyjęczał Maks.

– Nie potrafiłeś rozgnieść takiego malucha?

– Zaskoczył nas, jak z Klausem próbowaliśmy przeciąć mu drogę.

– Zaskoczył? – Matthias zacisnął palce na uchwycie automatu.

– A pewnie, najpierw wyrwał mi drąg z ręki, a gdy Klaus chciał go kopnąć, potraktował pazurem.

– Idioci.

– Widzisz ten basen? – Maks skinął dłonią na burtę pojazdu. – Jest tam co najmniej trzy metry głębokości, a może i odpływ.

– Na pewno jest – poparł go Klaus.

– Rozumiem, nie musisz kończyć.

Jeden kraken w wodzie, a wszystkie ich starania okażą się nic niewarte. Należało się spieszyć. Każdy z nich miał świadomość nadciągającego kataklizmu.

Rozdział XX

Płytki grób

Pod wielkim pawilonem, w którym znajdowało się wejście do podziemi, panował spokój. Wbrew ich obawom nie kręciły się tu żadne stworzenia żadne konfrontacji, niemniej konieczność ponownego zagłębienia się pomiędzy gęste zarośla nie napawała Matthiasa optymizmem. Krokodyle, pająki i krakeny – jedynie to na nich czekało. Ewentualnie nowe, nieznane zagrożenia. Pomysł Grubera, by spalić wszystko w cholere, spodobał się szczególnie Matthiasowi.

Byli już tak zmęczeni, że jedynie płynąca w ich żyłach adrenalina i resztki woli trzymały ich jeszcze na nogach. Bez zewnętrznych bodźców dawno zapadliby w sen. Wystarczyła krótka przejażdżka i już Matthiasowi zaczęły się kleić oczy. Wiedział jednak, że musi się zmobilizować. Kwadrans snu nic tu nie pomoże, a więcej czasu nie mieli. Wciągnął powietrze do płuc i odgonił zmęczenie ogarniające ciało i umysł. Pora zabierać się do roboty.

Wypełzył z Fuchsa i stanął przed zieloną gęstwiną. Pożar świetna sprawa, ale jak go wywołać? Wszystko dookoła było wilgotne, samo się nie zajmie. Żeby choć beczka ropy. Może gdzieś taką mają, ale nie tutaj. Zatem ktoś tam będzie musiał wejść i zasypać studzienkę. Najprostsze rozwiązania bywają najskuteczniejsze.

– Chcesz tam wejść sam? – zapytała Jasmin.

– Inaczej sobie tego nie wyobrażam.

– Nie lepiej wjechać?

– Możemy nie dać rady rozbić ściany. Gruber, co o tym sądzisz?

– To transporter, nie czołg – odpowiedział kierowca.

– Jak nie spróbujemy, to się nie przekonamy – dziewczyna dalej obstawała przy swoim.

– A co się stanie, jak stracimy wóz?

– Twoja w tym głowa, żeby tak się nie stało.

– Łatwo ci mówić.

– Jasmin ma rację. – Matthiasowi wydawało się, że dostrzegł w gęstwinie ruch. –

Ten pojazd to nasz najlepszy argument.

– Chciałbym w to wierzyć.

– Wiesz co, może zrobimy tak... – Na ustach stalkera zagościł uśmiech. – Ustąpisz Jasmin miejsca, a sam pójdziesz w czujce. Taki silny facet jak ty da sobie radę.

– Mowy nie ma.

– Strach cię obleciał?

– Jestem świetnym kierowcą.

– Ona też. – Matthias wskazał brodą na dziewczynę. – Sam widziałeś, jak na lotnisku władowała cysterne do jamy z potworem.

– No dobra, niech będzie, spróbuję.

– A potem zawieziesz nas na Hallesches Tor. Mam tam sprawę do załatwienia.

– Coś cię łączy z tymi palantami?

– Tylko interesy – odparł Matthias. – Wszyscy gotowi? Zaczynamy.

Gruber wrzucił wsteczny, przez dłuższą chwilę przyglądał się otoczeniu i doszedł do wniosku, że od tej strony próba jest skazana na niepowodzenie. Ryjąc oponami w miękkiej ziemi objechali pawilon. Z drugiej strony rysowały się lepsze perspektywy. Ścian w ogóle nie było widać, nawet jeżeli jakieś stały, nie stanowiły mocnej ochrony. O wiele większym problemem było zielsko.

Mając do dyspozycji brygadę wypoczętych robotników, kazałby wykarczować wszystko, jak leci. Buldożer sprawiłby się jeszcze lepiej. Parę minut roboty i po sprawie, a potem można iść na piwo. Fuchsa skonstruowano do zupełnie innych zadań. To maszyna bojowa, nie budowlana, ale trudno, jak się nie ma, co się lubi...

Gruber ruszył tak niespodziewanie, że Matthiasa wcisnęło w fotel. Dla

nieprzyzwyczajonego do takiej szarpaniny stalkera nie było to zbyt przyjemne. Tuż przed zderzeniem zamknął oczy. Nie żeby się bał, taki odruch.

Wozem podrzuciło na jakimś wykrocie, przelecieli niewielki kawałek i wbili się w ścianę zieleni, która ugięła się pod masą pojazdu. Koła znów odbiły się od podłoża, nastąpiła seria wstrząsów. Siedzący wewnątrz transportera ludzie objęli się o wystające elementy wyposażenia oraz o siebie nawzajem. Jedyne Gruber mocno trzymał się kierownicy. Tu nie kaptur był potrzebny, tylko kask. Ranny krzyczał z bólu. Pewnie trafił w coś rozoraną szponem nogą.

Huk, jaki się rozległ, przestraszył nawet Matthiasa. To na pewno był element konstrukcyjny baraku, który rozpadł się pod wpływem uderzenia. Na szczęście, bo gdyby trafili w pień drzewa, skończyłoby się gorzej dla nich.

Nagle spomiędzy liści najróżniejszego rodzaju, kształtu i wielkości wyłonił się kawałek wolnej przestrzeni. Gruber nacisnął na hamulec. Wozem zarzuciło w bok.

Oszołomionemu Matthiasowi odrzucenie górnego wjazdu zabrało dłuższą chwilę. Zmasakrowane kwasem ścierwo olbrzymiego gada leżało kilkanaście metrów dalej. Nad nim pastwił się drugi osobnik, tylko trochę mniejszy i z krótszymi nogami. Ten wyglądał na zwykłego krokodyla z dawnych obrazków.

Gad zapalczywie rozrywał cielsko zębami i na razie nie wydawał się nimi zainteresowany. Matthias natychmiast, jak tylko wysunął głowę, rozejrzał się, czy podczas przebijania się na dach Fuchsa nie trafił czerwony pająk czy coś podobnego. Tasakiem zrzucił konary i pozaczepiane w trakcie jazdy liście. Czysto. Teraz pora na ciebie, bratku.

Od kiedy transporter zaparkował w pawilonie, krokodyl tkwił wciąż w tym samym miejscu, nieco tyłem do nich. Matthias przymierzył się, celując w pełen kostnych narośli grzbiet.

– Zostaw. – Jasmin stanęła przy burcie pancerki. – Tak go nie załatwisz.

– Pewnie masz lepszy pomysł.

Podeszła bliżej. Gad odwrócił głowę i machnął ogonem.

– Osłaniam cię.

– Nie ma potrzeby.

Z torby przy pasie wyjęła niewykorzystany wcześniej granat. Usunęła zawleczkę. Wiedziała, że się uda. Ten drapieznik nie był tak inteligentny jak krakeny.

Wzięła zamach. Jeżeli nie trafi, wóz opancerzony stoi tuż obok – ale wyszło idealnie.

Gad dostrzegł lecący przedmiot i gwałtownie wygiął się tak, by ten przedmiot trafił prosto do jego pyska.

Jedna sekunda... krokodyle są długowieczne, ten pamiętał czas sprzed zagłady, gdy był karmiony przez opiekuna krwistymi kaskami właśnie w ten sposób – druga sekunda... przełknął ładunek bez najmniejszego problemu, pożerał nie takie rzeczy – trzecia sekunda... bum.

Uważnemu obserwatorowi mogło się wydawać, że drapieznika wzduło. Najpierw spuchł, a następnie się rozpadł. Eksplozja była spektakularna. Kawały mięcha latały we wszystkie strony.

Nietknięta głowa i cielsko do pierwszej pary łap zostało odrzucone metr w jedną stronę, a nieuszkodzony ogon tyle samo w drugą. Pomiedzy nimi rozciągała się wielka plama krwawej miazgi.

– Zadowolona jesteś?

– Znowu jęczysz.

– Nie jęczę, tylko... – nim skończył, wsunął się do pojazdu i wyszedł bocznym wjazdem – ...podziwiam. Bardzo oryginalny pomysł i skuteczny. Jest tylko jedno ale, że możemy zaraz mieć tu gości. Wszystkim mięsożercom w okolicy rozesałaś darmowe próbki z zaproszeniem na wyzerkę.

Najbardziej jednak niepokoiła Matthiasa dziura w ziemi. To, że w pobliżu nie dostrzegł żadnego krakena, o niczym jeszcze nie świadczyło. Kolejny mógl właśnie

dotrzeć do studzienki i zaciekawić się, co to jest ten jasny punkt tuż nad nim.

– Ty idziesz ze mną – rzucił pod adresem dziewczyny. – Gruber, osłaniasz. Samir, pilnujesz Klausa.

– Tylko? – Chłopak wydawał się bardzo rozczarowany rolą przydzieloną mu przez stalkera.

– To żadne „tylko”. Masz mieć oczy dookoła głowy. Jak zostaniemy zaskoczeni od tyłu, nic nas nie uratuje. Nasze życie w twoich rękach.

– Rozumiem.

– Cieszę się bardzo. Maks, pomożesz mi przy włazie.

– Jestem chemikiem – odpowiedział tamten zakłopotany.

– Masz dwie sprawne ręce, nogi i głowę na karku? No. Wszystko na ten temat. – Wszelki sprzeciw został zduszony w zarodku. – Do roboty. Czas ucieka.

Studzienka i chroniąca ją stalowa pokrywa zostały wykonane solidnie. Matthias przyjrzał się zawiasom, wyglądały na mocno zakotwione w betonie. Krawędź cembrowiny trochę skruszała, a właz nosił ślady wygięcia, lecz po włożeniu skobla powinien trzymać.

Wsadził głowę do środka i oświetlił wnętrze latarką. Klamry były oblepione wstęgami śluzu. Wolał niczego nie dotykać.

Trudno przewidzieć, ile czasu zajmie takiemu mutantowi uporanie się z włazem. Teoria, że wybili wszystkie osobniki, jakoś nie przemawiała do Matthiasa. Przy jego szczęściu to mało prawdopodobne.

– Tam się coś rusza. – Palec Maksa wskazywał dno studzienki.

Jeszcze tego brakowało, żeby jakaś macka wystrzeliła ze środka i nadziała kogoś z nich na harpun.

– To jest człowiek.

Zdaje się, że nagle znalazł się w środku koszmaru. Tam faktycznie był człowiek, a właściwie to, co z niego pozostało. Ze skafandra zostały jakieś resztki, a te porwane szmaty, jakie miał na sobie, trudno było nazwać ubraniem. Czołgał się, ciągnąc obie nogi za sobą.

– Tutaj! – Maks próbował zwrócić jego uwagę.

– Trochę ciszej, jeżeli możesz – upomniała go Jasmin. – Zejdę i pomogę.

– Poczekaj, nie tak prędko.

Wycie nieszczęśnika sprawiło, że przez plecy zwiadowcy przebiegł dreszcz.

– Czego on chce? – zapytał chemik.

Wyciągnięta ku nim głowa zdawała się należeć do upiora, a nie człowieka. Nie widać było oczu, włosów ani nosa, jedynie bezkształtną masę tkanek. Ramiona pokryte były potwornymi ranami. Wyglądało to tak, jakby został żywcem obdarty ze skóry. Jakiś kraken musiał wypuścić w jego kierunku żrącą chmurę, ale porzucił zdobycz.

Mężczyzna jęczał i szlochał. Jego dłonie wymacały pierwszy szczebel.

– Idę. – Maks nie mógł na to dłużej patrzeć.

– I co zrobisz?

– Nie będę siedział na dupie, gdy tam ginie jeden z moich braci.

– Maks, posłuchaj...

Chemik zerwał się i zaczął przymierzać się do zrobienia pierwszego kroku, a Matthias w dalszym ciągu przyglądał się sytuacji na dole. Choćby nawet wyciągnąć rannego na powierzchnię, i tak umrze. Nie posiadali ani środków przeciwbólowych, ani opatrunków.

Nagle z bocznego korytarza wysunęło się odnóże i niemal czule oplotło dookoła kostki mężczyzny. Ten nawet tego nie poczuł, próbując wysondować, jak daleko jest kolejny szczebel.

– Maks, nawet nie próbuj tam schodzić.

– Dlaczego?

– A jak ci się wydaje, idioto?

Chemik szybko wycofał nogę i pochylił się nad szybem.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej.

- Przecież mówię.

- Mogłem zginąć.

Kraken tymczasem zaczął ciągnąć zdobycz ku sobie. Ranny pojął, że nadeszła jego ostatnia godzina, nawet nie godzina, tylko minuta albo i mniej. Palce wczepiły się w stalowy kabłąk z całą desperacją, na jaką było go jeszcze stać.

- Ucisz go, Mati, błagam. Dłużej tego nie wytrzymam.

- Przed chwilą próbowałeś tam zleźć. - Stalker przymierzył się do otwarcia ognia.

Tym razem nie znalazł w sobie ani cienia wahania. Kraken jednak był szybszy.

Mocniejsze pociągnięcie odnóża sprawiło, że palce puściły, a ciało człowieka błyskawicznie zniknęło z pola widzenia.

- Coś ty zrobił?

- Ja?

- Pozwoliłeś go zabić.

- Odczep się ode mnie.

- Ty wredny, parszywy sukinsynu.

- Jeszcze słowo, a znajdziesz się obok swojego druha.

- To wszystko, na co cię stać? - Maks wpatrywał się w Matthiasa wyzywająco. -

No, proszę, bij, odwaga cię nagle opuściła?

- Jak mnie odwaga, to ciebie rozum.

Kolba zakreśliła krótki łuk i walnęła w skroń chemika, pod którym momentalnie ugięły się nogi.

- Zabierz tego debila - warknął do Jasmin.

- Co się tam dzieje? - Gruber wychylił się z transportera.

- Złaź, przydasz mi się tutaj. - Matthias pochylił się, złapał za jedną część pokrywy i z rozmachem walnął nią o beton. Czuł się jak skończony skurwysyn, jak ostatnia łajza i śmierdzący tchórz. Ale co mógł zrobić? Jak ktoś jest taki odważny, to proszę bardzo, wolna wola, idź i ratuj.

Gruber pomógł mu uporać się z drugą połówką kłapy. Stanęli na pokrywie jak robotnicy tuż przed fajrantem.

- Czemu Maks tak się wydzierał?

- Koniecznie musisz wiedzieć?

- Nie chcesz, to nie mów. - Mechanik wydawał się urażony brakiem zaufania.

- Na dole został jeden z ochotników.

- Który?

- Nie znam ich po imieniu - wychrypiał. - Zobaczyliśmy go i zaraz potem kraken wciągnął go do tunelu.

- Mówisz poważnie?

Matthias pozostawił to bez komentarza. Wolał zastanowić się, jak wzmocnić skobel. Kawałek drutu, który obracał w palcach, z pewnością nie wystarczy. Najlepiej przywalić sporym ciężarem od góry. Tylko jak to zrobić? W pobliżu nie dostrzegali nic, co mogli umieścić na włazie studzienki i spokojnie odejść.

Jeżeli nic nie znajdzie w samym pawilonie, to może w jego pobliżu... Myśl, Mati, myśl. Musieli to zrobić dziś, zaraz, a nie odkładać na później. Już tu raczej nie wrócą.

Wzrok stalkera padł na linę holowniczą zaczepioną o burtę Fuchsa. Podsunęła mu ona pewien pomysł.

- Gruber, wsiadaj do pudła.

- Aha.

- Podjedź tyłem, tylko ostrożnie.

- Co potem?

- Wyrwiesz z korzeniami tamto drzewo - wskazał na pień rosnącego w pobliżu drzewa, gruby na jakieś dwadzieścia parę centymetrów.

Mechanik nie zadawał więcej pytań. Migiem ustawił transporter w ten sposób, by

Matthias mógł owinąć linę wkoło pnia. Samir tkwił przy karabinie. Jasmin obserwowała wysiłki zwiadowcy z pewnej odległości. Może to i lepiej, że nikt nie wyrwał się mu z pomocą, nie był teraz w nastroju.

Wściekłość kipiła w nim jak woda w garnku pozostawionym na ogniu. Kolejne słowa o ludzkiej solidarności, a nie ręczy za siebie. Zrobił dla tego parszywego metra więcej niż cała reszta razem wzięta, a teraz będą mu wypominać poświęcenie jednego człowieka. Ech...

Stalowy zwój trochę ważył. Matthias zdjął linę z zamocowania i zaczął okręcać jedną jej część na pniu, najwyżej jak dał radę. Silnik Fuchsa wypuszczał kłęby śmierdzących spalin. To na pewno one odganiały wszelkie stworzenia z najbliższej okolicy, bo jeszcze żadne do nich nie zawitało.

Nadszedł decydujący moment. Matthias odsunął się kawałek i przyjrzał krytycznie swojemu dziełu. Powinno wytrzymać, tylko czy jak wóz szarpnie za linę, z góry nie zaczną spadać wstrętne czerwone pająki lub coś podobnego?

Obrócił się i dał znak. Silnik ryknął, a pojazd ruszył powoli do przodu. Z początku nie działało się nic. Drzewo – to mogła być palma, w dżungli przecież rosną palmy – stało niewzruszone. Gruber przestał dociskać gaz, lecz lina pozostawała napięta.

– Nie idzie.

– Spróbuj jeszcze raz.

– Twoja wola.

Tym razem Gruber ruszył znacznie zdecydowaniej. Palma powoli zaczęła się wyginać. Już nie pięła się majestatycznie do góry, lecz wyraźnie się przechyliła. Jeszcze trochę i przewali się zupełnie.

Gdy już się wydawało, że sukces uwieńczy dzieło, przechył przestał się pogłębiać.

Matthias zamachał do Grubera. Może góra drzewa zaczepiła o jakiś element konstrukcyjny pawilonu. I dupa. Czy zupełnie nic, ani jedna rzecz nie może pójść gładko?

Cała masa zielska przysłaniała widok. Bez wdrapania się na górę i rozeznania w sytuacji przewrócenie pnia mogło być niewykonalne.

– Powiedz mi, Mati, na czym ci bardziej zależy: na pniu czy na korzeniu? – zapytał Gruber.

Pytanie nie było bezsensowne. Na początku chodziło o jedno i drugie – korzenie i pień stanowiły jedną nierozdzielalną całość, a ich ciężar miał na wieki pogrzebać wejście do studzienki. Z taką masą nie poradziłby sobie nikt.

– Możemy to podciąć, mamy siekiere i tasaki. Szybko pójdzie.

To była myśl. Szkoda, że nie wpadł na nią wcześniej.

Złapał za rękojeść tasaka, który pozostał po jednym z ochotników, i podszedł bliżej pochylonej palmy. Przymierzył i na pień spadło pierwsze uderzenie. Prosta czynność, a ile satysfakcji.

Ciął raz za razem, wkładając w zamachy całą siłę barku. Doszedł do jednej czwartej grubości, gdy Gruber pośpieszył z pomocą, tnąc drewno potężnymi zamachami. Ostrze siekiery odłupywało o wiele większe wióry niż tasak Matthiasa. Ostatecznie po kilkunastu minutach robota została ukończona. Pień złamał się z głośnym hukiem, ledwie zdążyli odskoczyć na bok.

Złamał się, lecz wcale nie spadł im na głowy. Szeroko rozrośnięte konary były tak splecione z innymi drzewami, że utrzymały ciężar drzewa. Pień zawisł w powietrzu. Trudno. W takim razie muszą wyrwać korzenie.

– Zapalaj silnik. – Matthias był kompletnie wyczerpany.

Gruber, wyglądający niewiele lepiej, skinął tylko głową, nie mogąc złapać tchu, ale wyprzedziła go Jasmin. Polanę ponownie wypełnił odgłos pracujących cylindrów. Odeszli jak najdalej. Lina się napięła. Jeśli się zerwie, to koniec. Nie mieli innej w zapasie.

Koła zaczęły mieć ziemię. Od razu było widać, że nic z tego nie wyjdzie. System korzeniowy okazał się zbyt rozrośnięty i nie pozwalał się usunąć tak szybko, jak to

sobie wyobrażał.

Znalazł kawałek blachy i zaczął rozkopywać dziurę. Szło powoli i mozolnie. Kilka razy był bliski rezygnacji. Utyłtał się w błocie, a efekt i tak wydawał się mizerny. Ramiona paliły żywym ogniem. Do takiej roboty nie był przyzwyczajony. Co innego chodzić i strzelać. Rycie w grząskiej ziemi uznał za upokarzające – konieczne, ale upokarzające.

Zastąpiony przez Grubera odpoczął dłuższą chwilę, łapiąc oddech. Samir też trochę pomógł i tylko Maks wykręcał się od roboty, wciąż pełen żalu po tym, jak potraktowano jego przyjaciela.

Matthias złapał się na tym, że obmyśla, jak ukarać chemika. Studnia jeszcze nie została zasypana, wrzuci tam tego kutasa i po sprawie. Mądrała. Gnój, a nie mądrała. Upierdliwa menda. Jedno, co potrafi, to truc ludzi gazem bojowym. O, to wychodziło Maksowi najlepiej.

Kolejna fala wściekłości zalała Matthiasa. Odgonił Mechanika i sam zabrał się do kopania. Przynajmniej w ten sposób mógł choć na moment zapomnieć o tym, co się zdarzyło.

Dzień z wolna zaczął przygasać, więc włączyli reflektory.

W końcu uznał, że wystarczy. Odcięli na koniec siekierą kilka grubych korzeni, najgłębiej, jak sięgnęli. Wóz albo przewóz.

Tym razem poszło gładko. Kilkusetkilogramowy kloc wylądował w końcu na pokrywie.

Matthias był tak zmordowany, że myślał jedynie o śnie. Wczołgał się do transportera i poszukał sobie kawałka przestrzeni. Jasmin coś do niego mówiła, ale nie słuchał jej wcale. Jedynie chemik mógł liczyć na życzliwego kopniaka. Jak nie odpocznie, oszaleje. Cała reszta musiała poczekać.

Peter Wichmann niepokoił się, i to bardzo. Od blisko czterdziestu ośmiu godzin nie docierały do niego żadne informacje, co uznał za sytuację nie do przyjęcia. Sprawa już dawno powinna się wyjaśnić. Pytanie tylko, kto nawalił: ten palant Gunnar czy też do operacji wplątały się siły, o których nie miał pojęcia.

Przejęcie rejonu Tempelhofu to kluczowe zagadnienie dla OWP. Brunatnych należało wykurzyć, i to skutecznie. Najlepiej, jak wszelki ślad po nich zaginie. Komu byli potrzebni z tym stukaniem obcasami, wojskowym drylem i kretyńską ideologią? Od zwiadowców słyszał, że grasuje tam spory mutant. Dopiero później skojarzył go z Hel. Tak, oczywiście wiedział o Hel, tym wyrośniętym pokręconym stworze, którego nie dawało się kontrolować. Wiedział o mutancie, a nawet go widział. Był przecież wyznawcą teorii malowniczego duetu dwóch Karlów. Na większości stacji znajdowali się podobni do niego. Czy to nie wspaniałe: całe metro oplatała sieć niewidocznych konspiratorów czekających na ostateczny sygnał do rozprawy z niedowiarkami.

Pod tym względem sporo mieli wspólnego z Ligą Muzułmańską, tam też idea świętej wojny, jawnie wyznawana przez Państwo Islamskie północnych stacji, nie została wypalona ze świadomości kolejnych pokoleń.

Widział Hel i odkrył jej potencjał. Ta cudownie idiotyczna teoria tak zwanego oczyszczenia urzekła go od razu i postanowił wykorzystać ją do własnych celów. Czy musiał się tym dzielić z tymi dwoma durniami, którym się wydawało, że zjedli wszelkie rozumy? Zadufani w sobie ignoranci bez pojęcia o tym, na jakich zasadach opierają się ludzkie struktury. Oni naprawdę wierzyli w to, że wypuszczone z zamknięcia krakeny oczyszczą dla nich całe metro, a potem potulnie pozwolą zamknąć się w wylęgarni.

Jakim cudem? Z jednym był kłopot, a co mówić o całej gromadzie. Mutanty były niesterowalne i nieprzewidywalne, zmiatające wszystko na swojej drodze. Hel

należało ubić już wcześniej. Była problemem, a nie maskotką. Gdy uciekła, zapoczątkowała całą serię nieszczęść, a do tego rozrosła się niepomiernie. Gdy ją widział, była o połowę mniejsza. Przez te parę tygodni przybrała sporo na masie.

To jemu w udziale przypadł zaszczyt rozprawienia się z nią na dobre. Zabrał się do tego w jedyny znany sobie sposób – wynajął niczego nieświadomych najemników Gunnara. O wszystkim mieli dowiedzieć się dopiero we właściwym czasie. Przy okazji dzięki dywersji na Kochstraße udało się zaszantażować kolejnych paru.

A swoją drogą – pomysł z likwidacją niezależnej produkcji na Kochstraße to oczywiście jego plan. Należało im pokazać miejsce w szeregu oraz zyskać punkty u tych, którzy rządzą na Hallesches Tor.

Oficjalnie Galerię rządziła rada podejmująca kolegalne decyzje. Właśnie tym różnili się od pozostałych dworców mających naczelników bądź też emirów. Tu panowała formalna demokracja. Gdy któryś z członków rady odchodził, na jego miejsce dobierano kolejnego. Zawsze miało to formę zaproszenia: sprawdziłeś się na swoim odcinku, możesz awansować wyżej. Jako szef lokalnych struktur bezpieczeństwa znalazł winnych zniszczenia Kochstraße. Lepiej nie można.

Doszlusował pojmanyh stalkerów do stworzonej ad hoc ekipy i wszystkich wysłał na Tempelhof. Tylko Rolf znał prawdziwe motywy – tak pokierować całym wypadem, żeby brunatnym się wydawało, że to darwiniści wchodzą im w paradę. Wojna murowana. Przy okazji należało zlikwidować to wielkie paskudztwo. Zatem darwiniści, brunatni i Gunnar polowali na to samo i na siebie nawzajem.

Co do mniejszych mutantów pozostających w wylęgarni miał mieszane uczucia. Na obecnym etapie wydawały się przydatne, jednak urosną i zaczną przypominać matkę. Lepiej wykończyć je od razu, gdy jeszcze nie stanowią wielkiego zagrożenia.

Drzwi do gabinetu otworzyły się i wsunęła się przez nie szczupła kobieca postać.

– Co tak długo?

– Spodziewałeś się, że będzie inaczej?

Wichmann machnął ręką.

– Cieszę się, że cię widzę, bo tak naprawdę tylko ty mnie rozumiesz.

– Mati, obudź się, jest już dzień.

Dopóki leżał, nic go nie bolało, dopiero próba uniesienia dłoni uświadomiła Matthiasowi, jak intensywny był poprzedni dzień.

– Ile spałem?

– Z dziesięć godzin.

– Dziesięć? – Próbował chrząknąć, lecz gardło potrzebowało natychmiastowego smarowania.

Upił trochę wody z plastikowej butelki podanej przez Jasmin. Był poważnie odwodniony. Odłożył butlę dopiero po wyłopaniu ostatniej kropli.

Przespał dziesięć godzin, a mimo to czuł się jak spruty wór. Przynajmniej nie męczyły go koszmary. Te miał na co dzień i na wyciągnięcie ręki.

Na śniadanie otrzymał konserwę mięsną do spótki z Gruberem. Prawdziwe braterstwo broni i rondla. Podziobał w puszcze, starając się wygrzebać co lepsze kawałki, a tłuszcz i żelatynę zostawić z boku. Jadł, bo musiał. Nie miał apetytu. Szare plastry mielonki gryzł z tą samą zawziętością, z jaką zabijał mutanty. Data na wieczku wyraźnie wskazywała, że termin przydatności do spożycia minął jakieś pięć lat wcześniej. Nie przejął się tym wcale. Co tu ma się zepsuć?

– Nie jesz? – Gruber czekał na swoją kolejkę.

– Trzymaj. – Oddał konserwę z wymuszonym uśmiechem.

Gdy zabrakło Jorgego, to od decyzji Matthiasa zależało, co będą robić dalej.

Po pierwsze Nerd. Nie porzucą go przecież, należał do zespołu, a że został zakładnikiem, to przecież nie jego wina.

Wichmann to szuja. To, jak został przez niego potraktowany, zapamięta do końca życia. Tacy jak on nie przejmowali się maluczkimi, do których Matthias zaliczał i siebie. Gnidzie przyświecały wyższe cele, cholera zresztą wie jakie. Do poziomu Matthiasa zniżala się tylko, kiedy musiała. Najchętniej naplułby gnidzie w gębę. Może jeszcze trafi się okazja. Życie było nieprzewidywalne.

Kolejna sprawa to Maks i Klaus. Co z nimi? Jadą dalej czy ma ich zostawić na pierwszej neutralnej stacji? Musi się zdecydować, i to szybko. Grubera był raczej pewny, z naciskiem na „raczej”.

W całym tym zamieszeniu dokonali rzeczy nieprawdopodobnej – odnaleźli Samira. Kalif będzie szczęśliwy. Będzie nagroda, a na dodatek wdzięczność przywódcy Ligi Muzułmańskiej.

To dużo. Żeby się nie okazało, że za dużo. Jak mówią – łaska pańska na pstrym koniu jeździ, a tacy ludzie jak kalif często nie chcą pamiętać o długach. Czy nie lepiej rozkazać odstrzelić Matthiasa w ciemnym tunelu? Jeden strzał i po sprawie. Nikt nie upomni się o dług wdzięczności.

Zdaje się, że zbyt wiele sobie obiecywał po tej wyprawie.

Jedyną trwałą zdobyczą był transporter. O czymś takim wcześniej mógł jedynie pomarzyć. Wielkie opancerzone pudło, co prawda w środku panował chlew, ale z czasem zrobi się porządek.

Prawie z czułością poklepał siedzisko, na którym spoczywało jego umęczone ciało. Wszystko pięknie, problem w tym, że nie potrafił kierować. Obserwował, jak to robi Gruber czy Jasmin i nie wydawało się to trudne do opanowania. Cały kłopot w tym, że parę czynności należało wykonać równocześnie. Noga, ręka, w prawo, w lewo. Poprosi Grubera o parę lekcji. Jak nie załapie, komuś opchnie wóz. Mało to świrów zechce posiadać taką zabawkę?

Westchnął.

Wszystko wydawało się proste, ale to tylko pozory. Jak Fuchs wpadnie w łapy jednej z grup, równowaga może zostać naruszona. Gdy zostanie sprowadzony do metra, to koniec. Zupełnie jak mutant, którego nie dawało się zgładzić.

– Matthias, wyglądasz niewyraźnie. – Jasmin spojrzała na niego z troską.

– Naprawdę? – Przejechał dłonią po wymęczonej twarzy. – Musimy zastanowić się, co dalej.

– To chyba proste, jedziemy na Hallesches Tor.

– Nie ma powodu, żebyśmy to robili oboje.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Odstawimy cię na pierwszą stację Ligi.

– Na Friedrichstraße.

– Może być i tam – zgodził się. – Przypilnujesz, by Samir trafił pod opiekę ojca.

– Nie boisz się, że zwieję z nagrodą?

– A ty nie boisz się, że cię znajdę?

Uśmiechy obojga były wymuszone.

– Zabierzesz ze sobą Klause. Tam znajdzie się pod dobrą opieką. Maks też tam zostanie.

– Mowy nie ma – odpowiedział ze swojego kąta chemik.

– Nie masz nic do powiedzenia.

– Nie będziesz mi mówił, co mam robić. Jestem wolnym człowiekiem.

– Dobrze, wolny człowieku. – Poranna słabość zaczęła powoli przechodzić Matthiasowi. – To mój wóz i ja tu rządzę. Jeżeli się nie podporządkujesz, to bierz kłamoty i idź, gdzie chcesz.

– Sam?

– Nie sądzę, by ktoś miał ochotę ci towarzyszyć. Twój kumpel nie chodzi i tylko my możemy odstawić go w bezpieczne miejsce. Podejmij decyzję zgodną z własnym sumieniem. Droga wolna, ja cię nie będę zatrzymywać.

– Jak to tak?

– Już wczoraj nieźle mnie wkurwiłeś, nic nie mów... bo stracę cierpliwość – zagroził Matthias.

– Mati, zrozum...

– Dla ciebie od tej pory jestem panem Matthiasem.

– Żartujesz?

Stalker sięgnął po leżący pod nogami tasak.

– Tak myślisz?

– Dobrze, już dobrze.

– Wysiadasz tu czy na Friedrichu?

– Mogę się przydać.

– Ty mnie? Do czego? – Matthias omal się nie roześmiał.

– No...

– Przypomnij mi, skąd pochodzisz.

– Stacja Bundestag. Tam zastała mnie wojna.

– Byłeś politykiem?

– Nie, nauczycielem. Przyjechałem z Düsseldorfu na wycieczkę z młodzieżą. Grupa prawie trzydzieści osób. Mieliśmy przyjrzeć się, jak wyglądają obrady, poznać z bliska działanie struktur państwa. – Maks przerwał i wytarł okulary. – Wszyscy zginęli, tylko ja przeżyłem. Dałem im wolny czas, a sam chciałem kupić sobie papierosy. Można powiedzieć, że nałóg mnie uratował. Byłem najbliżej zejścia do metra, gdy rozległ się alarm.

– To nie ma nic wspólnego z nami.

– Codziennie mam wyrzuty sumienia, że postąpiłem tak, jak postąpiłem.

Powinienem zginąć jak oni, a niestety żyję. Ja, stary, gdy oni...

– Za bardzo się przejmujesz, staruszkule – pocieszył go Gruber. – Nie ty wystrzeliłeś rakiety.

– To nie tak...

– Właśnie, że tak. Niepotrzebnie się trujesz. Skąd mogłeś wiedzieć, co się stanie?

Maksowi to wcale nie pomogło. Jednak teraz przynajmniej mogli zrozumieć motywy, którymi się kierował.

– Może podrzucić cię na miejsce?

– Nie, nie chcę. Ludziom tam odbija.

Nic więc nie musiał dodawać. To przecież oczywiste, że siedziba władz federalnych stała się głównym celem rakiet, które nadleciały nad Berlin. Może nie wszystkie okazały się stuprocentowo celne, lecz prawdę powiedziawszy, to nie było istotne. Dla obiektów cywilnych dwieście czy trzysta metrów rozrzutu bomby atomowej nie miało większego znaczenia. Gmach parlamentu i tak został zmieciony z powierzchni ziemi. Zginęli wszyscy pracownicy administracji i większość polityków. Mówiło się, że kanclerz zdołał ująć z pogromu, tak samo jak ministrowie obrony i spraw wewnętrznych.

Akurat w te bzdury Matthiasowi nie chciało się wierzyć. Jeżeli faktycznie zostali powiadomieni w porę i zdołali opuścić budynek przed atakiem, to co się z nimi stało później i gdzie są teraz? Raczej nie na stacji Bundestag, bo to ponura ruina. Przechodził tamtędy parę razy, zawsze w pośpiechu. Był to tylko ostatni przystanek przed Hauptbahnhof. Ktoś tam mieszkał, ale stacja stanowiła obraz nędzy i rozpaczki. Zresztą były tam spore zniszczenia, niezalutane przecieki z góry – nic dziwnego, skoro wybuch nastąpił tak blisko. Gdyby głowica nie uderzyła w Szprewę, nie zostałyby pewnie nawet i to.

– To co będziesz robił?

Maks wpatrywał się w sufit, jakby odkrył tam coś ciekawego.

– Wszystko mi jedno.

– Skoro tak... – Matthias się ucieszył.

– Tak nie można. – Jasmin najwyraźniej brała stronę chemika.

– Mam go przytulić i ukołysać do snu?

- Nie próbuj być zabawny, bo ci to nie wychodzi.
 - Dlaczego wszyscy są zawsze przeciwko mnie? Co ja takiego źle robię, no, powiedzcie mi? Czepiacie się mnie, a ja... A zresztą... Nic was to nie obchodzi.
 - Mati, nie bierz tego tak do siebie.
- Odsapnął.
- Dobra, Maks, dam ci jeszcze jedną szansę, ostatnią.
 - Jestem w zespole?
 - Nie ma żadnego zespołu. Kiedyś był, ale nic z niego nie zostało.
 - Ty i Jorge?
 - Tak, ja, Jorge i Nerd. To jego musimy teraz wyciągnąć, a coś mi mówi, że nie będzie to łatwe.
 - Czyli tak samo trudne jak przeprawa z krakenami?
 - Kto wie? Może nawet bardziej.

Rozdział XXI

Kundel łańcuchowy

Jazda zrujnowanymi ulicami w kierunku Friedrichstraße zdawała się ciągnąć bez końca. Gdzie nie spojrzeć, tysiące porzuconych domów, biur, sklepów. Elewacje pokryte brunatnymi liszajami. Wybite okna i potłuczone witryny. Resztki cywilizacji, której nikt nigdy nie odbuduje. Ludzkość skarłała. Fizycznie i mentalnie.

I pomyśleć, że ci, którym niegdyś mało było wielopokojowego mieszkania, lub wręcz własnego domu, obecnie mogli mówić o szczęściu, jeżeli mieli lokum dwa na trzy metry z jednym posiłkiem dziennie. Wielu nie miało i tego.

I dla wędrownego stalkera los nie zawsze był łaskawy. Raz materac i cztery ściany hotelu, kiedy indziej zgięty łokieć pod głową na skraju dworca, gdy nie było żadnej roboty.

Przyglądanie się miastu zza pancерnej szyby dołowało Matthiasa. W kółko to samo, ruiny i ruiny, tylko czasami przecinała im drogę sfera canidów wystraszona nieoczekiwanym pojawieniem się sześciokołowego transportera.

W przedziale transportowym piętrzyła się masa gratów, które należało przejrzeć. Niepotrzebne usunąć, resztę posegregować i oczyścić. Parę przedmiotów pójdzie na handel. Jak chcą jeździć, potrzebują oleju napędowego. Fuchs żarł paliwo jak smok.

Matthias osobiście nie chciał schodzić na Friedrichstraße, ale bez wizyty na dworcu się nie obejdzie. Potrzebowali filtrów do maski i amunicji. Przecież nie wybierze się na spotkanie z Wichmannem, mając dziesięć naboju w magazynku.

– Jesteśmy na miejscu.

Oświadczenie Grubera skwitował skinieniem głowy.

Wóz mógł zostać na ulicy. Na stacji nie zabawią długo. Ashan pewnie będzie chciał pogadać, ugościć. Jak tylko zobaczy Samira, zaraz wyśle umyślnego do kalifa w nadziei, że część łaski władcy spadnie i na niego.

W sumie Matthias nie miał nic przeciwko. Ogień był spory, każdy przy nim się ogrzeje. Byle nie zostać spopielonym.

Dopięli skafandry i wyszli z pojazdu. Klaus, oparty na ramionach Maksa i Samira, kuśtykał w stronę wejścia. Reszta ubezpieczała. Najgorsze, co mogli zrobić w takiej chwili, to się rozluźnić. Moment nieuwagi i po tobie. Znał takie przypadki. Mutanty były cwane, już nie pozwalały się odstrzelić na odległość. Podchodziły blisko i spadały na ofiarę jak grom z jasnego nieba.

Zastukał w furkę. Przez minutę nic się nie działo. Warta pewnie spała. Dopiero uderzenia ręką w tasaka sprawiły, że po drugiej stronie stalowego przepierzenia ktoś się ocknął.

Niepisana umowa mówiła wyraźnie, że każdy stalker w potrzebie może zejść do najbliższej stacji i nikt nie ma prawa odmówić mu gościny. Oczywiście, bywało różnie.

– My do Ashana.

Furta rozwarła się szerzej. Pierwsza przeszła Jasmin, on jak zwykle na końcu. Matthiasowi wydawało się, że od ostatniego pobytu na Friedrichstraße minęły lata, a nie dni. Chłonał zapachy i dźwięki jak człowiek, któremu nigdy nie było dane dotknąć zwyczajnego życia.

– Hej, Mati, to ty? A gdzie masz Jorgego? – Ashan już został powiadomiony o ich wizycie. – A to co za ludzie? Jasmin poznaję, ale pozostali?

– Ślij umyślnego do kalifa. Jego syn wrócił.

Amir wybałuszył oczy.

– Samir?

– Odnależliśmy go. – Matthias wypchnął chłopaka bardziej do przodu, bo ten wciąż krył się za plecami Grubera.

– Na miłosiernego Allaha... – Ashan zaklaskał w dłonie. Zaraz zjawili się

pomocnicy. – Panicza do mojego namiotu i postawić tam straż. Gdzie jest Omar, no gdzie jest Omar?

Matthias już tego nie słuchał. Odszedł na bok, pozwalając wygadać się reszcie. On nie miał nic do powiedzenia.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów napił się i najadł do syta. Skutkiem ubocznym była ogarniająca Matthiasa senność i ociążałość. Jeśli posiedzi tu dłużej, to zupełnie zapaści korzenie.

Z perspektywy namiotu emira metro wydawało się miłym i spokojnym miejscem. Niedługo przybędzie kalif, a spotkania z nim chciał uniknąć za wszelką cenę. Nie miał zwyczaju płaszczyć się przed nikim, a przed przywódcą społeczności muzułmańskiej w berlińskim metrze zdecydowanie by musiał.

– Dobra, Ashan, czas na mnie.

– Chcesz już iść? – emir był zaskoczony.

– Jasmin zajmie się całą resztą, ja mam jeszcze sprawę do załatwienia.

– Jak chcesz. – Ashan nie naciskał. Najwidoczniej poza wizytą kalifa niewiele go obchodziło.

– Mam prośbę... – Było to trochę niezręczne, ale nie miał wyjścia. – Potrzebuję amunicji.

– Ile?

Matthias się zdziwił. Tak od razu, bez targowania? Poprzednim razem Ashan kantował na pojedynczych pociskach, a dziś taka rozrzutność. Skoro tak, to i on pójdzie na całość.

– Dziesięć magazynków.

Ashan pogładził brodę, ale nie zastanawiał się długo.

– Zgoda.

O, w mordę, mógł zażądać dwudziestu.

– Z Klausem nie będzie kłopotu? – Upewnił się co do przyszłości rannego ochotnika.

– Żadnego.

– To przyjemność robić z tobą interesy, przyjacielu.

– Niech Allah obdarzy cię mądrością i szczęściem.

Gruber i Maks wstali, jak tylko Matthias wyszedł z namiotu.

– Jedziemy.

Na Hallesches Tor pojechali prowadzącą na południe szeroką Friedrichstraße. Chodniki były prawie puste i nic nie zatrzymało ich po drodze. Odcinek czterech stacji przejechali w ekspresowym tempie. Gdy już dojeżdżali, zaczęły się dyskusje, czy ładować się od razu do Galerii, czy przejść dołem od strony Mehringdamm. Zdania były podzielone. On proponował nie bawić się w ceregiele i od razu walić do Wichmanna. Mechanik i chemik zalecali ostrożność.

Oczywiście mieli rację, ale na teren OWP nie dawało się przeniknąć niezauważonym. Pogranicznicy od razu domyślą się, z kim mają do czynienia. Kręcenie się w stalkerskim rynsztunku wśród bogatych mieszkańców Galerii zostanie zauważone, nawet gdy jakimś cudem wyminą posterunki. Tu był inny świat, zresztą czego mieliby się bać? Maks i Gruber nawet nie widzieli Wichmanna na oczy, ani on ich. Byli tu raczej w charakterze ubezpieczenia. A Matthias? On miał umowę, był ostatnim z oddziału. Kutas powinien ucieszyć się z jego widoku. Zyska informacje z pierwszej ręki, nie będzie zdany na domysły, co spotkało uczestników misji.

Upór Maksa i Grubera zirytował w końcu Matthiasa. Dla nich dyskrecja była najważniejsza. W końcu stanęło na tym, że on pójdzie górą, a oni dostaną się na Hallesches Tor od strony Mehringdamm.

Na pożegnanie uścisnęli sobie dłonie. Niby nic, ale Matthiasa lekko ścisnęło w dołku. Czyżby się wzruszył? Zawsze uważał, że jest ponad takie drobiazgi. To dobre dla kobiet, a nie stalkerów.

– Powodzenia – usłyszał na odchodnym. Wpatrywali się w jego plecy, czuł to wyraźnie, ale się nie obejrzał. Przecież był twardy jak skała.

Dotarł na dworzec i poszukał zejścia. Lejkowaty ryjek dobrego, sprawdzonego MG-3 sterczał z otworu strzelniczego bunkra. Pogranicznicy musieli go dostrzec już wcześniej, bo pozwolili podejść bez najmniejszego problemu.

Nie wiedział, czy to stare środki bezpieczeństwa, czy na Hallesches Tor wprowadzono dodatkowe procedury. Czyżby dotarły już słuchy o tym, co wydarzyło się na Zoo? Ale jak, przecież nie przeżył nikt. Może któremuś darwiniście udało się uciec z dworca i przedrzeć dalej. To całkiem możliwe. Krakeny nie były aż tak szybkie.

– Czego chcesz?

– Pogadać.

– Nie masz tu nic do roboty.

– Szukam pewnego faceta. – Matthias nie miał zamiaru ustąpić. – Nazywa się Wichmann.

– Jesteś pewny, że właśnie z nim chcesz gadać?

– Tak.

– Stój tam, gdzie jesteś.

Niezbyt to miłe, ale już przyzwyczał się do takiego traktowania. Obrócił się do pograniczników plecami, przepatrując okolicę. Dziś na niebie było więcej słońca dającego po oczach pomarańczowym blaskiem. Kiedyś podobno było białe lub żółte, ale od kiedy pamiętał, to świeciło na pomarańczowo. Oczywiście odcienie były różne, raz intensywne, kiedy indziej stonowane. Zresztą to bez znaczenia, dla niego ziemia była wypaloną skorupą.

– Podejdź bliżej – usłyszał wezwanie.

Zrobił to, co kazali.

– Automat.

– Żartujesz.

– Takie są przepisy.

Zdjął z ramienia G36 i podał żołnierzowi. Potem przysła kolej na tasak wiszący przy pasie i składany nóż z torby. To nie było miłe powitanie.

W końcu został sprowadzony schodami na dół w towarzystwie dwóch barczystych strażników. Obyło się bez kajdanek, ale widział, że w razie oporu byli przygotowani i na to.

Wichmann czekał na niego w połowie peronu. Nie wydawał się zaskoczony jego widokiem. Wprost przeciwnie, mina i postawa mówiły – wiem wszystko.

Stanęli naprzeciw siebie jak dwa brytany, które zaraz zaczną kąsać.

– Prawdę powiedziawszy, zaskoczyłeś mnie – pierwszy odezwał się Wichmann.

– Ja? – Matthias udał zdziwionego. – Czym?

– Przeżyłeś.

– Mojej zasługi jest w tym najmniej.

Oficer bezpieczeństwa wskazał kierunek. Ruszyli powoli jak starzy znajomi, którzy spotkali się przypadkiem, a mają sporo spraw do omówienia. Cienie dwóch strażników nie odstępowały ich na krok.

– Chciałbym usłyszeć z twoich ust, co się stało.

Nie pytał o Rolfa i Gunnara, co wydawało się Matthiasowi podejrzane. O kimś takim jak Jorge czy Jasmin mógł nie pamiętać, ale dowódcy wyprawy na lotnisko nie dawało się tak łatwo zapomnieć.

- Co z Nerdem? - Matthias w końcu zadał nurtujące go pytanie.

- Z kim?

- Był z nami chłopiec.

- Nie wiem, o kim mówisz.

W stalkerze zaczęła wzbierać złość. Próbował się opanować, ale emocje były silniejsze od niego. Czuł, jak napływają falami, zalewając umysł czystą, skondensowaną nienawiścią. Dłonie zaczęły się trząść, a oddech przyśpieszył.

Spokojnie, tylko spokojnie - powtarzał w myślach. Napad szału nic tu nie pomoże. Co najwyżej dostanie pałą w łeb i na tym zakończy akcję poszukiwawczą.

- Nie wiem, czy pan sobie przypomina, było nas czworo. Jorge...

- Wiesz, co ci powiem, Matthias, jesteś chodzącą upierdliwością. - Oficer stanął i szturchnął stalkera paluchem w pierś.

- Niby dlaczego?

- Przychodzisz tu, czegoś żadasz, zupełnie nie wiem, jakim prawem. Zawaliliście wszystko od początku do końca.

- Ja tylko...

- Gdzie Gunnar?

- Zginął.

- A Rolf?

- Również.

- Jorge?

- Jak wyżej.

- Kto ocalał?

- Ja.

- O jednego za dużo.

- Coś ty powiedział? - Matthias chciał chwycić za palec, który przy każdym imieniu dźgał go w pierś, ale oficer okazał się szybszy i cofnął dłoń.

- No, no, nie pozwalaj sobie.

- Była umowa.

- Pomiedzy mną a Jorgem. Widzisz go tutaj? - Wichmann wyszczerzył zęby. - Nie potrafię zrozumieć, dlaczego ktoś taki jak ty zajmuje się byle szczyłem. Możesz mi to wyjaśnić? Zresztą nie musisz, nic mnie to nie obchodzi.

- Gdzie on jest?

- Myślisz, że wiem?

- Pytam po raz ostatni.

- Nie próbuj mi grozić, chłopcze.

Wiedział, że rozmowa z Wichmannem będzie trudna, ale takich problemów się nie spodziewał. Oficer nic sobie nie robił z danego Jorgemu słowa.

- Wiesz co, mam dla ciebie propozycję. - Znaleźli się na końcu peronu, w miejscu gdzie zaczynały się schody prowadzące do pomieszczeń służby bezpieczeństwa OWP. W pobliżu nie zauważył nikogo, co wcale nie dziwiło. Kto kręcił się blisko bezpieczniaków, zawsze miał kłopoty. - Dam ci zajęcie. Masz, chłopcze, szczęście, a ja potrzebuję takich jak ty. Na początek stopień sierżanta. Co, może być? OWP to przyszłość metra. Tylko my dajemy ludziom nadzieję.

- Już to parę razy słyszałem.

- To, co słyszałeś wcześniej, nawet nie umywa się do tego, co ja... my zapewnimy.

- Mianowicie?

- Nowe jutro dla każdego.

- To bardzo interesujące.

- Prawda?

Podobne brednie słyszał z ust Karla. I tak sprowadzało się to do jednego - nieliczni żyją w luksusie, a pozostali ryją tunele. Niepokorni... tych nie ma, bo w systemie, który proponowali darwiniści, a zapewne też OWP, nie było dla nich miejsca.

Nagle Matthiasowi rozjaśniło się w głowie – czy przypadkiem za działaniami sekty nie stał Obóz Walki i Pracy? Skąd darwiniści wzięli środki? Ktoś im je musiał dostarczyć. To przecież oczywiste. Gazu R-VX nie znaleźli na wysypisku, a motocykle, broń, wyposażenie, środki do budowy wylęgarni i ten wielki, piękny generator? Podobny widział i tutaj, tuż przed wyprawą na Tempelhof. To wszystko od samego początku było ściemą, elementem gry, na który oni dali się nabrać zupełnie jak dzieci.

Jeżeli tak było w istocie, to Obóz Walki i Pracy był najniebezpieczniejszą organizacją działającą na terenie metra. Wyrachowane sukinsyny. Wolność, równość, braterstwo, czy też jak w tym przypadku: walka i praca ku chwale rady nadzorczej. To linia oficjalna czy tylko jednej frakcji? W sumie obojętne. Na pewno maczał w tym paluchy ten gnój Wichmann.

– Co miałbym robić? – zapytał po prostu.

Wichmann spojrział na niego uważnie. Widać było, że nie spodziewał się tak szybkiej zgody.

– To, co ci wychodzi najlepiej.

– Czyli?

– OWP ma wielu wrogów.

– OWP czy pan osobiście?

– Na jedno wychodzi – powiedział oficer chełpliwie. – OWP to ja.

Taki Günter Treichel lub Anton Kipphardt bruździli mu, ile wlezie. Niby członkowie rady, a tacy głupi. Jak widział te ich uśmiechnięte pucułowate gęby, od razu chciał wyciągać pistolet i strzelić im w ryj. Pewnie myśleli, że nie wie o ich konszachtach ze Związkiem Handlowym. Gruby błąd. A za coś takiego czeka ich sąd. Na razie zbierał na nich haki. Na pozostałych ośmiu członków rady też. Tu każdy rył pod każdym, tylko na zewnątrz robili wrażenie trzymających razem. Demokracja w starym dobrym stylu.

Może za bardzo się pośpieszył, likwidując mutanty? Taki wzrost zagrożenia dobrze by im zrobił. Skonsolidował. Kto ich mógł obronić? Tylko siły bezpieczeństwa, czyli on i jego ludzie. Na ten trudny czas konieczne by były specjalne pełnomocnictwa. Uzyskałby je bez trudu. Szkoda. Następnym razem wyjdzie lepiej.

– Poznałem niedawno ciekawych ludzi.

– Tak, a jakich? – Wichmann okazał ostrożne zainteresowanie.

– Jeden był mały, o taki... – Matthias pokazał ręką wysokość, do której sięgał karzeł. – A drugi taki...

– Co z nimi?

– Okazali się, jakby to powiedzieć, mało elastyczni.

– Czyli?

– Nie potrafili zrozumieć, że natura nie zawsze będzie z nimi współpracować.

– Natura?

– Krakeny czy mutanty, jak kto woli.

Mina Wichmanna nie wyrażała żadnych uczuć.

– Zdecydowałeś się?

– Jak zobaczę Nerda.

Jeżeli już miał zostać kundlem łańcuchowym, to niech na początek dostanie kość.

– Wiesz, z tym może być kłopot.

– Czegoś tutaj nie rozumiem. Nerd miał czekać na nasz powrót, bezpieczny pod twoją opieką. Kiedy chcę go odebrać, słyszę o problemach. Jakie to niby są problemy, chory jest?

– Jego tu nie ma.

– Uciekł? Mogłem się tego domyślić. Ale jak to się stało, że wykiwał was dwunastolatek?

– Nie spodziewałem się, że wrócicie.

- I zdjąłeś ochronę.
- Odesłałem go na Jannowitzbrücke.
- Gdzie?!
- Nie wydzieraj się, przecież słyszałeś wyraźnie.
- Przecież to... – Matthiasowi zabrakło słów.
- Poradzi sobie.

Na Jannowitzbrücke rządził Syndykat Przystępczy. Z dwunastolatkami robiono tam różne rzeczy, a stwierdzenie, że poradzi sobie, nie odpowiadało prawdzie.

- Ty pierdolony zwyrodnialcu.
- Licz się ze słowami, bo jak...

Nim zdążył dokończyć, stalker złapał go za gardło i zaczął dusić. Nie pomógł zwód, którym oficer chciał się wyswobodzić. Palce się zacisnęły, a Matthias nie myślał o rozluźnieniu chwytu.

- Zabiję.
- Puszcz...

Z oczu Wichmanna wycierało przerażenie. Satysfakcja z tego powodu nie trwała długo, bo Matthias oberwał czymś ciężkim w głowę i stracił przytomność.

Zimna posadzka była taka przyjemna. Łagodziła ból, który rozchodził się od potylicy aż po szczękę. Reszta ciała wydawała się nieuszkodzona, choć nie miał co do tego całkowitej pewności. Centralny ośrodek zarządzania, czyli mózg, nie odbierał wszystkich sygnałów. Równie dobrze mogło się okazać, że ma połamane obie nogi, lecz na razie nic o tym nie wiedział. Oprócz głowy trochę bolał go kręgosłup, ale nie potrafił sobie przypomnieć, jaki był tego powód.

Żył, to na razie było najważniejsze. Jak się tu znalazł? Ciemno i twardo. Wytrzeszczone oczy Wichmanna nasuwały tylko jedno przypuszczenie – zanim zadusił padalca, oberwał od ochrony i znalazł się w celi. Wytłumaczenie logiczne i najbardziej prawdopodobne. Sam do ciemnej nory raczej by się nie pchał.

Kolejna sprawa: jak długo pozostawał w zamknięciu? Od incydentu upłynęła godzina czy cały dzień? To z kolei było niezbyt istotne. O wiele ważniejsze było ostatnie pytanie: co z nim teraz zrobią? Znając pamiętliwość Wichmanna, nie wyjdzie stąd prędko. Być może nie wyjdzie wcale. Zakatują go na miejscu. Sprawdzą, czy jest przytomny, wpadną i pałami wybiją z głowy wszelki opór. Męka trwać może całymi dniami albo i tygodniami. Wichmannowi nigdzie się nie spieszyło. Miał czas. Właściwie to miał wszystko – władzę, wpływy, znaczenie i środki. Nikt nie upomni się o jakiegoś stalkera, który podpadł wszechwładnemu szefowi służby bezpieczeństwa OWP.

Pewnie sam jest sobie winny. Nie zamierzał się wypierać.

Obrócił się na bok. Nie było tak źle, ucierpiała jedynie głowa. Ile to już razy oberwał w nią w ostatnim czasie. Trudno zliczyć. Nic dziwnego, że od tych urazów zaczynał popadać w obłąd.

Może wstać? Lepiej, jak poleży jeszcze trochę.

Ciekawe, co z nim zrobią? Szansa na przeżycie była znikoma albo i żadna. Pewnie go od razu trach... i na kompost. Nie on pierwszy, nie ostatni. Normalna rzecz.

A jeżeli Wichmann ma wobec niego inne zamiary? Inne, to znaczy jakie? Był nikim. Sprawa z Samirem się nie liczyła. Tutaj był zdany wyłącznie na siebie. Żal jedynie Nerda. Niewolnik Syndykatu nie miał łatwego życia. Równie dobrze mógłby trafić do celi darwinistów. Skutek ten sam, a może i lepszy – szybka śmierć zamiast mordergi nie do wytrzymania. Szczegóły nie były ważne.

Z zewnątrz dobiegły go niewyraźne odgłosy. Pewnie idą po niego. Dobra, kolego, szykuj się, bo już pora. Może lepiej, jak wstanie? Umrzeć, czołgając się po betonie, zdecydowanie nie chciał.

Oparł się o ścianę i zaczął powoli dźwigać się na kolana. A niech to. Szczęknięty zasuwany drzwi, lecz tych obok. Może to nie chodzi o niego? Takich frajerów jak on tutejsza bezpieka musiała mieć na pęczki.

Dalsze dźwiganie się do pionu nagle utraciło sens, więc z ulgą usiadł. Może to nie tak dobre jak leżenie, ale o niebo lepsze od stania. Ukrył twarz w zgięciu ramienia i westchnął z bólem. Na Friedrichstraße pewnie zaczęło się święto. Niech się bawią. Zasłużyli. To, że siedzi w celi, było wyłącznie jego decyzją.

Na dźwięk odciąganej sztaby Matthiasa rozboleły zęby. Hmm... Co się odwlecze, to nie uciecze.

– Mati, to ty?

Stalker zmrużył oczy, nie bardzo rozpoznając pytającego.

– Gruber?

– Wstawaj.

– A wy tu skąd?

– Ten pies Wichmann werbuje nowy zaciąg ochotników. Stalkerzy ściągają z całego metra. Mówi się, że będzie wojna z brunatnymi z Gneisenaustraße.

– Coś podobnego.

Musiał oprzeć się na ramieniu chemika, bowiem w głowie wciąż szumiało. Z trudem przewyciężył odruch wymiotny i przełknął ślinę. Był gotowy do drogi, a ta, jak wiadomo, zaczyna się od pierwszego kroku.

– Skąd wiedzieliście, gdzie mnie szukać?

– Od strażników.

– Tacy rozmowni?

– Pogadaliśmy sobie z nimi szczerze. – Gruber był zadowolony z siebie. – Leżą w celi obok.

– Co im zrobiłeś?

– Nic takiego. Na razie są związani i zakneblowani. Jak posiedzą parę godzin, nic im się nie stanie.

Wyszli na pusty, jasny korytarz.

– A to? – Matthias trącił nogą stertę spodni, butów, koszul i kurtek leżących tuż przy wyjściu.

– Wiesz, jak to jest: wystarczy faceta rozebrać i zagrozić obcięciem przyrodzenia, a wyśpiewa wszystko, co chcesz wiedzieć. Ci nie różnią się od reszty.

– W zimnej celi na golasa...

– Przejmujesz się nimi? Niepotrzebnie. Widzę, że wobec ciebie nie byli tacy litościwi.

Nawet nie wiedział, czy to ci sami, którzy stanowili eskortę Wichmanna.

– Co teraz?

– Jak chcesz, możesz się przebrać, ta kurtka powinna pasować. – Gruber podniósł szary strój z ziemi i podał stalkerowi. – Przymierz.

Spróbował wsunąć dłoń do rękawa, ale szło mu niezgrabnie.

– Szybciej.

– Aha.

– Tu masz automat.

Matthias odebrał karabinek. Od razu poczuł się raźniej. Co prawda nie był to ten sam egzemplarz, z którym wyruszał od Ashana, tylko bardziej zdezelowany, ale trudno, nie należało wybrzydzać.

– I jeszcze to.

Tasak. Palce od razu rozpoznały znajome kształty. To czysta przyjemność ponownie poczuć ten kawał żelastwa w ręku.

– Widzę, że się wzruszyłeś – zakpił Gruber.

– Zaczynasz mnie przerażać.

– Dobrze, że nie znałeś mnie wcześniej.

Ruszyli w kierunku schodów. Byle dostać się na peron, tam będzie łatwiej. Skoro

OWP gromadzi armię, przemkną w miarę niezauważeni. Sam pomysł zaskoczył Matthiasa. Co Wichmann chciał przez to osiągnąć? Rozprawa z brunatnymi musiała być tylko kamuflażem, cel był zapewne inny. Stalker powoli się go domyślał. Szef straży bezpieczeństwa gromadził armię nie dla OWP, lecz dla siebie. Czyżby szykował przewrót? Kilkudziesięciu zaprawionych w bojach weteranów mogło przechylić zwycięstwo na jego stronę. Już sam widok lojalności wobec niego takich ludzi mógł sprawić, że niektórym członkom rady zmiękną kolana, a przewrót wcale nie będzie krwawy.

Parę osób odejdzie, parę zajmie nowe stanowiska. Pucz przejdzie niezauważony, bo oficjalnie wszystko pozostanie po starym.

Jedno trzeba było Wichmannowi przyznać – jeżeli chodzi o intrygi, to był mistrzem nad mistrzami.

– Ilu już mamy?

– Razem z tymi... – Zastępca Wichmanna, Oskar Brunner, wskazał dwóch kolejnych chętnych pogrążonych w rozmowie z jednym z poruczników. – Dwudziestu trzech.

– Myślałem, że będzie ich więcej.

– Do wieczora przyjdą kolejni. Do trzydziestki dobijemy bez problemu. Jutro też jest dzień, a idą tu tacy z bardzo odległych stacji.

– Będą lojalni?

– A dlaczego mają nie być? My im płacimy, a to ludzie bez skrupułów.

Wichmann szczerzej otulił się skórzanym płaszczem zarzuconym na ramiona.

– Idę do siebie. Raport na dwudziestą drugą.

– Będzie gotowy.

Na pomysł zwerbowania dodatkowej grupy szturmowej wpadł niedawno, tuż po rozmowie z Holtem. Wizyta stalkera uświadomiła Wichmannowi jedno – jak się nie pośpieszy, z jego szeroko zakrojonych planów może nic nie wyjść. Treichel i Kipphardt zaczną się czegoś domyślać. Kto wie, czy nie spróbują przenieść go na mniej zaszczytne stanowisko. Straci wpływy i przewagę.

Ten Holt spadł mu chyba z nieba. Frajer podłożył się po raz kolejny. Jak zlikwiduje wszystkich oponentów, oskarży go o podłożenie bomby w pomieszczeniach rady. Tak to jest, jak się wpuszcza obcych.

Powstanie nowa rada, tym razem podległa jego woli. Załatwił darwinistów, załatwi też i tych mięczaków niemających dość wyobraźni, by podążyć za jego wizją.

Brak strażników przy schodach trochę go zaniepokoił. Przynajmniej jeden powinien pełnić wartę.

Wymacał Walthera w kaburze przy pasie i postąpił zrazu tylko jeden krok. Od razu uspokoił się, usłyszawszy głosy. Wachmani byli, tylko zeszli na dół, pewnie któryś z więźniów sprawiał problemy.

Ale o czym oni, do jasnej cholery, rozmawiali? Najgorszy koszmar, czyli bunt własnych podwładnych, niemal odebrał oficerowi dech w piersi. Przystanął, mocniej ściskając pistolet w dłoni. Nie zdecydował się wycofać na peron i wezwać posiłków. Zaskoczenie było po jego stronie. No i podwładni nie muszą wiedzieć, że także w ich szeregach znajdują się czarne owce.

Bardzo się zdziwił, gdy zobaczył Holta w towarzystwie dwóch mężczyzn.

– Wydaje mi się, że zdążyłem w samą porę – odezwał się niespodziewanie.

Tamci zamarli.

– Panie Holt, czy panu naprawdę się wydawało, że może opuścić mnie bez pożegnania? I gdzie są moi ludzie, bo ci dwaj oberwańcy nie mają z OWP nic wspólnego.

- Wiedziałem. - Matthias dalej trzymał tasak w dłoni, zastanawiając się, czy jest na tyle szybki, by wykonać zamach i rzucić ostrzem w stronę Wichmanna. Raczej nie. Wciąż czuł skutki uderzenia w głowę, a oficer mierzył do niego z pistoletu.

- Co? - Maks stał najbliżej, więc tylko on usłyszał cichą skargę Matthiasa.

- Ten pies ma nieprawdopodobny węch.

- Widzę, że humor wam dopisuje. - Oficer zszedł z ostatniego stopnia i stanął naprzeciwko nich. - Pan to kto?

- Gruber - odpowiedział Mechanik.

- A tamten? - Lufa wskazała na chemika.

- Maks.

- Ślicznie. - Oczy Wichmanna pozostawały jak dwie bezdenne studnie. - Odłóżcie broń.

Matthias przerabiał to już tyle razy, że rzucenie G36 i tasaka przyszło mu bez problemu.

- Dobrze. A teraz mówcie, coście za jedni i gdzie są warty? Wrzuciliście ich do celi, tak? Bardzo zabawne. No dalej, otwieraj. Z tymi kretynami, którzy się dali pobić, porachuję się później, na razie mam ważniejsze sprawy na głowie.

Zaczynało to niebezpiecznie przypominać zły sen. Ile razy można być zatrzymywanym, rozbieranym i przesłuchiwanym?

- Czego tam szukasz? - Lufa Walthera skierowała się w stronę Maksa, który próbował się schylić.

- Ja? Nic, tylko tak.

- Kolejnego ostrzeżenia nie będzie.

W sumie istniała szansa pokonania tego drania. Niewielka, ale jednak. Należało ruszyć do działania jednocześnie. Zabije jednego, może dwóch, trzeci powinien Wichmanna obezwładnić. Jednak w tych okolicznościach trudno było o lidera.

Matthias, który wcześniej podniósł ręce do góry, teraz lekko je opuścił.

- Ej, Holt, rączki, rączki. - Wichmann zbliżył się o krok w ich kierunku. - Życie ci zbrzydło?

- Może się dogadamy?

- Ja z tobą? - Wydawało się, że oficer ryknie śmiechem. - Co ty mi możesz zaproponować?

- Życie.

- Zabawny z ciebie gość.

- Jeszcze wszystko można naprawić.

- Czy tobie się wydaje, że jestem aż tak naiwny? Człowieku, opamiętaj się. Od samego początku robiliście to, co ja chciałem.

- Ten tu... - Matthias wskazał na Grubera - ...na Tempelhofie stracił wszystkich kolegów.

- I co z tego. Mam zapłakać?

- Odrobina skruchy nie zaszkodzi.

- Posłuchaj, chłystku, tacy jak wy mogą mi co najwyżej...

Matthias zupełnie opuścił ręce. Gruber poszedł za jego przykładem, tylko Maks trzymał je dalej sztywno wyciągnięte do góry, idiotycznie się przy tym uśmiechając.

- Kompletnie wam odjechało.

- Dyskutowałbym z tą tezą - odezwał się chemik.

- Myślisz, bandyto, że jak będziesz patrzył przez moje ramię, to ja się dam nabrać na tak idiotyczną sztuczkę?

- Myślę, że tak.

- Twoje niedoczekanie. - Wyraz twarzy jeńców musiał jednak zaniepokoić Wichmanna, bo już nie podchodził, tylko stał niepewnie, nie bardzo wiedząc, co ma robić dalej. - O, wy...

Nigdy nie dowiedzieli się, co takiego oficer ma im do powiedzenia. Ostry jak

brzytwa miecz Jasmin uderzył z ogromną siłą. Później Matthias nieraz zastanawiał się, skąd drobne w końcu ciało dziewczyny potrafi wykrzesać tyle energii. Cios był czysty. Ostrze przecięło szyję, oddzielając głowę od tułowia. Wichmann jeszcze raz zdążył mrugnąć oczami. Nawet jeżeli próbował nacisnąć spust, to połączenia nerwowe zostały przerwane. Chwilę później głowa odpadła, a ciało zważyło się na beton. Serce wciąż pracowało, więc z przeciętej aorty chlusnęła krew.

- Widzę, że beze mnie nie potraficie sobie poradzić.

- Kalif nie był miły?

- Był. Nawet bardzo, ale taniec brzucha to rozrywka stanowczo nie dla mnie. -

Jasmin wytarła ostrze o mundur Wichmanna. - Miałeś tu coś do załatwienia.

- Nerda tu nie ma.

- A gdzie jest?

- Na Jannowitzbrücke.

Rozdział XXII

Wielki sęp

– Nogi mnie bołą.

Oświadczenie Maksa nikogo nie zdziwiło. Od kiedy opuścili Hallesches Tor, chemik coraz bardziej odstawał od grupy. Jego energia gdzieś się ulotniła. I lata robiły swoje, i – co tu dużo mówić – ostatnie godziny przeżył dosyć intensywnie.

To niby nic takiego przejść z jednej stacji na drugą, ale Matthias doskonale wiedział, że nawet krótka przechadzka potrafi zmęczyć. To w końcu nie spacer po peronie, tu cały czas należało być czujnym mimo podróży w grupie, a na Jannowitzbrücke był spory kawałek. Najpierw przecwałowali przez Kochstraße, która już tkwiła w braterskim uścisku OWP, ale zwłok Wichmanna jeszcze nie odkryto, a mundury, jakie nosili, robiły odpowiednie wrażenie. Kiedy doszli do Stadtmitte, poczuli się pewniej. Z Ligą nie mieli żadnych zatargów, a nawet powinni być przez nią mile widziani. Matthias co prawda nie spodziewał się transparentów i orkiestry na swoją cześć, ale też i kłopotów. W istocie. Przy pierwszej kontroli na granicy Jasmin wyciągnęła tradycyjny glej, jak się okazało od samego wezyra, i szepnęła parę słów dowódcy straży. Brodaty chudzielec dokładnie obejrzał niezwykle ozdobne pismo z pieczęciami, skinął głową i droga aż do Märkisches Museum, czyli do granic Ligi Muzułmańskiej, stanęła otworem.

W planach mieli zamiar udać się dalej linią U2 aż do Klosterstraße i tam przejść na Jannowitzbrücke. Gdyby się nie udało, zostawała droga przez Alexanderplatz.

Trochę długo zeszło im na Märkisches Museum. Już wtedy Maks zdradzał oznaki zmęczenia, czy wręcz zniechęcenia. W pewnym momencie oparł się o ścianę i nie chciał ruszyć dalej. Jego oddech stał się płytki, a czoło zrosił pot.

Próby namówienia chemika do pozostania na bezpiecznej stacji spełzyły na niczym. Nagle ocknął się i wyrwał do przodu jak rakieta. Zapału nie starczyło mu na długo. W połowie drogi na Klosterstraße prawie zasnął.

Ciągnięcie go dalej Matthias uznał za pozbawione sensu. Kto wie, co ich czeka na Jannowitzbrücke. O wszystkim zadecyduje spotkanie z Wielkim Sępem, jednym z bossów kryminalnego półświatka. W tej sytuacji Maks był raczej przeszkodą niż pomocą.

– Usiądź sobie.

Chemik klapnął na tyłek.

– Nie wygląda dobrze. – Jasmin przyglądała się, jak Gruber przykrywa chude ramiona Maksa własną kurtką. – Może jest chory?

– Raczej przemęczony – odpowiedział Matthias.

– Na jedno wychodzi. Nie może dalej z nami iść.

– Mamy go tu zostawić? – oburzył się Gruber.

Wątki promień latarki dawał zbyt mało światła, by można było dojrzeć coś poza najbliższym otoczeniem.

– Nie tu, głupku, tylko na Klosterstraße.

– A co tam jest?

– Plantacja grzybów.

– I oni tak z dobrego serca zajmą się Maksem?

– Zapłacimy im – odrzekła dziewczyna. – Zresztą nie potrwa to długo. Wracając, zabierzemy go ze sobą.

– To może lepiej pogadać z tymi z Märkisches Museum, dobrze im z oczu patrzyło.

– Gruber pozbył się już uprzedzeń typowych dla swych dawnych dziarskich towarzyszy.

– Chcesz się wracać?

Od poprzedniej stacji dzieliła ich wyjątkowo duża odległość jak na śródmieście. Natomiast, jak się zdawało, na warty pilnujące wejścia na Klosterstraße powinni się

natknąć za kilka kroków. Rzecz nie bez znaczenia.

Matthias jakoś nie potrafił podjąć decyzji.

– Maks, hej, Maks, możesz iść?

Odpowiedź była tak cicha, że jej nawet nie usłyszał.

– Co on mówi? – zapytał Gruber.

– Jeszcze pięć minut.

Matthias starał się powstrzymać narastającą irytację. Pięć minut tu, pięć minut tam, czy oni nie rozumieją, że pośpiech jest tu najważniejszy?

– Maks, powiedz mi, co ci jest? – Nachylił się i dotknął ramienia chorego.

Zamiast odpowiedzi doszło go tylko niewyraźne chrząknięcie. Chemik wyglądał jak puste ubranie, z którego wyparował człowiek.

– Dasz radę wstać?

– Ja? – W oczach Maksa zapaliły się isierki.

– Tak, właśnie ty.

– Nie wiem.

– To spróbuj. Jeszcze kawałek. Niedaleko jest stacja, tam odpoczniemy. – Matthias starał się zmotywować starszego mężczyznę. – Na trzy.

Jakoś to poszło. Kolejne fragmenty szlaku pokonywali iście spacerowym krokiem, podtrzymując chemika pod oba ramiona, co jakiś czas w ogóle się zatrzymując.

– Mati, myślisz, że on...

– Nie wiem.

– Może trzeba postarać się o felczera?

– A skąd tu weźmiesz kogoś takiego?

– Na Klosterstraße nie będą mieli?

– Raczej nie. Wiem, że na Jannowitzbrücke jest jeden. A właściwie był. Wszyscy łązili do niego.

– Skąd tam lekarz?

– Wielki Sęp jest hipochondrykiem.

– W to już nie uwierzę.

– O czym mówicie? – zainteresowała się Jasmin idąca o parę kroków przed nimi.

– Podobno ten gość, który rządzi kasynem, ma... Co on ma, Mati?

– Fobię.

– Wcześniej mówiłeś coś innego.

– To to samo. – Stalkera to powolne posuwanie się krok po krocisku zaczynało nużyć. Odległości pomiędzy stacjami wahały się w zależności od tego, w jakiej części miasta się znajdowały. W centrum oczywiście sieć była gęstsza, ale niedyspozycja Maksa przydarzyła im się akurat na tym niekończącym się odcinku pod ściekiem.

Maks nie był jakoś szczególnie ciężki, właściwie ważył tyle co nic, prawie sama skóra i kości. Należało go jednak podtrzymywać, bo co rusz tracił równowagę i leciał na twarz.

– Mówiłem ci, żebyś został z Klausem. Ashan nie miał nic przeciwko temu.

Odpocząłbyś tam, nabrał sił, ale ty uparłeś się i co? Tylko problemy mamy teraz z tobą – zrzędził Matthias pod nosem.

– Jak ci się wydaje, co mu może dolegać?

– Już mówiłem, osłabienie.

– A może to ten gaz, cośmy...

– To było wczoraj.

– Organizm mógł zareagować później.

– Mało prawdopodobne.

– Wczoraj się podtruł...

– ...a dziś zachorował? Chyba sam nie wierzysz w to, co mówisz.

Posterunek znajdował się nie przy samym wejściu na peron, tylko dwadzieścia metrów wcześniej. Szlaban i zwoje drutu kolczastego broniły dostępu do stacji, której największym bogactwem były plantacje pieczarek i boczników.

Wartę pełnił mężczyzna ubrany w stary mundur pamiętający czasy Narodowej Armii Ludowej. Jak się zdaje, niektórych rzeczy nie sposób zedrzeć.

– Stać.

Wymierzony w nich automat dowodził wyraźnie braku zaufania.

Maksowi właśnie poplątały się nogi i gdyby nie pomoc kolegów, na pewno wywaliłby się przed wartownikiem.

– Możemy dostać trochę wody? – poprosił Gruber. – Nasz towarzysz źle się poczuł.

– Chory?

– Nie chory, a osłabiony. Ciężki dzień mieliśmy. Wczorajszy zresztą nie był dużo lepszy.

– Skąd idziecie?

– Z Märkisches Museum.

– Widzę, głupi nie jestem – warknął mężczyzna. Lufa nie drgnęła nawet o cal. – Gdzie wcześniej byliście?

– Aaa... Na Hallesches Tor. To jakaś różnica?

Strażnik nie zniżył się do odpowiedzi. Czyżby hodowcy grzybów wybierali, z kim handlują, a z kim nie? Byli w dość komfortowej sytuacji, graniczyli i z Ligą Muzułmańską, i z Syndykatem Przestępczym, więc mieli dostęp do wielu rynków zbytu.

– To co, możemy przejść?

– Nie.

– A dlaczego?

– Nie ja o tym decyduję.

– A kto?

– Willy.

– To poślij po niego. Człowieku, nam się śpieszy.

Wartownik trącił pomocnika siedzącego na turystycznym krzeselku i wpatrującego się w sufit. Ten zareagował dopiero po drugim wezwaniu. Widać było, że wszelka aktywność przychodzi chłopakowi z wielkim trudem.

– A temu co się stało?

– Nic, ma tak od urodzenia. – Wartownik kaszlnął i splunął na ziemię. Matthiasa załaskotało w gardle. Chrząknął, a potem pomógł Maksowi usiąść. Czekanie mogło trochę potrwać.

Od strony stacji dał się słyszeć harmider. Na kilku wózkach układano skrzynki pełne towaru. Właśnie szykowano dostawę do wygłodniałych linii zachodnich i południowych. Co najmniej kilkaset kilogramów najlepszych w metrze grzybów o wartości... Matthias nie potrafił oszacować, ile to mogło być warte. Jeden grzyb równa się jeden nabój, czy też rozliczano się w inny sposób. Część oczywiście pójdzie na łapówki, część zostanie wymieniona, ponadto ochrona karawany też musi jeść...

Może nając się u nich do roboty? Stalkera na pewno wezmą. Głodny chodzić nie będzie, wypłaty regularne, na starość odłoży parę groszy. Musi się nad tym koniecznie zastanowić.

Szlaban poszedł w górę. Jeśli szybko nie odsuną się pod ścianę, to albo ich opieprzą, albo rozjadą.

Huk spalinowego silnika napędzającego coś w rodzaju traktorka wypełnił tunel jazgotem. Wydawało się nieprawdopodobne, że tak małe urządzenie uciągnie pełne towaru wózki. A jednak, obyło się bez niespodzianek. Musieli to przećwiczyć wielokrotnie, bo karawana szybko zbliżała się ku Matthiasowi.

Pięć wagoników i dwudziestu ludzi ochrony, jak dokładnie policzył, niczego nie pozostawiono przypadkowi. Gdy konwój się przewalił, przy szlabanie zjawił się tęgawy starszy gość o czerwonym nosie, w roboczym kombinezonie i z maską przeciwpylową na piersi. Dłonie wycierał w szmatę, którą następnie wsunął w tylną kieszeń spodni.

– Jakiś problem?

Matthias podszedł bliżej. Facet wydawał się konkretny. Jest sprawa, należy ją załatwić. Zupełne przeciwieństwo wartownika i jeszcze paru osób, które spotkał w ciągu ostatnich kilku dni.

– Potrzebujemy lekarza.

– Ostatni, z jakim miałem do czynienia, zwał pół roku temu z żoną głównego technologa. Jacy ci ludzie są nierozumni: jednego dnia wszystko gra, a drugiego szukaj wiatru w polu. Źle tu mieli? Wszystko pod nosem, ale nie, wolności im się zachciało.

– To może... – Wewnętrzne sprawy plantatorów nie interesowały stalkera.

– Do pracy? Widzę, żeś pan zawodowiec.

– Nie – odparł pośpiesznie. – To znaczy dziś nie, w ogóle to chętnie. Mam sprawę na Jannowitzbrücke, jak będę wracał...

– Nikomu robić się nie chce, ale jeść to by chcieli.

– Przecież mówię...

– A idź pan w cholere.

– Przejsć można?

Farmer przyjrzał się wymęczonej ekipie krytycznym okiem.

– Po pięć nabojów.

– Co takiego? To złodziejstwo – oburzył się Matthias. – Ostatnim razem było po trzy.

– Jak się nie podoba, idźcie naokoło.

– Normalnie to dwa...

– A u nas pięć, specjalna taryfa na dziś – zaśmiał się tamten bezczelnie. – Coś pan myślał, że trafiliście na frajera? Ludzi wynająć muszę do pracy. Nikt za darmo tyrać nie będzie.

– Mati, zapłać i idziemy – odezwała się Jasmin.

Próbował postawić na swoim, ale całkiem przypadkiem dostał łufą pod żebra i przestał się upierać.

– Idziemy – rzucił strażnik w enerdowskim mundurze, uśmiechnąwszy się chytrze.

– Trafimy.

– No nie wiem. Wolimy wycieczki z przewodnikiem – dodał tęgawy.

W tej kwestii Matthias nie protestował. Poznał wcześniej ten nakaz. Najwyraźniej zarząd dworca nie chciał dopuścić, by osoby z zewnątrz kręciły się przy plantacjach.

Stacji jako takiej nie było. Wszystko, co kiedyś było peronem, zostało odgrodzone murem tak, że przejście prowadziło korytarzem szerokim i wysokim na dwa metry. Nad wejściem na stację świeciła żarówka. Co znajdowało się dalej, nie dostrzegali z powodu zasłanki łazienkowej przysłaniającej widok.

Grzybiarze wykorzystali każdy metr przestrzeni. Ta jedna farma pozwalała zaopatrzyć w żywność dwadzieścia najbliższych stacji. Wszystko starannie przemyślano i wprowadzono w życie.

– Chodźcie szybciej.

Maks ledwo powłóczył nogami, mimo to Gruber nie pozwalał zostać chemikowi zbyt daleko z tyłu.

– Parszywi złodzieje – wyjęczał Matthias.

– Chcesz tu pracować? – zapytała Jasmin.

– A co? Zła fucha?

– To miejsce omija się szerokim łukiem.

– A ty skąd możesz o tym wiedzieć?

– Mati, ci ludzie umierają, powoli, ale jednak.

– Bredzisz.

– Ignorant. Stężenie zarodników grzybów jest tu takie, że można wykończyć się w parę miesięcy. Całe to gówno osadza się w płucach. Lekarstwa nie ma, bo i skąd je

wziąć.

– Coś mnie drapie w gardle – powiedział Gruber.

– Ciebie też? – Nagle Matthiasowi zrobiło się niewyraźnie. Jeden, drugi zawrót głowy, skurcz żołądka i łaskotanie podniebienia. Głośno kichnął i wytarł nos skrajem kurtki.

Chyba jednak pozostanie stalkerem. Przy świniach robić nie chciał, bo śmierdziało. Stężenie metanu na niektórych dworcach ścinało z nóg. Teraz okazuje się, że i przy grzybach nie było tak słodko, jak się wydawało. Jak tu żyć?

Może zaczniesz pędzić bimber? Na taki towar zawsze znajdzie się zbyt. Albo jeszcze lepiej: otworzy knajpkę, małą, kameralną, na pięć stolików. Wystarczy. Tłoku nie lubił. Nazwie ją... „Pod Umęczonym Stalkerem” albo lepiej „Gospoda u Matthiasa”. Parę krzeseł zawsze gdzieś skombinuje, aparaturę do pędzenia robi sam, miejsce wynajmie. Jakiś miły kąt na Alexanderplatz, chociaż nie, tam za duże podatki. Dobra, ma jeszcze czas, pomyśli później.

Dalsza droga wiodła przez zasadniczą część tego kombinatu żywnościowego, który rozciągał się aż do samego Alexanderplatz. Grzybiarze poprzebijali poprzeczne korytarze między dawnymi tunelami linii U2, U5 i U8. Labirynt rozciągał się na dwóch poziomach i możliwe, że był największym spichlerzem całego metra.

Wszędzie paliło się wątle światło, a wilgotne, ciepłe powietrze przepełniał zapach kompostu i grzybów. Od głównego tunelu odchodziły niezliczone korytarze z niskimi, lecz szerokimi wejściami, z których każde było oddzielone foliową zasłonką. Pomiedzy nimi kursowało mrowie ludzi pchających wyładowane wózki. Słychać było tylko skrzypienie osiek i kaszel pracowników.

Już nie chciał tam zaglądać. Słowa Jasmin wystarczały. Jak ma umrzeć, to w walce, a nie wypluwając płuca. Dziękuję bardzo.

Doszli w końcu do miejsca, gdzie odchodził długi tunel do Jannowitzbrücke. Zasapany strażnik westchnął z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku i rzucił na pożegnanie:

- Jak spotkacie Bertę, uściskajcie ją w moim imieniu.
- Nie ma sprawy.

Z Jannowitzbrücke od paru lat był kłopot. Tylko pracującym pompom mieszkańcy tej stacji zawdzięczali fakt, że nie brodzą po kolana w wodzie. A wszystko przez kanał Szprewy znajdujący się w pobliżu. Pierwsze dziesięć lat wszystko było w porządku. Dworzec funkcjonował tak samo jak cała reszta, aż nagle wody zaczęło przybywać.

O najprostszym sposobie poradzenia sobie z katastrofą, czyli wyniesieniu się w inne miejsce, właściciele nie chcieli słyszeć. Jak tu porzucić prawdziwą żyłę złota. Alexanderplatz o rzut kamieniem. Tędy szedł cały tranzyt z południa i sporego fragmentu stacji zachodnich. A tak jak Alexanderplatz opierał się na handlu, tak Jannowitzbrücke na rozrywce. Jedno z drugim szło w parze. Jechać taki kawał drogi gdzieś z Charlottenburga i nie wpaść na kielicha i dziewczynki? Zupełnie bez sensu.

Pomiedzy obu stacjami rozciągał się istny labirynt nowo przebitych korytarzy tworzący prawdziwe centrum gospodarcze Berlina. Nawet Matthiasowi trudno się było w tym połapać. Najczęściej odnosił wrażenie, że co najmniej połowa berlińczyków tu żyła, a druga połowa gościła. Bankowe i handlowe kantory mieszały się z teatrzykami i kabaretami w dziwnej symbiozie. Porzucenie Jannowitzbrücke, zagłada tego świata to jak amputacja kończyny. Syndykat nie mógł do tego dopuścić. Zresztą, gdzie miałby się przenieść? Za wszelką cenę należało ratować to, co było. Do prac wynajmowano najlepszych inżynierów i ekipy budowlane z całego metra. Koszty nie grały roli.

Ciąg lokali zaczynał się daleko przed stacją. Tu nie było wart i posterunków. Matthias i Jasmin bywali tu nie raz, za to Gruber pierwszy raz miał okazję

skonfrontować z rzeczywistością słyszane wielokrotnie plotki i opowieści o tym niezwykłym świątku. Natomiast Maks...

Chemik zwinął się w kłębek, jak tylko ich silne ramiona przestały go podtrzymywać, i usnął na skraju torowiska. Takich jak on, mocno zmęczonych życiem, z miejsca, gdzie stali, dawało się dojrzeć co najmniej kilku. Cała różnica polegała na tym, że tamci przecenili swoje możliwości. Nadmiar alkoholu, zwłaszcza nie najlepszej jakości, przewróci każdego.

- Zostaniesz z nim?

- Dlaczego ja? - oburzył się Gruber, sycąc wzrok egzotycznym otoczeniem.

- Dobra, idź z Jasmin, ja poczekam.

- Ale dokąd?

- Znaleźć Wielkiego Sępa.

- Lekarza już nie potrzebujemy?

Tak, oczywiście, lekarza, a do tego pielęgniarke i miłe szpitalne łóżko, tylko skąd wziąć na to forszę? Samo wyciągnięcie Nerda pochłonie resztę tego, co posiadali, jeżeli nie okaże się, że i tak mają za mało. Ksywa Wielkiego Sępa nie wzięła się z powietrza. Gangster potrafił oskubać każdego delikwenta, jeżeli tylko widział cień szansy na zarobek. Matthias poważnie liczył się z tym, że opuszczą ten przybytek wszelakich rozkoszy w skarpetkach. Ale co tam.

- Moja rada jest prosta - odezwała się Jasmin cichym, poważnym głosem. - Zupełnie niedaleko, przy Drugim, jest noclegownia. Zapłacimy za Maksa z góry, a wrócimy po niego jutro. Powinien już dojść do siebie.

- A jak nie? Może ta śpiączka jest chorobliwa?

- W życiu o czymś podobnym nie słyszałam.

- A ja tak - ekscytował się Gruber. - A jeżeli właściciele tego przybytku wywalą Maksa na zbity pysk, gdy tylko znikniemy za rogiem?

- Obiecamy im, że dostaną więcej, jak wrócimy.

- Pójdą na taki układ?

- Ty byś nie poszedł?

- Ja jestem zwykłym chłopakiem z Lichtenbergu. - Mechanik użył nazwy robotniczej dzielnicy miasta z dawnego wschodniego Berlina, co już samo w sobie dawało do myślenia.

- Dobrze ich znasz? - Matthiasa wciąż dręczyły wątpliwości.

- Tyle o ile. Będziemy tak stać i gadać?

- Prowadź - westchnął stalker i popatrzył na słodko śpiącego chemika.

Tego spokoju bardzo Maksowi zazdrościł. Jeżeli w ten sposób odreagowuje stres, to nic dziwnego, że dożył takiego wieku.

Schylił się i spróbował zarzucić ramię mężczyzny na swój bark.

- Chociaż trochę mógłbyś pomóc - rzucił pod adresem śpiącego.

Ten mruknął coś pod nosem i odwrócił się na drugi bok.

- To nie jest normalne - obstawał przy swoim Gruber.

- Całe nasze życie nie jest normalne. - Matthiasowi te przepychanki zaczynały działać na nerwy.

Wbrew słowom Jasmin noclegownia wcale nie była tak blisko. Gdy w końcu do niej dobrnęli, ich oczom ukazał się fragment dawnego wagonu F92 podzielony na kapsuły. Dawało się do niej wcisnąć, lecz już nie wyprostować. Idealne miejsce dla gości bardzo sponiewieranych przez los.

Jasmin poszła dowiedzieć się co i jak. Nie było jej parę minut, a gdy już się pojawiła, skinęła na nich i poprowadziła do numerowanej kabiny.

- Ładujcie go do czwórki. W środku jest koc.

Chemik jakby wyczuł, że to koniec udręki, wczołgał się sam i zaraz zakopał pod szarym pledem.

- Zapłacone za dwadzieścia cztery godziny.

- Wystarczyło ci nabojów?

- Nie chcieli amunicji.
- To czym zapłaciłaś? – Gruber nie potrafił ukryć zdziwienia.
- Nie pytaj, pożyczysz dłużej.

Matthias domyślił się pierwszy i mocno zdziwił. Takie poświęcenie dla obcego przecież człowieka...

- Mati, o co chodzi? Powiesz mi, co ona przehandlowała?
- Później ci wyjaśnię.
- Nie możesz teraz?
- Robisz się równie nieznośny jak Maks.

Gruber prychnął. Nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

W zasadzie była to kwestia przypadku, przynajmniej Matthias w żaden inny sposób nie potrafił sobie tego wytłumaczyć. Gruber i Jasmin mogli mieć co do tego inne zdanie, ale nie on. On chciał tylko odpocząć, posiedzieć gdzieś w zaciszu i zastanowić się, co dalej. Dopiero zaś, kiedy rozezna sytuację, zamierzał odnaleźć Wielkiego Sępa i pogadać z nim na boku.

Właśnie rozglądał się za czymś odpowiednim, gdy ze środka baru, nad którym jaśniał wielki złoty symbol „\$”, wytoczył się gangster w towarzystwie dwóch ochroniarzy. Konsternacja była obopólna.

- Mati, ty zawszony zdradziecki kundlu!
- To nie tak, jak myślisz.

Wściekłość bossa aż wylewała się z niego. Facet miał jakieś metr dziewięćdziesiąt wzrostu i dobrze ponad sto kilogramów wagi, wielką, łysą głowę, otłuszczone policzki i małe oczka ciskające gromy na stalkera i jego towarzyszy. Czarne ubranie tylko trochę maskowało gabaryty. Obstawa nie odbiegała daleko wyglądem od szefa.

- Gdzie Jorge, ta żaloszna sverta gówna?
- Wy się znacie? – Kpina dziewczyny przyszła w najmniej odpowiedniej chwili.
- Posłuchaj, Nickie...
- Nie jestem dla ciebie Nickiem, śmierdzielu.
- Oczywiście, daj tylko sobie powiedzieć...

- Masz trzydzieści sekund. Erich... – Wielki Sęp zwrócił się do siłacza stojącego po prawej stronie. – Licz.

- Jasne, szefie.

Przypadek i nieporozumienie to dwie strony tego samego medalu. Jak w pół minuty streścić wypadki, które wydarzyły się rok wcześniej? To naprawdę nie była ich wina. Interes wydawał się dogadany. Znaleźli towar pierwsza klasa: siedemdziesiąt samochodowych akumulatorów to gratka dla każdego. Pójdą z pocałowaniem ręki. Jedyne problem w przetransportowaniu ładunku do odpowiedniego miejsca. Na plecach tych kilkuset kilogramów nie przeniosą.

Wszystko niedaleko dworca Ostbahnhof. To Jorge zaproponował dogadanie się z Nickiem Falcone, Włochem, który do Berlina przyjechał na miesiąc przed katastrofą.

Pochodzenie i słaba znajomość języka nie przeszkodziły Nickiemu w zostaniu jednym z tych ludzi, którzy w metrze cieszyli się specyficznym poważaniem.

Tak więc był towar, Jorge i Nickie Falcone, w tej właśnie kolejności. Matthias się nie liczył.

Gdy czekali na ludzi Falcone, zamiast niego zjawił się Kurt Roth z własną ekipą. Ładunek zmienił właściciela, a oni dostali połowę tego, co zostało uzgodnione z Wielkim Sępem. Dobrze, że nie pożegnali się z życiem, ale to tylko dlatego, że podobno Roth był tego dnia w znakomitym humorze.

Zdaniem Falcone to właśnie Matthias nie potrafił utrzymać języka za zębami. Stalker musiał zmykać, i to szybko. Po tej aferze unikał jak ognia okolic, gdzie działał Syndykat, choć właściwie nigdzie nie byli bezpieczni. Gniew Wielkiego Sępa mógł ich

dośćgnąć na najbardziej odległym dworcu, a tymczasem... prześladował go prawdziwy pech. Inaczej nie potrafił tego wyjaśnić.

- Wiesz, padalcu, ile forsy przez ciebie straciłem?

- Nie miałem z tym nic wspólnego.

- Jaką mam pewność, że nie ty zakablowałeś sprawę Rothowi? - Falcone dyszał żądzą zemsty.

- Dla mnie to żaden interes. Sami zostaliśmy oskubani z Jorgem i nie mów mi, że poniosłeś straty, bo forsy nie wydałeś.

- Miałem umówionego kontrahenta. To był interes życia.

- Dla nas też, a zostaliśmy w ostatnim skafandrze na grzbiecie. Zaryzykuję twierdzenie, że farbę puścił jeden z twoich fagasów. Co, chłopcy, może nie mam racji?

„Chłopcy” cofnęli się o pół kroku. Falcone wciąż z mordem malującym się na obliczu przyjrzał im się uważniej.

- Szefie, ten gnojek kłamie.

- Milczeć.

- A skoro już jesteśmy przy interesach, to można na słowo? - Matthias zaryzykował pytanie.

Buda należąca do Falcone nazywała się „Vegas”. Bez wątpienia lokal z wyższej półki, z dziesięć stolików i bar, dwa gatunki bimbru, kielbasa i parujące półmiski grzybów. Na mikroskopijnej scenie popis wokalny dawała ciemnoskóra piękność akompaniująca sobie grą na gitarze. To, że była kompletnie goła, nikomu nie przeszkadzało w piciu. Tylko tu dawało się choć na chwilę zapomnieć o tym, co na zewnątrz. Melancholijne, rzewne tony doskonale współgrały z nastrojem Matthiasa. Smętna ballada o utraconej miłości w stylu country to jedyne, czego potrzebował.

Gruber zajął miejsce przy barze sztywny, jakby połknął kij. Widać było, jak z ukosa zerka na śpiewającą dziewczynę. Wychylił kielicha i zakochał się na śmierć.

Jasmin również przyglądała się śpiewaczce, ale raczej z dezaprobatą.

- Nie smakuje? - Nickie Falcone uniósł szklanę do połowy wypełnioną mętym płynem i przyjrzał się jej uważnie pod światło.

- Smakuje. Jest niezły. Naprawdę. Ciebie bym w konia nie robił. - Matthias już czuł błogie zmęczenie rozlewające się po ciele. Pewne funkcje ulegały wyłączeniu, wskaźnik pozostałych wzrastał. - Niezły i mocny. - Czknął, czekając, co powie gangster.

- Nie do ciebie mówiłem, fagasie, tylko do niej.

Jasmin uśmiechnęła się samymi kącikami ust.

- Super.

- Właśnie to chciałem usłyszeć. - Falcone wzniosł szklanicę do ust, a jej zawartość pochłonął jednym potężnym haustem.

- Nickie, masz idealne życie. Zazdroszczę ci.

- Dureń jesteś, Mati, i tyle.

- Ale naprawdę, ja ci... Co ja, biedny, mam teraz zrobić? - Holtowi zrobiło się przykro. - Smutek mnie ogarnia.

- Przestań pieprzyć. - Grubas kiwnął na barmankę, a ta pośpieszyła z pełną butelką. - Pij.

Wypili.

- Któregoś dnia...

- Tak, Nickie?

- Sam chętnie urwę ci łeb, najlepiej tuż przy samej dupie.

- Dlaczego?

- Wkurwiasz mnie.

- Niemożliwe.
- A możliwe, możliwe, cwaniaczku kwaśno-miętowy.
- A wiesz, że on cię bardzo lubił?
- Gównu tam lubił, chciał mnie wyruchać tak jak wy wszyscy. – Falcone opadł na oparcie, solidnie zamoczony alkoholem, który krążył w jego żyłach. – Samantha, skończ z tymi smętami. Za co ja ci płacę, dziewucho?
- Samantha, piękne imię – rozmarzył się Matthias.
- Chcesz, to ci ją oddam za dwa magazynki do automatu.
- Naprawdę? – ucieszył się, ale cios podkutym butem Jasmin, który zaliczył w pieszczel, znacznie ostudził jego entuzjazm. – Nie stać mnie, Nickie.
- Wspominałeś coś o jakimś chłopczku. – Falcone oblizał usta. – Na chłopców się teraz przerzuciłeś? Właściwie nie moja sprawa.
- Nie na chłopców, Nickie. – Stalker pogroził gangsterowi palcem. – To ...
- Oszczędź mi swojego pierdolenia.
- Nickie, Nikuś, dlaczego mi to robisz? – Matthiasowi zaczął się plątać język. Na szczęście, zanim zdążył powiedzieć coś głupiego, śpiewaczka rozpoczęła znacznie weselszy utwór, tym razem o prerii i kowbojach, a nie o miłości.
- Kiedy ten grzdyl się tu zjawił? – Falcone przeszedł do interesów.
- Niedawno.
- Bardzo mi pomogłeś.
- Nic więcej nie wiem, oprócz tego, że przysłali go z Hallesches Tor.
- Jak go znajdę, będziesz mi wisiał przysługę.
- Jasne... wiesz... ja zawsze... wywiązuję się...
- Pijmy.

Kolejny ranek należał do najtrudniejszych w całym dotychczasowym życiu Matthiasa. Bolało go wszystko, nawet włosy. Wchłonał w siebie tyle alkoholu, że mógł przystawić zapałkę do ust i ziać ogniem jak smok. Oczywiście wpierw by się porzygał.

- Wody.
- Idź i sobie weź – usłyszał w odpowiedzi słowa Jasmin. – Służącą sobie znalazłeś?
- Proszę.
- Zostało dwanaście godzin. Lepiej o tym pamiętaj.
A tak, za dwanaście godzin należało odebrać Maksa z przechowalni. Zupełnie o tym zapomniał.

Pokój, w którym się znajdowali, wyposażono w łóżko i niewielką komódkę przy drzwiach. Nikogo oprócz nich tu nie było. Dopiero teraz zauważył, że nie miał na sobie spodni.

- Czy my...? – zapytał zakłopotany.
- Nie wyobrażaj sobie za dużo. – Dziewczyna prychnęła pogardliwie. – Pijaku.
- Nie widzę Grubera.
- Twój kolega miał więcej szczęścia.

Z pewnym opóźnieniem dochodziły do niego pojedyncze obrazy z poprzedniego wieczoru. Coś tam kojarzył... Mechanik i śpiewaczka z gitarą. Czyżby? Nie, nie chciał wiedzieć.

- Pośpię jeszcze. Obudź mnie, jak pojawi się Nickie.

Na razie wystarczy. Pogadali sobie, co pochłonoło resztę energii, jaką posiadał. Naciągnął koc pod brodę i odwrócił się na bok. Co jak co, ale snu potrzebował teraz najbardziej.

– Ten twój Nerd jest chyba w czepku urodzony. – Falcone nabił na widelec całą kiełbaskę i właśnie przymierzał się do jej pochłonięcia. Matthiasowi na ten widok żołądek podjechał do gardła. Na razie jedzenie wywoływało u niego mdłości.

– Naprawdę? – zdziwił się cicho, zadowolając się szklanką wody.

– Pewnie.

– To znaczy, że jest cały i zdrowy?

– Można tak powiedzieć. – Gangster odgryzł spory kawałek mięsa i zaczął go przeżuwać.

– Możesz... pfff... przepraszam, możesz jaśniej?

– Trochę go tam potarmosili, nic nadzwyczajnego.

– Tam, to znaczy gdzie?

– Ten... – Falcone pstryknął palcami. – Mówiłeś o takim jednym...

– Wichmann.

– Właśnie, Wichmann – przytaknął zadowolony grubas. – Sprzedał Nerda takiej gnidzie.

– Jak się nazywa?

– Rausch.

Nazwisko nic stalkerowi nie mówiło.

– Co z nim?

– Prowadzi burdel i parę mniejszych biznesów.

– A konkretniej?

Już sam burdel był sporym nieszczęściem, ale „mniejsze biznesy” to już w ogóle brzmiało słabo.

– Są takie zajęcia...

– Dobra, zrozumiałem. – Matthias uniósł dłoń. Domyślał się, o co chodzi.

Przeciętnego człowieka nie dawało się zmusić do wykonania pewnych prac. Nie każdy nadawał się do wejścia w szczelinę pół na pół metra i fedrowania przez parę godzin chodnika, przerzucania ton gówna, jak i do pracy tam, gdzie promieniowanie było wyjątkowo wysokie, a po paru dniach włosy wychodziły garściami. O trafieniu na czerwie żyjące w glebie czy inne paskudztwo nie wspominając. Takie roboty wykonywali niewolnicy bądź desperaci niemający nic do stracenia. Nerd w tym towarzystwie długo nie pociągnie.

– Ten facet to twój kumpel?

– Za dużo powiedziane. – Falcone przymierzał się do wchłonięcia kolejnej kopiastej porcji śniadania. – Robak.

– Jaki robak?

– Debil, kurwa, jesteś czy co? Robak, taką ma ksywkę.

– Wybacz, dziś nie jestem w formie.

– Widzę – skwitował Falcone, plując jedzeniem i śliną na wszystkie strony. – On ci odstąpi Nerda.

– Super! – Matthias ucieszył się jak małe dziecko. W końcu to pasmo nieszczęść zmierzało do pomyślnego końca.

– Pod jednym warunkiem.

– Jakim? – Fala euforii szybko opadła.

– Zobaczysz.

Rozdział XXIII

Bohaterowie są zmęczeni

Wcześniejszy kiepski poranek wydawał mu się błogim wywczasem w porównaniu z emocjami czekającego go popołudnia.

Arena. Słyszał, widział, ale do tej pory nie uczestniczył w tej jakże emocjonującej napażance, gdzie dwóch facetów okłada się, dopóki jeden z nich nie padnie na deski.

Umowa była prosta – jeżeli wygra trzy walki z rządu, to Nerd będzie mógł odejść z nim wolny. Transakcja jasna i prosta. Trzech przeciwników, aż i tylko. Jeżeli nie chce walczyć, nie musi, ale chłopaka na oczy już nie zobaczy.

– Oszalałeś?

Kac przeszedł jak ręką odjął.

– Słuchaj, Holt, chciałeś, żeby ci pomóc, to pomogłem. Nie miej o to do mnie pretensji. Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem? Ja do ciebie z sercem na dłoni, a ty do mnie z takimi słowami? Człowieku, ja ciebie tu nie zapraszałem. Przyszedłeś w łachę i śmiesz mnie obrażać. Zaraz sam ci przypierdolę, obejdziesz się bez pomocy zawodników Robaka.

– Nickie, ja nie dam rady.

– Gównu mnie to obchodzi.

– Nikuś, proszę, ostatni raz...

– A owszem, to się da załatwić. – Falcone wydał wargi. – Zamiast ciebie wezmę ją.

– Wskazał na Jasmin. – Może być?

Upiorny rehot sprawił, że Matthiasowi odechciało się żyć. Boss miał rację, on sam był winny od początku do końca. Chciał pomocy, to ją otrzymał. Napił się, najadł, no to dostał rachunek. Jednego był pewny – swoje brudne paluchy maczał w tym Falcone. Gangster chciał się zemścić.

Stratę na akumulatorach odbije sobie na walkach. Pewnie już porobił zakłady. Tu się uśmiechał i zapraszał do jedzenia, a w głowie kłębiły mu się sadystyczne myśli. Nie ma co, świetnie wszystko wykombinował.

– Aha, jeszcze jedno. – Falcone zaczął wydobywać palcem kawałek kiełbasy, który wszedł między zęby. – Jesteś mi winien za pokój i żarcie. Trzydzieści nabojów. Lepiej, żebyś miał, bo takich, co żrą i chleją, a nie płacą, bardzo nie lubimy. Prawda, Erich?

Ochroniarz i wykidajło w jednej osobie natychmiast przytaknął szefowi.

– Nickie, proszę...

– Chyba rozum cię opuścił, Holt – roześmiał się Falcone. – Masz trzy godziny.

– Nie mam zegarka – poskarżył się stalker płaczkliwie.

– Nie szkodzi. Erich ci powie, kiedy masz ruszać.

– Owszem, szefie.

– Wszystko pięknie. Ty rób, co chcesz, ale pamiętaj: los paru osób jest w twoich rękach.

– Matthias...

Udał, że jej nie słyszy.

– Matthias.

– Co?

– Przestań się dąsać. Leżysz tak i leżysz.

– A co mam robić?

– Jesteś stalkerem.

– Raczej byłem.

– Lubisz się uważać nad sobą.

- Skąd to możesz wiedzieć?
- Szkoda, że siebie nie słyszysz.

Jak będzie miał szczęście, pokona jednego. Wizualizacja w głowie podsuwała obraz osiłka podobnego do ochroniarzy Wielkiego Sępa – ogromna, napakowana maszyna do zabijania. Taki pewnie rozwalił więcej łbów w karczemnych awanturach, niż on zastrzelił mutantów.

Jeżeli jakimś nieprawdopodobnym zrzędzeniem losu powali takiego zbira, to następny będzie jeszcze gorszy. Trzeci wydawał się nieosiągalny.

Od myślenia Matthiasa ponownie rozboleła głowa. Falcone nie wspominał o jednej sprawie – co się stanie, jak zostanie znokautowany już na samym początku. Stał do walki, ale przegrał. Trudno, zdarzyło się. Czy własną krwią zmaże obecne długi? Nerd zostanie tam, gdzie jest teraz, ale czy oni będą mogli odejść? Na ten temat boss milczał. Szkoda, bo on lubił wiedzieć, na czym stoi.

- Jasmin?
- Tak?
- Wiew. Jest okazja. Zabierz Grubera i nie pokazujcie się tutaj już nigdy więcej.
- Nie.
- Dlaczego nie?
- Bo nie.
- To nie jest argument.
- Erich pilnuje wyjścia.
- Cholera.
- Tak właśnie, cholera.

Przyszli po nich pół godziny przed walką. Falcone niewiele mówił, głównie wydawał polecenia. Zostali wyprowadzeni schodami w dół, a potem na główny peron, do miejsca, gdzie zmontowano boksinerski ring. Osławioną arenę.

Kiedyś patrzył, jak się po pyskach lali, dziś samemu przyjdzie się zmierzyć pomiędzy linami.

Tłum już oczekiwał na zawodników, wykrzykując przy okazji własne sympatie i hasła.

Te były po stronie jego przeciwników, jak się wydawało, znanych kibicom. On na pewno nie był faworytem. Dostanie wycisk aż miło.

Z powodzeniem mógłby krzyknąć: „Ludzie, po co wam to wszystko, turniej skończy się w ciągu minuty”. Tyle najwyżej ustoi.

- Rozgrzałeś się? – Gruber pośpieszył z dobrą radą.
- Nie.
- Musisz.
- Ja nic nie muszę.

Matthias przystanął przed ringiem, wznosząc oczy do góry. Przeciwnik już tam stał. Prawdę mówiąc, niewiele różnił się od mutantą – twarz wyklepana w setkach starć sprawiała wrażenie zastygłej maski. Kark, ramiona, mięśnie klaty – wszystko spocone i lśniące. Małe oczka wbijały się w Matthiasa jak sztylety.

On ma walczyć z tą górą mięcha? Bardzo zabawne. W pięć sekund straci łeb razem z płucami.

W tym czasie Nickie Falcone rozplątywał się w uśmiechach, witał z pozostałymi bossami i poklepywał po plecach Matthiasa, zupełnie jakby ten był towarem do zareklamowania.

- Więcej entuzjazmu – usłyszał od Wielkiego Sępa.

– Tego nie było w umowie.

– Jak mówię, że masz coś zrobić, to lepiej to zrób. Dobrze ci radzę.

Matthias poczuł w tym momencie, że odkleja się od rzeczywistości. Całe to zamieszanie rozgrywało się gdzieś obok i nie dotyczyło jego. Nigdy, ale to nigdy w życiu nie znajdował się w centrum aż takiego zainteresowania. Pod arenę przyszło... ze dwieście, trzysta osób. Od każdego nabój... Zaraz, zaraz – walki mają być trzy, zatem raczej po trzy naboje. Majątek na samym wejściu. A zakłady? Tu z ręki do ręki przechodziły całe fortuny.

Gruber, który robił za sekundanta, nie odstępował go na krok.

– Znasz się na tym? – zapytał Matthias, z trudem przekrzykując panującą wrzawę.

– Trochę.

– Nie pomagasz.

– Podobno sam wiesz najlepiej, co robić.

– Zmiłuj się.

– Trochę późno na trening.

Wielki Sęp nie zważał na ich rozmowę, pchnął stalkera do przodu, zmuszając do wdrapania pomiędzy liny.

– Trzymaj się, Mati! – usłyszał jeszcze wołanie Jasmin. Próbował się odwrócić, ale było już za późno, znalazł się na ringu. Rozległ się gong i rozpoczęła walka.

Przeciwnik rzeczywiście próbował rozstrzygnąć starcie już w pierwszej minucie, ruszając na Matthiasa z głośnym okrzykiem.

Stalker ustawił się bokiem, unosząc pięści. Wyglądało to pewnie żałośnie, a nie bojowo, niemniej pohamował zapędy osiłka i zmusił go do zmiany taktyki.

– Na środek, Holt, na środek, nie stój, kurwa, przy linach! – Falcone wydzierał się najgłośniej, jak potrafił.

Miał rację, na środku było więcej miejsca, a z narożnika nie ma ucieczki.

Dwa małe kroczyki do przodu, lewa noga w górę, garda, to nie klasyczny boks, tylko mordobicie.

Przeciwnik zerwał się do ataku, próbując zamknąć Matthiasa w uścisku. Holt cofnął się i wyprowadził kopnięcie, co w zamierzeniu choć na chwilę miało przyhamować agresywne zapędy. Nie spodziewał się zbyt wiele po tym uderzeniu. Nie jego wina, że tamten nadział się na jego nogę. Obaj bardzo się zdziwili, aczkolwiek osilek ciut bardziej. Stopa Matthiasa w ciężkim bucie trafiła tuż pod kolaniem. Kość chrupnęła, a widzowie zamarli.

Matthias mocno się wystraszył, opuścił gardę i natychmiast oberwał pięścią w szczękę, aż pofrunął do tyłu. Nie był to klasyczny nokautujący sierpowy, raczej muśnięcie, od którego pod stalkerem ugięły się nogi.

Wylądował plecami na linach, odbił się od nich i trochę zamroczony przyjrzał się, co robi przeciwnik.

Gdzieś w mózgu odezwało się dobrze mu znane wezwanie – zabić, zabić, wszystkich zabić.

Trzy szybkie kroki, zwód i zejście w prawo, nim wielkie łapsko zahaczy o głowę. Pięknie. Tamten wciąż nie zmienił pozycji. Noga musiała uciepieć bardziej, niż się wydawało.

Tym razem wyprowadził kopnięcie niewiele wyżej, trafiając w udo drugiej nogi. Machnął też ręką, ale dla odwrócenia uwagi.

Mutant wył, tłum szalał, a on po następnym zwodzie znalazł się za plecami przeciwnika. Sytuacja wyglądała na idealną. Skoczył i zacisnął uchwyt na szyi typa, a palce wbił w oczy. Niech gad wie, że z nim nie ma żartów. Jak się uda, przewróci go na plecy i zaprawi kolaniem. No, dalej, ty góro mięcha.

O tym, że przeliczył się ze swoimi możliwościami, przekonał się dosłownie sekundę później. Został pochwycony przez masywne ramiona jak przez krakena i wykonał salto ponad głową osiłka.

Świat z tej perspektywy wydawał się nierealny, a pomysł z duszeniem najgorszy,

na jaki mógl wpaść. Ten facet faktycznie był bliski oderwania jego głowy. Lot wydawał się trwać całą wieczność.

Gruchnął o dechy piętami, aż poszło echo. O dziwo, nie stracił przytomności. Każdy szczegół walki głęboko zapadał w pamięć. Leżał na plecach, widząc nad sobą wściekłe oblicze i rozcapierzone palce. Odturlał się na bok, lecz i tak oberwał szturchańca w plecy.

Zabolało.

– Uciekaj, Mati! – Gruber machał, a on nie wiedział, co się dzieje. Dopiero kątem oka dostrzegł grożące mu niebezpieczeństwo.

Odepchnął się nogami i znalazł tuż przy narożniku. Iść w prawo czy w lewo? Nie wiedział, skąd nadejdzie zagrożenie. Pochylił się i pobiegł tuż przy linach.

Zyskał sporo wolnego miejsca. To dobrze. Będzie gdzie zwiewać, jak dojdzie do kolejnego zwania.

Pomysł z duszeniem okazał się niewypałem. Równie dobrze mógłby założyć nelsona krakenowi. Walka na dystans wydawała się najlepszym rozwiązaniem.

Dał sobie parę sekund na odpoczynek. Publika gwizdała, ale miał to gdzieś.

Skrócił dystans. Na policzkach i skroniach osiłka dostrzegł krwawe pręgi. To pewnie była pamiątka po jego paznokciach. Dobrze mu tak. Myślał, że walczy z nowicjuszem? Ha.

Holt był poobijany, ale za to przestał go dławić śmiertelny lęk. Tamten był tylko człowiekiem. Pierwsze starcie uświadomiło Matthiasowi ten fakt wyjątkowo wyraźnie. Nabrał pewności siebie, a to już dużo.

Już nie skakał, tylko podszedł bliżej, kołysząc tułowiem na prawo i lewo. Wyprowadził szybki cios i zszedł w prawo. Nóżka cię boli, draniu? No to jeszcze raz. Znow uderzenie, lecz tym razem zamiast w prawo, wykonał zwód w lewo. A teraz czas na finał. Szybki kopniak w uszkodzone kolano sprawił, że przeciwnik wrzasnął z bólu. Doskonale. Odskok i mała parada.

– Walcz, Holt. Na co czekasz? – Falcone dalej wyrzaskiwał swoje.

Dalej nie pójdzie tak łatwo. Osilek wiedział, że musi chronić kontuzjowaną nogę. Trochę ją przesunął do tyłu, poza zasięg kopniaków Matthiasa. W pojedynkę pięściarski stalker wolał się nie wdawać. Skończy się jak poprzednio lub gorzej.

Jak na razie nikt nie zyskał wyraźniejszej przewagi. Mogą tak ciągnąć kolejne trzy dni, aż padną z wyczerpania, a przecież nie o to chodziło.

Wrzaski i nawoływania zmusiły w końcu przeciwnika do ataku. Kuśtykając jak paralytyk, próbował zapędzić Matthiasa w narożnik, lecz ten w porę się wycofał.

Zarówka nad ringiem rzucała długie cienie. Nie widział nic poza areną. Ludzkie postacie falowały, zachęcając do podjęcia kolejnej akcji. Matthiasowi akurat się nie spieszyło. Jak zmarnuje większość sił teraz, to jak sprostą następnemu zawodnikowi Robaka?

Kolejne przejście i kolejne. Widział, że potężny mężczyzna dyszy z wysiłku. Spróbowałbyś pochodzić w masce i skafandrze, cwaniaku. Po godzinie prosiłbyś o zmiłowanie.

Zamarkował atak na głowę. Zdziwił się, gdy trafił. Wycofał się, gdy zrozumiał, co jest grane. Jeszcze jedna taka akcja, a zostanie pochwycony i zaduszony na amen.

Nic z tego. Lewa noga do przodu, dostawić prawą, cios i odskok, gdy ramiona zaczynały wyciągać się ku niemu, unik i kopniak w bolące kolano z całej siły.

Wyszło tak, jak zaplanował. Uszkodzone wiązanie nie wytrzymało ciężaru cielska. Zawodnik zawył, przyklęknął i oparł się dłonią o deski. Matthias doskoczył, wymierzając potężnego kopniaka w bok głowy.

Nad peronem zapadła cisza, gdy zawodnik, będący niekwestionowanym faworytem starcia, padł nieprzytomny.

Matthias przyjrzał się leżącemu. To wszystko? Przecież to on miał tak skończyć, a tymczasem wynoszą tamtego.

Jeden z głowy. Pozostało dwóch. Czas na małą przerwę.

- Holt, ty za dużo kombinujesz. – Falcone już się nie wydzierał, tylko przemawiał łagodnym tonem.
- Nie wiem, o czym mówisz.
- Ty się tam normalnie opierdalasz, może nie mam racji? Stoisz jak palant, myśląc, co tu zrobić.
- Wygrałem.
- Nie da się ukryć.
- Wygrałem, kombinując, a nie idąc na żywioł.
- Niby tak.
- Chcesz wody? – Jasmin podała Matthiasowi plastikową butelkę.
- Ehe...
- Musi odpocząć – zaznaczył Gruber.
- Byle nie za długo. Zaraz ruszamy.
- Jak się czujesz?
- Dobrze.
- Byłeś fenomenalny.
- Co? Jaki?
- Prawdziwy z ciebie wojownik.
- Gruber kawałkiem szmaty próbował wytrzeć z ramion Holta pot.
- Pracuj więcej nogami – odpowiedział.
- Jasne.
- Faktycznie kopnięcia wychodziły Matthiasowi najlepiej. Więcej nogami, czyli więcej walki w dystansie. Może to poskutkuje i teraz, choć trudno było powiedzieć, z kim przyjdzie zmierzyć się w kolejnym starciu.
- Matthias, przestań się obijać. – Falcone stanął tuż nad nim. – Następny kochaś czeka.
- Uważaj na siebie. – Palce Jasmin zacisnęły się na jego ramieniu. Wiedziała, jak mu dodać otuchy.
- Przecież wiesz, że w tym akurat jestem najlepszy.
- Wstał i prześlizgnął się pomiędzy linami.
- W przeciwnym narożniku panował tłok. Co najmniej kilku facetów tłoczyło się jeden przy drugim. Widział ich plecy, ale żaden z nich nie wyglądał na zawodnika. W końcu sekundanci zgonili tłumek z ringu i jego oczom ukazał się przeciwnik.
- To chyba jakiś żart?
- Facet sięgał Matthiasowi do ramion i był od niego znacznie chudszy. Owszem, umięśniony, ale chucherko z gęstą strzechą czarnych włosów zawiązanych na karku. Odwrócił się w bok, szukając wzrokiem Nickiego.
- Co to za jeden?
- Nic się nie przejmuj.
- Robakowi zabrakło ludzi?
- Uparł się na tego pokurcza.
- No nie, prawie na koniec musi bić się z cherlakiem, którego nigdy by nie wziął na powierzchnię. Wszelako z doświadczenia wiedział, że nie należy lekceważyć przeciwnika. Mały, bo mały, ale może okazać się piekielnie groźny.
- Nie znał Rauscha, ale bandzior na pewno nie miał zamiaru żartować. Skoro wystawił tego faceta, to kurdupel z pewnością ma zalety. Oby walka nie była podobna do poprzedniej, z tą różnicą, że to on, Matthias, będzie nieruchawym osiłkiem. Gość na pewno był szybki i wygimnastykowany. Holt po swojej stronie miał masę i siłę.
- Pycha zeszła z niego jak spuszczone powietrze. Uspokoił oddech i rozluźnił mięśnie.

Gong.

Dalej. Tym razem nie liczył na przypadek.

Uniósł wysoko gardę, żeby chronić głowę i tułów, łokieć prawej ręki przy żebrach, bo jak dostanie w wątrobę, to się nakryje nogami, broda nisko. Postawił na defensywę. Niech tamten pokaże, co potrafi, w końcu to jego oklaskiwali.

Przesunął się do przodu. Śniady mężczyzna zupełnie swobodnie wyszedł na spotkanie. Nawet nie silił się na postawę, ruszał tylko głową, rozluźniając mięśnie karku.

W głowie Matthiasa pojawiła się myśl, żeby wykorzystać okazję. Jak przypierdoli głabowi w nos, będzie koniec, a co najważniejsze, nie zmęczy się zbyt długim okładaniem z tym gnojkiem.

Już chciał wykonać ruch, kiedy przeciwnik odszedł w bok. Matthiasowi nie pozostało nic innego, jak wykonać zwrot. Wyprowadził szybki lewy, tylko po to, żeby zorientować się w tym, co zrobi pokurcz.

I co? I nic. Przeciwnik stał i się uśmiechał.

Może spróbować kopniaka. Jak nie z góry go, to z dołu.

Machnął nogą w stronę krocza kurdupła. Podobnie jak w przypadku ciosu pięścią i tym razem nic z tego nie wyszło. Wymach okazał się tak beznadziejny, że nie wywołał reakcji. Tamten nawet nie silił się na unik.

O, ty szcurze... Holt skrócił dystans i ponownie zaatakował lewym prostym. Tym razem uderzenie zostało sparowane. No to jeszcze raz.

Celował w głowę, ale nim cios doszedł, przeciwnik znikł z pola widzenia.

Gdzie ten złamas się podział?

Nim zdążył go zlokalizować, oberwał w żebra. Ból, jakby dostał kijem. Lewa ręka opadła odruchowo w dół, a wtedy dojrzał przed sobą pięść zmierzającą prosto w szczękę. Na unik bądź odejście nie starczyło czasu. Dostał w pysk. Żarówka nad ringiem trochę pociemniała. Generator zaczął szwankować?

Skulił się i zrobił krok w tył. Grad ciosów padał z lewa i prawa. Istna nawała. Schował głowę za przedramionami. Przynajmniej w ten sposób dawało się uniknąć spadających uderzeń.

Nic nie widział, ledwie oddychał. W desperacji wyciągnął ręce, rzucając się jednocześnie do przodu. Zwarli się w klasycznym klinczu, głowa przy głowie. Uścisk pozwolił ochłonać Matthiasowi. Tamten przestał atakować i skupił się na próbach odepchnięcia Holta od siebie.

Nic z tego. Stalker udał, że próbuje odejść i zaatakował głową. Trafił czołem w nos.

Ty kurwo i gnido, już ja cię urządzę!

Złapał mocno za chudy kark. Raz i dwa.

Nieważne, że boli, chciałeś, to masz.

Zdążył użyć czoła jeszcze dwa razy, nim przeciwnik zaczął wymykać się z uścisku. Na to nie mógł pozwolić. Złapał zębami za ucho pokurcza, jednocześnie lewym kolaniem celując w tułów. Nogi się splotły, ale to akurat bez znaczenia. Przewrócili się. On wciąż był na górze.

Nie puszczę, nie puszczę.

Łokciem zaczął walić w żebra. Obrzydliwy smak krwi wypełnił usta Matthiasa. Musiał zaczerpnąć powietrza. Z braku tlenu zaczęło mu się kręcić w głowie. Rozwarł szczęki, co tamten momentalnie wykorzystał. Wysunął się spod niego i odczołgał w narożnik.

Matthias był obolały, ale dawało się wytrzymać.

Żaden z nich nie spieszył się z powrotem do walki.

Holt, uprzedzając fakty, uniósł ręce w geście zwycięstwa. Fala entuzjazmu uderzyła o sufit.

Widowisko się podobało, publiczność stanęła po jego stronie. I kto jest górą?

Pokurcz wyglądał jak zarzynana świnia. Krew lała się na szyję i bark. W oczach zapaliły się mordercze błyski. Już nie pozował na luzaka, był wkurzony na maksa, a

skoro tak, to zacznie popełniać błędy.

Trzymając się lin, wstał i na moment pochylił głowę. Pewnie szukał inspiracji w czerwonej kałuży pod nogami.

Matthias niczego więcej nie potrzebował. Spadł na drobnego fightera jak kot na mysz, uderzając kolanem w tył głowy, a łokciem w kręgosłup, tak z całej siły, żeby zasraniec popamiętał do końca życia.

Raz i dwa, a co, do piekła z nim.

Kontratak przyszedł błyskawicznie, na szczęście był na niego gotowy. Odstąpił i walnął butem w czachę. Finezji w tym żadnej, skuteczność na maksa. Dobrze, że były liny. Zawodnik Rauscha odbił się od nich i poleciał w stronę Matthiasa.

Taka okazja mogła już się nie zdarzyć. Zwód i kop trochę z boku.

Z powodu nierozciągniętych mięśni wyszło słabo, dużo poniżej oczekiwań. Trafił w ramię, o mało się przy tym nie wywracając. Ten ułamek sekundy sprawił, że przeciwnik spróbował ująć egzekucji. Holt desperacko skoczył na plecy uciekiniera. Dostał przy okazji piętą w udo, ale co tam. Przygniótł wijące się ciało. Ważył jakieś dziesięć kilogramów więcej. Wystarczyło. Wróg leżał na brzuchu, próbując wyrwać się na lewo.

Założył duszenie i zaczął ciągnąć do tyłu. Cały uwaliał się krwią z rozerwanego ucha, przez co nie był pewny własnego uścisku. Kręgosłup pokurcza wygiął się w łuk. Niech pięknie, co go to obchodzi. On się tu nie wpraszał.

W końcu ciało pod nim zwiotczało. Ciągnął jeszcze przez moment, nie napotykając oporu. W końcu rozluźnił chwyt, spodziewając się kolejnego kontrataku.

Nic podobnego nie nastąpiło.

Wygrał? Nieprawdopodobne, ale zdaje się, że wygrał drugi pojedynek. Czegoś podobnego się nie spodziewał, lecz stało się, jak się stało.

Wstał. Nogi mu drżały, a on spazmatycznie łapał powietrze. Tym razem trwało to krócej niż poprzednio.

Nickie Falcone i Rausch zawzięcie dyskutowali w narożniku. Miał ich w dupie. Niech ten tłusty wieprz spróbuje nie wywiązać się z obietnicy, a Jannowitzbrücke spłynie krwią.

- Nie szarp.
- Kiedy boli.
- Musi boleć.
- Ale nie aż tak.

Gruber przytargał wiadro pełne wody do zmycia z Matthiasa posoki, którą został zbryzgany. Dopiero potem można się było przyjrzeć siniakom, otarciom i okaleczeniom. Trochę tego się nazbierało. Na przykład pulsująca pręga na plecach na prawej łopacie. Nie przypominał sobie momentu, w którym doszło do zdarcia skóry. Albo tępy ból w lewej kostce. Jak zdejmie but, już go nie wsunie na stopę. Musiał skrócić staw, gdy okładał pokurcza. Jeżeli doliczy do tego uszkodzony kciuk w prawej dłoni, to robiło się nieciekawie.

Jeszcze jeden sukinsyn i koniec. Ostatnie parę minut i jazda w jakieś milsze rejony. Najlepiej na drugi koniec linii U7. Tam przyczai się na parę tygodni, aż większość afer z jego udziałem przycichnie. A i potem nie będzie pchał się w oczy. Może o nim zapomną. Tak będzie najlepiej. Dosyć już narozrabiał.

- Jasmin?
- Słucham.
- Może ty mi powiesz, z kim będę walczył?
- Pojęcia nie mam.
- Może słyszałaś o jakimś mistrzu? Ja się na tym nie znam.
- Ja też nie.
- Mhy...

- Boisz się?
- Pewnie.
- Doskonale sobie radzisz. Ten ostatni mocno mnie przestraszył.
- Kurdupel?
- Już go kiedyś widziałam. Załatwił typa dwa razy większego od siebie.
- Teraz go znieśli.
- Tobie nie sprostał.
- To jak będzie?
- Dobra, pójdę pogadać. Może się czegoś dowiem.

Gdy dziewczyna się oddaliła na odpowiednią odległość, przestał oddychać przez zęby.

- Auć.
- Jesteś jak dziecko.
- Zabiję tego gnoja, którego mi wystawia, potem ciebie, a na końcu Maksa.
- Co z Jasmin?
- Lepiej, żebyś nie wiedział.

- Czego się dowiedziałas?
- Niczego.
- Szkoda.

Ukłucie niepokoju przeszło serce Matthiasa. Dlaczego robili z tego taką tajemnicę? Chcą go zaskoczyć? Jaki mają w tym cel? Przeciwnik mały czy duży, to bez różnicy. Mają wyjść na planszę i zacząć obijać sobie ryje. Jeżeli do pojedynku wystawia największego z mistrzów, on i tak się na tym nie pozna. Publika tak, jego ekipa nie. Zresztą co to za ekipa. Dwie osoby. Jasmin nie liczył, Falcone też nie.

- Widzę, Holt, że jesteś w formie. – Gangster wynurzył się spomiędzy widzów.
- Gdzie Nerd?
- Stęskniłeś się za nim?
- Gdzie on jest?
- Czeka.

Enigmatyczna odpowiedź rozjuszyła Matthiasa.

- Chcę go zobaczyć.
- Nie tak szybko.
- Słuchaj... – Stalker wstał i przybliżył pokiereszowaną twarz do spalonego oblicza gangstera. – Macie trzy minuty. Jeżeli w ciągu tego czasu nie zobaczę chłopaka, to odmówię walki. Ja nie żartuję.
- Erich... – Falcone skinął na ochroniarza. – Walnij głąba w ten pusty czerep.
- Ciekawe, co powiedzą ci, którzy zapłacili za wstęp. – Matthias założył ręce, przyglądając się podchodzącemu Erichowi. – Na pewno ucieszą się na taki widok. A ci, którzy porobili zakłady, jeszcze bardziej.
- Nie próbuj mnie straszyć.
- Wcale tego nie robię.
- To jak, szefie, łać? – Erich już składał się do zadania ciosu.
- Czeka.

Widzowie rzeczywiście z zainteresowaniem przyglądali się, jak dalej potoczy się konflikt pomiędzy zawodnikiem a jego promotorem.

- Wkurwiasz mnie.
- Idź po Nerda.
- Pilnuj ich.

Erich zamarł w oczekiwaniu. Falcone się oddalił. Oczekiwanie przedłużało się, a ludzie niecierpliwili.

- Mati, zadzieras z niewłaściwymi ludźmi – odezwała się Jasmin.
- Nie robią ze mnie frajera.

- To bandyci.
- I co z tego? Czy to oznacza, że są gorsi od darwinistów czy popychadeł Wichmanna? Mam ich w... - Matthias boleśnie ugryzł się w język.

- Siła kalifa tutaj nie sięga.

- Nie o nim myślałem.

- Na pewno?

- No... odrobinę. - Gdzieś w tyle głowy miał cichą nadzieję, że muzułmański przywódca w razie potrzeby pośpieszy im z pomocą. Dopiero po słowach dziewczyny uświadomił sobie własną naiwność. Co kalifa mogły obchodzić porachunki Matthiasa z Syndykatem? Nic, zupełnie nic.

Oszukiwał się i tyle. Zdany był wyłącznie na siebie. Co najwyżej po wszystkim będzie mógł poszukać schronienia u islamskich przyjaciół. Pewnie go nie wydadzą, ale pewności nie miał.

W końcu pojawił się Falcone w towarzystwie Rauscha. O ile Falcone przypominał mastodonta, to Rausch śmierć na chorągwi - wysoki, chudy, z brzydkimi, ciemnymi plamami na łysej głowie i wodnistymi oczami.

- Stawia się? - spytał pogardliwie Robak, gdy już znalazł się o metr od Matthiasa.

- Może go tak...

- Uparty - powiedział Falcone, stanąwszy obok.

- Jak na ciebie mówią, bo zapomniałem?

- Matthias - Wielki Sęp wyręczył go w odpowiedzi.

- Jaki Matthias?

- Holt.

- Twoje imię i nazwisko mam już teraz wyryte w mózgu złotymi zgłoskami. Już o tobie nie zapomnę. - Z ust Robaka cuchnęło jak z otwartego grobu.

- Gdzie Nerd?

Rausch strzelił palcami i za jego plecami powstało zamieszanie.

- Mati, Mati...

- Nerd?

- Gdzie Jorge?

- Powiem ci później.

Od dawna tak się nie ucieszył. W końcu dotarł do celu. Chłopak wydawał się cały i zdrowy.

- Nic ci nie zrobili?

- Nie.

- Jasmin się tobą zajmie.

- Nie tak prędko. - Rausch uważnie przysłuchiwał się wymianie zdań.

- Umowa...

- Umowa właśnie uległa zmianie. - Robak uśmiechnął się obleśnie.

- Nie możesz.

- Ja wszystko mogę.

- Co tym razem? - Matthias próbował grać twardziela, ale zaczęło go zdradzać lekkie drganie lewej powieki. Nie potrafił opanować tik. Przyłożył dłoń, udając, że wyciera pot. Nic z tego. Powieka drgała coraz bardziej.

- Dostaniecie kije.

- Jakie kije?

- Normalne, debilu.

- Nie chcę.

- A kogo to obchodzi. - Rausch roześmiał się na głos. - Jazda.

To ma być drąg? To, kurwa, ma być drąg? Tym pieprzonym kijaszkiem może co najwyżej walić gruchę. Cholerny patyk, długi na niecałe dwa metry i cienki jak jego kciuk. Porażka.

Całkiem pochłonięty oględzinami nowej broni przestał zwracać uwagę na osobę, z którą miał się zmierzyć.

– No już, zaczynajcie!

Głośna zachęta sprawiła, że odwrócił się frontem do przeciwnika i zamarł z wrażenia.

– Idun?

Botaniczka nie pozbyła się tatuaży. Wręcz przeciwnie, zdaje się, że na jej twarzy przybyło parę nowych listków. Wyglądała jak wcielenie furii. Jej kij w porównaniu z tym, który on trzymał w rękach, był cztery razy grubszy, miał oba końce okute metalem i nabite ćwiekami. Z czaszki po uderzeniu czymś takim nie pozostanie wiele. Poza tym Idun wiedziała, jak drąga używać. Z pewnością był przy niej amatorem.

– Zaczekaj! – Matthias za wszelką cenę próbował odwlec moment egzekucji. – Dlaczego nas porzuciłaś tam na Zoo?

– Ty nic nie zrozumiałeś.

– Faktycznie. – Wystawił kij przed siebie i zaparł się nogami. – Jednak zasługuję na wyjaśnienia.

Żadnych się nie doczekał. Po kilkukrotnym uderzeniu w końcówkę jego kija Idun przeszła do ataku. Drąg latał przed oczami Matthiasa, kreśląc śmiertelne łuki. Próbował się zasłaniać, ale nic z tego nie wyszło. Przegrywał, przygnieciony nawałą ciosów.

Chronić głowę – to jedno tłuło się w mózgu stalkera. Aż dziw, że kijaszek się nie połamał. Ledwo to pomyślał, pręt pękł w połowie długości, po tym jak zasłonił się nim przed uderzeniem z góry.

Teraz miał dwie pałki. Nim zdążył coś z nimi zrobić, ból sparaliżował lewe udo. Schylił się. Dostał w plecy i w głowę. Upadł. Odtoczył się na bok, zanim okuta końcówka zdążyła roztrzaskać potylicę.

– Przestań! – sam nie wiedział, dlaczego to powiedział, pewnie ze strachu.

Wstał z trudem i rzucił się do ucieczki jak najdalej od wirującego drąga.

Wcześniej wydawało mu się, że jest tu tyle miejsca. Stał na jednej nodze i odwrócił się bokiem. Dostał w łydkę i zawył jak ranne zwierzę. Potem ponowny cios w plecy. Zdaje się, że pękło jakieś zebro. Znowu? Ta szalona zdzira robi z niego sznycel.

Upadł, kuląc się pod linami, co go oczywiście nie uchroniło przed kolejnymi razami. Zasłonił głowę. Drąg spadł jak katowski topór, gruchocząc palce i kości śródreńca.

Dość, dość, niech to się skończy. Masakrowała go kawałek po kawałku. Ile jeszcze takich uderzeń był w stanie wytrzymać, zanim straci przytomność? Na pewno nie więcej niż pięć.

Aaa! To chyba nerki. Otworzył oczy tylko po to, by zobaczyć podeszwę buta Idun spadającą na jego twarz.

Mocno zamroczony nie wiedział, co się dzieje. Wrzask widzów to opadał, to się wznosił. Zwinął się w kłębek. Wybacz Nerd, wybacz Jorge, wszystkich was zawiodłem.

Już żegnał się z życiem, gdy doszło do niego, że ciosy nie spadają. O co tym razem może chodzić? Na jedno oko nie widział zupełnie. Łuk brwiowy spuchł tak, że całkiem je zasłonił. Z drugim poszło trochę lepiej.

Tuż przed sobą widział buty Idun, pomalowane w fantazyjne wzorki wysokie trzewiki odwrócone do niego... piętami? Nieco dalej... Nie widział zbyt ostro, lecz... Jasmin?

Co ona robi na arenie?

W pewnej chwili deski, na których leżał, zaczęły podskakiwać, jakby rozpoczęła się walka. Ale dlaczego?

Odpowiedzi na pewne pytania musiały poczekać. Wrzask zrobił się nie do

wytrzymania.

Walka Idun ze stalkerem od początku przypominała masakrę. Już po pierwszym zamachu wiadomo było, po czyjej stronie jest przewaga.

Jak czegoś nie zrobi, ta suka go zabije.

Jasmin posiadała większą wprawę w wymachiwaniu różnego rodzaju przedmiotami niż Matthias. Miecz zastawiła, tym razem musiały jej wystarczyć dwa kijki, którymi wcześniej posługiwał się Holt.

Wskoczyła na ring, zanim nad Matthiasem rozciągnęła się wiekuista kurtyna.

– A ty gdzie? – Falcone złapał ją za rękaw.

Owinęła ramię wokół łokcia mężczyzny, aż usłyszała jęk cierpienia. Krtań została wystawiona na uderzenie. Trafiła bez problemów. Grubas odfrunął do tyłu na Ericha i najbliższych widzów.

Nie traciła czasu na przyglądanie się próbom rozplątania kłębowiska rąk, nóg i głów.

Przysiad i miała w rękach oba kije. Jednym zasłoniła się przed zwrotem botaniczki, a drugim uderzyła w nieosłonięty tył głowy. Patyk był za cienki, by pozbawić Idun przytomności, niemniej mocno nią zachwiał, a to wystarczyło. Złapała drąg i szarpnęła, lecz Idun nie puściła. Rozpoczęła się walka w zwarciu. Mocowały się niczym dwie harpie i żadna nie potrafiła uzyskać przewagi. Idun, choć zaskoczona, szybko odzyskała rezon. Nowy przeciwnik nie był dla niej wyzwaniem. Wydawało się, że jest silniejsza. Przysiadem zmusiła Jasmin do tego samego. Zwrot i zaraz odzyska drąg, a potem...

Jasmin nie namyślała się wiele. Puściła pręt, czym zaskoczyła Idun. Ułamek sekundy później zaskoczyła ją jeszcze bardziej, wsadzając palce w usta botaniczki z jednej i drugiej strony. Należało uważać na zęby, ale to było wliczone w ryzyko.

Ciągnęła, ile sił. Mięśnie twarzy nie są tak mocne jak palce i w końcu muszą ustąpić. Krew z rozerwanych kącików ust chlusnęła na arenę.

Spróbuj się teraz uśmiechnąć – pomyślała złośliwie.

O dalszych zmaganiach nie było już mowy. Idun słabła wraz z każdym uderzeniem serca. Teoretycznie to koniec. Jasmin już chciała odstąpić, gdy zobaczyła nóż w dłoniach botaniczki. Odskoczyła, nim ostrze przecięło jej tętnicę udową.

Uderzyła nogą, czym zyskała kolejną sekundę. Chwyciła porzucony drąg i ustawiła się w pozycji. Idun odwróciła się do niej przodem. Już nie przypominała człowieka, tylko rozwścieczoną bestię. Nóż zatoczył łuk. Jasmin uderzyła z góry. Tym razem zasięg i masa były po jej stronie. Okuta końcówka trafiła prosto w czoło. Kości czaszki chrupnęły, a w głowie Idun pojawiło się wgniecenie.

Koszmarne widowisko dobiegło końca.

Aplauz był ogłuszający. Matthias nic z tego nie zapamiętał, bo zemdłał, gdy Gruber zaczął ściągać go z ringu. Zresztą oklaski nie należały się jemu, tylko temu, kto ostatni zszedł z areny.

EPILOG

Na Jannowitzbrücke nie czekało ich nic dobrego. Należało pryskać, i to jak najszybciej. Nickie Falcone zachowywał się powściągliwie, w przeciwieństwie do Rauscha. Obaj bossowie uznali, że pojedynek nie poszedł po ich myśli, ale emocje wyrażali każdy na swój sposób. W końcu Matthias wygrał dwie, a nie trzy walki, a to przecież unieważniało całą ich umowę. Ostatnie starcie to kpina. Zastępstw nie przewidywano, więc logiczne wydawało się unieważnienie całego turnieju.

Powstało potężne zamieszanie. Holt, niemiłosiernie poobijany, nie wdawał się w pyskówkę. Negocjacje wzięła na siebie Jasmin, twierdząc, że to obaj gangsterzy jako pierwsi złamali zawarty układ. Wcześniej o broni mowy nie było. Same ręce i nogi musiały wystarczyć.

Oblicze Falcone nabiegło krwią. Wydawało się, że zaraz eksploduje. Na jedno skinienie miał bandę oprychów, ale z jakichś powodów nie stawiał sprawy na ostrzu noża. Może czuł się winny?

Rausch za to nie odpuszczał. Stracił niewolnika, trzech zawodników, forszę z zakładów, a w zamian nic nie zyskał.

– Możesz chodzić? – zapytał Gruber, przyglądając się zmasakrowanej nodze stalkera.

– Ledwo – odparł Matthias.

– W razie czego Nerd cię podtrzyma.

Ktoś przeszedł obok i klepnął Holta po plecach, inny rzucił parę naboju, które natychmiast znikły w kieszeni Mechanika. Dostali też niedopitą flaszkę bimbru, do której przyssał się Matthias. On najbardziej potrzebował lekarstwa.

Oczy zaszły mu łzami po trzech solidnych łykach. Nieważne, że jechało fuzlem. Kto by się przejmował takimi szczegółami. W naczyniu pokazało się dno. Odetchnął. Świat od razu stał się znośniejszy.

– Pomóście mi wstać.

Matthiasowi z trudem udało się utrzymać na nogach.

O czym Jasmin tak długo z nimi gada? To już przechodziło ludzkie pojęcie. Przynajmniej Robak przestał się ciskać jak wesz na kołnierzu i słuchał uważnie dziewczyny. Falcone górował nad nimi podobny do olbrzyma.

W końcu deal został przypieczętowany. Nieufnie, bo nieufnie, ale bez gwałtownych rozwiązań dziewczyna i obaj bossowie pożegnali się i każde odeszło w swoją stronę.

– Pa, Erich. – Matthias pomachał do ponurego ochroniarza nieodstępującego od nich, od kiedy stoczył się z areną.

– Następnym razem nie będzie tak miło. – Wielka piącha wyciągnęła się w jego stronę.

– Nie licz na to. – Matthiasowi zrobiło się lżej na duszy.

Uszedł przeznaczeniu i tylko to się liczyło.

– Poszli po rozum do głowy? – spróbował czegoś dowiedzieć się od Jasmin.

– Tak się wydaje – burknęła.

– Ale wszystko w porządku?

– W jak najlepszym.

Z miny stalkerki niczego nie mógł wyczytać. Nie wydawała się ani zmartwiona, ani szczęśliwa, już raczej zmęczona albo zniechęcona.

– Jak ich przekonałaś?

– Normalnie.

– Myślałem, że Rausch weźmie ten drąg i osobiście walnie mnie nim w głowę.

– No to się pomyliłeś.

– Ale...

– Mati, proszę, musimy iść po Maksa. Dwanaście godzin już upłynęło.

– Tylko powoli, ledwo chodzę.

Skierowali się w stronę noclegowni. Po drodze minęli wypełniające się lokale. Sportowe emocje opadły i znów można było napić się z kumplami. A ileż tematów do dyskusji! Nie wystarczy tygodnia, by ze wszystkim dojść do ładu.

Maksa nie zastali w boksie. Na pytanie, gdzie się podział, wskazano im lokal w pobliżu.

Chemik właśnie siedział nad parującym talerzem golonki i wypełnioną do połowy szklanką alkoholu. Wyglądał kwitnąco.

– W końcu jesteście.

Obsiedli stolik, przyglądając się jedzącemu.

– Dużo mnie ominęło?

– Nie ma o czym mówić. – Matthias machnął ręką. – Dobrze, że z tobą wszystko w porządku.

– Podobno zasnąłem?

– Na stojąco.

– Dziwne, że niczego nie pamiętam.

– Kompletnie niczego?

– Jakieś przebłyki. – Maks zrobił zakłopotaną minę.

– Lepiej jedz, bo ci wystygnie.

Napięcie powoli zaczęło uchodzić z Matthiasa. Życie wracało do normy, o ile wegetowanie w metrze można nazwać normą.

Stracił Jorgego, ale zyskał Grubera i Maksa. Co do Jasmin nie był pewny. Jak znał życie, ta niedługo pójdzie swoją drogą. Spotkają się za jakiś czas, ale nie będzie już tak samo. Szkoda, przyzwyczaił się do tego, że jest w pobliżu.

Może należało ją ostrożnie wypytać, co myśli o wejściu do spółki? W końcu stanowili zgraną grupę. Maks znał się na rzeczach, o których oni nie mieli zielonego pojęcia. Gruber przyda się jako mechanik, a może i rusznikarz, Nerd do pomocy. On będzie szefem całego przedsiębiorstwa, a ona...? Jego zastępczynią?

Warto się nad tym zastanowić. Kontrakty może nie posypią się od razu, ale w końcu wyrobią sobie markę.

Trochę głupio tak siedzieć i nic nie mówić.

– Stać nas na flaszkę?

Gruber sięgnął do kieszeni przeliczyć fundusze.

– Na jedną – orzekł w końcu.

– Niech będzie.

O szczegółach pomyślą jutro. Na razie potrzebował chwili wytchnienia. Kto wie, jak zakończy się wieczór. Uśmiech Jasmin wiele obiecywał.

Nickie Falcone i Helmut Rausch stali na bulwarze Am Weidendamm nad Szprewą. Na powierzchnię wychodzili tylko, jak już naprawdę nic innego nie mieli do roboty.

Tym razem się opłaciło. Opancerzony transporter to było coś. Taką zdobyczą nie mógł pochwalić się nikt inny. Można powiedzieć, że zrobili interes życia. Za puszczenie wolno Matthiasa i tej laski zyskali wóz bojowy, o jakim wcześniej mogli tylko pomarzyć. Czy życie nie było cudowne?

– Erich, zobacz, jak to wygląda w środku – polecił Wielki Sęp.

– Już się robi, szefie.

– Odpal go i spróbuj przejechać parę metrów.

Dziś to jedynie rekonesans. Sprawdź, w jakim jest stanie, a potem pomyśl, co dalej.

Postawić tak to pudło na Jannowitzbrücke. To dopiero będzie sensacja.

W wewnętrznych przepychankach zyskali argument o wyjątkowej sile.

Rausch obszedł zdobycz, przyglądając się elementom wyposażenia. Gdy tylko o nim usłyszał, wyobraził sobie pordzewiały wrak nienadający się do użytku.

Zapewnienia dziewczyny nie trafiły mu do przekonania. Długo trwało, zanim dał się namówić, ale było warto. Cudowna maszyna, w sam raz do niedzielnych przejażdżek. Poprzedni właściciel płakał, jak się go pozbywał.

Falcone i Rausch zabrali ze sobą dwóch pomocników. Nikt więcej nie był im potrzebny. Na razie sprawę należało trzymać w tajemnicy. Szum zrobi się dopiero później. Ach, co to będą za emocje.

Nieprzyjemne mrowienie na karku sprawiło, że Rausch się odwrócił. Wymarłe miasto to zdecydowanie nie jego środowisko. Wszędzie czaiła się masa zagrożeń. Właśnie dojrzał człowieka... Mutanta chyba, bo nikt normalny nie chodził po ulicach bez ochronnego skafandra.

Ten facet był jakiś dziwny, a Rausch bardzo nie lubił, jak ktoś tak na niego patrzy. Te wytrzeszczone oczy...

- Nickie... - zawołał współnika, jednocześnie wypatrując automatu, który gdzieś tu odstawił.

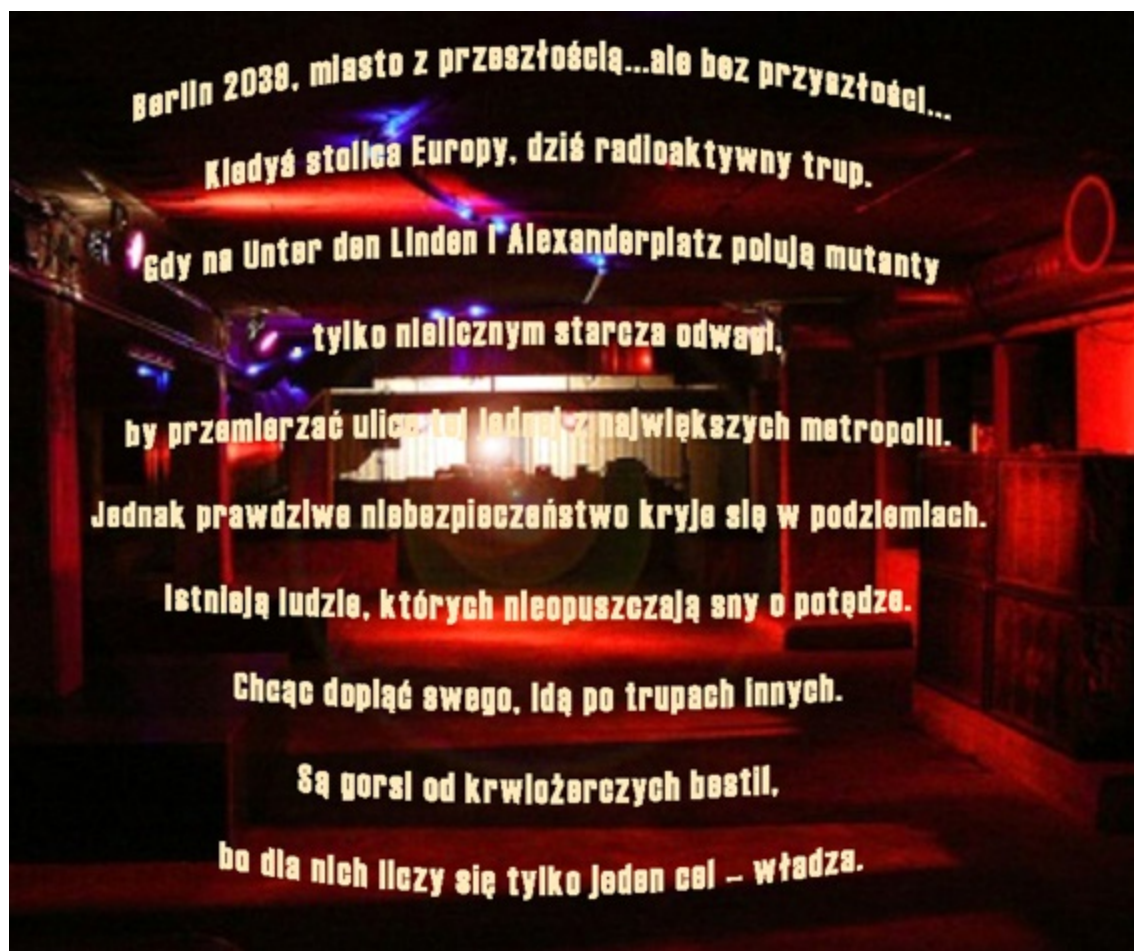
Hans powoli budził się z letargu. Nie pamiętał, co się z nim działo przez ostatnie parę... dni?

Ostatecznie coś sobie przypominał, ale to nieważne, ważne, że był głodny jak jeszcze nigdy w życiu. Najchętniej wbiłby zęby w coś krwistego.

Uniósł wzrok.

Uśmiechnął się.

Niczego lepszego nie potrafił sobie wyobrazić.



„Berlin 2039, miasto z przeszłością... ale bez przyszłości...”

Vladimir Wolff, pisarz kojarzący się nam raczej z literaturą utrzymaną w konwencji militarnej („Północny sztorm”, „Doktryna Wolffa”, „Horyzont zdarzeń”) czy też typowo sensacyjnej („Tropiciel”, „Bractwo nieśmiertelnych”) tym razem udowadnia nam że zupełnie nieźle czuje się również w trochę innej stylistyce i gatunku. Postanowił zmierzyć się z futurystyczną i post-apokaliptyczną wizją świata, powstałego na gruzach nuklearnej wojny.

Oczywiście, czytając powieść „Czas odkupienia” trudno oprzeć się wrażeniu oraz nie znaleźć licznych odniesień (mniej lub bardziej wyrazistych) do kultowego już cyklu Dmitryja Glukhovskij’ego METRO 2033. Zarówno jeśli chodzi o scenerię, klimat, czy szeroką, choć tu akurat zdecydowanie bardziej rozbudowaną, kreację świata przedstawionego. Również same postacie bohaterów głównych czy pobocznych, wpisanych w całość ocalałej z zagłady społeczności, ukrywających się w podziemiach Berlina (tu osadzona jest fabuła opowieści) na skraju egzystencjalnej przepaści, niemal niczym nie różnią się o tych znanych nam z Moskwy, Petersburga, Kaliningradu, Wrocławia czy innych podobnych miejsc tego Uniwersum..

Jest jednak coś, co w tym zestawieniu i na tym tle wyraźnie wyróżnia tę powieść. To zdecydowanie większy rozmach z jakim autor przedstawia nam toczące się wydarzenia oraz wyraźne przeniesienie ciężaru akcji z ciemnych, brudnych, dusznych, podziemnych tuneli (choć, naturalnie, też ich nie zabraknie) w stronę powierzchni ze wszystkimi tego bolesnymi i niespodziewanymi konsekwencjami.

To dynamiczny, wciągający i bardzo sugestywny obraz tego jak w najbardziej skrajnym wariacie potoczyłyby się losy ludzkości, której udało by się przeżyć

atomową wojnę. Mamy więc niebezpieczną, niemal samobójczą misję, dzielnych, doświadczonych stalkerów, zmutowaną, zabójczą faunę i florę, oraz nie mniej groźnych, walczących o terytoria i przetrwanie, podzielne na grupy i frakcje, ludzi.

„Istnieją ludzie, których nie opuszczają sny o potędze. Chcąc dopiąć swego, idą po trupach innych. Są gorsi od krwiożerczych bestii, bo dla nich liczy się tylko jeden cel – władza”.

Książkę i trzeba to przyznać, naprawę dobrze się czyta a duża w tym zasługa ciekawie pomyślanej, wielotorowej intrygi, która staje się motorem napędowym toczących się w powieści zdarzeń, wpływającym w sposób bezpośredni czy pośredni na losy poszczególnych postaci. Szczegółów naturalnie nie zdradzę... Nie zabraknie więc tajemnic, kłamstw, manipulacji, ukrytych motywów, zdrad, chciwości, namiętności, dramatycznych decyzji i trudnych życiowych wyborów, które staną się udziałem naszych bohaterów, czyli tych wszystkich elementów, które tak bardzo lubimy i cenimy sobie w każdej dobrej literaturze.

Książka Vladimira Wolffa „Czas odkupienia”, doskonale wpisuje się w kanony gatunku i bez wątpienia, dostarczy nam sporą dawkę porządnej rozrywki, który działa na wyobraźnię i potęguje nasze odczucia. Polecam.

Spis treści

[Tytułowa](#)

[Rozdział I](#)

[Siła wyższa](#)

[Rozdział II](#)

[Jorge](#)

[Rozdział III](#)

[Mrok](#)

[Rozdział IV](#)

[Elementy](#)

[Rozdział V](#)

[Wybór celów](#)

[Rozdział VI](#)

[Przeszkody](#)

[Rozdział VII](#)

[Oni](#)

[Rozdział VIII](#)

[My](#)

[Rozdział IX](#)

[Tempelhof](#)

[Rozdział X](#)

[Legowisko](#)

[Rozdział XI](#)

[Wojna cieni](#)

[Rozdział XII](#)

[Wektor zagrożenia](#)

[Rozdział XIII](#)

[Strategia przetrwania](#)

[Rozdział XIV](#)

[Skutki uboczne](#)

[Rozdział XV](#)

[Wrota piekieł](#)

[Rozdział XVI](#)

[Zona śmierci](#)

[Rozdział XVII](#)

[Rykoszet](#)

[Rozdział XVIII](#)

[Błędne ognie](#)

[Rozdział XIX](#)

[Między piekłem a niebem](#)

[Rozdział XX](#)

[Płytki grób](#)

Rozdział XXI

Kundel łańcuchowy

Rozdział XXII

Wielki sęp

Rozdział XXIII

Bohaterowie są zmęczeni

EPILOG